

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 2/40-3/41

1951



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI — List z Wyspy ♦ *SPRAWY NIEMIECKIE*: T. OBERLAENDER — Cele Europy * P. HOSTOWIEC — List ♦ A. BOBKOWSKI — Coco de Oro ♦ Wł. BĄCZKOWSKI — Rosja i Azja ♦ W. STACHIEWICZ — « L'Offensive pour la Pologne » ♦ W. A. ZBYSZEWSKI — Polonia Belgijska ♦ *ARKUSZE POETYCKIE* ♦ *STRATY KULTURY POLSKIEJ* ♦ *KRONIKA EMIGRACYJNA* ♦ *KRONIKA KULTURALNA* ♦ *KSIĄŻKI* ♦ *LISTY DO REDAKCJI.*

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>List do Redaktora</i>	10
Theodor Oberlaender:	<i>Cele Europy</i>	14
Aleksander Korczyński:	<i>Tłumacze polskiej literatury</i> ...	24
Jan Holcman:	<i>Juilliard</i>	28
Andrzej Bobkowski:	<i>Coco de Oro</i>	45
Jan Bielatowicz:	<i>Granica</i>	81
Józef Łobodowski:	<i>Pieśń o burzy</i>	84
» »	<i>Nie urodziłem się dla bitew</i> ..	85
Maria Czapska:	<i>Wacław Borowy</i>	87
Włodz. Bączkowski:	<i>Rosja i Azja</i>	93
W. A. Zbyszewski:	<i>Polonia belgijska</i>	105
J. B.:	<i>«Z dna»</i>	113
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	123
Jerzy Lerski:	<i>Stany Zjednoczone</i>	126
Wacław Stachewicz:	<i>«L'offensive pour la Pologne»</i> ..	128
Bolesław Starzyk:	<i>Jeszcze o konspiracji na Wołyniu</i>	161
Wacław Szyszkowski:	<i>Autonomizm, reformizm, syndy-</i> <i>kalizm</i>	163
Edward Raczyński: }	<i>Jeszcze o polskiej strukturze</i>	
Konstanty Brzóska: }	<i>rolnej</i>	168
Janusz Kowalewski:	<i>Felieton teatralny</i>	171
Londyńczyk:	<i>Szkoła Nauk Politycznych</i>	180
Wł. Sznarbachowski:	<i>Polskie Muzeum w Rzymie</i>	182
M. Wańkiewicz,	<i>Zagadnienia Kulturalne a Skarb</i> <i>Narodowy</i>	185
W. Ostrowski,		
L. M. Borzęcki:		
J. A. Świącicka:	<i>Stulecie ustawy bibliotecznej w</i> <i>Anglii</i>	194
Edouard Roditi:	<i>Czyścić i piekło polityki</i>	197
Jean Bernier:	<i>Rzeczywistość rosyjska w oczach</i> <i>Ciligi</i>	200
W. A. Zbyszewski:	<i>Staruszcza w pieluszkach</i>	212
Jan Ulatowski:	<i>Powojenna prasa francuska</i>	215
Xawery Glinka:	<i>Carton de Wiart a polskie kom-</i> <i>pleksy</i>	222
Wiktor Weintraub:	<i>Na temat «Chłopów»</i>	225
J. M.:	<i>Książki niemieckie</i>	229
—	<i>Nowości francuskie i niemieckie.</i>	231
Cyryl D. Mordega:	<i>Z ostatniej chwili</i>	232
	<i>Listy do Redakcji</i>	235

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Février — Mars 1951

Luty — Marzec

INSTYTUT



LITERACKI

Londyńskim korespondentem KULTURY jest p. Juliusz
MIEROSZEWSKI, 21, Fentiman Road, London S.W. 8.
Tel. REL. 4133.

Ze względu na coraz większe zainteresowanie, jakie wy-
wołuje „Kultura” wśród cudzoziemców i celem zoriento-
wania ich w najważniejszych problemach, poruszanych w
piśmie, Redakcja zdecydowała się na zamieszczanie na
końcu każdego numeru, poczynając od kwietnia rb., krótkiego
streszczenia ważniejszych artykułów w języku fran-
cuskim.

Następny numer «Kultury» ukaże się w pierwszych
dniach kwietnia rb. w normalnej objętości (160 str.) i po
normalnej cenie.

Z powodu wielkiej ilości artykułów, drukowanych w
bieżącym numerze, zmuszeni byliśmy w Spisie Rzeczy
opuścić normalny podział na działy, podając jedynie
nazwiska autorów i tytuły.

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta KULTURY)

Artykuł poniższy należy do tej samej serii artykułów badawczych
co artykuły Z. Florczaka („Podróż na horyzonty”, KULTURA, Nr
3/20), oraz studium M. Wańkowicza pt. „Klub Trzeciego Miejsca”
(KULTURA, Nr 6/23) mimo, że p. Mieroszewski zajmuje krańcowo
odmienne stanowisko niż Florczak i Wańkowicz.

Odległość dzieląca te dwa bieguny jest miarą przeobrażeń jakim
uległa zarówno sytuacja polityczna, jak i poglądy. Od czerwca 1949 r.
(artykuł Florczaka) po luty 1951 — bieg wydarzeń przybliżył nas nie-
bezpiecznie ku granicom wojny. Owa droga ku wojnie wiedzie przez
cmentarzysko iluzji i poglądów, które nie sprostały próbie dzisiejszego
trudnego życia. Mimo to, ów „cmentarz iluzji i poglądów” jest pa-
miętnikiem nas wszystkich.

Artykuł p. Mieroszewskiego jest śmiałą próbą wypracowania pew-
nych zasadniczych sformułowań w obliczu zbliżającego się konfliktu.
Wysiłkom takim towarzyszy zawsze pogrom „sztanc” myślowych, któ-
re, choć często nie zawierają już żywej treści, są skamieniałe i trudne
do rozbicia.

REDAKTOR.

I.

“Słabi, nieliczni i starzy”

Naszą myśl polityczną cechuje z jednej strony megaloma-
nia z drugiej kunktatorstwo i uwiad. Wojnę światową Nr 2 roz-
grywaliśmy według wzorów pierwszej wojny światowej. Trze-
cią wojnę światową widzimy w perspektywie drugiej wojny
światowej.

Gdy pierwsza kompania kadrowa Józefa Piłsudskiego prze-
kraczała granicę Królestwa — świat ówczesny składał się aż
z ośmiu wielkich mocarstw. Z tych 8 mocarstw — 5 było pań-
stwami europejskimi. Jeżeli cokolwiek miało się dziać politycz-
nie ważnego — dziać się musiało na historycznej scenie świa-
ta, którą była Europa.

Gdy ostatnie oddziały liniowe 2. Korpusu Gen. Andersa opu-
szczały kontynent w drodze na wyspy brytyjskie — świat zre-
dukował się do dwóch potęg: Rosji i Stanów Zjednoczonych.
Obie te potęgi są państwami pozaeuropejskimi.

Centralnym zagadnieniem obecnego kryzysu jest forma rzą-
du światowego. Rzecz idzie tylko o to czy rząd ten będzie orga-

nem Kominformu z siedzibą w Moskwie czy też będzie nową wersją ONZ z wyraźną hegemonią amerykańską.

Można uznać za całkowicie pewne, że którakolwiek strona zwycięży, nie odbuduje układu europejskiego sprzed 1939 r. z szachownicą suwerennych państw i państewek. Jeżeli zwyciężą Amerykanie i ich sojusznicy — Polska wejdzie w ramy systemu federacji europejskiej, a jej sytuacja międzynarodowa i polityczna będzie czymś całkowicie różnym od pozycji Polski z okresu 20-lecia. O tym należy pamiętać. Niezależni i całkowicie suwerenni i jak szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie — nie będziemy już nigdy.

Na tym tle powinniśmy rozważać nasze polityczne możliwości. Są one niewielkie, ale za to (wydawać by się mogło) całkowicie jasne. Dziś nie mamy się co zastanawiać czy lepiej z Austrią przeciw Rosji, czy z Rosją przeciw Austrii, czy Dmowski, czy Piłsudski, czy zgola Józef Haller. To wszystko są nazwiska — godne i wielkie — ale ze świata, który się zawalił. To są postacie i doktryny dziś równie historyczne jak Stefan Batory czy Jeremi Wiśniowiecki. Kto nie zdaje sobie w pełni z tego sprawy, żyje w świecie widm przeszłości, a nie w drugiej połowie XX wieku.

W obecnym konflikcie światowym możemy tylko wybierać pomiędzy Rosją a Stanami Zjednoczonymi.

Nasz Kraj jest okupowany przez Rosję. Jesteśmy w wojnie z Rosją z którą żaden sojuszniczy naród jeszcze w wojnie nie jest. Między nami a Rosją leży Katyń. Nie ma w tej chwili innej polskiej racji stanu tylko walka przeciwko Sowietaom na wszystkich, dostępnych nam, polach i w każdej, dostępnej nam, formie. Każdy, kto walczy przeciw Moskwie jest naszym sojusznikiem bez względu na to, czy uznaje nasz Rząd w Londynie, czy nie, czy gotów jest gwarantować nasze granice na Odrze i Nysie, czy nie, bez względu na to, czy walczy przeciw komunistom w Europie, na Korei czy na biegunie.

Wydawałoby się, że to jest jasne i proste. Nic nam przecież z ziem odzyskanych jak długo panem nad nimi jest Bierut, cóż zmieni uznanie rządu londyńskiego przez mocarstwa zachodnie, dopóki w Warszawie rządzi agentura Kremla, a wojskiem polskim dowodzi sowiecki marszałek. Jeżeli na wszystkich akademiach powtarzamy, że jedynym celem emigracji jest "kontynuowanie akcji niepodległościowej" — to przez termin ten, jeżeli ma on mieć jakąś realną treść — należy rozumieć walkę przeciw jednemu naszemu ciemiężcy i okupantowi tj. Rosji.

Tymczasem, czytając wypowiedzi naszych polityków można nabrać przekonania, że hierarchia polskich celów politycznych wygląda nieco inaczej. Nasz udział w walce przeciw komunizmowi — nawet jeżeli chodzi o udział poszczególnych jednostek jak np. por. Wyrwy — uzależnia się od uznania rządu, od zawarcia umów, układów itp.

Jakkolwiek ważną rzeczą byłoby uznanie przez mocarstwa

zachodnie legalnego rządu, to jednak naszym kardynalnym celem nie jest przywrócenie uznania rządowi londyńskiemu, lecz przywrócenie wolności Polsce do czego jedyną drogą jest współdziałanie z wszystkimi, którzy walczą z Rosją.

Nie można, niestety, wykluczyć i takiej sytuacji, że polski Rząd w Londynie nie zostanie uznany przez mocarstwa zachodnie nawet wówczas, gdy cofną one uznanie administracji Bieruta. Z różnych wypowiedzi anglosaskich można wnioskować, że w pewnych politycznych kołach panuje opinia, iż w razie wojny uznanie należy zarezerwować dla przyszłego rządu polskiego, który powstanie po wyborach, w oswobodzonej Polsce.

Czy wówczas Polacy na emigracji winni ogłosić swą neutralność i spokojnie przypatrywać się zmaganiom Zachodu z Rosją?

Legalizm i uznanie to są instrumenty polityki, a nie cele same w sobie. Należy zrobić wszystko, by przywrócić legalnemu rządowi pełne uznanie, należy również uczynić wszystko, by rządowi polskiemu umożliwić zawarcie korzystnych umów i układów, niczego nie wolno zaniedbać by zachować ziemie odzyskane w granicach Polski. Nie wolno nam jednak z tych postulatów — jakkolwiek doniosłych — czynić warunków od których gwarantowania uzależniamy udział w walce przeciw ciemiężcy naszej Ojczyzny.

Nasz obowiązek walczenia przeciw Rosji jest znakomicie oczywisty i z obowiązku tego nikt i nic nie może nas zwolnić. Ani Jałta, ani cofnięcie uznania, ani Anglicy ani Amerykanie.

Argument, który głosi, że nie mamy powodu zajmować czynnej postawy jak długo Amerykanie nie przekreślą Jałty i dopóki nie ogłoszą, że celem ich akcji m. in. jest wyzwolenie narodów Europy Środkowo-Wschodniej — jest słuszny, ale tylko w pewnym stopniu i do pewnego czasu. Jeżeli stoimy na stanowisku, że wojna pomiędzy Rosją a Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami jest nieuchronna i jeżeli zgodnie z tą opinią walki na Korei, na Malajach czy w Indochinach uważamy za fragmentaryczny wstęp do trzeciej wojny światowej — cytowany powyżej argument jest bez podstaw. Z chwilą bowiem, gdy obecne wojny "lokalne" nabiorą cech konfliktu powszechnego — nie potrzebne będą żadne deklaracje.

Zarówno pierwsza jak i druga wojna światowa zakończyły się bezwarunkową kapitulacją pokonanych przeciwników. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że i trzecia wojna światowa zakończy się całkowitą i bezwarunkową kapitulacją strony pokonanej, której zwycięzca podyktuje swoje warunki. Współczesny konflikt między rosyjsko-azjatyckim komunizmem a chrześcijańską cywilizacją Zachodu nie może się skończyć wynikiem remisowym jak mecz krykietowy. Albo my — albo oni. Trzeciej ewentualności nie ma.

Dlatego, w moim zrozumieniu, należy sprawę postawić następująco: Polak, który w szeregach Sił Zbrojnych Narodów Zjednoczonych walczy już dziś przeciw komunistom realizuje

w pełni obowiązek, który ciąży na nas wszystkich. Albowiem — choć nie w polskim mundurze — walczy z bronią w rękę przeciw śmiertelnemu wrogowi Polski.

Istnieje dziś światowy front anty-komunistyczny i jest rzeczą drugorzędną czy walczy się przeciw satelitom Moskwy na Korei czy na Bałkanach. Dla nas zasadnicze są tylko ogniska tej walki, to znaczy miejsca na mapie, gdzie trzecia wojna światowa już się rozpoczęła.

W razie wybuchu wojny powinniśmy uczynić wszystko, by odbudować Polskie Siły Zbrojne. O ile bowiem należy wykazać jak najdalej idącą ostrożność i wstrzemięźliwość w inspirowaniu ruchów oporu w Kraju o tyle Polacy przebywający po tej stronie "żelaznej kurtyny" nie pozostali po to na emigracji by deklorować swoją neutralność. Nie wszyscy bowiem — na szczęście są "starzy i nieliczni" — jak pisze Zygmunt Nowakowski.

Na Emigracji i tylko na Emigracji ciąży obowiązek reprezentowania imienia polskiego w obozie narodów zjednoczonych. Polska pod administracją Bieruta uznana będzie za państwo wrogie. Im bardziej konflikt między blokiem sowieckim a światem anglosaskim zaostrza się, tym wyraźniej winno być zarysowane nasze stanowisko.

Niestety tak nie jest. Sprawa por. Wyrwy, która nabrała znacznego rozgłosu, była szkodliwa, a gdyby Wyrwa miał w przyszłości znaleźć naśladowców (w co wątpię) mogłoby to mieć b. ujemne konsekwencje.

Amerykanie czują się dziś osamotnieni w walce przeciw komunizmowi. Na łamach dzienników padają głosy czy warto bronić Europy, skoro Europa sama nie chce się bronić. Prasa amerykańska nie szczędzi gorzkich i często może nie zasłużonych zarzutów Anglii i Francji. Nie jest celem tego artykułu rozważać te sprawy, faktem jest jednak, że w akcji Narodów Zjednoczonych na Korei najliczniejsi są Amerykanie i jedynie ich lista ofiar idzie w dziesiątki tysięcy.

Stosunkowo niedawno gen. Anders był w Stanach Zjednoczonych. Gdyby na tle tego nastroju osamotnienia Generał wystąpił z publicznym apelem do Polaków w Stanach Zjednoczonych by wstępował do armii amerykańskiej celem podjęcia walki z komunistami — nie wątpię, że byłby skupił na sobie i na Sprawie polskiej, którą tam reprezentował uwagę całej opinii amerykańskiej. Byłby w obecnej atmosferze jaka panuje za oceanem wniecił entuzjizm dla naszej sprawy, ten sam entuzjizm z jakim witano w osamotnionej Anglii lądujących polskich żołnierzy po upadku Francji.

W praktyce byłoby to pociągnięcie symboliczne, miałyby jednak z całą pewnością olbrzymi oddźwięk i stanowiłoby przełom w naszej polityce, która wyczerpuje się w protestach, w negacji i w łzawych przemówieniach pustych w treści i lichych w formie.

Gen. Anders mógł wyrwać nas z owego grobu politycznego w którym spoczywamy od 1945 r. i wykrzesać zainteresowanie,

którego nigdy nie było nam bardziej potrzeba niż obecnie. Nie waham się twierdzić, że takim apelem mógł Generał z dnia na dzień stać się jedną z najpopularniejszych postaci w Ameryce i skupić w swych rękach wielki kapitał sympatii, który by nam pomógł przełamać "blokade milczenia" ciężącą nad nami jak gład.

Krok taki nie był połączony dosłownie z żadnym ryzykiem. W oparciu o jakże świeże doświadczenia drugiej wojny światowej uznać można za pewnik, że 98% Polaków przebywających w Stanach Zjednoczonych i tak wstąpi do armii amerykańskiej w razie wybuchu wojny, a nie do Polskich Sił Zbrojnych, choćby odtworzono jej na Zachodzie. Generał nic nie ryzykował a zyskać mógł bardzo wiele.

II.

Kunktatorzy

Zygmunt Nowakowski ostrzega, że... "kto staje po stronie tzw. Zachodu (o ile Zachód jeszcze istnieje!), ten będzie musiał walczyć pośrednio albo i może bezpośrednio o wolne, niepodległe i całe Niemcy".

Więc tak. Ponieważ nie chcemy walczyć o "całe i niepodległe Niemcy", a nie mamy też całkiem wyraźnych powodów walczyć o "całą i niepodległą" Rosję — cóż pozostaje innego jak siedzieć, możliwie wygodnie, na tym Zachodzie (dopóki jeszcze istnieje!) i czekać zmiłowania Bożego. Ostatecznie to także jest filozofia. Nie jest to jednak filozofia ani rozsądna ani polska. Jest to filozofia całkowicie sprzeczna z "Polish way of Life".

Wydaje się czymś absurdalnym, że Niemcy mają wejść w skład armii europejskiej Paktu Atlantyckiego pod dowództwem Eisenhowera a w armii tej braknie formacji wschodnio-europejskich. Dopóki w ramach Sił Europy nie znajdują się formacje reprezentujące kraje europejskie, ujarzmione przez Rosję, armia gen. Eisenhowera nie będzie miała charakteru ani w pełni europejskiego ani wyzwolenczego.

Nie ulega wątpliwości, że mocarstwu anglosaskim trudno przyjdzie powziąć w tym względzie decyzję. Odbudowa choćby symbolicznej armii polskiej na Zachodzie w chwili obecnej nie jest nawet do pomyślenia. Wypadki jednak toczą się tak szybko, że być może jeszcze w tym roku Anglosasi będą gotowi do powzięcia takiej decyzji.

Nie mamy powodu walczyć o całe i wolne Niemcy. Ale nikt na świecie nie ma więcej niż my powodów, by walczyć o wyzwolenie Polski i krajów europejskich okupowanych przez Sowiety nawet ramię w ramię z Niemcami. Każdy dobry, kto gotów jest bić się przeciw Sowietom. Każdy!

Napisałem powyżej, że filozofia, którą wyłożył w swym felietonie Zygmunt Nowakowski nie jest polska. Nikt przy zdro-

wych zmysłach nie będzie Zygmunta Nowakowskiego uczył polskości, ale istotnie trudno jest pojąć jak ten arcy-polski pisarz stał się nagle chorązym skostniałego kunktatorstwa Emigracji.

"...Ale nie wnośmy oferty zbyt wcześnie" — woła Nowakowski do emigracyjnego ludu — "I nie pchajmy się. Gdy będziemy potrzebni, a z wszelką pewnością będziemy, oferta sama wpłynie, bo wpłynąć musi. Niech jednak ta oferta nie będzie jeszcze jednym czekiem bez pokrycia".

Amen. Otóż to jest program i "credo". Czekajmy spokojnie na Earls Court'cie na ofertę z gwarancją i z pokryciem. Czekajmy.

Klinicznie ta psychoza jest całkowicie zrozumiała. Rozpoczęliśmy drugą wojnę światową z gwarancjami, z pokryciem, z sojusznikami a dla mnie, jak i dla wielu, epopea skończyła się po latach w Oulton Park Camp, gdzie zaciągając nas do PKPR dano nam do przeczytania taki kawałek prozy: "Jeżeli zgłoszenie pana o przyjęcie do Armii Brytyjskiej zostanie przyjęte, będzie pan mianowany oficerem kontraktowym Armii Brytyjskiej z przydziałem do PKPR. Z tą chwilą przestanie pan być członkiem Polskich Sił Zbrojnych".*)

Taki był finał.

Uraz — powtarzam — jest zrozumiała. Mimo to uważam za historyczną zasługę Gen. Andersa, że pozostał lojalnym i wiernym sojusznikiem do końca, do rozpaczliwego finału. Umożliwił tym powstanie w Anglii i poza Anglią emigracji wojskowej. Gdyby wówczas po kunktatorsku oświadczył: Gwarancja okazała się bez pokrycia, wycofuję wojsko z frontu! — los nas wszystkich byłby się potoczył zgoła odmiennie. Jeżeli na Zachodzie będzie można w przyszłości odbudować Armię Polską to w dużej mierze dzięki temu, że Gen. Anders nie ugiął się wówczas przed ową gorzką decyzją.

Jeżeli dziś zamierzamy czekać na ofertę, która nie byłaby czekiem bez pokrycia, lecz 100% pewną gwarancją i uznaniem Rządu, granic na Odrze i Nysie, a na wschodzie granicy z 1939 r. i jeżeli od takich gwarancji uzależniamy nasz udział w walce przeciw Sowietaom to z góry możemy spokojnie zrezygnować z wszelkiej akcji niepodległościowej. Takiej gwarancji nikt nam nie da. A zresztą o tym czy dana gwarancja jest czekiem z pokryciem czy bez — przekonać się będziemy mogli dopiero po wojnie.

Możemy zmarnować dziesiątki okazji i nie pchnąć Sprawy naszej o centymetr naprzód, jeżeli tkwić będziemy nadal w wieży z kości słoniowej, obwarowani dogmatycznymi postulatami. Musimy po prostu zdać sobie sprawę z faktu, że nie jesteśmy w stanie zrealizować całego programu sztywno wykreślonego. Naszym warunkiem podstawowym jest powrót do sytuacji sprzed 1945 r. A jeżeli okaże się to niemożliwe?

*) Warunki Służby dla Oficerów w PKPR — tekst urzędowy.

Być może, że za miesiąc czy za rok sytuacja dojrzeje na tyle, że Amerykanie zgodziliby się na odbudowę Armii Polskiej na Zachodzie w ramach międzynarodowych Sił Zbrojnych Eisenhowera. Może się jednak zdarzyć, że z takich czy innych względów nie zechcą równocześnie uznać legalnego Rządu polskiego, choć cofną uznanie Bierutowi.

Co wtedy? Czy przed Krajem będziemy się tłumaczyć, że nie walczyliśmy, bo nie chcieli nas uznać, bo czekaliśmy na oferty i na gwarancje, które nie nadeszły...

Nasi politycy reprezentują typ legitymistów, którzy powtarzając z godnością "prawo jest za nami" oczekują spokojnie restauracji — przywrócenia porządku sprzed Jałty.

Jałta "de facto" już dawno leży w gruzach i cóż się zmieniło?

Niepodległość państwowa, uznanie przez mocarstwa, granice — to są postulaty, których nie wysiedzimy w wieży legalizmu ani nie wyprotestujemy na akademiach rocznicowych. Nie przywróci ich nam również żaden akt dyplomatyczny, oferta czy gwarancja. O realizację postulatów politycznych tej miary — trzeba walczyć.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

Sprawy niemieckie

Szanowny i drogi Panie Jerzy,

W «Ostatnich Wiadomościach» z 1 grudnia 1950, w przeglądzie prasy niemieckiej znajduję następującą wzmiankę:

«Schlesische Rundschau» przynosi obszerny wyciąg z artykułu paryskiej «Kultury» o stosunkach polsko-niemieckich, nazywając artykuł «mężnym i dobrze ugruntowanym». Na zakończenie dwutygodnik dodaje:

«To wystąpienie najpoważniejszego polskiego czasopisma emigracyjnego jest początkiem niemiecko-polskiej dyskusji. Porozumienie między demokratami polskimi i niemieckimi — wnosząc z wywodów «Kultury», która najlepiej wie czego się trzymać — zdaje się być sprawą odleglejszą, niż porozumienie między emigracją czeską i sudecko-niemiecką... Problem polsko-niemiecki jest w swej istocie funkcją granicy. Opróżnienie wschodnich Niemiec przez Polaków związane jest z opróżnieniem przez Sowiety wschodniej Polski, zrabowanej przy pomocy nazistowskiej. O tym musimy pamiętać i my ślązacy, jeżeli chcemy nawiązać tak pożądane rozmowy z niebolszewickimi Polakami...»

Nie myślę że jest Pan zadowolony z tego zaproszenia do dyskusji na temat granic Polski. Będąc jednym z pierwszych polskich podróżników do Niemiec i autorem kilku artykułów na tematy niemieckie, drukowanych w «Kulturze» uważam się za trochę współodpowiedzialnego za obrót, jaki przybrała ta dyskusja, i chciałbym z tego powodu podzielić się z Panem kilkoma refleksjami.

«Schlesische Rundschau» zdaje się być czasopismem uchodźców niemieckich ze Śląska. Uchodźcy ci, tak samo jak my, pragnęliby wrócić do kraju, w którym się urodzili, obchodzą wszystkie drogi i ścieżki mogące prowadzić do tego celu i wyciągają życzliwie rękę do każdego, kto może zrozumieć smutek i gorzkie położenie. Ten aspekt sprawy jest mi całkowicie zrozumiały i bliski.

Trochę mniej rozumiem wyrażone w «Schlesische Rundschau» życzenie rozmawiania o granicach naszych krajów. Emigranci

polscy nie czują się do takich rozmów uprawnieni, czemu niejednokrotnie dawali wyraz. Dla innych jeszcze przyczyn rozmowy takie byłyby skazane na jatowość. Wszystkie mianowicie powstałe po ostatniej wojnie granice i linie demarkacyjne, jak również przesunięcia milionowych mas ludności, zostały przeprowadzone na własną rękę przez wielkie mocarstwa bez pytania o zgodę mieszkańców i nawet z całkowitą dla życzeń tych ostatnich pogardą. Ten stan rzeczy i tryb załatwiania spraw przejęta stworzona następnie przez te same mocarstwa Organizacja Narodów Zjednoczonych. Nic nie zapowiada bliskiej zmiany tego systemu. Rozmowy o granicach będą miały sens dopiero wówczas, gdy ludność krajów zainteresowanych dojdzie do głosu.

Przypatrzmy się jednak, jakiego rodzaju tranzakcje graniczne proponuje «Schlesische Rundschau». Jak wiadomo, w pewnej fazie zimnej wojny ministrowie Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii złożyli deklarację, że nie uznają granicy niemiecko-polskiej na Odrze czyli, mówiąc zwykłym językiem, ofiarowali Niemcom rewizję tej granicy w rozmiarze bliżej nieokreślonym, zależnym zapewne od świadczeń, jakich spodziewali się ze strony Niemiec. Wobec istnienia wówczas cenzury okupacyjnej trudno osądzić jak opinia niemiecka przyjęła powyższą ofertę. Dla Niemiec Zachodnich nierównie ważniejszą oczywiście sprawą jest rewizja linii demarkacyjnej i wejście w posiadanie Wejmaru, Lipska, Drezna, na ten jednak temat Byrnes i Bevin powstrzymali się przeczornie od wszelkich wynurzeń. Wpływy amerykańskich i brytyjskich mężów stanu nad brzegami Odry są tak znikome, że oferta ich może ująć za klasyczny przykład czeku bez pokrycia.

Z cytowanej tu na wstępie notatki wynika, że «Schlesische Rundschau» pragnęłaby, aby emigranci polscy indosowali ten czek, wzamian za co proponuje im zwrot Lwowa i Wilna czyli inny czek nie posiadający żadnego pokrycia, nawet gdyby został z kolei indosowany przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię, na co się na razie nie zanosi.

Zabawa w takie mało kosztowne deklaracje nie jest nowością. Już w r. 1924 Ramsay Macdonald, przybywszy do Genewy na ogólne zgromadzenie Ligi Narodów, oświadczył, że ówczesną granicę niemiecko-polską uważa za największe polityczne głupstwo swego czasu. Rewizjonizm niemiecki, popierany wówczas przez Anglię dla szachowania Francji, był już w pełnym rozwoju i premier brytyjski w mowie swej wskazał mu cel, przeciw któremu rząd jego nie miał zastrzeżeń, mianowicie rewizję granicy z Polską. Słowa jego nie pozostały bez echa i w Niemczech zostały wzięte za dobrą monetę. Perspektywa rewizji granicy z Polską tak zaprzętnęła umysły, że przez długie lata nikt w Niemczech nie dostrzegł wynikających z tej granicy korzyści. Dziś dopiero widać, że nierównie korzystniej było dla Niemiec mieć armię sowiecką nie na Elbie, lecz za błotami pińskimi.

mi, po drugiej stronie Polski, mającej wówczas w Lidze Narodów oparcie podobne do tego, jakie Korea znajduje dziś w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Korzyści te warte były Bydgoszczy i Katowic. Dziś emigranci polscy i niemieccy wracają myślą do tamtych czasów. Nauczyli się lepiej cenić obietnice, skoro Słazacy chcieliby ozdobić naszymi skromnymi podpisami papierek noszący nazwiska Byrnesa i Bevina. Niestety powrót do przeszłości nie leży w granicach możliwości tych panów, ani tym bardziej w możliwościach emigrantów. Obietnicą zwrotu Wilna i Lwowa Rokossowskiego nikt nie przekupi. Trzeba by na to znaleźć inne słowa, ale i słowa, chociażby magiczne, same już być może nie starczą. Dajmy więc pokój tej zabawie.

Między Niemcami i Polakami jest dziś wiele innych, aktualniejszych tematów rozmowy. Przede wszystkim wypada im poznać się i odnaleźć na nowo. Nie zapominajmy, że okresem, w którym Polacy i Niemcy mieli okazję najlepszego osobistego poznania się, były długie lata niedawnej okupacji. Zetknięcie się to było tak brutalne, że wymazać go z pamięci nikt zapewne nie potrafi. Zamykanie oczu na ten fakt nadawałoby rozmowom — jakikolwiek byłby ich temat — ton banalny i pozbawiony powagi. Minione doświadczenia dziś jednak nie wystarczą. Niemcy nie są zjawiskiem prostym. W ciągu krótkiego czasu uległy zmianom większym niż jakikolwiek inny kraj. Każdy sąd o nich można w tej chwili uważać za przestarzały. Nawet osobom znającym Niemcy powojenne każda nowa podróż dostarcza niespodzianek. Znajomość Niemiec współczesnych w świecie zewnętrznym jest dziś niedostateczna, nie odpowiadająca wcale ani ich roli w obecnej Europie ani wadze zagadnień z nimi związanych.

Dla większości Polaków Niemcy Zachodnie są obecnie zamknięte. Dla emigrantów dokładne poznanie nowych Niemiec, znalezienie w nich przyszłych przyjaciół i rozpoznanie zjawisk zwróconych ku przyszłości wydaje mi się ważnym i dostępnym zadaniem. W tej chwili zadanie to jest ułatwione przez zainteresowanie dla spraw polskich, istniejące w różnych odłamach opinii niemieckiej. Być może istnieją w tej chwili dane do dokonania wspólnego wysiłku w celu oderwania się od mało dla obu stron zadowalniającej przeszłości i zapoczątkowania jakiegoś nowego, bardziej obiecującego rozdziału stosunków polsko-niemieckich. Znalezienie prowadzących do tego dróg jest zapewne najciekawszym przedmiotem rozmów dla Polaków podróżujących do Niemiec. O kilku z tych dróg mam zamiar obszerniej napisać. Wciągnięcie do takich rozmów młodzieży wydaje mi się szczególnie wdzięcznym zadaniem.

Czytaliśmy ostatnio wiele o manifestacjach przyjaźni polsko-niemieckiej w Warszawie. Pod okupacją sowiecką przyjaźń ta może nawet mieć trwalsze podstawy niż się to jej urzędowym inicjatorom wydaje. Bylibyśmy ludźmi małej wiary zakładając a priori, że to co jest możliwe pod surową ferulą sowiecką jest niedostępne dla osób rozmawiających z wolnej stopy. Więzień

stukający przez ścianę do nieznanego towarzysza niedoli robi to z zaufaniem, jakie między ludźmi wolnymi wymaga więcej czasu i namysłu. Dla tej przyczyny światu zachodniemu i rozsia-
nym po nim emigrantom tak wiele czasu pochłaniają zagadnienia konsolidacji wewnętrznej.

Byłoby moim zdaniem omyłką ograniczać kontakty i rozmowy do zagadnień i sfer politycznych. W całej Europie niepewność czasów uwidoczniła się najbardziej w życiu politycznym. Instytucje państwowe i stronnictwa są w stanie płynnym; na czele ich widzimy często kalifów na jeden dzień. Kto chce patrzeć w przyszłość dalej niż do końca miesiąca musi szukać na własną rękę czynników posiadających większą stałość. W Niemczech okoliczności wysunęły w życiu publicznym naprzód wielu ludzi dobrej woli, wiele osobistości wybitnych i interesujących, których wpływ nie zniknie z dniem ich dymisji. Niestalość życia politycznego jest jednak i tam znaczna. Widać tam natomiast trwałość wielu zjawisk kultury, utrzymujących się pośród głębokich przewrotów. Przeglądając np. tysiące książek wydanych w Niemczech w latach 1946-1950, po rozgromie całej na pozór inteligencji i izolacji od reszty świata, nie można oprzeć się wrażeniu, że życie umysłowe Niemiec posiada większą stałość niż instytucje i obyczaje polityczne. Tych trwałych, żywych sił jest więcej, i po kontakcie z nimi można się wiele spodziewać.

Serdeczne pozdrowienia i wyrazy przyjaźni łączy

Paweł HOSTOWIEC.

Cele Europy

Pisząc "Europa" czy używając zwrotu "Nasza Europa" nie myślę o geograficznym znaczeniu tego słowa, ani o 270 milionach mieszkańców jej zachodnich wybrzeży, ani o 90 milionach "satelitów" czy 100 milionach żyjących na wschód od "satelitów". Nie mam również na myśli 30 milionów wykwalifikowanych robotników Zachodu, gdyż tylko Wschód cenì w Europie jedynie jej potencjał gospodarczy i sumę fachowej siły roboczej. Europą nazywam ludzi myślących po europejsku, i czujących swą przynależność do Kultury Zachodniej, bez względu na to czy znajdują się po tej czy po tamtej stronie żelaznej kurtyny. Tylko taka Europa może myśleć o swoich celach i zadaniach, o zjednoczeniu, a nawet — użyjmy frazesu — o spełnieniu misji dziejowej. Pisząc o celach Europy przyjmuję jako pewnik, że taka, jaką ją określiłem, jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Po prostu stoi przed swoim być albo nie być.

Najważniejszym dla mnie celem jest niedopuszczenie do zagłady Kultury Zachodniej. Realizacja tego celu wymaga przygotowania i przejścia Europy do ofensywy, a zatem spełnienia następujących zadań:

- 1) Ustalenia programów dla Europy Zachodniej (w tym wypadku używam pojęcia geograficznego), dla "satelitów" i dla Związku Sowieckiego.
- 2) Rozwiązania zagadnień socjalnych.
- 3) Przewyciężenia nacjonalizmów i megalomanii narodowych.
- 4) Rozwiązania problemu wyżywienia.

Wspomniałem o misji dziejowej. Widzę ją w szerokim zespole Ameryki z Kulturą Zachodnią i w umożliwieniu Wschodowi zrozumienia i przyjęcia wolności zachodniej.

Wracam do zadań. Mówiąc o ofensywie, rozgraniczam pojęcie wojny ideologicznej-duchowej od wojny materialnej z bronią w rękę i fizycznymi zniszczeniami. Wojna ideologiczna może, choć nie musi, przeistoczyć się w wojnę materialną, ta ostatnia zaś winna być zawsze i jedynie funkcją wojny ideologicznej. Wojna jedynie materialna, bez fundamentu ideologicznego czy wynikająca z fałszywych założeń ideologicznych musi skończyć się katastrofą. Hitler opierał się wyłącznie na sile materialnej i dlatego nie mógł wygrać wojny. Zachodnim zwycięzcom drugiej wojny światowej zabrakło fundamentu ideologicznego i dlatego nie wygrali pokoju. Europa powinna wzmocnić swoje, od dawna już istniejące, fundamenty ideologiczne, rozszerzyć je i nie tylko ich bronić, ale odważnie budować na nich gmachy pokoju. Bo to, że wojna ideologiczna trwa już od dawna —

wiemy wszyscy, z wyjątkiem chyba tych, którzy nie chcą, czy boją się do tego przyznać. Ta trwająca już wojna ideologiczna, przejawiająca się często jako wojna domowa, wymaga nie obrony, która nigdy nie zapewni nam zwycięstwa, lecz skrytalizowanych celów ideologicznej ofensywy i wyraźnej wizji pokoju. Potrzeba nam idei o sile bomby atomowej. Dotychczas nikt jej nie usiłował stworzyć. Chcemy wygrać przede wszystkim pokój, a nie wojnę. Ten pokój jednak musi być odpowiednio przygotowany.

Strategia i taktyka wojny ideologicznej nie różnią się od prawideł wojny materialnej. Doświadczenia zaś, zarówno wojenne jak i gospodarcze, uczą, że każda obrona nie kończąca się zdecydowaną ofensywą, prowadzi do klęski. Dlatego właśnie za naczelne zadanie Europy uważam przejście do zdecydowanej ofensywy, ofensywy, której podstawą będzie prawdziwe chrześcijaństwo, bronią — Nauka Chrystusowa, a armią — "nasza Europa".

W Europie, teoretycznie prawie całkowicie chrześcijańskiej, przeważa chrześcijaństwo zaledwie tradycyjne, chrześcijaństwo z przyzwyczajenia. Nie jest np. rzadkością typ przemysłowca, wpłacającego poważne sumy na konta organizacji komunistycznych i traktującego te sumy jako stawkę ubezpieczeniową "na wszelki wypadek", a jednocześnie chodzącego w niedzielę do kościoła. Są to — w odróżnieniu od prawdziwych chrześcijan — bierni ateści, których do szeregów "naszej Europy" zaliczać nie możemy. Kto z diabłem paktuje musi zginąć. Wszyscy, którzy dotychczas wchodzili w kontakt ze Związkiem Sowieckim, przekonali się o tym na własnej skórze. W chrześcijańskiej, z tradycji, Europie przeważa obecnie i panuje "międzywarstwa" niezdecydowanych. Tych również nie możemy uważać za prawdziwych chrześcijan. Nasuwa się pytanie, czy wobec tego wystarczą tych prawdziwych chrześcijan do celów ofensywnych? Sądzę, że choć w liczebnej mniejszości, są oni dostatecznie liczni, aby przy należytej aktywności sprostać zadaniu. Trzeba jednak pamiętać, że nie pojedyncze wyznania, lecz chrześcijaństwo jako całość walczy o swoje być albo nie być. Musimy przewyciężyć zarówno wszelkie granice wyznaniowe jak i granice państw narodowych i wszystkich zespolic w walce. Jakżeż nikłe są różnice wyznań wobec nihilizmu wschodniego. Z tych naszych różnic cieszyć się i korzystać jedynie przeciwnik. Czy chcemy nadal sprawiać mu tę przyjemność?

Wspólnie ponosimy winę za powstanie bolszewizmu i dlatego też wspólnie musimy pracować, żeby zwyciężyć groźącego nam wroga. Stosunek państwa do kościoła musi ulec zmianie. Państwo i kościół muszą działać wspólnie. Kościół jest dzisiaj z państwa wyodrębniony, a powinien być jego sumieniem. Państwo jest tylko formą naszego życia. Wszyscy musimy mieć od wagę decyzji. W nadchodzących latach, a może miesiącach ludzie pomiędzy 30-tym a 50-tym rokiem życia będą decydowali

o naszym losie. Bez dynamicznych zespołów duchowych nie opanujemy rozszerzającego się rozkładu politycznego, nie zapobiegniemy sabotażom, etc. Takie zespoły będą niezbędne nie tylko dla pracy w warunkach normalnych, ale również przy organizowaniu pod ziemią, jeśli tego zajdzie potrzeba. Powinniśmy być dumni z odpowiedzialności, jaka na nas ciąży.

Przechodzę do sprecyzowania zadań dla głównych członów naszej Europy. Zadania te muszą być oparte o dokładną znajomość Europy Wschodniej. Wschód i Zachód widzą się nawzajem fałszywie, gdyż patrząc na siebie używają odmiennych okularów. Amerykanin zaś przeważnie myśli jak businessman, wierzący, że każdego przeciwnika można kupić. Otóż Sowieców kupić nie można. My, Niemcy, tak samo przez kilkadziesiąt lat fałszywie pojmowaliśmy historię Rosji, patrząc jedynie na zachodnią warstwę kierowniczą, nie zaś na rozwój narodu rosyjskiego. Przed rozpoczęciem wojny niemiecko-sowieckiej opracowano w III-ciej Rzeszy szeroki program stosunku do ludności Rosji. Planowano rozwiązanie kołchozów, uwłaszczenie, otwarcie kościołów, osobiste wolności. Był to program indywidualnego wyswobodzenia obywateli Związku Sowieckiego. Hitler jednak plan ten odrzucił i być może jest to jeden z powodów, dla których dzisiaj świat znajduje się w tak straszliwej sytuacji.

Mówiąc o planach ofensywy ideologicznej Europy, musimy zdawać sobie sprawę jak — mimo wspólnego fundamentu — różne winny być programy dla zachodniej, satelickiej i wschodniej jej części. Europa nie jest jednolita. Europa — w okresie kryzysu Kultury Zachodniej — stworzyła technikę i komunikację, ale jednocześnie w dziedzinie idei zrodziła te wszystkie antyeuropejskie prądy, które skierowały się przeciwko niej właśnie dzisiaj, gdy trwa jeszcze nasz rozkład wewnętrzny.

Wspólną cechą planów dla wszystkich trzech członów naszej Europy winna być świadomość, że jednak istnieje niewidzialny front wewnętrzny, który nas łączy. Nadmiernym uproszczeniem byłoby jednak stwierdzenie, że jest to tylko front teizmu przeciw ateizmowi. Musimy tu przeciwstawić destrukcji — konstrukcję, rezygnacji — wiarę i odwagę czynu, pomiataniu jednostki — miłość bliźniego, niszczeniu sumienia — jego pełną wolność. Europa musi reprezentować wiarę i czyn jednocześnie. Teoria i czyn muszą się pokrywać. Na tym należy oprzeć wojnę prowadzoną przez teizm. Tylko duch może przewyciężyć ateizm i nihilizm. Nie powinniśmy popełniać błędów, które popełnia Wschód. Przeciwnik nie jest nieprzewyciężony. Bolszewizm jest religią "z tego świata", jest z tego dumny, ale dlatego właśnie może być zwyciężony. Należy jedynie udowodnić, że teza bolszewizmu jest błędna. To także jest naszym zadaniem.

Przy układaniu powyższych planów należy bardzo drobiazgowo badać wszelkie przejawy duchowe i fizyczne tych części na-

szej Europy, które od przeszło trzydziestu lat, względnie od roku 1939 czy 1944-5 kroczą odrębną drogą. Powinniśmy przede wszystkim więcej dbać na Zachodzie o studium Wschodu, Rosji i języka rosyjskiego. Układaniem samych planów winny zająć się Kościoły i nauka, uzupełniając się i współpracując ze sobą, z wyłączeniem jednak intelektualistów bez kręgosłupa, którzy ani w planowaniu ani w walce nie mogą nam pomóc.

Europa Zachodnia powinna już dzisiaj ściśle współpracować ze Słowianami. Przy pomocy odpowiednich instytutów i wydawnictw można by było już dziś dokonać decydujących osiągnięć w tym kierunku, można by też kontynuować tradycje niegdys wolnych narodów Środkowej Europy, można by, gdyby tego Europa Zachodnia chciała.

Włączenie z powrotem w nurt rozwoju pozostałej ludzkości obszaru, który przez 30 lat kroczył odrębną drogą — to bardzo trudne zadanie. Nie jest ono nawet łatwe w stosunku do sowieckiej zony Niemiec, gdzie tę odrębną drogę stosuje się zaledwie od pięciu lat. Przeciwnik bowiem posiada zamknięty w sobie logiczny system, który istnieje mimo to, że go uważamy za fałszywy. Sowiecka encyklopedia na każde pytanie daje odpowiedź opartą na dialektycznym materializmie, którego znajomością Zachód nie może się pochwalić. Wschód wyprzedził nas w formowaniu społeczeństwa. Odrzuciwszy ewolucję — zmontował organizację wprawdzie wymuszoną gwałtem, nieludzką, niezrozumiałą i nieznosną dla człowieka Zachodu, ale działającą dość sprawnie, by zagrażać naszemu zatomizowanemu indywidualizmowi. Planując ofensywę ideologiczną i chcąc budować społeczność dobrowolnie związaną i zdolną przeciwstawić się zorganizowanemu barbarzyństwu, musimy naszą pracę rozpocząć od rzetelnego wyznawania prawd boskich. Kultura Zachodnia wydała tysiące najróżnorodniejszych ustaw, ale nie chce dotrzymać dziesięciorga przykazań, z których wyrosła. Zły chrześcijanin szkodzi więcej niż aktywny komunista.

W ciągu ostatniego stulecia technika rozwinęła się bardziej niż w ciągu ubiegłych tysiącleci. Bolszewizm dostosował formy życia społecznego do techniki. My chcemy technikę dostosować do naszych form społecznych, ale żeby tego dokonać musimy najpierw mieć takie formy społeczne, które umożliwiają rozwój osobowości. Ta dziedzina jest niestety u nas jeszcze zacofana. Np. spółdzielczość, która w wielu wypadkach może stać się w Europie punktem wyjścia do rozwiązania problemu socjalnego, nie została dotąd dostatecznie rozwinięta.

Żadne warstwy kierownicze nie umiały dotychczas zapobiec rewolucjom, a więc tym samym ponoszą za nie odpowiedzialność. Dla świata kapitalistycznego nadszedł ostatni moment, dobrowolnego zrobienia już teraz tego wszystkiego, co w zmienionych warunkach będzie wymuszone. Dotyczy to zarówno Niemiec jak i całej Europy Zachodniej. W Niemieckiej Republice Związkowej duża część warstwy posiadającej nie sprostała swemu zadaniu przy dobrowolnym rozwiązywaniu kwestii wy-

równywania ciężarów powojennych. Myślę o procesie wchłaniania mas wysiedleńczych przez gospodarkę powojenną. Jeszcze jest czas.

Ale i cała Europa potrzebuje takiego dobrowolnego wyrównania ciężarów powojennych. Musimy niwelować powstałe różnice, a wszystkie organizmy, uruchomione skutkami wojny, włączyć do normalnego życia. Należy przede wszystkim włączyć do żywego organizmu odradzającej się Europy czwarty i piąty stan, proporcjonalnie do ich znaczenia. Czwartym i piątym stanem nazywam robotników przemysłowych i wysiedleńców-emigrantów powojennych. Musimy przewyciężyć marksizm zarówno pod względem ideowym jak i materialnym, a w życiu gospodarczym znieść granice. Każde skostnienie prowadzi do rewolucji i chaosu. Przykładem tego są Chiny.

Uzupełnieniem planu rozwiązania problemów socjalnych w Europie musi być przewyciężenie nacjonalizmów. Tylko poprzez zjednoczenie Europa może osiągnąć odpowiedni stopień niezależności gospodarczej i zapewnić swoim obywatelom wolność. Egoizmy i megalomanie konserwują państwa narodowe. Tutaj także zmore granic łączy się z drobnopanstwowością, która w epoce samolotów odrzutowych i opanowywania energii atomowej jest pozałowania godnym anachronizmem. Trudny to problem w Europie, bo ludzi nie możemy ani stopić w jednym tyglu, ani milionami przesiedlić i przemieszać jak to się robi w Związku Sowieckim. Chcemy zachować zróżniczkowaną indywidualność zarówno jako jednostki, jak i jako narody. Musimy jednak dążyć do stworzenia, ugruntowania i zgrania takiej orkiestry, w której każdy instrument ma swoje własne miejsce i pełny ton. Jeżeli chcemy przewyciężyć nacjonalizmy i zbudować zjednoczoną Europę, musimy przekreślić przeszłość, musimy zdobyć się na zdolność zapominania tam, gdzie to jest potrzebne.

Emigranci i wysiedleńcy powinni wrócić na swe rodzinne obszary drogą okrężną, poprzez Zjednoczoną Europę. Odnosi się to do wszystkich, bez względu na ich narodowość czy przedwojenną przynależność państwową. Moim zdaniem, wszelkie granice poustalane i pozmieniane za żelazną kurtyną da się rozwiązać zgodnie i pomyślnie tylko w ramach Zjednoczonej Europy. Wszelkie inne próby rozwiązania tego węzła gordyjskiego muszą doprowadzić do rozlewu krwi. Chyba, że Zachód skapituluje. Wówczas będzie to zagadnienie bezprzedmiotowe, ostatecznie wszystkim nam jest dość obojętne na jakie Obkomy czy Rajkomy zostanie Europa podzielona.

Zresztą rozwiązywanie lokalnych sporów granicznych w ramach Zjednoczonej Europy jest zarówno jedną z przyczyn, jak i konsekwencją szybkich i pozytywnych postępów koncepcji Rządu Światowego. Patrząc z takiej perspektywy, spór graniczny polsko-niemiecki wydaje mi się zagadnieniem doniosłym i trudnym, ale tylko regionalnym. Myślę, że problem polskiej wschodniej granicy, choć w Niemczech mało znany, a w Euro-

pie chyba jeszcze mniej rozumiany, ma dla Zachodu donioślejsze znaczenie.

W naszych planach jest jeszcze jeden problem, specjalnie interesujący Europę, a jednocześnie odnoszący się do całego globu — jest to problem zabezpieczenia żywności. W ostatnim stuleciu ludzkość zniszczyła więcej gleby niż jej uprawiała w ubiegłym tysiącleciu. Sama Ameryka straciła jedną piątą część ziemi urodzajnej, a dwie piąte poważnie uszkodziła. Bilans ogólny przedstawia się obecnie następująco: ludzkości ubyla produkcja, mogąca wyżywić 30 milionów ludzi; naturalny przyrost roczny wynosi 20 milionów. Stan ten musi doprowadzić do katastrofy, jeżeli planowy wysiłek całego globu nie zwalczy tego niedoboru. W planach wygrania przyszłego pokoju musi mieścić się rozwiązanie tego problemu, które już teraz musimy przygotowywać. Zadania tego nie może jednak dokonać struktura oparta na drobnopanstwowości.

ROLA NIEMIEC

Powiniem jeszcze określić jak widzę rolę Niemiec na tle poruszanych zagadnień. Temat ten znowu podzielię na cele i zadania.

Cel. Po doznanych katastrofach — z rozmysłem używam tu liczby mnogiej — po oszołomieniu, wywołanym skutkami czterech tak odrębnych okupacji, wreszcie po dość gwałtownie zmieniających się, na korzyść Niemiec, warunkach zewnętrznych, sądzę, że celem naszym winno być oprzytomnienie, powrót do równowagi duchowej, zachowanie tej równowagi i wejście do normalnego współżycia międzynarodowego.

Zadania. Stworzenie konstruktywnej myśli politycznej, odpowiadającej i scharmonizowanej z duchem zbliżającej się nowej epoki; zjednoczenie Niemiec i odbudowa intelektualna i gospodarcza.

Pragnę tu jeszcze raz podkreślić, że osiągnięcie tych celów i wypełnienie zadań widzę tylko poprzez uporczywe konstruowanie Zjednoczonej Europy, przy czym Europa ta swoim geograficznym zasięgiem powinna pokrywać się z "naszą Europą", którą określiłem poprzednio.

Czy takie zjednoczenie jest możliwe? Teoretycznie i możliwe i łatwe, praktycznie — wykonalne, lecz bardzo trudne. Istniejące projekty wydają mi się jeszcze nazbyt przesiąknięte różnymi nacjonalnymi tradycjami polityki, a nawet nie obce megalomaniom narodowym. Za najważniejszy krok w kierunku zjednoczenia uważam Plan Schumana. Precyzuję to przekonanie: choć to wyglądać może paradoksalnie, realizacja Planu Schumana zbliża a nie przeciwdziała porozumieniu Niemiec z Polską i Czechami, zaś te porozumienia stanowią kamienie węgielne problemów Europy Środkowej; są więc tym samym naj-

ważniejszymi i decydującymi czynnikami Zjednoczenia Europy.

Tyle o zadaniach ogólnych — długofalowych. Jeżeli natomiast idzie o sprawy aktualne, to spośród licznych, o wielkim znaczeniu zagadnień, na czoło wysuwa się tzw. remilitaryzacja. Mam wrażenie że jedynie słowo "demokracja" ma więcej różnych interpretacji niż obecnie w Niemczech i w polityce światowej pojęcie "remilitaryzacja Niemiec". Trudno mi te wszystkie znaczenia wyliczyć. Są w Niemczech tacy, którzy z pojęciem tym łączą wielkie nadzieje, do reakcyjnych włącznie. Na szczęście są oni nieliczni i mało poważni. Są i tacy, którzy zagadnienie to traktują z wielką troską i obawami. Nie brak też i takich, którzy widząc osobiste korzyści, chętnie by ten projekt popierali. A poza Niemcami? Na Zachodzie tak samo słyszy się zdania najbardziej się od siebie różniące: od wielkich zastrzeżeń do nazbyt optymistycznych ocen mobilizacyjnych możliwości Niemiec. Jedynie Wschód nie ma żadnych wątpliwości co do tego zagadnienia.

Zdawałoby się, że mówiąc o remilitaryzacji, Zachód ma na celu albo obronę, albo ofensywę, bo do jakich-że innych celów może służyć militaryzacja. Czy jednak Zachód dostatecznie rozumiał już to, że sama tylko obrona prowadzi do klęski, a sama tylko militarna ofensywa do niczego nie prowadzi? Nie wiem.

Wracam jeszcze raz do zagadnienia "ofensywy ideologicznej", gdyż chcę stwierdzić, że ten kto nie posiada koncepcji ideologicznej a więc tym samym nie jest przygotowany należycie do wojny ideologicznej, nie ma prawa chwycić za broń. To dotyczy przede wszystkim Niemiec. Chodzi tu bowiem o podwójną wojnę bratobójczą. Zachodnia Republika Związkowa wie jaką rolę odegra w takiej wojnie "Volkspolizei". Europa może się odrodzić tylko we wspólnie prowadzonej wojnie ideologicznej, lub — jeśli się nie da tego uniknąć — we wspólnej wojnie materialnej. W obu jednak wypadkach tylko przy uwzględnieniu równych praw i wzajemnego poszanowania wszystkich współpartnerów.

Zarówno Niemcy jak i Europa Środkowo-Wschodnia przeżywają obecnie wspólną dolę. Europa Zachodnia nie może żyć i rozwijać się bez Wschodniej i dlatego powinna zrobić wszystko dla ponownego jej przyłączenia. Widzę tu i dla Niemiec wielkie zadanie. Musimy uczynić wszystko aby zasypać przepaść istniejącą między Niemcami a Europą Środkowo-Wschodnią. Zrealizować to zadanie można pod warunkiem, że mocarstwa, gruntujące strukturę Europy w Teheranie, Jałcie i Poczdamie, zrozumieją do jakiej ruiny doprowadziły nie tylko Niemcy, ale także swoich oficjalnych i potencjalnych sojuszników środkowo-europejskich, że w sprawie tego stanu rzeczy wezmą czynny i energiczny udział. Niemcy nie mogą zrozumieć dlaczego Zachód nie umiał stanąć w Poczdamie na wysokości zadania. Obecnie chyba dla wszystkich jest jasne, że umowa poczdamska była dla Wschodu na dłuższą metę zakrojonym planem wywołania

europejskiej wojny domowej. Plan ten miał tak długo pogłębiać nienawiść pomiędzy Niemcami i Europą Środkowo-Wschodnią, tak długo wywoływać pragnienie zemsty, dopóki Związek Sowiecki nie spreparuje należycie całej, zagarniętej części Europy.

Tutaj dochodzę do drugiej pod względem aktualności w Niemczech sprawy, do uchodźców i wysiedleńców. Sprawa ta, aczkolwiek ciągnie się już pięć lat, przez długi czas pozostanie jeszcze dla nas ważna i żywotna. W umowach poczdamskich Wschód wyznaczył dwunastu milionom uchodźców specjalne zadanie: masa ta miała doprowadzić Niemcy Zachodnie do eksplozji, a tym samym Europę, jako dojrzały już owoc, oddać Wschodowi. Ta wschodnia metoda poprzedzania agresji własnie ofensywą ideologiczną, daje zawsze na Zachodzie doskonałe wyniki.. Niemcy są podminowane, w nie mniejszej mierze Francja i Włochy, tym nie mniej ośmielam się twierdzić, że wszystkie poczdamskie osiągnięcia dały bolszewikom oczekiwany rezultat, z wyjątkiem właśnie ich zamierzeń w stosunku do wysiedleńców. Jeżeli Niemcy nie są jeszcze dojrzałe do bolszewizmu — zawdzięczamy to w ogromnym stopniu uchodźcom i wysiedleńcom. Na poparcie mego twierdzenia mogę przytoczyć "Kartę Niemieckich Wysiedleńców" (Charta der deutschen Heimatvertriebenen), przyjętą w Stuttgarcie, podczas zjazdu, w dniu 6 sierpnia 1950 r. Jeżeli porównamy treść tej "Karty" z poczdamskimi zamierzeniami bolszewizmu, jeżeli trzeźwo ocenimy wpływy sił, dążących do jątrzenia Europy Środkowej — nie tylko tych ze Wschodu ale i miejscowych, i tych z Zachodu, to musimy uznać uchwały stuttgartarckie za dowód politycznej dojrzałości płałego stanu. Pomimo straszliwych przejść jakie były ich udziałem — wysiedleńcy w ogromnej większości, są wyznawcami Wspólnoty Europejskiej. Podobne znaczenie ma umowa, zawarta w dniu 4 sierpnia 1950 pomiędzy Niemcami Sudeckimi a czeskim generałem Prchalą.

W porównaniu z liczbą niemieckich uchodźców i wysiedleńców cyfra tzw. Dipisów stanowi w Niemczech zaledwie kilkadziesiąt procent. Tym nie mniej rola ich jest ważna, zwłaszcza, że są oni we wszystkich krajach Europy Zachodniej. Myślę, że zarówno w Niemczech jak i na całym Zachodzie Dipisi winni stanowić odpowiednio wykorzystywane forpoczty bojowników wolności swoich krajów. Należyte ustosunkowanie się do tego czynnika zaliczam także do ważnych zadań Niemiec i Zachodu.

Chciałbym jeszcze poruszyć sprawę oceny sił przeciwnika i własnych. Zacznę od tego jak — w moim przekonaniu — ocenia nas przeciwnik. Zmęczeni, zrezygnowani, chciwi, tchórzliwi, egoistyczni, kłótlivi i nieposiadający żadnego celu. Czy w pewnym sensie nie jesteśmy właśnie tacy, jakimi chcieliby nas widzieć bolszewicy? Czy dalecy jesteśmy od "spreparowania", jakie za cel postawił sobie Wschód, rozpoczynając przed 30-tu laty ofensywę ideologiczną? Czyż walcząc wszyscy przeciwko wszystkim nie sprawiamy Kremlowi prawdziwej satysfakcji? Czyż więk-

zość sił w Europie nie neutralizuje się we wzajemnym zwalczaniu?

Mam wrażenie, że Wschód doskonale ocenia te wszystkie nasze słabe strony i że traktuje nas jako niedalekich od odpowiedniego spreparowania i gotowych do pochłonięcia. Oczywiście do samego procesu pochłaniania Wschód użyje już ofensywy materialnej. Dowodem tego, że przeciwnik tak nas właśnie ocenia jest rozpętanie wojny koreańskiej. Nie wyobrażam sobie, aby Kreml zdecydował się na tak napastnicze posunięcie, gdyby nie był przeświadczony o należytych przygotowaniach terenu. Na Korei Wschód rozpoczął ofensywę generalną, uzupełniając agresję ideologiczną atakiem wojny materialnej.

Sądzę, że przeciwnik nie mylił się oceniając nas jako niezdolnych do prowadzenia wojny ideologicznej. Ten stan rzeczy może ulec zmianie i wierzę, że się zmieni, ale to jeszcze należy do przyszłości. Na razie przeciwnik wie doskonale, że w wojnie generalnej wszystkie jej czynniki muszą być skoordynowane i maksymalnie przygotowane, gdyż czynnik najslabiej przygotowany decyduje właśnie o rozmiarach zwycięstwa. Inaczej mówiąc nie można osiągnąć większego sukcesu niż na to pozwala najslabiej przygotowany czynnik. Wojna ideologiczna jest właściwie decydującym czynnikiem wojny generalnej. Dlatego właśnie taki nacisk kładę na należyte przygotowanie tego czynnika, a widząc możliwości — choć na razie tylko potencjalne — jakimi dysponuje Zachód, nalegam na przejście do ofensywy przede wszystkim na tym froncie.

W planach ofensywy ideologicznej dużym ułatwieniem może być analiza ataku prowadzonego już od tak dawna na tym froncie przez Wschód. Analizując łatwo dostrzeżemy, że najzacieklejszy atak skierowany jest celnie przeciwko Kościołowi, któremu się zarzuca:

— że nie jest zdolny do rozwiązania problemów społeczno-socjalnych,

— że nie jest zdolny, by zapobiec wojnom;

poza tym przeciwstawia się wierze — rozum.

Twierdzenie o niezdolności rozwiązywania problemów socjalnych było oparte na oczywistych faktach, zwłaszcza w Rosji. Trudno zaprzeczyć, że Kościół w carskiej Rosji wspierał warstwę rządzącą i że nie był religią utrapionych i uciemżonych, do których zwraca się Chrystus. Dysproporcja ta była jeszcze bardziej jaskrawa niż w Europie.

Nie jest również bezpodstawny zarzut niezdolności do zapobiegania wojnom. W pierwszej wojnie światowej kościoły wszystkich wyznań błogosławiły broń w walce chrześcijan przeciwko chrześcijanom. Tak samo działo się i w czasie drugiej wojny światowej. To są sprawy trudne do wybaczenia, zwłaszcza że w międzyczasie bolszewizm wyrósł już do rozmiarów śmiertelnego, światowego niebezpieczeństwa.

Zarzuty te powinniśmy traktować nader poważnie, gdyż stojąc

w obliczu trzeciej wojny światowej, w dalszym ciągu nie jesteśmy w stanie rozwiązać zagadnień społeczno-socjalnych, ani nie widzimy racjonalnego sposobu zapobiegania wojnom.

Należy jednak wspomnieć także o newralgicznych punktach bolszewizmu. Są one i to dosyć liczne: raj na ziemię nie zstąpił. W niektórych miejscach ukazują się rysy. Tito i titoizm — pomimo bardzo trudnej sytuacji samego Tito — sprawiają Kremlowi wiele poważnych kłopotów. Standard życiowy w krajach satelickich i w sowieckiej strefie Niemiec miał bardzo zły wpływ na czerwoną armię. Mówi się o zbieżności teorii i czynu, a masy widzą jak wielka jest między nimi rozbieżność. Lenin przepowiedział rychłe zamieranie państwa, a tymczasem po 33 latach, państwo wyrosło do roli bóstwa. Lenin prorokował bezklasowe społeczeństwo, a tymczasem 14% warstwy rządzącej zużywa przeszło 30% dochodu społecznego, czyli mniej więcej tyle samo, ile w kapitalistycznych Stanach Zjednoczonych. Gdzież więc ta bezklasowość i ten komunizm?

Ośrodek dyspozycyjny bolszewizmu, — prowadzący od sześciu lat zacieklą propagandę, wmawiającą sowieckim masom, że tylko ich ustrój i ich czerwona armia wygrały wojnę — rozumie jednak, że zarówno wojenne jak i powojenne polityczne sukcesy Sowietów wypływają nie z ich własnej siły, lecz ze słabości i braku odwagi Europy, żeby nie powiedzieć z tchórzostwa Zachodu. Europie brak dynamiki. Musimy penetrować do nieprzyjaciela, musimy atakować jego piąte kolumny, które starają się storpedować Plan Marshalla, sabotują wszelką odbudowę, są piaskiem w maszynie, ofensywnym piaskiem, który tylko poprzez ofensywę może być usunięty. Wynałazek bomby atomowej był nieszczęściem, gdyż dał Zachodowi złudzenie bezpieczeństwa i oddalił go od myśli o poważnej wojnie ideologicznej. I znowu Chiny są tego dowodem. Z czysto imperialistycznych względów Wschód domaga się neutralizacji Europy i ograniczenia służby wojskowej. Domaga się zakazu bomby atomowej, ale nie czołgów. Propagandzie pokojowej Wschodu towarzyszy tworzenie legendy o niezwyciężonej armii czerwonej. Jest to stary trick mongolski, który strachem paraliżował przeciwnika. W historii zdarzają się chwile jednorazowe i niepowtarzalne. Czy Europa jest zdolna do wykonania epokowego zadania, które w chwili obecnej przed nią stoi? Przed pięciuset laty odpowiedź twierdząca była zrozumiała sama przez się, dzisiaj tak łatwo odpowiedzieć nie możemy. Ciężar odpowiedzialności spoczywa na nas wszystkich. Kto dziś propaguje rezygnację walczą z pokojem. Jeżeli komunizm oznacza wojnę, której ostatecznym rezultatem może być zniszczenie istniejących form społecznych, jeżeli komunizm prowadzi totalną wojnę o władzę nad światem, to chrześcijaństwo winno czynić to samo — walczyć.

Tłumacze polskiej literatury: Alfred Loepfe

Zabierając głos w ankiecie "Kultury", p. Józef Łobodowski zwrócił uwagę na sprawę tłumaczeń z literatury polskiej. Pisze on m. in.: "Mamy wielką literaturę, o której nikt na szerokim świecie nic nie wie. Na Paulów Cazinów nie ma co czekać, bo się ich nie doczekamy. Stworzenie kilku ośrodków tłumaczeniowych pod kierownictwem odpowiednich ludzi mogłoby odrobić zaniedbania poprzednich lat". Zasadnicze uwagi p. Łobodowskiego o konieczności popierania tłumaczeń z literatury polskiej na jeden z języków "międzynarodowych" są więcej niż słuszne. Istotnie w okresie "konjunktury" zarówno w znaczeniu dysponowania znacznymi funduszami, jak i w znaczeniu "mody na polskość", zwłaszcza w świecie anglosaskim w latach 1940-1943, bardzo zaniedbano to zagadnienie. Wydaje mi się jednak, że nie należy oczekiwać tak dużych wpływów do Skarbu Narodowego aby, w powodzi potrzeb, projekt stworzenia specjalnych ośrodków tłumaczeniowych dał się zrealizować. Czyli w praktyce skazani jesteśmy na szukanie "Paulów Cazinów". Jest ich niestety bardzo niewiele. Naszym obowiązkiem jest pomóc im w miarę możliwości, a także zachęcić ich i podtrzymać w tej jakże często żmudnej, pionierskiej pracy ambasadorowania polskiej literaturze na szerokim świecie. Taką zachętą jest także znajomość i uznanie ich nierzadko niewdzięcznego i najeżonego trudnościami wysiłku. Tą myślą powodowany, prosiłem Redaktora "Kultury" o użyczenie miejsca dla przedstawienia społeczeństwu polskiemu jednego z najmłodszych i nieznanych tłumaczy literatury polskiej, który może się jednak poszczycić dużymi osiągnięciami w stosunkowo krótkim okresie czasu.

Alfred Loepfe urodził się 27 sierpnia 1913 r. w St.-Gallen, w Szwajcarii. Gimnazjum ukończył w Feldkirch, studia uniwersyteckie odbył we Fryburgu szwajcarskim i Monachium w dziedzinie filologii klasycznej, germanistyki i sławistyki. W r. 1938 doktoryzował się na podstawie tezy "Wortstellung im griechischen Sprache". Zdawało się, że ten początek w niczym nie przystyguje dra Loepfe do tego, aby stać się tłumaczem literatury polskiej na język niemiecki. Jak to najczęściej bywa, przy-

padek, a raczej cały splot przypadków skierował młodego filologa szwajcarskiego na tę drogę.

A więc jeszcze w gimnazjum urzekła go literatura rosyjska, a zwłaszcza Dostojewski. Postanowił uczyć się rosyjskiego aby zapoznać się z tą literaturą w oryginale. W tym czasie profesorem literatur słowiańskich na uniwersytecie fryburskim był Polak — Edward Cros. Pod jego wpływem dr Loepfe rozszerza swoje zainteresowania na całą słowiańszczyznę a zwłaszcza na Polskę, staje się, jak sam pisze, "słowianofilem w tym znaczeniu, iż uważa dorobek narodów słowiańskich za trzeci składnik w kulturze europejskiej, zaniedbany i niedoceniony, najsłabszy dotychczas, ale nie mniej istotny". Na rok akademicki 1938/39 otrzymuje za pośrednictwem prof. Cros stypendium wymienne na studia polonistyczne w Warszawie. Ten rok spędzony w Warszawie jest decydujący jeśli chodzi o zainteresowania polskie. Na pogłębienie tych zainteresowań wpływa następny przypadek — internowanie w Szwajcarii, w lecie 1940 r., 2-giej Dywizji Polskiej. We Fryburgu powstaje oboz uniwersytecki dla internowanych żołnierzy polskich, a na jego czele jako rektor, wyznaczony przez senat uniwersytetu, staje prof Cros. Dr Loepfe zostaje sekretarzem rektora obozu. Z tego tytułu ma codzienny kontakt z Polakami, doskonali swą znajomość polskiego. Wtedy zapoznaje się gruntownie z literaturą polską i dochodzi do wniosku, że jest ona w świecie znacznie mniej znana niż literatura rosyjska.

Dr Loepfe nie jest, jak sam mówi, "zawodowym tłumaczem", ani literatem. Z wykształcenia filolog, po opuszczeniu obozu fryburskiego, pracował i pracuje zawodowo jako nauczyciel łaciny i niemieckiego w szkołach średnich, obecnie w gimnazjum kantonalnym w Lucernie. Do tłumaczeń zabrał się jako amator, poświęcając na nie godziny wolne od pracy zawodowej, przeznaczane na wypoczynek i rozrywki. Debiutował tłumaczeniem bajek rosyjskich, ogłoszonym w r. 1941 pt. "Russische Märchen". O rozpoczęciu pracy tłumacza literatury polskiej zdecydował, w latach zbliżenia się do Polaków w obozie fryburskim, przypadek. Opisuje go na moje zapytanie: "Chciałem dać ojcu do przeczytania "Faraona" i naiwnie szukałem w księgarniach i bibliotekach tłumaczenia niemieckiego, sądząc, że takie dzieło musi istnieć we wszystkich językach. Nie znalazłem i postanowiłem sam go przełożyć. Pracowałem półtora roku. Największą trudnością jednak okazało się znalezienie nakładcy. Wówczas przekonałem się, że literatura polska nie posiada na zachodzie żadnego gruntu, nie może nawiązać do żadnego wyobrażenia o niej, jej nazwiska są dla najbardziej wykształconych ludzi pustym dźwiękiem poza jednym Sienkiewiczem z jego "Quo vadis?" przede wszystkim, który jednak uważany jest dziś trochę w literaturze niemiecko-języcznej za autora dla młodzieży". Okoliczność ta spowodowała duże trudności z wydaniem książki. I tu jest miejsce na podkreślenie roli, jaką mogą speł-

nić Polacy aby pomóc tłumaczowi, podejmującemu taką pionierską pracę. "Faraon" Prusa mógł się okazać dzięki temu, że liczni żołnierze polscy, internowani w Szwajcarii, subskrybowali książkę jako podarunek dla swych przyjaciół i znajomych szwajcarskich. Tak więc raz nareszcie przydało się i "pro publico bono" nasze odwieczne kobieciarstwo, które poza tym napsuło wiele krwi w Szwajcarii. Jaki taki bowiem śpieszył zamówić dla swej "Schätzli" gruby tom Prusa, aby jakoś zrewanżować się za papierosy, skarpetki itp. Albo też — co wychodziło taniej — namawiał swą bogdanę, aby sama subskrybowała książkę. W ten sposób przełamane zostały pierwsze trudności. Książka wyszła w r. 1944 i spotkała się z krytyką bardzo życzliwą, choć jak dr Loepfe wspomina, "niezbyt głęboką".

W rok później wyszły pod zbiorowym tytułem "Ritter der Freiheit" nowe Prusa i Szymańskiego, tłumaczone wspólnie przez dr Loepfe i Ewalda Mazurka. W tym okresie Loepfe porzuca Prusa i skierowuje swe zainteresowania na twórczość Zofii Kossak-Szczuckiej. W r. 1947 wychodzi pt. "Frommer Frevel" tłumaczenie "Beatum scelus", którą to książkę tłumacz uważa za jedną z najlepszych nowel (w ścisłym tego słowa znaczeniu) nowszej literatury polskiej. Następnym rok przynosi wydanie tłumaczonej z rękopisu pracy p. Kossak pt. "Das Antlitz der Mutter", będącej czymś w rodzaju "ducha dziejów Polski", napisanej na zamówienie wydawcy w serii redagowanej przez ks. Neuwirtha "Orient und Okcident". Wreszcie w roku ubiegłym (1949) ukazuje się w tłumaczeniu Loepfego "Bez oręża" pt. "Der Held ohne Waffe". Obecnie Loepfe wykańcza tłumaczenie "Dysku olimpijskiego" Parandowskiego.

W wyborze dzieł do tłumaczenia uderza u Loepfego tematyka historyczna. Zaciekawiony tym, prosiłem o wypowiedzenie się tłumacza na temat czym się kierował, zwracając uwagę na poszczególne książki. "Może pewna predylekcja osobista" — pisze on — "z drugiej jednak strony trzeba — moim zdaniem — najpierw stworzyć pojęcie "literatura polska" w opinii czytelników, ograniczając się do tematów ogólnoeuropejskich (więc historycznych), zanim czytelnik może zainteresować się tematem ściśle polskim. Może jednak moja teza jest subiektywna?".

Zdobycie zaś czytelnika dla polskiej książki nie jest rzeczą tak łatwą i prostą, jakby się na pozór zdawało. Nie wystarczy dać dobrą książkę w dobrym tłumaczeniu. Odgrywają tu bowiem rolę dość poważną różne zadawnione przyzwyczajenia, uprzedzenia itp. Tak na przykład mimo bardzo dobrej krytyki, jaką cieszyło się tłumaczenie "Beatum scelus", książka ta idzie na rynku księgarskim źle. Podobnie ma się rzecz z amerykańskim "best-sellerem" — "Bez oręża". Toteż praca dra Loepfe napotyka na duże trudności i dla niektórych książek nie można znaleźć wydawcy. Ilustracją tych kłopotów jest ustęp z listu tłumacza: "W szufladzie wydawcy lucerneńskiego leży już 4 lata przekład doskonałego dzieła prof. Bogumiła Jasinowskiego o

chrześcijaństwie wschodnim i jego wpływie na kulturę rosyjską, a w mojej szufladzie leży też przekład "Anhellego" dla którego nie znajduję wydawcy".

Gorzej, że pewne trudności wydawnicze spowodowane są wyłącznie stanowiskiem dość dziwnym właścicieli praw autorskich. I tak amerykański "Rój", który jest właścicielem praw do książki Kossak-Szczuckiej, nie chce zgodzić się na objęcie prawami tłumaczenia całego obszaru języka niemieckiego (tj. Niemiec, Austrii i Szwajcarii), ale upiera się przy ograniczeniu go do samej Szwajcarii. Rynek szwajcarski jest tak mały, że wydanie niemieckie dla samej tylko Szwajcarii nie opłaca się zwłaszcza gdy chodzi o droższą książkę. Ponadto "Rój" stawia bardzo wygórowane żądania. W rezultacie Loepfe musiał zaniechać zamiaru tłumaczenia "Krzyżowców", a wydawca Räber w Lucernie z tych samych powodów zrezygnował z wydania "Sukni Dejaniry", której połowa była już przez Loepfego przetłumaczona! Jak z tego wynika, niektórzy z polskich wydawców przyczyniają się waleśnie do utrudniania propagandy literatury polskiej na szerokim świecie.

Trudności te jednak nie zniechęcają bynajmniej dra Loepfego. Wobec tego, że przewidziane, po ukończeniu "Dysku olimpijskiego", tłumaczenia "Krzyżowców" i "Sukni Dejaniry" zostały zaniechane skutkiem stanowiska zajętego przez "Rój", starałem się zainteresować tłumacza książkami historycznymi Parnickiego. Dotychczasowy dorobek dra Loepfego jak na krótki okres sześciu lat zaledwie i możliwość pracy jedynie w wolnych godzinach poza zajęciami zawodowymi, jest naprawdę bardzo poważny. Ale uważa on, że dużo, bardzo dużo jest jeszcze na tym polu do zrobienia jeśli chodzi o tłumaczenia na niemiecki. "Toteż" — pisze — "cieszę się każdą konkurencją i zachęcałbym do współzawodnictwa. Trzeba by współpracować planowo i — podkreślam — bez złudzeń nad udostępnieniem skarbów twórczości polskiej".

Aleksander KORCZYŃSKI

NAJTANIEJ ● NAJLEPIEJ ● NAJSPRAWNIEJ

obsługuje swoich klientów

((LIBELLA))

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue Saint-Louis en l'Île — Paris IV^e.
Katalogi bezpłatnie na żądanie

Juilliard

Korytarz

Konserwatorium Juilliarda w New Yorku — czyli — w Ameryce, i — konserwatoria w Europie. Jakaś dziwna i nieuchwytna różnica. Nie pomiędzy poszczególnymi europejskimi konserwatoriami, ale, pomiędzy Juilliardem z jednej strony, a jakimikolwiek europejskimi — z drugiej. Przypominam sobie konserwatorium w Łodzi, Lwowie i Taszkencie. Wszystkie w jakiś sposób przypominają się wzajemnie. Przy nich Juilliard wyodrębni się czymś szczególnym. Europa i Ameryka. Dwa bieguny.

Korytarz. Zwyczajny korytarz, grający korytarz konserwatorium lwowskiego i ten w Juilliard. Tak niepozorna rzecz, a jakie ma znaczenie! Uderza w Juilliard matwota mimo wielkiego ruchu. Jest jakaś cisza i głuche, jakby z trudem wydobywające się, odgłosy muzyczne, które ledwie przenikają przez grube okorkowanie i nieprzepuszczające dźwięków mury — to jedyny znak rozpoznawczy szkoły. Wszystkie ściany, podłogi i sufity klas szczelnie obite. Co za udogodnienie, ale co za rozczarowanie.

Tej ciszy w Juilliardzie przeciwstawię wrażenia z konserwatorium lwowskiego czy łódzkiego, gdzie już na klatce schodowej dolatywały fragmenty etiud szopenowskich zlewające się z Bachami, Scarlattiem, Scriabinami i Szymanowskimi. Uroczą kachofonia zmieszanych dźwięków, z których trzeba było wyciągać co było czym. Ciągłe ćwiczenie dające się usłyszeć wszędzie, **wzajemne przysłuchiwanie się** (z klasy do klasy) "konkurencji" i przeszkadzanie sobie otwieraniem drzwi, aby sprawdzić k t o grał "tak dobrze", lub "tak źle". Każda nasza pauza, każde pianissimo, było nam tłem dla urywków z klas sąsiednich. To czasem odrywało uwagę, ale miało w sobie dużo pożytecznego uroku. Oto prawdziwe życie muzyczne.

Wzajemne zainteresowanie, konkurencja jako bodziec do pracy, ruch, kontakt i wciąż **kontakt** — to warunki życia muzycznego. Stąd nastrój. Nie można dziwić się brakowi nastroju w szkole, której rzeczy te są obce — a obce są one Juilliardowi.

Owszem, daje się tam spostrzec kontakt w ułamku. Studenci widują się na lunchach, raczej z konieczności, można i zastać kilku gawędzących w klubie, albo tamże, jakiegoś głęboko zamysłonego w hotelu samotnika; spotykają się także na koryta-

rzach — ale jakie to wszystko luźne. Gdzie dyskusje? Gdzie wyklócanie się o szczegóły? Mało wiedzą o sobie. Zupełna obojętność w stosunku do innych. Nie ma kontaktu. Każdy zajęty wyłącznie sobą i odizolowany od drugiego, jak ta klasa odizolowana jest od następnej.

Użyteczności podobnej izolacji należałoby szukać gdzie indziej: klatkowy podział klas robiących wrażenie studiów radiowych, cisza — bo idealne uszczelnienia, "nic się nie wie, nic się nie słyszy", idealne warunki do pracy w samotności, w której nic nikogo nie może obchodzić poza własnym zakresem — oto **idealny** internat dla studentów-muzyków, ale — po godzinach szkolnych. Jeszcze wstawić im do pokoiów po łóżeczku, a niczego dogodniejszego nie można sobie wyobrazić! Każdy pokój-klasa, zaopatrzony jest w fortepian, wentylator, a czasem także adapter. Na zimę centralne ogrzewanie. Izolacja umożliwiłaby wymarzone nieprzeszkadzanie sobie w pracy "na brudno", nie narażając równie sąsiadów na protesty. To wszystko pasuje dla warunków najlepszego internatu, ale w konserwatorium jest nie na właściwym miejscu.

W życiu konserwatorium, hałas ten nie tylko jest potrzebny, ale konieczny. Bo g d z i e mają się spotykać? Gdzie wzajemnie śledzić? Słuchać?

Podkreśliłem, że nic tak nie robi atmosfery konserwatorium, jak dźwięki, rozchodzące się po korytarzach, gdzie rozmieszczone są klasy. Rzeczywiście stwarzają one nastrój, ale nie poziom. Wrażenie poziomemu leży wyłącznie w gatunku tych dźwięków. To są dwie osobne sprawy. Szkoła może nie być na poziomie (jak np. taszkienckie konserwatorium), a może mieć wspaniałą atmosferę — i — odwrotnie. Do sprawy korytarza dodam jeszcze jeden ważny szczegół: sprawę podniecenia i entuzjazmu, którego tam w ogóle nie ma. Jest podniecenie raczej sportowe, lub "tempowe" (kto w jakim tempie gra daną etiudę), a czasami podniecenie głupkowate, jak na komedii w kinie. O entuzjazmie nawet mowy nie ma. (Jak zwykle, zdarzają się wyjątki: studenci poważniejsi i b. nieliczni).

Sama szkoła.

Juilliard School of Music jest największą i najpopularniejszą uczelnią muzyczną w Ameryce. Ilość studentów sięga tysiąca, pedagogów jest ponad stu. Ufundował ją w r. 1926 wielki bogacz i mecenas sztuki Mr. August Juilliard, zapisując jej stałe poparcie — milion dolarów rocznie — które stanowi roczny budżet tej szkoły.

Szeroko rozstawiony szary, sześciopiętrowy budynek, o małych równo podzielonych okienkach, w uniwersyteckiej dzielnicy New Yorku, pomiędzy parkiem a rzeką. Budynek ten, jak na szkołę, posiada niezliczoną ilość udogodnień, wygod. Bezpiatna szatnia na wstępie (z tą samą obsługą dla pedagogów co dla uczniów). Tuż obok, jak bracia sjamscy dwie identyczne windy

koło siebie: stale w ruchu. O piętro wyżej uprzejma telefonistka ze słuchawkami na uszach, chętnie służy informacją lub rozmieni pieniądze na nicie, gdy ich brak dla telefonu. Automataczne telefony na każdym piętrze. Także na każdym elektrycznie chłodzona woda-wytrysk. Wszędzie zegary. Zimą centralne ogrzewanie, latem ciche i silne wentylatory: w każdej klasie. Luksusowe umywalnie; schowki metalowe dla zapisanych "w porę" kandydatów, nie drogo i każdy otrzymuje własny klucz; cztery rozsądnie rozmieszczone klatki schodowe, wszędzie boczne schody, boczne wyjścia — warunki idealne w razie pożaru...

Kręcą się uczniowie i pedagogowie, zarówno jedni jak drudzy bardzo dostępni, uprzejmi po domowemu, rzadko daje się pomiędzy nimi wyczuć dystans, w ogóle swoboda i uprzejmość na każdym kroku, niewymuszona, naturalna grzeczność, mimo że w metrze potrafią się świetnie rozpychać.

Na jednym z pięter znajduje się studio zajmujące się przepisywaniem płyt antykwarycznych oraz nagrywaniem koncertów urządzanych przez Juilliard. W ten sposób powiększa się biblioteka płytowa szkoły. Już teraz liczy ona ponad 6.000 nagrań. Obok jest pokój z kilkunastoma aparatami do słuchania płyt. Ponieważ słuchanie odbywa się przez słuchawki, nieprzeszkadzając sobie wzajemnie wielu korzysta jednocześnie. Nawet każdy aparat ma kilka par słuchawek, więc nieraz na tę samą płytę wybiera się kilku studentów naraz. Poza tym Juilliard posiada cenną bibliotekę nut i książek muzycznych. Każdy (pedagog czy uczeń) ma prawo korzystania z biblioteki i płyt bez zbędnych formalności zabierających w innych krajach tyle czasu i energii.

W Juilliard można nabywać ulgowe kupony na liczne koncerty w New Yorku. Kupony są na warunkach "kto pierwszy". Dzięki nim, można się prawie bezpłatnie przekonać ile kiepskich koncertów odbywa się corocznie w największych salach koncertowych tego miasta. Tylko na Rubinsteina, Horowitza i Heifetza kuponów zawsze brak — są to koncerty z góry wyprzedawane.

Są w Juilliardzie dwie sale koncertowe z których jedna mieści 300 a druga tysiąc osób. Obie są zaopatrzone w koncertowe Steinwaye, a jedna nawet w koncertowe organy — warunki których pozazdrościłoby każde konserwatorium na świecie!

Mają tam także sześć klas z organami do ćwiczenia. Szkoła ta dała duże pomieszczenie znanemu wydawnictwu nut — Schirmerowi, które ma tam swój skład z 10% zniżką dla studentów. Nieco dalej, też "pod ręką", ma swój pokój pełen niepokoju stroiciel fortepianów, który nie tylko jest na zawołanie, ale który jest nieustannie wołany. Pracuje jak koń. Musi porządnie przeklinać studentów, ale dzięki nim zarabia wyśmienicie. Łatwo to sobie wyobrazić, skoro szkoła przeznaczą z budżetu do 75.000 dolarów rocznie na naprawy i kupna instrumentów. Klas na prowadzenie wykładów oraz pokoików do ćwiczeń

jest ponad sto a w każdym co najmniej jeden fortepian. Wszystkie marki Steinweya, mniejszość pianin. Mimo że liczba fortepianów jest ogromna, a marka najlepsza, rzadko zdarza się instrument w stanie doskonałym. A gdy już, to wtedy klasa zostaje zamykana na klucz. Powód zrozumiały. Od rana do nocy, w ciągłym użytku, muszą się niszczyć. I nie ma nigdzie na świecie konserwatorium z idealnymi fortepianami. Często nie ma ani jednego, chyba — w dniu otwarcia.

Te jedyne "białe kruki" (tym razem koloru czarnego), jeżeli nie są zamykane, w krótkim czasie "czernieją". Gdy pomyślimy o legendarnym imieniu Steinweya, a jednocześnie o jego fortepianach w Juilliard, to stan ich na terenie tej szkoły wyda nam się kompromitacją Króla Fortepianów.

Pamiętam, że w łódzkim konserwatorium doczekano się po wielu latach j e d y n e g o Steinweya (zdaje się dzięki śmierci Grohmana, który swój instrument szkole zapisał). Strzeżono go okropnie, był oczkiem w głowie. Był tylko do użytku na uroczystościach.

Sprawa jest prosta. Tłum pianistów, dla którego fortepiany są wyrabiane, ćwiczy z uporem maniaków, od rana do nocy obrabiając swój ukochany instrument aż do skutku, o którym powyżej pisałem. Juilliard — to cmentarz Steinweyów.

Brak klas.

Nie do przeczygnięcia jest trudność z pomieszczeniem pianistów po klasach w celu ćwiczenia (za przykład stale odbieram pianistów, gdyż z tym tematem jestem najlepiej obeznany). Rozkład godzin w szkole przeważnie nie pozwala na korzystanie z instrumentów na mieście, pomiędzy lekcjami. Gdy ma się nawet 2 godziny wolne, nic się nie daży: New York, z jego odległościami.

Powstaje w szkole problem — sprawiedliwy podział klas. Podział ten pozwala na używanie klasy jedynie przez dwie godziny dziennie. Cóż znaczą 2 godziny...

Ponieważ nie zawsze klasa bywa zajmowana (studenci chorują, opuszczają itp.) wszedł w życie zwyczaj zaglądania do klas po kolei, a nuż jakaś okaże się wolna (często żadna). Takie obejście Juilliarda trwa około godziny. Ale w ten sposób uczeń, nie mający w rozkładzie klasy, może przypadkowo na taką natrafić. Za każdym razem musi otwierać drzwi (podwójne), gdyż izolacja nie przepuszczając dźwięków, nie pozwala orientować się z korytarza czy klasa jest zajęta. Wyniki: nieporozumienia drobne i większe. Nieustanne otwieranie drzwi, kręcenie się, ciągłe poszukiwanie przez całe chmary uczniów, bardzo przeszkadza ćwiczącym. Może, gdyby otwierano klasę w celu dowiedzenia się "kto t a k gra tę balladę", nie byłoby to denerwujące. Ale ciągłe ukazywanie się i znikanie tępych i obojętnych głów w drzwiach, staje się przykre i nie pozwala zajmującemu klasę na koncentrację.

Do trudności z ćwiczeniem dołącza się inny minus: ciągle grywanie na różnych instrumentach. Szkoła, idąc na rękę studentom stara się przydzielać im po 2 godziny dziennie na tych samych instrumentach. Nie zawsze można to załatwić — poza tym — studenci ćwiczą na i n n y c h instrumentach p o z a szkołą. Każdy fortepian posiada inne plusy i niedociągnięcia. Trzeba poznać i nauczyć się na pamięć jego słabszych (a więc i silniejszych) klawiszów, tych brzęczących i tych nielicznych srebrzystych. Nie ma na świecie dwóch fortepianów, mających identyczne w brzmieniu klawiatury. Nawet pedał i jego sposób używania jest rzeczą indywidualną i musi być różnie stosowany przy różnych instrumentach. Zwłaszcza pedał lewy, którego używanie "do poiowy" jest całą wiedzą akustyczno-słuchową. Te niektóre wrażliwe klawisze, lub te słabsze, wymagają przystosowania do nich uderzenia: przystosowania go do nich wyłącznie. Słabsze trzeba z wyliczeniem uderzać mocniej, zaś silniejsze — słabiej. Wykonanie techniczne musimy nieco przystosować do instrumentu, aby interpretacja muzyczna wypadła tak, jak z góry zamierzaliśmy. Gdy pracujemy na kilku fortepianach na zmianę, wynikają z tego ciągle rozczarowania. W samej technice pianistycznej nie odgrywa to wielkiej roli. Szkodliwe okazuje się tam, gdzie chodzi o interpretację i precyzję dźwiękową: równość — nie szybkość. Szybkość można osiągnąć ćwicząc nawet na niemej klawiaturze, która jest właśnie tak szkodliwa dla późniejszego brzmienia.

Pianista przyzwyczajają się do swego instrumentu. Instrument, na którym się stale ćwiczy jest jak fajka, którą się stale pali. Każda ma inny smak i do każdej trzeba się oddzielnie przyzwyczaić.

Egzaminy

Słaby punkt szkoły. Dwa razy do roku. W ogóle z egzaminami nonsensy. Tak samo nonsensy z dyplomami. Może to wszystko z konieczności, jednak olbrzymia liczba bezrobotnych z dyplomami, w innym świetle przedstawia tę konieczność. W Europie uczniowie przechodzili na egzaminach, jak przez sitko.

Dla egzaminów wstępnych poza maturą n i c z e g o nie wymaga się na serio. Za to pozory straszą. Z egzaminami wstępnymi omyłki i nieład, więc później w szkole także nieład. Brak czasu i nieraz kwalifikacji egzaminujących pedagogów, powoduje oceny "na chybił trafił", a prymitywne metody egzaminowania nie pozwalają profesorowi na zorientowanie się w materiale. Gdy sobie uprzytomnię dzień egzaminów, widzę tłumy uczniów, sznury pedagogów, z biura do biura, biuro informacji, biuro finansowe, biuro stypendialne, biuro z przydzielaniem klas na ćwiczenia itd., itd aż do biura nr.... 30!

Na 200 dyplomów rocznie, nie więcej niż kilka przypada na uczniów doprawdy wyszkolonych i zarazem artystów. Gdy się

patrzy na uroczysty dzień wręczenia dyplomów, które — odnosimy wrażenie — rozdaje się jak ulotki, przychodzą znów na myśl nasze konserwatoria, w których tyle lat trudu poświęcało się, aby ten papier zdobyć. Czy i tutaj studenci zadają sobie t y l e trudu? Właśnie, że zadają go sobie znacznie mniej, gdyż o dyplomy łatwiej. Miejmy nadzieję, że na wydziale medycznym uniwersytetów dzieje się inaczej: niedokształcony muzyk nigdy nie będzie w stanie przynieść tyle szkody co niedokształcony doktor.

Lekceważenie

Są pewne lekcje, które się w ogóle nie odbywają. Do tych należą niektóre ensemble (zespoły kameralne) gdzie powstaje kłopot z pianistami: jest ich za wielu. Skąd wytrzasnąć tylu skrzypków, wiolonczelistów? Ale zapisanie się na ensemble obowiązuje podczas całego 5-letniego kursu dyplomowanego, nawet gdy pianista jest z tym przedmiotem całkowicie obeznany. Zdarzało się że na lekcji dyrygentury orkiestra składała się z pięciu osób a w tej liczbie — trzech pianistów. Tym lekcjom należy przeciwstawić doskonałe kursy niektórych teoretyków. W ogóle zakres programu w Juilliard jest ogromny i wszechstronny, mieści w sobie kilkadziesiąt fakultetów z licznymi odgałęzieniami.

Co się tyczy lekceważenia, muszę podkreślić, że na niektórych wykładach jest modne "zwiewanie". Są studenci, którzy chwytając się prymitywnych środków godnych uczniaka trzeciego oddziału szkoły powszechnej "wychodzą na chwilę", aby już na wykład nie wrócić. Na początku wykładu pełna klasa, na końcu — pustki. Przyznaję, że to się zdarza tylko na mniej interesujących lekcjach. Dowodzi to pewnej intuicji studentów.

Podobne postępowanie nie wynika ze swobody. Jest wynikiem niedyscypliny i bezkarności. Bo cóż takiemu zrobią? Płaci lub jest stypendystą, więc nie zostanie wyrzucony. Tu się nie wydała tak łatwo.

Zauważyłem rzecz charakterystyczną: na najciekawszych wykładach teoretycznych grupuje się najzdolniejsza młodzież. Wiadać stąd jak wiele zależy od poziomu oraz sposobu prowadzenia lekcji.

Jeszcze egzaminy. Egzaminy są nie tylko łatwe ale marne i powierzchowne. Mówię o egzaminach z roku na rok. Jakby pozorne. Czas trwania każdego wynosi obowiązkowo 15 minut! Trzeba zaś mieć przygotowaną sonatę Beethovena preludium i fugę Bacha, utwór Szopena i jakiś nowoczesny. Przy najlepszej chęci ucznia (to znaczy przy najszybszej grze) biedak nie zdołałby wygrać połowy. Więc wzięli się na sposób. Przerywają każdy utwór po kilkadziesiąt taktach. A wiadomo, że uczeń może wykazać postępy tylko wtedy, gdy mu dadzą możliwość dogrania do końca. Przede wszystkim dać mu się rozegrać, poza tym — interpretacja najczęściej przybiera uplanowaną

formę dopiero poprzez całość. Jest to bardzo błędny sposób egzaminowania. Wcale sytuacji nie zmienia wykrętne tłumaczenie "wszyscy mają te same szanse", bo nikt żadnych nie ma. Przechodzą automatycznie. A więc nie dają dograć w Juilliard ani jednej kompozycji do końca. Ba, do połowy! Już raczej dąliby dokończyć jedną zamiast dłużyć w pięciu. Nawet na końcowym, dyplomowym egzaminie, program wtłaczany zostaje w ramkę 15 minutowej audycji-groteski. Powtarzam, dałoby lepsze wyniki wysłuchanie jednego utworu w całości niż wszystkich po kawałku, dałoby to lepszy sprawdzian umiejętności danego kandydata, niż przy systemie rozkawałkowania. Może to sprawdzian jednostronny ucznia, ale raczej to, niż fałszywa ocena jego "wszechstronności" w grze.

Pedagodzy gry fortepianowej.

Nie wielu na wysokim poziomie. Masa bezbarwnych, którzy "nie mają nic do powiedzenia". Albo despotci, narzucający każdemu tę samą metodę, "ich metodę", nie licząc się z faktem, że do każdego talentu trzeba stosować inną miarę i inny system. Brak wprawdzie tych pedagogów, którzy z taką nieomylnością powodują nadwyższenie ścięgna i mięśnia u swoich uczniów, aby potem, gdy będzie za późno, zbyć ich krótką informacją z działy medycyny, wypowiadaną niskim uspakającym głosem "ah! to tylko reumatyzm" (Po pierwsze jeżeli reumatyzm to dlaczego "tylko". Po drugie wcale nie reumatyzm. Często nadwyższone ścięgno jest trudne do wyleczenia i pozostawia ślady w grze na zawsze).

Ale i brak tych pedagogów, których doświadczenie potrafiło nauczyć największej umiejętności: wydostawania z talentu ucznia niektórych walorów i udoskonalania ich bez szkody dla pozostałych.

W stosunkach profesorów do uczniów (i na odwrót) spostrzegłem wielką swobodę, ale zarazem żadnego głębszego zainteresowania, żadnej osobistej zażyłości, żadnego *personal* z *anim*. Np. zainteresowanie się prywatnym życiem ucznia, zwłaszcza gdy ma kłopoty materialne — żadne. Chociażby zainteresowanie się tymi najzdolniejszymi i faworyzowanymi talentami. Ani śladu. Był w Juilliard do niedawna fenomenalnie uzdolniony pianista z Palestyny, Wagman, który już poprzednio zdobył nagrodę i złoty medal na międzynarodowym konkursie w Genewie. W Juilliard był uczniem wpływowej i świetnie usytuowanej "Madame Levine", która uważała go za największy talent w szkole. I rzeczywiście Wagman wyjechał do Stanów już jako skończony pianista na miarę jakiegoś Backhausa (takiego wykonania Pietruszki Strawińskiego już chyba nigdy nie usłyszę, utrwalone na płytach, z pewnością weszłoby w rząd najlepszych i największych interpretacji "zanotowanych"). Wagman borykał się tutaj z trudnościami, nie miał pieniędzy, pozwolenia na pracę — problem wielu studentów z zagranicy.

Liczył na swoją profesorkę, która go przecież tak bardzo ceniła. Doznawszy kolejnych zawodów ze strony żydowskich organizacji, mających jakąś klauzulę, której nie sposób było ominąć, oraz doznawszy rozczarowania ze strony swojej profesorki, która nie wiele zrobiła, aby go ratować, wrócił do Palestyny nie ukończywszy studiów, w wielkiej depresji — rzecz zrozumiała: sposobność przyjazdu do Ameryki, może drugi raz w życiu się nie zdarzy. A tylko w Ameryce jest pole do zrobienia wielkiej kariery. Ameryka jest ostatnią instancją. Wyjechać stąd z niczym — to wielki cios dla zapowiadającego się artysty. Ta oziębłość profesora na nagłe potrzeby materialne swego ucznia jest zjawiskiem przykrym. Nie pamiętam takiej obojętności nawet z lat wojennych we Lwowie. Warunki były wtedy niemożliwe, zima osiara i brak mieszkań dla nieustannie napływających uchodźców. Jednak w konserwatorium znalazłem (nie tylko ja) opiekę w domu mojej nauczycielki, dzieliła się chlebem ze studentami; a wiadomo, że chleba brakowało wtedy wszystkim. I nikt inny, a właśnie ten czy ów pedagog, starał się w jakiś sposób dopomóc swemu uczniowi. Przechodziłem ten okres, mając kolejno trzech nauczycieli, ale ani razu nie zdarzyło mi się zetknąć z takim "murem", na jaki tutaj, gdzie wszystkiego w bród, natrafił Wagman. A może właśnie dlatego, że tutaj jest taki dobrobyt, imaginacja nie potrafi wyjść poza ramy własnej wygody?

Juilliard przyznaje co trzeciemu uczniowi stypendium, które zazwyczaj jest całkowitym lub częściowym zwolnieniem z wysokiej opłaty. Na mieszkanie i utrzymanie szkoła funduszy nie posiada. Procent stypendystów jest kolosalny, czego znów w Polsce nie było.

Przyglądając się systemowi tej szkoły, jeszcze raz przekonywuję się jak bardzo skomplikowaną maszyną okazuje się każda rzecz, którą badamy bliżej. Na oko, szkoła ta czyni wrażenie dobrze prosperującego *bussines'u of music*, lecz tak nie jest. Wielka ilość koncertów organizowanych na terenie Juilliarda, wspaniały "Juilliard Quartet" słynny w całej Ameryce — to już wynik, osiągnięcie. W każdym bądź razie jest to uczelnia, która wydała najwięcej młodych koncertujących pianistów w Ameryce. Nie tylko złych, ale i dobrych. Szkoła zyskałaby dużo nie tyle, gdyby dodać tam lepsze siły pedagogiczne, ile gdyby ująć te mierne. Podobno, już dąży do zmniejszenia ilości uczniów, do mocnej selekcji (oby i pedagogów!). Ale tu się wyłania inny problem: brak szkół. Nie można zredukować szkół w Ameryce. I nie można pominąć faktu, że przy jakiegokolwiek "czystce" i redukcji, podnieśliby krzyk — zupełnie słusznie — ci mniej zdolni, którzy też chcą się uczyć, a trudno osadzić *кто* ma prawo do studiów, a kto nie. Czym więcej widzę niedociągnięć, tym jaśniej sobie zdaję sprawę, że nie sposób myśleć o Juilliard w oderwaniu od kraju, w którym się znajduje, podchodzić do niej jedynie od strony szkoły muzycznej, co tylko dałoby fałszywy wykrój zła. Sprawa Juilliarda pozostaje w ścisłym związku ze sprawami tego wielkiego kraju, liczącego

140.000.000 ludności i niemogącego nadrobić w krótkim tempie tego, co Europa zrobiła w ciągu wieków. To tempo, to doganianie, powodujące dużo niedociągnięć i pewien prymitywizm, te skoki — wydają mi się ostatecznie koniecznością. Za dużo kandydatów, za szybko, za niedokładnie, to nie tylko zasługuje na krytykę, ale i na wyrozumienie.

Jak grają ich pianiści?

Pisałem, że grają szybko. Jakby walka temp.

To nie musi przeszkadzać wykonaniu. Ignacy Frydman grywał bardzo szybko etudy Szopena, ale grał je fenomenalnie. Zarówno z punktu muzycznego jak technicznego. Juilliard, w większości wyszukał specjalny typ pianisty. Rzadko się zdarza, aby grali niechlujnie. Nadmiernej pedalizacji prawie nie spostrzegałem. Także nie natrafiłem na wybitną. Gra uderzająco m o n o t o n n a. Są w niej podobni do siebie wszyscy. Studenci z zagranicy szybko się przystosowują. Tempo i ogólny poziom są zaraźliwe, wciągające, no i — Amerykanie przedstawiają większość, zaś wiadomo że łatwiej brać przykład zły niż dobry. Pasa tempa ma coś z siły przyciągającej narkotyku. Tym pianistom brak indywidualności. Brak wśród nich tych najlepszych talentów, po których można się spodziewać czegoś więcej, niż że kiedyś będą grali etiudę chromatyczną i tercją w kolosalnym tempie. Brak materiału na późniejszą klasę mistrzowską. Nie da się stworzyć wysokiej klasy gry, przez wierne czytanie tekstu i monotonię. Właśnie to spostrzegałem na każdym kroku w interpretacji tych studentów: jednostajność.

Jednostajność, interpretacja.

Nie tylko chodzi mi o indywidualność i odrębność każdego pianisty, gdyż rzecz zrozumiała, nie ma dwóch pianistów o tym samym temperamencie, technice, skali dynamicznej i dźwięku. Mówiąc o odrębności, mam na myśli styl gry, który mimo różnych walorów, u tych studentów przypomina się wzajemnie. Bo można prawie jednakowo wykonać ten sam utwór, mając zupełnie różną technikę, ton i temperament.

Ta sama ballada grana przez dwóch studentów o zupełnie różnym typie temperamentu, brzmi podobnie, z r ó ż n i c ą t y c h t e m p e r a m e n t ó w. A więc, u obu słyszy się te same akcenty, te same ritenuta, ten sam wiernie oddany tekst; ten sam styl. To wcale nieprawda, że poloneza fis-mol (Szopena) musi grać lepiej "ten z temperamentem", a nokturn g-mol — ten bez. Gra "lepiej" ten, kto gra ciekawiej, a słowo to ma zastosowanie wyłącznie do interpretacji indywidualnej, nie do żadnej "wierności" i demonstracji walorów, wierność, jest przeciwieństwem swobody, a swoboda jest warunkiem indywidualności. Zauważone przeze mnie u studentów posłuszeństwo dla tekstów, wyklucza nie tylko rozwinięcie własnych pomysłów w

interpretacji, ale i przejawianie jakiegokolwiek subtelności, która nie została poprzednio zanotowana i narzucona. W ogóle zauważyłem brak subtelności. W grze i w życiu.

Zależy mi na podkreśleniu konieczności różnic interpretacji, poza sprawą różnic elementów każdego talentu (technika; temperament, dźwięk), o podkreślenie znaczenia wyobraźni nawet tam, gdzie sprzeciwia się ona zupełnie oryginalnemu tekstowi

Raz spędziłem dzień na przysłuchiwaniu się poszczególnym uczniom-pianistom. Korzystając z ich grzeczności — muszę dodać — bardzo szczerzej — cicho siedziałem słuchając, jak ćwiczą. Program wszędzie poważny. Na warsztacie wszystkie preludia i fugi Bacha, cały niemal Szopen, muzyka stara, nowa, średnia, najbardziej ograne kompozycje i kompozycje grywane najrzadziej. Wszystko, dosłownie wszystko, pod palcami kilkusetnego tłumu pianistów. Fugi — zwróciłem uwagę — grywane czysto, poprawnie, choć i trafiłem na "panienki z Bachem", które mi przypomniały dowcip prof. Halperna, tłumaczącego, że "fuga" z łacińskiego oznacza "ucieczkę": ręce się gonią i w popłochu gubią.

Ani razu tam nie usłyszałem fugi granej subtelnie, interesująco. I znów to samo: od artysty lub świetnie zapowiadającego się pianisty, wymaga się znacznie więcej niż precyzji i dokładności, które są nieodzowne, ale które muszą stanowić jedynie część walorów pianistycznych i artystycznych. W Juilliard, wśród pianistów — jest niezmiernie niski procent muzyków. Jeżeli nasunie się pytanie "a w Europie"? W Europie były większe lub mniejsze wylęgarnie i hodowle talentów.

Ameryka nie wydała ani jednego "mistrza" z pokolenia poprzedniego. Barere, Levine, Rosenthal — są z Europy. Tak samo Paderewski i nasz Hoffman, którego tu nazywa się tak chlubnie "amerykańskim pianistą".

Sprawa interpretacji jest materiałem do wiecznych kłótni. Żaden indywidualista i artysta o dużej imaginacji nie zgodzi się na formuły odnośnie znaków dynamicznych ustawionych w nutach, na konieczność stosowania ich wyłącznie według życzenia kompozytora. Nie zgodzi się na konieczność stosowania ich w taki sposób w jaki oznaczono i w jaki "wszyscy się poumawiali". Na żadne "tylko tak a nie inaczej".

Przede wszystkim język dynamiczny w muzyce jest bardzo ubogi, mimo licznych znaków stopniujących. Ubogi w porównaniu do możliwości wykonawczych artysty. Brak dotychczas języka muzycznego, którym by mogli porozumiewać się w s z y s c y. To co jest notacją, jest dzisiaj tylko określeniem w przybliżeniu. Poza tym wydawało by się, że kompozytor zaopatrza znakami dynamicznymi swoją kompozycję i każdy, stosując się do tego wiernie, odegra ją "jak trzeba", może z różnicami polotu, techniki itp.

A jak trzeba?! Na pewno nie "tak samo".

Frydmann i Levine. Frydmann wydobywa w etiudzie "terejo-wej" lewą rękę; czyni to fantastycznie, bo jakimż innym słowem określić to polifoniczne legato, to wydobyć (i w jaki sposób!) na wierzch nowych, dotychczas jakby ukrytych skarbów harmoniczných przez odpowiednie wydzielanie lewej ręki, której specjalna rola w tej etiudzie od Frydmanna się zaczęła. Jednocześnie, prawie niedosłyszalnie w legatissimo, płyną tercje w prawej: jęk cichnących syren z oddali, z diminuendem (wbrew tekstowi!) na każdej gamce w górę.

A Levine — podkreślając prawą rękę: tercje-perełki z crescendami do góry, precyzyjnie do niesamowitości i wcale nieetiudowato wydziela każdą nutkę z osobna. Obaj mistrzowie grają tę etiudę nawet w rozmaitych tempach. Bo nie o trzymanie się dokładnie oznaczonego tempa chodzi, nie o pilne przestrzeganie ukazanej interpretacji, nie o to kto wierniej, ale — kto j a k. To "jak" zamyka w sobie szerokie pojęcie indywidualności, odrębności, wyłączności.

A inne przykłady i porównania. Rachmaninow, grywając Szopena czy Liszta "jak mu się podoba", gra ich genialnie. A w jego interpretacjach dynamika i tempa zawsze są wywracane "do góry nogami". Arrau, trzymający się grzecznie wskazówek kompozytorskich, nie jest wykonawcą odrębnym, fenomenalnym, choć niejednemu dobremu pianiście mógłby posłużyć za wzór, "jak należy to zagrać". Jest on idealnym odtwórcą pokazowym, przykładem, odtrutką na manierę. Wrażenia swoją grą na długo nie pozostawia. Landowska. Ile ritenut nienotowanych, ile accelerand opuszczonych, ile rubat przesuniętych a jednak brzmi to u niej tak, że po usłyszeniu trudno sobie wyobrazić lepiej (można jedynie i po wysiłku, wyobrazić sobie i n a c z e j). Co ją różni od tylu wykonawców? Przede wszystkim kultura i smak muzyczny, cudowny smak. U niej precyzja zostaje użyta dla dobra całości, nie dla samej precyzji. Żadnego pokazu, ani śladu demonstracji techniki, mimo najbardziej złożonej drobiazgowości. Nie tylko smak, ale możność zaprodukowania go tak, jak Landowska sobie życzy (nie zawsze można wykonać tak, jakby się chciało). Niesłychane poczucie proporcji: narastania, zanikania, rubato. Umiar, czas — ta wielka artystka ma zawsze d o s y c z a s u, zjawisko zadziwiająco rzadkie nawet wśród największych wykonawców. Fermaty (najczęściej nieistniejące w oryginale), nie "wytrzymywane" a przetrzymywane, zawsze tak, że jeszcze chwila, a serce nam w ogóle przestanie bić; a jednak, gdy po tej fermacie spada zbawczy akord, czujemy, że nie była ona za długa, że była właśnie doskonała. Spokój i majestatyczna powaga. Do tego dochodzi zupełnie naturalnie dawkowana technika, do szczytu doprowadzona precyzja obu rąk, zupełna ich niezależność polifoniczna, wielka wiedza muzyczna (tryle, ozdobniki, mordenty itd. używane nie tylko według wszystkich możliwych "rytuałów", ale w sposób niedający się naśladować). Wszystko to jakoś się u niej zgadza, harmonizuje, stanowi prawdziwą całość. Nikt nie grywa Scarlattiego w ten

sposób, zaś w sposób w jaki go grywa Arrau a nawet Cassadesus — grywa również szereg innych dobrych pianistów. Jakby się wzajemnie kopiowali.

Poza szkołą.

Poza szkołą: koszta utrzymania duże, a co dopiero sprawa mieszkaniowa. Stosunki sąsiedzkie okropne, gdy chodzi o grających. Możliwość ćwiczenia ograniczona. Bywają zakazy. Także ograniczona ilość "domów-studiów", gdzie można hałasować bez narażania się na awanturę. Pracy mało. Trudno o lekcję — tym bardziej o koncerty. Sprawa koncertów stoi najgorzej — ten gra kto ma pieniądze aby sfinansować swój debiut w nieodzownym Town Hall, innymi słowy, ten może rozpocząć karierę, kto zapłaci lub za kogo zapłaci. Impresario tutaj nigdy nie ryzykuje. To wszystko nie przeszkadza, że w New Yorku odbywają się codziennie w Carnegie Hall i Town Hall koncerty, czasami o trzech różnych porach dnia.

Wielu kandydatów na przyszłe sławy, czeka od dawna na sponsora. Czyż brak mecenasów sztuki? W samym New Yorku kręci się dosyć tych "bezrobotnych mecenasów", w których istnienie nikt nie wątpi, ale którzy nie pomagają, nie płacą procentu od snobizmu a bawią się w znanie wielkich malarzy, czy muzyków. Artystami-biedakami rzadko się zajmują. Jak już zaznaczyłem, swój snobizm uprawiają bezpłatnie, dziś za kulisami klepiąc po ramieniu Iturbiego, jutro głusi na proszący o spotkanie telefon źle usytuowanego, poszukującego poparcia artysty.

Piękna rola owych próżnujących mecenasów, często kończy się tam, gdzie się rozpoczęła: na jednym głośnym sfinansowaniu jakiegoś koncertu, po którym mając już wyrobioną "markę", mogą sobie pozwolić na wygodną beczynność, uprawiając dalej miłą zabawę w sztukę.

Płyty.

Skoro już wyszedłem poza gmach Juilliarda, trudno mi będzie nie zwrócić uwagi na dwie sprawy oddzielne: na sprawę płyt i nadprodukcji muzyki w Ameryce. Są to tematy doprawdy rzadko poruszane.

Uważam, że płyty pozostają w ścisłym związku z nową (moim zdaniem) Sztuką — Kompozycją interpretacji.

Kiedyś, gdy nie było płyt, wykonawca był t y l k o wykonawcą. Dużo zmieniło się przez powstanie utrwalacza dźwięków. Obecny wykonawca jest swojego rodzaju kompozytorem. Kompozytorem swej własnej i odrębnej interpretacji. Dopóki nie było płyt, gdy na koncertach trafiała się rzadka i cudowna interpretacja, mogła ona potem istnieć tylko w formie legendy, podawanej sobie z ust do ust, aż do czasu sprawdzenia. Nastroj jest rzeczą lotną, a czasem wyłączną i niepowtarzającą się. Gra się

tak, w jakim się "akurat" było nastroju. Jeżeli w czasach przed-
płytych i przedpianolowych (rolki nie były tak dostępne jak
obecnie płyty) artysta, będąc w specjalnym nastroju, odegrał
coś w sposób zupełnie niezwykły, nie wiele było nadziei na usły-
szenie tego w ten sam sposób po raz drugi. Płyty utrwalają na-
stroje danych chwil.

Powiedziałem, że interpretację można zaliczyć do twórczości.
Mamy np. "Barcarolle" (Szopena) z Rubinsteinem, poloneza es
moll z Paderewskim — a także mamy "Appassionatę" Kempfa
i "Appassionatę" Fishera, mimo że obie napisał ten sam Beet-
hoven. Już nie wystarcza sama nazwa utworu i nazwisko kom-
pozytora. Interpretacje też stały się ważne, mogą i powinny być
twórcze. Stały się ważne "te a nie inne". Nie działa się tak do
powstania płyt, one dopiero zdołały utrwalić interpretację, tak
jak papier nutowy i pióro utrwalają kompozycję, czyli impro-
wizację lub pomysły muzyczne kompozytora. O to utrwalenie
mi chodzi. Uważam, że wniosło ono do sztuki co najmniej ty-
le, ile sztuce zabrało.

Zmiana zaszła czytawista. O ile kiedyś słyszało się "akurat
tak" zagrana fantazję Szopena na koncercie, o tyle dziś po pro-
stu kupujemy płytę w sklepie: dowód rzeczowy. Gdy słucham
"waldsteinowskiej" z Dalberem, nagranej dawno temu, myślę
że w ocenie ludzie kiedyś bardziej się mylili niż dziś. Brak płyt,
brak rozpowszechnienia — to brak ścisłości i dowodu. Nie mo-
żemy zdawać się wyłącznie na czyjaś pamięć. Wcale nie wiem,
czy nagranie Gisekinga tej samej "waldsteinowskiej" nie prze-
wyższa pod każdym względem nagrania sławnego ówczas Dal-
bera. Rozumiem, że stara płyta była gorzej konstruowana i go-
rzej brzmi, ale tyle opowiadano o geniuszu interpretacji Dalbe-
ra, że po usłyszeniu płyty pozostało mi tylko rozczerowanie.

Więc dziś kupujemy płyty. Mamy tę samą sonatę Szopena z
Braiłowskim, Cassadesus, Łopatim, Rubinsteinem i innymi...
Interpretacje wielkie i małe. Zupełnie tak jak z kompozycjami.
Wielka sonata Szopena w "małej" interpretacji (Braiłowski),
lub mała etiudka Moszkowskiego w wielkiej interpretacji (Hof-
man).

Np. Rachmaninow, grający swój własny banalny prelud cis-
moll, staje się wielkim wykonawcą małego utworu (o ile wspa-
niałym kompozytorem jest Rachmaninow jako wykonawca
niż jako kompozytor! Nawet jako kompozytor swojej muzyki
zyskuje wiele dzięki nadzwyczajnej interpretacji swoich prelu-
diów i koncertów, które stają się piękne dzięki t a k i e m u
wykonaniu).

Dziś, już rzadko kupuje się "Appassionatę Beethovena", Bar-
carolle Szopena", a kupuje się "Appassionatę z Kempfem",
"Barcarolle z Rubinsteinem" — mam na myśli przede wszy-
stkim nabywców-muzyków.

A więc płyty — możemy słuchać tej samej i niezwykłej in-

terpretacji niezliczoną ilość razy (cel edukacyjny olbrzymi), za-
wsze słysząc ją graną w jednakowy sposób.

Możemy też porównywać "na miejscu" skrajne i cenne inter-
pretacje tych samych utworów, wykonywanych przez różnych
wykonawców. Poza tym, wielką korzyścią jaką nam dały płyty
jest zupełnie nowa możliwość słuchania siebie samego. Płyta
jest najlepszym sprawdzianem naszej własnej gry, niedosiężal-
nej dla nas w innych warunkach. Ten dystans — aby lepiej
ocenić własne błędy (i zalety), jest tak samo konieczny, jak
dystans malarza, gdy ukończy obraz. A jakże inaczej oddalić
się od naszej gry, jak nie poprzez płytę — utrwalacz.

Fizyczny kontakt z instrumentem podczas wykonywania utwo-
ru, uniemożliwia nam nawet średnio obiektywną ocenę naszego
wykonania. Dziś, zwłaszcza w Ameryce, gdzie technika udostęp-
niona jest szeroko i tanim kosztem, większość studentów po-
siada w domu aparaturę nagrywającą.

Niestety, wiele z cennych interpretacji, utrwalonych na pły-
tach Columbii i His Master's Voice, leży dziś odłogiem po nie-
znanych kolekcjach i antykwariatach w coraz mniejszej ilości,
już nieprzedrukowywanych i wyczerpanych.

Widzimy, że zamiast powtórzyć najlepsze nagrania wyczerpa-
ne, produkuje się te same utwory w nagraniach słabszych, i
nie się nie da na to zaradzić. Prawie wszystkie bezcenne stare
płyty, leżą zapomniane aż do wytarcia. Nabywcy lubią kupo-
wać nowe płyty artystów żyjących i występujących w Carne-
gie Hall, lub czasem dopiero co zmarłych fenomenów, ale któ-
rzy jeszcze mają blask niedawnej sławy. Zaś nikt się nie tro-
szczy o pewne "zapomniane nagrania", których żadne inne za-
stąpić nie mogą.

Nadprodukcja a bezkarność słuchania muzyki.

Przysłuchuje się temu nadmiarowi muzyki klasycznej. Nig-
dzie na świecie nie da się odczuć takiego n a d u ż y w a n i a
muzyki; nadprodukcji, jak prawie we wszystkich dziedzinach
tego kraju. Chodzi mi przede wszystkim o sprawę "nadużyć"
wśród społeczeństwa, traktującego muzykę pobocznie, lub "tyl-
ko" słuchając.

Nie można się dziwić zblazowaniu, jakie się teraz spostrzega.
Przy takiej konsumpcji dźwięków, jak to ma obecnie tutaj miej-
sce, wszystko staje się zrozumiałe. Radia, kina, płyty. Kiedyś,
usłyszenie koncertu skrzypcowego np. Brahmsa, było wydarze-
niem. Trzeba było po to kupić bilet i aż się wybrać na koncert
no i musiał być ktoś kto potrafił ten trudny koncert wykonać).
Nie było tylu dobrych techników. Wrażenie z koncertu bywało za-
wyczaj wielkie. Całe przeżycie. Właściwie koncert był jedy-
ną sposobnością, aby posłuchać dobrej muzyki (chyba że na-
strojowe wieczorki muzyczne, organizowane w prywatnych do-
mach przez amatorów i miłośników muzyki). Dziś dzieje się
inaczej. Kto nie ma czasu na koncerty, wchodzi do sklepu i

kupuje płytę. Ba! Nawet może jej słuchać podczas śniadania, lub odkręcić radio i słyszeć nie słuchając. I radio ułatwia to znakomicie. Bez kosztów dodatkowych. Za te same pieniądze, kilogramy muzyki. Muzyka na zawołanie, muzyka bezpłatnie, więc się ją lekceważy. Właśnie to słyszenie muzyki, zamiast s ł u c h a n i a, stało się od czasu powstania płyt i radia istną chorobą. Radio udostępniło — słuchanie muzyki w domu, a spowodowało inny objaw: słyszenie. Radio w domu; radio w kuchni; radio w sklepie; radio w barze; radio w kawiarni; radio w aucie — potem inny sznur automatów z muzyką lekką, którą się słucha przy jedzeniu i rozmowie, wrzucając "jednego nicla". Musi coś nieustannie grać, szumieć — nawyk o sile papierosów. Zadają sobie niepokojące pytanie, czy ci ludzie, słuchając podczas obiadu automatu z banalną muzyką, nie odczuwają t e g o s a m e g o co my, słuchający arii Bacha. Przecież każdy jest zdolny do zachwytu a termometru odczuwać dotychczas nie wynaleziono. Może temperatura zachwytu jednych przy słuchaniu marnego szlagieru odpowiada temperaturze zachwytu drugich, którzy znajdują się na koncercie symfonicznym. Radio, nawet podczas rozmowy lub szczególnie podczas może być komuś miłe: muzyka lekka, do której nie trzeba większego skupienia choć można jej słuchać z takim samym wzruszeniem jak symfonii Beethovena. Muzyki poważnej słuchamy uczuciowo albo analitycznie (można w sposób dwójaki jednocześnie). Muzyki lekkiej słuchamy tylko "uczuciowo".

Jeżeli zaś nie ma ani wzruszenia ani analizy — pozostaje tępe s ł y s z e n i e. Zdarza się także s ł y s z e n i e, poprzez które dociekają jednak pewne momenty danej muzyki, zdolne wzruszyć, podobnie, jak w pustej rozmowie i śmiechu może się nasunąć i mocno przeniknąć jakąś głęboką asocjacją, wspomnienie.

Jest widoczne, że znacznie łatwiej "słyszeć nie słuchając" szlagier, niż dobry koncert. To by było o nowym objawie — słyszeniu.

Dziś na dancinгах, młodzież podśpiewuje sobie modną zwrotkę pod melodię sonaty Mozarta... (tytuł często nie ulega zmianie). Deformacje — i do tego kradzione. Jazz, w którego tryby dostają się bez wyjątku wszystkie piękne kantyleny muzyki klasycznej (Wycie młodzieży motywów Szopena, na refrenowskich strofkach kursującego szlagieru). Jak można dopuszczać do takiego bezczeszczenia muzyki, do takiej bezbożności muzycznej — śladu szacunku, śladu kultu. Ci, co kochają muzykę, godzą się w milczeniu — a cóż dopiero tamci, którzy to uprawiają. Jeżeli posłuchamy kłamliwego "oczyszczania się" winowajców, którzy paplają że tylko dzięki owym deformacjom nieudostępnioma dla mas poprzednio część literatury muzycznej została im teraz udostępnioma — wzdrygniemy się zapewne i odpowiemy, że rozpowszechnianie muzyki t a k ą drogą jest

rzeczą okropną i ohydną, a cel i tak nie zostaje osiągnięty. Odwrotnie — staje się rzeczą zupełnie nieosiągalną. Wreszcie — przekarmienie. Wciąż te same słodkie melodie i motywy. Mam na myśli radio z jego programami (klasycznymi). Nie można karmić tylko ciastkami, bo nie tylko staną się chlebem powszednim, ale chlebem mdłym. I wtedy wartości dotychczas przyjmowane, upadają, zmieniają się — za lekko się sięga po te ciastka, za często. Po takich "piątych symfoniach" itp. pozostaje głupia cześć dla nazwiska kompozytora, ale — nie dla samej kompozycji. Powinna istnieć jakaś kontrola, jakaś policja sztuki lub policja estetyczna, zabraniająca nadużywania muzyki aż do rozkładu. Inaczej do reszty przestanie być ona tym, czym była kiedyś — a przypuszczam, że była czymś więcej, niż dzisiaj.

Pewnych kompozycji nie powinno się wykonywać częściej jak według rozsądnego ustalonego planu. Szczególnie tych, które najłatwiej wpadają w ucho. Czy brak innych? Sonaty Prokofiewa mogłyby śmiało być grywane co tydzień przez radio, bez obawy, że utkwia natrętnie w pamięci po roku. A tu, w radio, co drugi dzień (czasami dwa razy dziennie!) nadaje się przepisowy koncert b-moll Czajkowskiego. W skład tych "przepisowych" wchodzi jeszcze cały łańcuch innych, ograniczonych kompozycji. Nie można nas wciąż karmić tym samym, bo się w końcu wyrzamy. Albo otepiejmy. Spostrzegłem tutaj otepienie, obojętność, zanik wrażliwości. Wyraża się to głównie brakiem zachwytu i brakiem entuzjazmu.

Pewien ustęp z "Zatoki Meksykańskiej" A. Huxleya, doskonale ilustruje ten przykry problem. Pozwalam sobie na zakończenie ustępu ten przytoczyć, poprzednio podkreśliwszy, że Huxley pisał o tym kilkanaście lat temu.

"Wzrost zamożności, gramofon i radio stworzyły audytorium słuchaczy, konsumujących ilość materiału słuchowego wzrastającą bezporównania szybciej, niż naturalny przyrost muzyków. Z powyższego wynika, że we wszystkich sztukach produkcja miernoty jest obecnie większa absolutnie i stosunkowo niż była dawniej; oraz że musi pozostać większa dopóty, dopóki świat nie przestanie konsumować — jak obecnie — niewspółmiernych ilości towaru literackiego, plastycznego i muzycznego.

Dotychczas mówiłem tylko o technicznym postępie w obrocie tworzywa. Istnieją jednak również czysto estetyczne postępy w technice ekspresji. Najbardziej zdumiewające można spotkać w dziedzinie muzyki. Beethoven umożliwił znalezienie bezpośredniego i przejmującego wyrazu wielu myśli i uczuć, które były dotychczas niewyraźne nawet dla wysoce utalentowanych jego poprzedników dlatego po prostu, że nie istniał odpowiedni język muzyczny. Odkrycia estetyczne Beethovena, wyzyskane zostały przez innych w celu wyrażenia myśli i uczuć o wiele niższego gatunku. To samo dotyczy wszystkich wielkich nowatorów muzyki XIX wieku. Dzięki Beethovenowi, Wagnerowi (który sam był smętnym ordynusem), Rymksiemu-Korsakowowi, Debussyemu i Strawińskiemu, współczesny kompozytor muzyki jazzowej, ma możliwość wyrażenia (z jaką zdumiewającą biegłością techniczną!) każdego cienia wszelkich najniższych uczuć, od pawianiej chuci, aż do mdlącego roztkliwiania się nad sa-

mym sobą, od bezdusznej zbiorowej hysterii, wyjątych tłumów, aż do cikliwego samogwałtu "Traumerei".

Pierwszym popularnym walcem był — jak już pisałem przed kilkoma laty — "ach, du lieber Augustin". Porównajcie tę naiwną głupią melodię z ulubionym walcem lub bluesem dzisiejszym. Jakże ogromną przebyliśmy przestrzeń! Ale ku jakiemu celowi. Dreszcz przechodzi, kiedy to sobie wyobrazić. A cały dowcip — okrutny i żaloszny — polega na tym, że tę karykaturę postępu umożliwia praca kilku najszlachetniejszych i najsobotniejszych duchów, jakie dała historia".

A więc, już kilkanaście lat temu, Huxley przeczuł to, co obecnie jeszcze jest w ciągłym rozwoju. Przy postępie naturalnym sztuki, jak cień, rozmiarami większy, kroczy postęp tandety i deformacji wprost bezczelnej; obok pożytecznej produkcji, szkodliwa wręcz nadprodukcja, i obok jeszcze świeżego materiału na "słuchanie muzyki", fermentujący już tłum zblazowanych słuchaczy, przeważnie słyszących, ale niesłuchających. Kto wie, czy spod tej powłoki kiedykolwiek sztuka się wydośnie, a powłoka ta jest coraz grubsza.

Jan HOLCMAN

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY

I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11

Tel. BATtersea 0879

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy

Coco de Oro

"Coco de Oro" wpłynął pod wieczór do zatoki Amatique i zbliżał się do Puerto Barrios, atlantyckiego portu Guatemali. W tym roku pora sucha przedłużała się nieznośnie i choć maj dobiegał już końca, nic nie zapowiadało nadchodzącej zmiany. Zieleń wybrzeży i wysepek zszarzała, z każdym dniem upał wzrastał się i jedynie nagromadzona już od dawna w powietrzu wilgoć mąciła kolor nieba, jakby w błękitcie rozlały się miliardy litrów mleka. Chylące się ku zachodowi słońce prażyło jak przez soczewkę, czasem gdzieś od południa dobiegł przytłumiony odgłos grzmotu i dalej trwał upał.

W miarę zbliżania się do lądu temperatura wzrastała i od wybrzeża biło gorąco, jak z paleniska. W mlecznym oparze, prześwieconym niskim słońcem, Puerto Barrios wypełzało z zieleni i wyraźniało z każdą minutą. Kapitan Świdkiewicz stał na mostku i mocował się z najmłodniejszym typem amerykańskiej zapalniczki. W końcu dał za wygraną i zwrócił się do stojącego przy kole sterowym marynarza:

— Wacek, daj no ognia!

Wacek sięgnął wolno lewą ręką do kieszeni i podając pudełko zapalek, zauważył przed siebie:

— Zawsze mówię, panie kapitanie, że krzesiwo i hubka najpewniejsze.

Kapitan Świdkiewicz uśmiechnął się, starł wierzchem dłoni pot osiadły wokoło ust i zapalił papierosa. Zakaszłał się.

— Psiakrew, jak długo będzie to jeszcze trwało? W czasie pory suchej jego chroniczny bronchit dawał mu się szczególnie we znaki.

— Tam już pewnie kaktusy zaczęły kupować "Coca Cola" — odrzekł Wacek swoim cienkim, piskliwym głosem, oddzielając słowo od słowa cmokaniem, które wydobywało się ze składowych szybko w ryj warg. Twierdził nie bez pewnej dumy, że jest to "nerwowe — od dziecka". Na wszystkich statkach zawdzycał temu tikowi przewisko "Cmokacz". Świdkiewicz znowu uśmiechnął się i wsparty plecami o ścianę sterowni patrzył przed siebie. Przesuwał w głowie daty, coś obliczał, ale było to bardziej podobne do manipulowania łyżką w syropie, niż do myślenia. 21-go maja wieczorem Puerto Barrios, dwa dni postoj, wyładowanie i załadowanie, to znaczy do 24-go

wieczorem, w międzyczasie, w nocy... Jedno jest pewne, że trzeba będzie to mu umiejętnie wylądować... Że też nie mogli tego wysłać jak zwykle jako części do traktorów... Te odbiory wprost ze statku...

— Wacek, uważaj, żeby tych maszyn do pisania nie wyciągnęli razem z resztą, bo mogłyby być kłopoty jak w Limon ostatnim razem — powiedział kaszłąc i przecierając gardło chrząkaniem.

— Ani mucha nie usiadzie, panie kapitanie. Tatusz nieboszczyk zawsze mi mówił, że z muszkietem ostrożnie, bo to broń palna. Ciekawość, czy im tym razem pójdzie; choć tu nigdy nie wiadomo, dla kogo ten szmelc.

— W Guatemali ciągle spokój — co?

— Można tak powiedzieć, ale za naszych czasów już nakryli trzynaście kombinacji, a przedtem pięć — razem osiemnaście sztuk.

Wacek, poza tym, że był na "Coco de Oro" czymś w rodzaju pierwszego oficera, radiotelegrafistą i w ogóle najbardziej uniwersalnym członkiem załogi, spełniał także pośrednie funkcje sekretarza Świdkiewicza. Było to jedno z tych niezwykłych wśród Polaków połączeń sprytu, inteligencji i rozsądku prostego chłopaka. Ciekawość, chęć uczenia się ciągle czegoś nowego (co jest już mniej charakterystyczne dla Polaków) pozwoliły mu jeszcze przed wojną osiągnąć stopień bosmana na węglowcu, na którym pływał przez dłuższy czas razem z Świdkiewiczem. Tu Wacek w każdym porcie kupował gazety i polityka pasjonowała go, jak rozgrywki piłkarskie. Wszelkich informacji z tej dziedziny Świdkiewicz zasięgał u niego, a po wyczerpaniu wielkiego programu Rosja - Stany Zjednoczone, Wacek z lubością nurzał się w prowincjonalnych intrygach karaibskich. Znał nazwiska i koligacje, ruchem konia szachowego skakał po całej Ameryce Środkowej i wyspach i kończył zwykle swój wykład stereotypową sentencją: "Tu przynajmniej jest wesoło". Świdkiewicz milczał chwilę i znowu kaszłąc, wykrztusił z trudnością:

— Zdaje się, że będziemy także coś ładować...

Wacek błyskawicznie odwrócił się i pisnął:

— Kobity!?

Okrzyk ten przypomniał w tonie pęknięcie dętki samochodowej. Świdkiewicz zaśmiał się tym razem szeroko, co spowodowało atak rzęziwego kaszlu. Zawsze to samo. Niespełnione dotąd marzenia Wacka i ciągła nadzieja. Nie — to byłoby już za wiele. Ostatecznie jest człowiekiem przyzwyczajonym. Oparł się silniej i z godnością o ścianę, wsunął jakby sam w siebie i znowu zamyślił się.

Próbował powrócić do dat, do rozkładu jazdy. Ale wszystkie te obliczenia zamiast posuwać się naprzód, zawracały i pojawiały się raczej w czasie przeszłym, niż przyszłym. 21 maj — już prawie cztery lata od czasu, gdy wylądował w Wenezueli. Przedtem... O tym okresie w Oflagu, o uwolnieniu, o intere-

sach nie lubiał myśleć. Szczególniej przy interesach maci taktownie grunt, żeby samemu nie móc się zbyt dobrze rozejrzeć na większych głębokościach. Powracało to jednak dosyć uporczywie. Maj... Most we Frankfurcie... Ostatnia jazda... Mniejsza z tym — bez tego nie byłoby "Coco de Oro" i nowego życia.

Wychylił się przez okno. Linia lądu pociemniała, zgrubiła. Spód płóciennego dachu rozpiętego nad przednim pokładem dobiegały głosy kolorowej hołoty z Cienfuegos, czasem poszczególne słowa poważnego Walka, opowiadającego kulawym hiszpańskim o zimie w Polsce. Przekonawszy się, że nie ma ani cienia powiewu i powietrze gipsuje usta, powrócił do poprzedniej pozycji.

Likwidacja interesów w Paryżu i w lipcu odjazd z Antwerpii na belgijskim "Liberty" z cementem do Wenezueli. Nie znał tych mórz i krajów. Jego kariera marynarska w Polsce zaczęła się na węglowcu i zakończyła na węglowcu, na tle kilku tych samych portów północnych. Caracas. Nafta narzuciła tu tempo życia trochę amerykańskie; błąkał się oszołomiony, obcy. W jednej z gazet przeczytał ogłoszenie: "Okręt, 800 ton, 6 kabin I-ej, 1 trzeciej, do sprzedania 47.000,— boliwarów, informacje La Guayra, Agencja Paz". Tego samego dnia zjechał w dół taksówką i oglądął go. Nazywał się "Santa Maria". Stał na redzie i odznaczał się tym, że gdy wszystkie statki wocho tkwiły w wodzie, jak rafa, "Santa Maria" kiwała się i rzucała, jak pies na łańcuchu. Świdkiewicz namyślał się, kalkulował. Na przybrzeżny tramwaj zupełnie dobry i swoje można było z tego wyciągnąć. 47.000.— boliwarów stanowiło w dolarach prawie cały jego kapitał. Wieczorem siedział w jednej z portowych "cantinas" i obliczał wszystko w notesiku. Wtedy to usłyszał nagle nad sobą cmokanie i piskliwy głos:

— Panie kapitanie, melduję, że spotykamy się w La Guayra.

Wacek stał naprzeciwko i uśmiechał się radośnie, cmokając ze zdwojoną szybkością, co bywało u niego oznaką wszelkich wzruszeń. Świdkiewicz zerwał się z krzesła i ścisnął go serdecznie.

— Na całym świecie nas pełno, ale tego nie spodziewałem się. Siadaj Wacek i opowiadaj.

Wacek usiadł z szacunkiem i zdał sprawę w kilku słowach:

— Wojna z naszymi w czasie wojny i po wojnie w Anglii — cmoknął porozumiewawczo — a teraz u Amerykanów na "Phantom". Co robić? Ciągnie do Polski, matka i siostry pi-sza, żeby wracać, ale mnie się to nie podoba, choć tam też jak na statku: szerokie horyzonty, rzygać się chce i wysiąść nie można. Zaśmiał się piskliwie przy tym popularnym w tym czasie "morskim" dowcipie krajowym.

Był bardzo dumny ze swojego "Phantoma": — Wszędzie air conditioned, wszystko z aluminium, chłodno jak na Zaduszki i czysto, jak w klinice, jedzenie dobre — opowiadał.

Świdkiewicz wtajemniczył go w swoje projekty. Nazajutrz w południe Wacek przyszedł do restauracji, w której Świdkie-

wicz jadł obiad i oświadczył, że zszedł z "Phantoma". Pot lał się z niego strugami, koszula przemokła na plecach i głos miał jeszcze piskliwszy niż zwykle. Świdkiewicz spoglądał ubawiony, a Wacek wycedzał:

— Już nie mogłem dłużej. Za chłodno i za dużo drobiu... A ta "Santa Maria" to złote kokosy...

Ten był pierwszy. Świdkiewicz kupił "Santa Maria" w kilka dni później, szukał ludzi, organizował. To wszystko wśród ciągłych narzekań Wacka, któremu nazwa statku stanowczo nie odpowiadała.

— O, "Coco de Oro", panie kapitanie; to bardziej pasuje, bo wiadomo, że różańców nie będziemy wozic — powtarzał z uporem.

Jako człowiek wierzący, Świdkiewicz miał pewne skrupuły, które dałyby się streścić w swego rodzaju obawie przed narażeniem się. W końcu jednak doszedł do wniosku, że nazywanie byle czego imionami świętych jest jedną z odrażających cech hiszpańskiego katolicyzmu i choć było z tym sporo kłopotów i formalności, zmienił "Santa Maria" na "Coco de Oro". Jugosłowiański mechanik zgłosił się do obsługi Diesli, sympatyczny student politechniki, Bułgar, na pomocnika, czterech Chińczyków i kucharz Włoch weszli na pokład jako pierwszy skład. Potem szło już wszystko powoli samo. Świdkiewicz ruszał się dobrze, rozszerzał swój zasięg stopniowo i po blisko czterech latach znany był we wszystkich portach od Wenezueli aż po zatokę Meksykańską. Przed rokiem zmienił banderę z wenezuelskiej na guatemalską, gdyż kalkulowało się to lepiej ze względu na duże ułatwienia, jakie otrzymał od ówczesnego rządu. Zdana wyłącznie na łaskę i niełaskę "Białej Floty" United Fruit Company, postępowo i od niedawna demokratyczna Guatemala uniezależniała się, jak o tym dumnie pisano w gazetach tego kraju. W czasie jednego z postojów w Colón weszli na statek Walek i starszawy już Michał, dwaj uciekinierzy z jakiegoś polskiego okrętu, którzy "mieli dość". Na "Coco de Oro" zrobiło się swojo.

Linia Świdkiewiczza przynosiła dobre zyski, a przewóz części do traktorów różnego kalibru i w magazynkach bywał zawsze wysoko opłacalny. I teraz Świdkiewicz doliczał już w głowie ostatni fracht, choć myśl o cichym wyładunku nie dawała mu spokoju. Wolał zawsze legalnie. Wyglądało to w ten sposób, że wszystkie skrzynie miały napisy "Caterpillar", "Le Tourneau" lub "John Deere", listy przewozowe doskonale podrobione i świadectwa pochodzenia czyste. Nie wiadomo dlaczego, ale w całej Ameryce Środkowej istniał zwyczaj, że na cle nigdy nie otwierano przesyłek tych znanych szeroko firm traktorów i maszyn rolniczych. Wszystkie rządy używały ich do budowy dróg i uprawy, darzono je zaufaniem. Skrzynie przechodziły legalnie i normalnie przez cło. W kontrabandzie bronią ten rodzaj transportu był tu niemal instytucją. Świdkiewicz zastanawiał się, co mogło być przyczyną nagłej zmiany instruk-

cyj. Czyżby gdzieś wykryto ów niezawodny dotąd system? Wyjął z kieszeni notes, aby odszukać nazwisko pierwszego kontaktu w Puerto Barrios. Spomiędzy kartek notatnika wyślizgnęła się postrzępiona fotografia jego ojca i podnosząc ją z ziemi (to był człowiek) przypomniał sobie, że za dwa tygodnie wypadła rocznica śmierci. "Trzeba będzie dać na mszę w katedrze w Bogocie" — pomyślał i zaczął zastanawiać się, czego mógł chcieć od niego Merling. Telegrafował do Cienfuegos, że czeka w Barrios — "asunto importante".

Od strony lewej burty zaczęły się już wyraźnie rysować się kontury Punta Manabique, długiego i wąskiego przylądka, stanowiącego jakby naturalny i daleko wysunięty falochron Puerto Barrios. Świdkiewicz wyszedł ze sterowni i poszedł do kuchni napić się mleka z kroplami na kaszel. Przypomniał kucharzowi o konieczności odświeżenia zapasu owoców. Potem może iść na ład. Chińczyków i załogę maszyn pozwałniał także — w nocy wolał mieć na pokładzie tylko swoich. Potem wrócił na mostek i oparł się znowu o ścianę poza plecami Wacka.

— Jakoś tam pusto...

— Możliwość, że znowu strajkują — odpowiedział Wacek.

Świdkiewicz zamilkł. Stanowczo ten nocny wyładunek był nieprzyjemny. Przyłożył do oczu lornetkę. Niskie magazyny, betonowe molo, płatanina szyn kolejowych — wszystko było opuszczone i ciche. Te pograżone w zieleni i jakby omszałe porty przypominały mu zawsze mnicha nad stawem, tam, wśród lat dziecinnych. "Coco de Oro" zwolnił, z portu wypłynęła motorówka z pilotem, Walek opuszczał sznurową drabinkę. Po chwili pilot wszedł na mostek, przywitał się ze Świdkiewiczem i z Wackiem. Był to dobry znajomy, stary Niemiec, osiadły tu od blisko czterdziestu lat. Gruby i zawsze uśmiechnięty, już żyty całkowicie z otoczeniem i poświęcający cały swój wolny czas studiom nad gatunkiem cebuli, który by się udał w tropiku na poziomie morza i posiadał wszystkie cechy normalnej cebuli. Obiecywał sobie z tego wynalazku olbrzymie dochody. Świdkiewicz mówił z nim po niemiecku i stary Reichert uważał go za swojego przyjaciela.

— No, Herr Reichert, co słyhać? Nie widzieliśmy się już od sześciu tygodni. Jak tam ta cebula z Madery? Wyjdzie co z tego?

— Zdaje mi się, że tym razem jestem na dobrej drodze — uśmiechnął się tajemniczo i z wdzięcznością Reichert. "Poza tym przestałem palić i żuję "chile". To jedyne lekarstwo. Ten chroniczny bronchit u pana, to z papierosów. No i od czterech tygodni mamy strajk robotników "United". Nasi strajkują, a "United" blokuje. W Guatemali brak już niektórych towarów; nawet maszyny sprowadza się drogą lotniczą, a w N. Yorku i w N. Orleanie odmawiają przyjmowania ładunków, bo składy pełne. Co robić — tu naukę demokracji zaczyna się od organizowania strajków — dodał melancholijnie.

— Można będzie wyładować? — zapytał Świdkiewicz i po-

czuł pewną ulgę, bo już z góry przewidywał, że w takiej sytuacji wszystko pójdzie łatwiej. Reichert zaśmiał się ironicznie.

— Wprawdzie obstawili ich Hiszpanami, ale za pięć centavos więcej znajdzie pan zawsze ludzi. A zresztą Graf von Merling załatwi to panu. Czekaj tu już od wczoraj. Zdaje się, że zrobił dobry interes, bo kupił transport "White Label" i "White Horse" eksportowego i teraz sprzedaje to whisky z powrotem Anglikom. Oni dobrze płacą.

— Motorówkami z Livingstone na British Honduras jak zwykle, co? Tymczasem już pewnie połowę wypili.

— Jemu dużo nie trzeba. Ale to mądry człowiek — odparł z szacunkiem Reichert.

Po kwadransie "Coco de Oro" dosuwał się wolno do mola. Na dole stał Merling, wytworny, w białym ubraniu z cienkiej gabardiny tropikalnej i zdjąwszy z głowy białą czapkę, wywił ją w stronę Świdkiewicza, krzyżąc po polsku:

— Masła nima, jajków nima, kozaki wszystko zabrali, *what's cooking Herr von Schwidkewitsch!*

Było to tradycyjne powitanie. Merling był potomkiem, bo daj że ostatnim, starej arystokratycznej rodziny kolonistów niemieckich z Estonii, spokrewnionej z kilku znakomitymi rodami w Niemczech. Za młodu studiował agronomię w Dorpacie, skąd oprócz paru wytwornych cięć od rapiera wyniósł — jak zwykł był mówić — Kanta i nienawiść do wszystkich innych filozofów niemieckich, a jego młodzieńcze studium o Heglu zostało uznane za skandal rodzinno-narodowy, czym się naprawdę szczycił. Służąc w czasie pierwszej wojny w armii rosyjskiej, dostał się zaraz na początku do niewoli niemieckiej i zwolniony dzięki stosunkom możliwych krewnych, wałęsał się do końca na tyłach jako doradca dla spraw rolniczych okupacyjnej administracji cesarskiej. W tych podróżach sporo czasu spędził w Polsce. Poznawszy dwa lata temu Świdkiewicza i dowiedziawszy się, że jest on Polakiem, ścisnął mu długo dłoń i mówiąc po niemiecku "Wiem, znam świetnie, u was zawsze to samo" wyrecytował po polsku jęklwym, doskonale podchwyconym tonem wiejskiej baby typową skargę chłopca z czasów tamtej wojny. Reforma rolna w Estonii pozbawiła go całego majątku rodzinnego i po kilku latach arystokratycznej vegetacji w Niemczech, wyemigrował do Guatemali, będącej w tych czasach nieoficjalną kolonią niemiecką. Marzeniem jego było odbudowanie tutaj rodzinnego majątku, ale pomimo, że przekroczył już dobrze szesćdziesiątkę, dorobił się tylko dochodowego sklepu z delikatesami połączonego z kawiarnią. Twierdził, że od kupna ziemi wstrzymuje go jedynie obawa reformy rolnej, ale w rzeczywistości całe swoje dochody przepuszczał na luksusowy tryb życia i na podróże po całym kontynencie wraz z wyspami, co — jak mówił — było mu potrzebne do jego badań nad krajami łańcińskimi, o których miał zamiar napisać wielkie studium. W Guatemali chodziły o nim głuche wieści, że jest ponadto ojcem około setki dzieci,

szczególniej w prowincji Coban, znanej z prześlicznych Indianek o blond włosach. Obcierając lewą ręką pot wspaniałał chustką z holenderskiego płótna z wielkim monogramem, prawą ścisnął dłoń Świdkiewicza.

— Herr von Schwidkewitsch, cieszę się. Wiele spraw do omówienia, bardzo wiele zależy od pana. Jak dobrze pójdzie, to odbuduję mój Meyküll. Zamiast zboża kawa, cukrownie po staremu. Choć mówią, że tutaj reforma rolna tym razem powinna. W każdym razie mówi się o tym poważnie — jeżeli poza komunizmem można w tych krajach w ogóle uważać cokolwiek za poważne. Ach, ci Hiszpanie! Cóż za nieudana mieszanina z tego wyszła. Herr von Schwidkewitsch — straciłem do reszty wiarę w kontynenty łańcińskie. Olbrzymi rezerwuar ludzki, ale z punktu widzenia gatunku człowieka, bez wartości. Robię, co mogę, aby ich uszlachetnić — zaśmiał się — ale nic z tego wychodzi.

Zapach wody kolońskiej Yardleya, lekki opar whisky i woń cygar mieszały się wokół Merlinga jak wypowiedane przez niego beładnie myśli. Zawsze imponował tym Świdkiewiczowi, a nigdy nie opuszczane "von" w ustach tamtego pozwalało mu czuć się równym w towarzystwie tego bałtyckiego arystokraty. "Dobra krew jest zawsze dobrą krwią" myślał i sięgał nie dbale po masywną papierośnicę ze złota (Bruksela) z herbem Świdkiewiczów, częstując Merlinga słodkawym papierosem z Kuby. W jej trzasku, przy zamykaniu, też krył się pewien wyjątkowy i raczej już zapominany dźwięk. Papierośnice trzaskały w ten sposób tylko w rękach ludzi naprawdę dobrze urodzonych.

— Głupstwo — porozmawiamy o tym wieczorem. Teraz zostawiam pana na pastwę tej anarchistycznej biurokracji hiszpańsko-indyjskiej; nie ma nic gorszego, niż "une stricte bureaucratie anarchique" wtrącił po francusku — a o 8-ej jemy razem w "Central". Herr von Schwidkewitsch — ostrzygi! Prawdziwe, z lodu, nie to łuskane świństwo amerykańskie z puszek. Skąd? Tajemnica. Z Arcachon — mon cher, transport super-soniczny, postęp, jedyna realna korzyść z szybkości. Do tego — musnął ucho Świdkiewicza krótką, starannie przyszyroną bródką — "Zeller Schwarze Katze". Prawdziwe, najprawdziwsze mozelskie. Ale idę już, bo mam tu coś do załatwienia z Anglikami. Zapewniam pana, że jeszcze parę miesięcy rządów tych laburzystów, a najprawowitsi Anglicy prześcigną Al Capone.

Podał rękę i żwawym krokiem ruszył w stronę portu, przeskakując zgrabnie przez skrzyżowania szyn. Na tle spopielałej zieleni i brudu portowego tylko jego białe ubranie i olbrzymie świeczniki białego kwiatu "izote", poustawiane daleko wśród wyleniałych palm, stanowiły jaśniejsze plamy. Dalej błyskały młdym srebrem słomkowe kapelusze robotników siedzących bezczynnie pod ścianami budynków. W tym sezonie ostatnim krzykiem mody był kapelusz słomkowy, omalowany farbą alumi-

niową. Jakiś sprytny handlarz "pinturas" przekonał ludzi, że pomalowany kapeluszy jest trwalszy w porze deszczowej i zdołał w ten sposób rozsprzedać po starych cenach cały zapas puszek, sprowadzonych z U.S.A. jeszcze przed ogólną zniżką. Gorąco panowało nieznośne, lepkie, przesycone kurzem. Niebo zaciągnęło się i Świdkiewicz pomyślał, że powinien wreszcie spaść deszcz.

Wrócił na statek, doglądając wysiadania pasażerów, wydał zarządzenia, przebrał się i wyszedł załatwić formalności w kaptanacie. Potem do Pettersena, który był tu jego agentem. Ponury Norweg powiedział mu, że wskutek "blokady" już od dwóch tygodni nie przyjmuje ładunków, gdyż i tak "Coco de Oro" wyjdzie z Barrios zanurzony, jak pełna berlinka. Oczywiście, jeżeli uda się zebrać ludzi do pracy. Z tym mogą być kłopoty, bo z jednej strony rządowi agitatorzy strajkowi sprzeciwiają się na pewno, a z drugiej strony Amerykanie z "United" też nie będą zadowoleni, że przełamuje się ich "blokade". — "Jak chce z nami dobrze żyć, to zrobi tak, że nie wypłynię" — miał powiedzieć całkiem szczerze Barret, przyjaciel Pettersena z "United", o którym mówiono, że jest nie tylko zwykłym urzędnikiem... Tymczasem najpoważniejszy klient, guatemalska fabryka butów "Maya" żądała natychmiastowego transportu do Kolumbii. Telegrafują codziennie. Pasażerowie też oczekiwali. Świdkiewicz przejrzał listę. Jedenastu murzynów z przybrzeżnych wysepek Hondurasu, sprowadzonych do pracy przez jedno z wenezuelskich towarzystw naftowych. W I-ej klasie młode małżeństwo meksykańskie, dwie Amerykanki (samotne turystki — zobaczymy... pomyślał), jakiś Hiszpan (na pewno agent komunistyczny, wysłany na robotę do Kolumbii), dwóch młodych Niemców (repatrianci) i Rumun (pożyczka z IRO i wycieczka do innych krajów w poszukiwaniu następnej). Znał już na pamięć swoją klientelę. Wszyscy do Cartageny. Namyślał się chwilę i właściwie miał ochotę to przewlec. Najbardziej chodziło mu o dobre stosunki z Amerykanami. Postanowił jednak poradzić się jeszcze z Merlingiem. Wychodząc od Pettersena, spotkał przy wejściu jakiegoś wytwornego młodzieńca pochodzenia miejscowego. "Rigoberto" — przedstawił się. Było to umówione imię kontaktu. Przeszli do pobliskiego ogrodu i w cichej rozmowie ustalili termin odbioru na noc, na godz. 1-ą.

— Tam już wszystko załatwione — skinął młodzieniec głową w kierunku straży celnej i z wykwitnym "mucho gusto" pożegnał się. Świdkiewicz zwrócił uwagę, że wsiadł on do rządowego "jeepa". Mają chody — tym lepiej. W sumie wolałyby jednak mieć to wszystko poza sobą i koło żołądka czuć lekkie ucisk.

O zmroku upał wzmógł się jeszcze bardziej, powietrze zamieniło się w roztwór plastyku. Panowała absolutna cisza siekana od czasu do czasu dźwiękami automatycznego gramofonu, dolatującymi z jednego z domów publicznych albo ordy-

narnymi przekleństwami papug z okolicznych lepiarek robotniczych. Gdzieś na niewybrukowanych jezdniach, które w czasie deszczu zamieniały się w bagna, leżeli pijani ludzie i idąc, Świdkiewicz musiał omijać kałuże wymiotów, wokoło których gromadziły się flegmatycznie sępy, wydziobując z nich kawałki jedzenia. Puerto Barrios strajkowało i piło do nieprzytomności, na ogół bez awantur, tępo, po indyjsku. Świdkiewicz pokaszliwał i przeklinał w duszy cały tropik. Jak obraz rajy stawała mu przed oczami Gdynia. Albo Sztokholm — lato, ciepło, szwedzkie dziewczęta w szortach na rowerach, w tramwajach, na ulicach. Usiadł w "Centralu", przeglądał ilustrowane pisma, zapisał skrupulatnie w notesiku nazwy jakichś dwóch nowych środków na kaszel, popijał swój "Cuba libre" i czekał na Merlinga. Ściemniło się, w szklanych rurkach pociekło światło neonowe. Do stalowych siatek w oknach zaczęły lepić się ćmy, czasem trzaskała w nie jakiś wielki owad jakby ktoś rzucał kamieniami i do hallu wsączała się przeceudzona, esencjonalna nuda tropikalnego wieczoru.

Około 8-ej wszedł Merling. Musiał już sporo wypić przedtem, ale było widać, że nie przekroczył swojej dawki. Przeszli do jadalni.

— Na pewno będzie deszcz. Najwyższy czas. Nawet ja zacząłem już pić whisky z wodą — powiedział, siadając przy stoliku.

Śnieżno biały kelner wniósł półmisek z ostrygami na grubej warstwie lodu i wiaderko z zapowiedzianym winem. Merling poprosił o korkociąg i trochę drżącymi rękami sam zabrał się z wprawą do otwierania butelki.

— Wie pan, kiedy się pierwszy raz w życiu upiłem? To było za moich dziecinnych lat, na statku na Woldze. Płynąłem wtedy z ojcem i było tak samo gorąco. Choć nie — w stopniach było może to samo albo i więcej, ale rodzaj zupełnie inny. Pan nie zna Rosji? Ojciec dał mi szampana. Miałem 12 lat. Cóż za świat... ile światów...

Świdkiewiczowi przypomniały się pod wpływem tego jakiegoś wakacje na wsi. Sierpniowy upał siał się po ścierniskach i tylko w tej "jego" debrze było chłodno. Życie dziwne, jakby rozciągnięte ponad miarę; raczej cały szereg żyć i ludzi odrębnych w jednej osobie. W tej chwili wydało mu się, że przeżył nie czterdzieści trzy lata, lecz olbrzymią ilość czasu.

— Nie wiem, czy ktoś, kto się tu nie urodził, może naprawdę przyzwyczaić się do tego świata — odrzekł ze smutkiem. Jedli przez chwilę w milczeniu.

— Żeby ich diabli wzięli z tym Flitem — Merling pociągnął nosem. Nie jestem pewny, czy nie naflitowali nam także ostryg. Ale wracając do spraw najważniejszych: mam dla pana przesyłkę. Chodzi o to, żeby przewieźć to do Cartageny i oddać w pewne ręce. Nie ma tego wiele — trzydzieści skrzyń z mydłem krajowym. Po dowiedzeniu tego — pochylił się nad stolikiem

i wymienił szeptem bardzo poważną sumę dolarów. Świdkiewicz spojrzął przed siebie, dostrzegł gdzieś w przestrzeni cyfry swojego konta w guatemalskim "Banco de Londres" i doliczył do nich usłyszane przed chwilą. Wzrost był kuszący.

— Zgadza się pan? zapytał głośniej Merling, odchylając się na swoim foteliku. Świdkiewicz namyślał się. Znowu propozycja takiego wyładunku i to do tego w Cartagenie. Od czasu sławnej rewolucji w Bogocie, Amerykanie zdecydowali się tam wreszcie na wzmocnienie kontroli i ryzyko było większe. Ale...

— Raczej tak. Tylko czy wszystko zostało rozplanowane w ten sposób, że nie naraża — szukał godnych słów — że nie naraża "Coco de Oro"?

— Jak w bombie zegarowej! Może pan być najzupełniej spokojny.

— I nie żadne... narkotyki? Bo pan wie, że ja tego nie...

— Herr von Schwidkewitsch, *fi donc!* — zareagował żywo i szczerze Merling. Przecież pan wie, że są pewne rzeczy, którymi ludzie naszego pokroju nie zajmują się. Zgarniając z półmiska kilka ostatnich ostryg, Świdkiewicz jeszcze się wahał. Merling nie chciał mu powiedzieć, czym jest naprawdę to mydło, twierdził, że nie jest do tego upoważniony, ale że nie jest to nic takiego, co przekraczałoby pewne granice... Od otwartych okien doleciał cichy, odległy syk i równocześnie powiało chłodem. Nadlatywał deszcz. Kelner wniósł kurę z różną i czerwone wino hiszpańskie. Syk za oknami przechodził w coraz głośniejszy szum. Ściana wody, sunąca od południa, parła przed sobą powietrze i wciskała je przez okna. Ze stolików pofrunęły obrusy pociągając za sobą małe koszyczki z pospolitymi orchidejami. Chcąc upewnić się, Świdkiewicz zapytał:

— O jakie granice panu chodzi? Jeśli dobrze zrozumiałem...

W tej chwili deszcz był już blisko i zwał się na dach z hukiem olbrzymiej fali morskiej.

— O granice pewnej moralności — krzyknął Merling, aby być słyszonym. Zdewaluowanej, ale moralności. Tej dewaluacji nie należy przyspieszać, a w każdym razie nie powinniśmy tego robić my.

Czasem jakieś bardziej skomplikowane cięcie przy oczyszczaniu kurzego uda zatrzymywało go na chwilę w jego wywodach. Światło zaczęło przygasać, neony słabły i dostawały czkawki, potem rozblyskiwały normalnie. Nadchodziła burza.

— Wielu rzeczy, których nasi ojcowie nie czynili dlatego, że tkwiły w nich bądź za szczątki przykazań boskich, bądź przykazań kasty — ciągnął Merling — nie będące zresztą niczym innym, niż świeckim wydaniem tamtych, my nie popełniamy już tylko dlatego, że grozi to po prostu kryminałem. Zaśmiał się. Ale zachowaliśmy jeszcze resztki resztek przesądów klasowych, jak to się obecnie określa, i wobec tego ani pan, ani ja nie doszliśmy jeszcze do punktu, w którym z jednakową swobodą wewnętrzną zajęlibyśmy się organizacją trustu domów

publicznych w Ameryce Środkowej i transportem mydła nie będącego mydłem.

Merling dolał wina. Ulewa wyraźnie go podniecała. "Zaczęło się" — pomyślał Świdkiewicz i choć z trudnością nadażał za tokiem takich myśli i tego rodzaju wynurzenia raczej męczyły go, starał się wysłuchiwać ich z uwagą. Przydawały mu się już nieraz do rozmów towarzyskich na pokładzie, szczególnie z pięknymi turystkami. Słowiański urok, ów znany "charme slave", polegający w rzeczywistości na mglistym i uduchowionym sposobie powtarzania tego, co nie Słowianie wyrazili już przedtem w sposób ścisły i uchwytny, stawał się w jego wykonaniu naprawdę nieodparty.

— Trudno i darmo — wszystkie zagadnienia polityczne, społeczne i ekonomiczne dzisiejszego świata sprowadzają się do jednego: jak powstrzymać tę najgorszą ze wszystkich dewaluacji — Merling zapalił się i przekrzykiwał huk deszczu — jak zapobiec ciągłemu spadkowi kursu tych wartości, które w pewnym okresie, pomimo ograniczonego obiegu, były jednak uznane za wartości nie podlegające dyskusji. I — carramba — były i są nimi jeszcze ciągle. W tym wypadku podzielam najzupełniej przekonania Péguy, iż trudno spodziewać się, aby jakikolwiek człowiek lub jakakolwiek ludzkość mogły rozsądnie szczyć się tym, iż prześcignęły Platona. Istnieje tu prawo skończoności.

— Byłbym raczej za Chrystusem — odkrzyknął Świdkiewicz. Wśród ogłuszającej ulewy odezwały się pierwsze grzmoty burzy. Wszedł czarny boy i pozamykał okna. Zrobiło się ciszej i Merling mógł mówić normalnie.

— Może pan ma rację. Bo Platon nigdy nie doszedłby do pojęcia dogmatu. Zamyślił się. Wie pan — ten świat nie jest już naszym. Jesteśmy przeżytkiem razem z naszymi platońskimi ideałami. Człowiek tej epoki, jak może żadnej innej przedtem, chce wierzyć i żąda dogmatu. A nam jeszcze ciągle wydaje się... Jest to może bardzo smutne, ale te czasy nie uznają marginesu; zrozumienie półtonów zanika w piorunującym tempie. Żąda się kodeksu krótkiego i brutalnie zrozumiałego, żąda moralności — wszystko jedno jakiej — boskiej czy diabelskiej. I niczego pośrodku. Oparty o jedną lub drugą, człowiek jest nadal gotowy do największych poświęceń. Gdy zawini, chce wiedzieć dlaczego i wobec kogo zawinił. My mówimy mu, że wobec siebie, że wobec społeczeństwa, żonglujemy granicami winy, moralności i odpowiedzialności, jak cyrkowi kuglarze. Merling zaperzył się. To są nonsensy. Jeżeli komunizm szerzy się jak płomień, to także dlatego, że jest religią obudowaną dogmatami. Szatańską, ale nią jest; i jest także moralnością... i systemem wychowawczym.

— Jednakże cała polityka i myśl Zachodu wskazują na daleko idące okrzepnięcie — rzekł Świdkiewicz, biorąc z salaterki faszzerowaną oliwkę i zagryzając nią drugie danie.

— A, niewątpliwie; tylko że mnie osobiście przypomina to

jeszcze ciągle samochód Ligi Antyalkoholowej, prowadzony przez pijanego szofera. Wycierał starannie usta. Zachód to my. Niezdecydowane dobro i niezdecydowane zło. To także resztki wspaniałej syntezy Grecji, Rzymu i Chrystusa, z której pozostało kilka coraz to mniej zrozumiałych Greków, olbrzymi tłum zmaterializowanych i zdemoralizowanych patrycjuszów i pogańskiej hołoty z Subury oraz paru chrześcijan wyznających tę religię do granic własnej wygody. A okrzepienie? Mon cher, naszym najsilniejszym argumentem i bronią w walce z komunizmem jest jeszcze ciągle tych kilku "nawróconych" komunistów, których otaczamy aureolą i wysuwamy na pierwszy plan przy każdej sposobności. I cieszy nas najbardziej nie fakt, iż uwierzyli oni w coś innego, lecz to, że przestali wierzyć. To bardzo dla nas charakterystyczne. Merling znowu podniósł głos. A dalej liczymy, że przełom, któremu ulegli, wyzwoli w nich prawem reakcji to coś, o czym śnimy, tę jakąś decydującą siłę przekonywania i argumentacji neofitów, na którą nas nie stać. Przypominamy w tej walce wodza, który liczy na zbiegów z szeregów nieprzyjaciela, a nie na własne oddziały. Właśnie pan — jeżeli chodzi o mnie, to przestałem już w ogóle czytać i przejmować się wynurzeniami zbiegów, bo napawa mnie to niemal rycerskim wstydem. Szukam broni całej, a nie lutowanej.

Świdkiewicz co pewien czas potakiwał z powagą i na różny ton, mając przy tym minę ministra oprowadzanego po fabryce radarów.

— I wie pan — Merling rozglądął się, wypił duszkiem kieliszek wina i pochyliwszy się nad stolikiem, ciągnął świszczącym szeptem: Gdy wejdzie pan w tutejsze lasy, natknie się pan na zagadkowych Indian lub mieszkańców, żyjących nie wiadomo z czego, niby to wędrownych rzemieślników, którzy zreferują panu ostatnie wydarzenia polityczne, używając słownika o pochodzeniu nie budzącym żadnych wątpliwości. Azja? Europa? Już tu, na bezpośrednich tyłach przygotowuje się atak. Co przeciwstawia się temu? Czy jest tam ktoś z nas? A gdyby był, to jakim językiem miałby przemawiać w dżungli? Ciągle szukam. I jak dotąd, znalazłem w tych lasach tylko jednego godnego przeciwnika... Szept Merlinga stał się jeszcze cichszy i tajemniczy: to misjonarz, najczęściej katolicki.

Zamilkł na moment, a potem nagle uderzył pięścią w stół i powiedział już głośniej, bo przybliżające się grzmoty znowu zaczynały głużyć słowa:

— Tylko ci dwaj są naprawdę zrozumieli i wierzą. Naprawdę tylko oni mają szansę w tym świecie. Jeden powiada: "Kula w nasadę czaszki gdy zawinisz wobec partii", drugi — jak ów ksiądz z powieści Bruce Marshalla pozdrawiając spotkaną prostytutkę: "Spłoniesz w piekle, jak wiązka chrustu, ty szmato". To jest jasne. Zaręczam panu, że zrozumiała. Ja ją znam. Widzi pan — gdy zapytano pewnego konwertytę, czy jako katolik przestał grzeszyć, odpowiedział, że wcale nie, ale że mu

to tę czynność niesłychanie skomplikowało. Tak, człowiek chce z powrotem dyscypliny, poczucia grzechu. My uważając grzech za wymysł, zastąpiwszy go co najwyżej pojęciem przewinienia w nieznanym bliżej wymiarze, zwalczając wszelkie komplikacje w postępowaniu, oczyściliśmy teren. Nie mogąc grzechu i dyscypliny odnaleźć tu w swej starej i ośmieszanej postaci, szuka się go tam, w nowej.

— Powinien pan stanowczo przejść na katolicyzm — rzucił Świdkiewicz z powagą, zapalając papierosa. Jako katolik muszę się panu przyznać, że znajduję w nim bardzo wiele...

— Zdaje mi się — przerwał trochę ironicznie Merling, że zagadnienie sprowadza się dziś do tego, aby wpieryć jak najwięcej katolików przeszło na katolicyzm i rozpoczęło chrzczyć innych chrześcijan, dzieląc poglądy owego dowcipnego konwertyty. Co do nas...

Piorun uderzył blisko głuźsząc słowa Merlinga i Świdkiewicz dosłyszał tylko zakończenie:

— ...*pourvu que ça dure*, jak mawiała mama Letycja.

Światło znowu przygasło. W tej samej chwili trzasnęły drzwi i stanął w nich Wacek w zielonym płaszczu nieprzemakalnym, ociekając wodą jak zamknięty parasol. Świdkiewicz mimowoli drgnął. Wacek podszedł do stolika służbowym krokiem i wygrzebał z kieszeni telegram.

— *Verziehen Sie!* Świdkiewicz wstał, podszedł do jednej z ksztuśujących się rurek neonowych i rozerwał wilgotny papiererek. Po chwili wrócił do stolika.

— Dziękuję. Możesz odejść. Na 1-ą przygotować szmaty do trybów w przednim dźwigu. Wacek wyszedł i Merling zapytał:

— Coś ważnego?

— Nie wiem. Wezwanie z Ministerstwa Gospodarki. Muszę jutro lecieć do Guatemali.

W jego głosie czuć było niepokój.

— W takim razie lecimy razem. Czemu u diabła mogą oni chcieć od pana?...

Świdkiewicz spojrział na zegarek i pomyślał, że warto by się jeszcze zdrzemnąć przed 1-ą. Ulewa za oknami cichła i dopiero teraz odczuwał prawdziwą potrzebę snu. Pod pozorem ważnych prac na statku przyspieszył kawę i likier, słuchając już tylko półuchem dalszych wywodów Merlinga.

— Kiedy myślę o tym, przypomina mi się zawsze ten biedny Renan. Powiedział kiedyś, że wszystko dobrze, ale że jeśli nie nastąpi nawrót do łatwowierności — użył tu wyrażenia "*crédulité*", a nie "*croyance*", jeżeli mnie pamięć nie myli — wówczas trudno sobie wyobrazić, abyśmy mogli dać ludzkości jakiś możliwy do przyjęcia katechizm. Merling zacytował Renana wspaniałą francuszczyzną. To, co uważał on za łatwowierność, było w istocie wiarą, — i to zostało zniszczone. Łatwowierności natomiast nie zniszczy się nigdy. Najlepszy dowód, że dziś sięga się po wszystkie katechizmy, z wyjątkiem chrześcijańskiego. Wątpię, czy ludzkość zdobyła się kiedykolwiek na tak

olbrzymi wysiłek umysłowy, jak ten, którego wymagało obalenie go, ale trzeba przyznać, że prace te zostały ukoronowane pełnym powodzeniem.

— Tak, katechizm! Do tego sprowadza się właściwie wszystko — powiedział z twardą stanowczością Świdkiewicz, podnosząc głowę jakby miał zapozować do płaskorzeźby i myśląc równocześnie, że gdyby przez tryby dźwigu przepuszczać nie zwykłe mokre szmaty, lecz specjalnej grubości pasy filcu nasyczone smarami, można by znacznie bardziej zredukować hałas.

— A zatem do jutra; mam jeszcze sporo pracy — ziewnął i zęgnął się z Merlingiem.

Brnął do portu w błocie, klucząc wśród kałuż. Nieraz przystawał na chwilę, bo spod nóg wyskakiwały mu nagle olbrzymie ropuchy i trzeba było je obchodzić. Powietrze przesiąkło wilgocią i zapachem mokrej zieleni; pachniało parą, jak po wylaniu wody na rozpalone kamienie. Pijani robotnicy dalej leżeli tu i tam. Jakieś dwie kobiety z taczkami i z latarką elektryczną szukały swoich "hombres", pochylając się i oświetlając twarze śpiących. Było to jak zbieranie topielców po powodzi. "Aquí está, aquí está" wołała jedna z ciemności, przywołując drugą z taczkami i dodając z zadowoleniem, że obdziaracze pijanych jeszcze go nie rozebrali. Z drzwi brudnych "cantinas" padały gdzieniegdzie snopy światła i wtedy widać w nich było tumany pary unoszące się z ziemi. U wejścia stały stosy skrzynek z pustymi buteleczkami po wódce. W porcie panowała oleista ciemność i spokój. Na "Coco de Oro" służbę miał Walenty. Siedział w oświetlonej sterowni i drzemał nad gazetą. Świdkiewicz kazał mu zawołać Wacka i wszedłszy do swojej kabiny, od razu rozebrał się. Z sitka tuszu w łazience lała mu się na głowę ciepła woda. Usłyszał, że do kabiny wszedł Wacek. Trochę poirytowanym tonem zapytał:

— Dlaczego nie zmieniliście wody?

— Wodę się zmieniło, panie kapitanie, ale znowu ciepła. Nad ranem wrzucimy do zbiornika lodu, to będzie miał pan kapitan tusz z lodem, jak zwykle.

— A co nowego?

Był to normalny raport, jaki Wacek składał w każdy wieczór podczas postoju w porcie.

— Dużo. Już wydają tygodnik komunistyczny. Wacek położył na biurku egzemplarz z czerwonym napisem "Octubre", w którym litery były stylizowane na rosyjskie. Poza tym strajk, ale spokojnie. Ze spraw międzynarodowych, to tych łobuzów już prawie mają, panie kapitanie.

— Jakich łobuzów?

— No tych, co fałszowali dolary. Cała spółka na Europę i na Amerykę wsiąkla. Ale musieli dostać wiatery na czas, bo piszą, że zdążyli zwinąć interesy i teraz policja amerykańska szuka tych ich skarbów. Ponoć miliony w pieniądzech. Ale pi-

szą, że są na śladzie. Aż przykro pomyśleć, jak im to dołapią. Tyle forsy i na nic.

Świdkiewicz wycierał się i przy tej czynności natychmiast się spocił. Lniana cienka piżama już lepiła się do wilgotnego ciała.

— O wpół do pierwszej zbudzić, powiedział, układając się na wygodnym łóżku, nad którym wisały dwa stare pistolety meksykańskie, obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej i ścienny kalendarz "Esquire" z przemyślnie obnażoną i ułożoną "girl" na każdy miesiąc.

O 1-ej chodził po przednim pokładzie i czekał. Noc była bezgwiezdna, ciemna, i tylko w rzadkich odstępach rozświetlały ją ciche błyskawice odchodzącej burzy. Spóźniali się. Dopiero około 2-ej nad ranem dobiegł od strony miasta warkot motorów ciężarówek i na molo zabłysły światła ich reflektorów. Świdkiewicz był wściekły i kłął półgłosem, przytłumiając tym zdenerwowanie. Po co taka iluminacja? Wacek podprowadził pierwszy samochód i wyszedł na pokład z czwórką ludzi do pracy. Zatrzymał się przy Świdkiewiczu i szepnął:

— Cholera ich wie, jak oni to robią, ale to wszystko rządowe. Jakaś większa siuchta.

Dźwig zaczął dudnić dyskretnie, skrzynki podjeżdżały jedna za drugą, wyładowywanie odbywało się sprawnie i cicho. Po dwóch godzinach samochody odjechały. Warkot ich motorów błąkał się długo w ciemnościach i umilkł dopiero gdzieś w okolicy składów kolejowych. Świdkiewicz zapalił ostatniego papierosa i zdjąwszy z siebie prze poczone dreluchy, rzucił się z przyjemnym uczuciem odprężenia na łóżko.

Nazajutrz rano zastał Merlinga jeszcze przy śniadaniu w "Centralu". Samolot do Guatemali odlatywał o 9,10. Przysiadł się do stolika i zamówił mleko z tartymi bananami.

— Dziwna historia — zagadnął. Przywożem tym razem... Mam pewne podejrzenie, że to były pukawki, a w każdym razie coś w tym rodzaju... I niech pan sobie wyobrazi, że odbierano to ode mnie na rządowe ciężarówki.

Merling zatrzymał filiżankę kawy w połowie drogi do ust.

— Do diabła! Zbroją potajemnie syndykaty. Oczywiście! Ładna historia! I pan przykłada do tego rękę. A ja w takich warunkach myślę o kupnie ziemi.

Przełknął łyk kawy i nagle parsknął śmiechem:

— Ma pan wszelkie kwalifikacje na anglosaskiego ministra przemysłu i handlu. No, ale w takim razie musi pan wypłynąć pojutrze rano, bo nie wiadomo, co może zająć. Już od dwóch tygodni trudno kupić amunicję rewolwerową nawet po cenach czarnego rynku, a to zwykle zły znak.

W dwie godziny później wysiedli z samolotu na stołecznym lotnisku Guatemali, Aurora. Przy wyjściu czekał na nich "Caddillac" Merlinga. Świdkiewicz zatrzymał się na chwilę przy drzwiczkach samochodu i zaciągnął się z rozkoszą świeżym i

chłodnym powietrzem. Pachniały cyprysy i cedry. Na tej wysokości klimat tropikalny był ciągią wiosną.

— Czy był pan w Zakopanem? zapytał Merlinga.

— Nie; dojechałem tylko do Krakowa. Cóż za paszteciki były u tego Maurizio; niech się schowają wiedeńskie.

Mijali dzielnicę willową, pasy kwietników i domów w ogrodach. W mieście był spokojny tłok samochodów, ulice tonęły w słońcu owiane lekkim wietrzykiem. Świdkiewicz poczuł natychmiast ulgę, bronchit zelżał i pozwalał na swobodniejsze oddychanie. Zatrzymali się przy sklepie Merlinga, położonym na rogu głównego placu. Po przeciwnej stronie wznosił się wspaniały gmach Palacio Nacional z zielonkawego kamienia, z boku bieliła się stara, hiszpańska katedra. Pożegnał się od razu z Merlingiem i ruszył w stronę Palacio.

Z głośnika w parku dobiegały tony tanga „Jalousie”, potem gibko zaczęło sunąć „Musisz”. Świdkiewiczowi przypomniawszy się Ordonówna. Jak ona to śpiewała!... Afisze zapowiadały sezon operowy, lodziarz popychał wózek z lodami i dzwonił, a przy wejściu do jednego ze sklepów galanteryjnych pan Butterfinger ukłonił mu się z wyszukaną grzecznością: — „*Qué tal* — pan kapitan znowu w naszych okolicach. Jak tam na morzach dalekich? Pewnie period deszczowy już się zaczął. U nas zwłoka.” Świdkiewicz zatrzymał się na chwilę, pogawędził protekcyjnie, zapytał o ceny francuskich perfum z myślą o amerykańskich pasażerkach, zagadnął o interesy. „Ciężko — się mówi, że może przyjść kryza” westchnął pan Butterfinger na pożegnanie. Z głośnika w parku popłynęły na odmianę dźwięki innego i starego tanga (Mecenasowa Wiercińska stanęła mu w oczach jak żywa) a jakiś obdartus, wychylający się zza węgła pasażu Rubio, proponował mu kupno „złotego” pierścienia i losu na loterię, której ciągnięcie odbyło się w zeszłym roku.

Przeszedł przez plac i zanurzył się w chłodzie maurytańskiego Palacio. W sadzawkach pod kolumnadami pływały złote rybki, jak parówki w rondelku. W poczekalni ministra gospodarki był tłok. Świdkiewicz włożył do koperty telegram wraz z wizytówką i oddał woźnemu. Został natychmiast przyjęty.

Minister gospodarki był młodym i jednym z niezliczonych prawników, tzw. „licenciados”, w których ten kraj obfitował. „Adwokaci i kawa stanowią dwa podstawowe bogactwa naturalne Guatemali” — mawiał Merling i dorzucał zawsze, że niestety tylko kawę można eksportować. Po obopólnej wymianie „mucho gusto”, Świdkiewicz usiadł w fotelu. Minister pochylał się nad biurkiem, jakby przygotowując się do skoku i nagle krzyknął:

— Senorita!

Do gabinetu weszła pulchna sekretarka o ciemnej cerze i usiadła obok biurka z otwartym notatnikiem. Minister pochylał głowę, zamyślił się i w końcu powiedział z powagą:

— Nada! Kiwnął ręką i odprawił ją w milczeniu. Spojrzał

na Świdkiewicza i rozpoczął długie przemówienie, podnosząc głos coraz to bardziej:

— Jak panu wiadomo, rząd nasz jest w tej chwili jedynym prawdziwym rządem demokratycznym i postępowym na całym kontynencie środkowo-amerykańskim, co nakłada na nas wyjątkowe obowiązki nie tylko w stosunku do naszej ojczyzny, lecz także w odniesieniu do wszystkich bratnich krajów, znajdujących się w większości wypadków w pętach skrajnie reakcyjnych i faszystowskich dyktatur, kupczących bezwstydnie bogactwami i ziemią swych przodków i wydających je na łup imperialistycznej gospodarki pijawek kapitału Stanów Zjednoczonych. I dziś, gdy coraz to bardziej uświadomione masy ludowe czują na sobie to nienawistne jarzmo, gdy cała ludzkość pręży się w namiętnym pragnieniu pokoju, wolności i sprawiedliwości, te kraje tu padają nadal ofiarą zgrai podżegaczy wojennych z północy, kliki importerów samochodów i maszyn, eksporterów kawy... Senorita! — zagrzmiał.

W gabinecie zjawiała się znowu okrągła dziewczyna i cicho usiadła przy biurku. Minister zamilkł i szukał po kieszeniach chustki do nosa aby otrzeć trochę zaślinione gwałtownym wstępem usta, a nie znalazłszy jej, uczynił to bibułkową kopią jakiegoś listu. Zmiałszy ją dokładnie i nie bez elegancji, wrzucił do kosza z papierami. Myślał chwilę i zwracając się do sekretarki, powiedział z namaszczeniem:

— Proszę przynieść mi memoriał w sprawie floty narodowej.

Gdy sekretarka oświadczyła, że memoriał ten znajduje się najprawdopodobniej na biurku ministra, zaczęli obydwójce przewracać stosy papierów w poszukiwaniu cennego dokumentu. Świdkiewicz zastanawiał się, do czego mogą prowadzić te przygotowania i czekał cierpliwie. Dokumentu nie znaleziono, sekretarka wyszła i minister, nie mogąc zacytować co świetniejszych zwrotów z nieskazitelnego stylistycznie opracowania, zmuszony był do improwizacji. Była ona na pewno równie świetna i Świdkiewicz miał wrażenie, że minister przemawia do mikrofonu, będąc słuchanym przez milionowe rzesze bezbronnych ofiar Ameryki Północnej. Wyrazy „ludzkość”, „wolność”, „kultura” i „postęp” powtarzały się bez przerwy w ciągu pół godziny i wreszcie padło decydujące zdanie:

...i ażeby niezależnić się całkowicie od wpływów trustu owocowego, za pośrednictwem którego Waszyngton miesza się stale w nasze sprawy wewnętrzne, jesteście w trakcie tworzenia narodowej floty handlowej. W związku z tym rząd pragnąłby nabyć pańską jednostkę morską. Cena i warunki pozostają do omówienia.

Świdkiewicz zaniepokoił się, ale nie dał nic po sobie poznać. Pochrzakując i nauczony doświadczeniem, odpowiedział wymijająco, nie wykluczając jednak możliwości transakcji. Minister żegnał się uprzejmie i rzucił na odchodnym:

— Oczywiście w obecnych warunkach nie zamierza pan wypłynąć?

— Nie sądzę, aby zachodziła konieczność zmiany rozkładu jazdy. Zresztą, czy nie sądzi pan minister, że właśnie w tej chwili powinniśmy wykazać "a los gringos" — umyślnie użył lokalnej, pogardliwej nazwy określającej Amerykanów — że jesteście całkowicie niezależni?

— Oczywiście, ale pragnąłbym zauważyć i zwrócić pańską uwagę na fakt, że obecny strajk robotników portowych jest org... jest życzliwie widziany przez czynniki rządowe...

Świdkiewicz wyszedł z Palacjo z przygniatającym uczuciem "otoczenia" i wracał do sklepu Merlinga pełen złych myśli. Zastał go za ladą z wędlinami, pogrążonego w skomplikowanej czynności odważania płatków szynki dla jakiejś bardzo pięknej znajomej damy.

— To na pewno nie krajowa, na pewno importowana? pytała z uśmiechem.

— Zapewniam panią, że oryginalna amerykańska z puszeki. Starał się wszystko zgrabnie zawinąć. Potem mrugnął do Świdkiewicza, wskazując zaciszną kanapkę w kąciku. Usiedli.

— Nie mam najmniejszej ochoty wypływać. Poza tym rząd zamierza odkupić ode mnie "Coco de Oro".

Merling uderzył otwartą dłońią w krawędź stołu wybitnie podniecony:

— Oczywiście! Organizacja zaopatrzenia dla komuno-nacjonalistów na Porto-Rico, dostawy dla "demokratów" w Nikaragui, na Kubę przeciwko San Domingo — no, no, trzeba przyznać, że program zakrojony na szeroką skalę. To zaczyna być niepokojące. W tych czasach, w których ludność kontynentów zaczyna się obliczać wyłącznie w dywizjach, obliczenia te na tym kontynencie mogą wkrótce zupełnie zawieść. Musi pan bezapelacyjnie wypłynąć pojutrze rano.

Merling pochylał się nad stolikiem i długo mówił szeptem. Zakończył głośniej:

— Sprawa wymaga pośpiechu nawet ze względu na pana. Nie można niczego odkładać. Ludzi w porcie pan ma i dziś po południu może pan zacząć wyładunek.

Świdkiewicz zdecydowanie wycofywał się. Wolał przeczekać strajk. Merling zniecierpliwiał się i wyszedł na chwilę do telefonu. Gdy wrócił, bez słowa wstąpił podwoił stawkę za przewóz. Świdkiewicz zmógł i nie stawiał już oporu. Po obiedzie odleciał taksówką do Puerto Barrios i przystąpił do wyładunku.

Pracowało trzydziestu Indian pod komendą starszego, zaufanego don José. Grupki strajkujących robotników przyglądały się z daleka i raczej obojętnie. Policji nie było ani śladu. Między strajkującymi uwijał się niski, siwawy osobnik z baczkami o wyglądzie hiszpańskiego markiza z operetki i wymachując rękami, przekonywał o czymś srebrne kapelusze. Grupki zbliżyły się bardziej i otoczyły statek zwartym kołem od strony mola. Naprężenie rosło.

Świdkiewicz, wychylony z okna sterowni, zmacał zwisają-

cego pod marynarką "Colta". Jego ludzie też byli uzbrojeni. Wacek podszedł pod okno.

— Wszystko w porządku, panie kapitanie. Nie ruszą się. Przesunął ręką po wypchanej tylnej kieszeni w spodniach i dorzucił: — Ale że temu hiszpańskiemu sowieciarzowi przydałoby się coś wdmuchnąć z mojego "long pleya", to inna sprawa...

— W razie czego najpierw w powietrze, a potem po nogach — odrzekł spokojnie Świdkiewicz.

Wacek odszedł, aby powtórzyć rozkaz. Nagle wśród pierścienia strajkujących gapiów odezwały się pokrzykiwania, ludzie zaczęli się tłoczyć i potrącać, jakby ktoś popychał ich od zewnątrz. Świdkiewicz wsunął prawą rękę pod marynarkę i lewą położył na dźwigni telegrafu maszynowego. Jego ludzie spokojnie ustawili się za skrzynkami. Wacek wolnym ruchem wyjął z kieszeni sześć ładunków i włożył je do ust, jak gumę do żucia. Ludzie na molo dalej popychali się i krzyczeli. Po chwili tłum rozdzielił się na dwie części i wypadł z niego krępy blondyn. Wbiegł szybko na pokład. Rozglądał się. Świdkiewicz kiwnął ręką.

— Nie chcieli mnie przepuścić. Czy pan jest kapitanem tego statku? — zapytał po angielsku, zatrzymując się pod oknem sterowni.

— Tak. W czym mogę panu pomóc?

— Przychodzę z agencji Pettersena, który odmówił mi miejsca na pańskim okręcie. Podobno już wszystko zajęte... Ale ja muszę wypłynąć do Cartageny; ja muszę — powtórzył i okraszył to porcją krótkiego, rąbanego śmiechu, zupełnie tak, jakby zapuszczał motor motocykla.

Świdkiewicz przyjrzał mu się z uwagą. Wyglądał na agenta handlowego.

— Niestety, jest to niemożliwe. Istotnie wszystkie miejsca są zajęte, z wyjątkiem jednego w trzeciej, ale tego nie mogę panu proponować. Są tam umieszczeni murzyni.

— Trudno. O.K. — płynę trzecią. Zapusił na chwilę dwu-taktowy śmiech. Ile? Wypływa pan pojutrze?

— Jeżeli nie zajdzie nic nieprzewidzianego. Świdkiewicz powiedział to, pisząc kartkę do Pettersena i dodał:

— Będzie pan oczywiście tylko spał w trzeciej. Na własną odpowiedzialność — zakończył, zatykając pióro.

Amerykanin wziął świstek papieru i roztrącając beceremonialnie strajkujących obserwatorów, odszedł w kierunku miasta. Pod wieczór skończono wyładunek w spokoju. Strajkujący porozchodzili się i noc minęła normalnie. Na drugi dzień rano, don José stawiał się punktualnie ze swoją brygadą ludzi i ładowanie odbyło się bez żadnych incydentów. Po południu przyleciał Merling i osobiście doglądał wszystkiego. Świdkiewicz był zadowolony, a uczucie "otoczenia", gniotące go od wczoraj, zupełnie zniknęło. Do tego bronchit dokuczał mu jakoś znacznie mniej, niż zwykle. W czasie kolacji w "Centralu",

Merling udzielił mu dalszych i szczegółowych wskazówek co do odbioru przesyłki w Cartagenie. Wręczył także należność za przewóz.

— Przepraszam, że nie czekiem, ale czeki bywają w pewnych wypadkach niewygodne...

Świdkiewicz z przyjemnością wsunął do kieszeni grubą paczkę zielonych banknotów, przeliczywszy uprzednio z udaną niedbałością. To był pieniądz — właściwie jedyny. Do jadalni wszedł właśnie Barret z "United" w towarzystwie dwóch innych Amerykanów i podszedłszy do stolika, przywitał się z Merlingiem. Podając rękę Świdkiewiczowi, powiedział jakby z odcieniem ironii w głosie:

— Gratuluję; postawił pan na swoim. Podobno wypływa pan jutro?

— Nie podobno, lecz na pewno, odrzekł Świdkiewicz. Jakoś sobie dałem radę.

Wstając i podając rękę Barretowi, odwrócił się i dostrzegł, że jednym z jego towarzyszy był krepy blondyn, z którym rozmawiał wczoraj na pokładzie po południu. Ukłonił mu się z daleka.

— Co to za osobnik? zagadnął Merling.

— Nie wiem. Był u mnie wczoraj na statku i oświadczył, że musi wypłynąć do Cartageny. Umieściłem go w trzeciej, bo w pierwszej nie mam już miejsca. Wygląda mi na agenta jakiejś mniejszej firmy.

Merling przyglądał się dłużej, zmarszczył czoło i skrzywił się:

— Czemu nie leci samolotem? Z zasady nie mam zaufania do ludzi, którzy "muszą wyjechać". Choć — zapalał cygaro — to przyzwyczajenie z dawnych, dobrych czasów. Dziś pół świata składa się z ludzi, którzy musieliby wyjechać, a druga połowa z ludzi, którzy ich nie chcą wpuścić.

Około 10-ej pożegnali się.

Świdkiewicz wstał wcześniej i chodząc po całym statku, doglądał osobiście wszystkich czynności związanych z wyjściem na morze. Na przednim pokładzie czuć było kreolinę, którą szorowano starannie całe pomieszczenie trzeciej klasy. Niebawem nadziedł Merling. Obcierał twarz chustką i ciągle pomachiwał nią wokół głowy, jakby oganiając się od niewidocznych muszek. Mówił przyciszonym głosem. Starał się opanować widoczne zdenerwowanie, pokrywając je uwagami na temat wchodzących na pokład pasażerów.

— Nie znoszę zapachu kreoliny. Na widok młodego małżeństwa jestem zawsze skłonny uwierzyć w tę instytucję. Cóż za nieprawdopodobna koncentracja najszlachetniejszych złudzeń... Doszedłem do wniosku, że młodzi Niemcy nie brali udziału w ostatniej wojnie. Nie spotkałem tu jeszcze ani jednego byłego wojskowego. Ci dwaj na pewno pilnie studiowali w czasie wojny... Czy pan wie, że jest rzeczą niemożliwą określić dokła-

dnie moment zgonu Hiszpana? Po ustaniu wszystkich funkcji życia, oni jedni mówią jeszcze przez dłuższy czas... Ale niech pan spojrzy! Very sexy... Merling przysłonił oczy od słońca, podnosząc rękę tak, jakby przykładał lorgnon.

Po pomoście wchodziła wysoka blondynka w indyjskiej spódnicy i w białej, wyszywanej bluzce, odsłaniającej wspaniałe ramiona w całości i jeszcze wspanialszy biust w części. Świdkiewicz elastycznym krokiem wypadł na jej spotkanie i zbliżywszy się, zsalutował z neodpartym wdziękiem oficera marynarki handlowej. Zręcznie wyjął jej z ręki walizkowe radio i oddałszy je chińskiemu stewardowi, wskazał drogę do kabiny. Trochę naiwny i mile zdziwiony uśmiech podziękował mu za te niezwykle zabiegi.

— W jakim czasie spodziewa się pan wypełnić do końca obowiązki kapitana tego jachtu? — zapytał Merling, spoglądając ubawiony.

— Od osiemnastu do trzydziestu sześciu godzin. W tych szerokościach to kwestia temperatury i wilgotności powietrza — odrzekł Świdkiewicz tonem wytrawnego znawcy.

Wszystko wokoło przysłonięte było ciężkimi oparami i słońce przeświecało przez nie, jak żarówka poprzez moskitierę. W tropikalnej ciszy słychać było tylko plusk nurkujących w pobliżu statku pelikanów lub normalne pokrzykiwania papug, dolatujące z odległych domów. Syrena "Coco de Oro" zawyła nagle po raz pierwszy i dzwięczała przeraźliwie, jak budzik w uśpionym domu o świcie. Równocześnie na pokładzie pojawiło się coś na kształt worka z piaskiem, ubranego w perkalową suknię i związanego wielką głową. Wąskie wargi zamykały się cienką linią na sztucznych szczękach, podobne do błyskawicznego zamka na wypchanej torbie podróżnej, a grube okulary w złotej oprawie powiększały parę despotycznych oczu. Jedynie czarny aparacik, umieszczony w lewym uchu, jak kolczyk, miał w sobie coś bardzo ludzkiego. Gdy syrena ucichła, worek machnął głową w kierunku miasta i wrzasnął po hiszpańsku straszliwym akcentem amerykańskim:

— Co mówią te ptaki?

Merling, złożony dłoń w trąbkę, odrzucił:

— Precz z Amerykanami!

Z widmy dekoltu wyszarpnęła pudełko z baterijkami, potrząsnęła nim i nastawiła ucho z aparacikiem w kierunku brzegu, nasłuchując w milczeniu. Po ryku syreny zapadła podwójna cisza i krzyki papug odezwały się jakby bliżej.

— Wstętna propaganda. Nie wierzyłam — krzyknęła.

— To jedyne istoty, którym w tych krajach można wierzyć — odrzucił Merling przez tubę. Amerykanka otworzyła podrepczną torbę i wyjąwszy z niej dwie broszurki, wręczyła je Merlingowi i Świdkiewiczowi. Były to prospekty "Church of God" propagujące wiarę w Boga w stylu reklam handlowych, ozdobione ilustracjami i budującą historią rysunkową w typie "comics".

— *I am sister Maggy* — rzekła z energią i rzuciła się w pościg za swoim tragarzem.

Merling zaśmiał się głośno. Przeszli do sterowni. Na pokład wchodził Amerykanin. Całym jego bagażem była mała walizka ze skóry. Świdkiewicz przywołał go pod okno sterowni.

— Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby zostawił pan swój bagaż tutaj w sterowni albo złożył go w mojej kabinie, bo tam... zrobił wymowny ruch ręką w kierunku przedniego pokładu, gdzie roztasowywali się już Murzyni.

Amerykanin zaśmiał się donośnie i podał Świdkiewiczowi swoją walizeczkę. Ten spojrział z niesmakiem, przywołał stewarda i kazał odebrać mu walizkę.

— Bez żadnego wychowania — burknął z oburzeniem do Merlinga.

Syrena zawyła dwa razy, do sterowni wtłoczył się Reichert. Merling i Świdkiewicz przeszli na rufę, zegnając się na uboczu. Trzymając dłoń Świdkiewicza w swojej, Merling nachylał się często do jego ucha. Potem rozmawiali jeszcze, Świdkiewicz zapisywał coś w swoim notesiku. Trzykrotne buczenie oznajmiło odjazd i Merling zeszedł na molo.

— Jestem przekonany, że po tym rejsie cały "Coco de Oro" przejdzie na łono "Church of God" krzyknął z dołu, kiwając na pożegnanie białą czapką.

Statek odbijał, zaczęły miarowo łomotać Diesle. Świdkiewicz zaszalutował z powagą. W pół godziny później zszedł z pokładu Reichert i "Coco de Oro" wziął kurs na zatokę Omoa, by płynąć potem na południe wzdłuż wschodnich wybrzeży Ameryki Środkowej.

O godz. 1-ej, zgodnie z tradycją, Świdkiewicz zasiadł do obiadu ze swoimi pasażerami w małej jadalni na tylnym pokładzie. Dbał bardzo o to, aby "Coco de Oro" był modelem w skali wielkiego okrętu pasażerskiego. Z dużą rutyną i urokiem zagajali zwykle pierwszą rozmowę, wprowadzając przy stole nastroj swobodny, week-endowy. Okna były otwarte i na horyzoncie przesuwali się przymglony pas wybrzeży Hondurasu. Na morzu upał był mniejszy i przez okna wpadały do jadalni lekkie, orzeźwiający podmuchy. Steward roznosił apetyczne "sea food".

— Na szczęście będziemy mieli po południu przelotne deszcze — powiedział Świdkiewicz. To odświeża, jak zimny tusz.

Rozmowa potoczyła się o klimacie tropikalnym, o porze deszczowej i o porze suchej, o cyklonach. Świdkiewicz przy serach zmagali się oczywiście z jednym z nich na wysokości Bermudów, zauważając z przyjemnością zainteresowanie, z jakim spoglądała nie niego młoda Amerykanka. Przy lodach przeszedł na wspomnienia z mórz północnych, na oblodzone pokłady i koźuchy, na sztormy śnieżne i mgły. Opowiadał świetnie i barwnie, zachowując przy tym zupełną naturalność i flegmę. Po obiedzie usiadł na chwilę przy leżaku miss, a gdy nadleciał pierwszy deszcz, okrył ją troskliwie pledem, unosząc z wprawą ramiona i wspaniałe nogi. Była zachwycona i z kokieterią oparła przez

chwilę głowę na jego ręce, kiedy pochylony, trzymając poręcz jej leżaka, prosił aby natychmiast wróciła do kabiny, gdyby poczuła chłód. Życząc przyjemnej siesty, odszedł do swojej kabiny.

Pogwizdując, zdjął białą marynarkę i białe, zamszowe buciki. Spojrzął w lustro, przesunął ręką po twarzy, aby sprawdzić, czy nie należało by się ogolić. Potem podszedł od szafki w ścianie i skontrolował, czy "shaker" był otwarty i czy miał jeszcze zapas "guaro", doskonałej wódki, pedzonej potajemnie przez Indian. Kilka kropli tego alkoholu stanowiło tajemnicę jego cocktailów. W końcu zapalił papierosa i spoglądając na majową girl kalendarzową, złożył ją w naturalnej wielkości i bez strzępów czarnej koronki na swoim łóżku. W rękach czuł jeszcze ciężar nóg i ciepłą gładkość ramion tamtej. Położył się i zaczął przeglądać stos świeżych pism ilustrowanych. Były to te najprzyjemniejsze godziny zupełnego odprężenia i zarazem oczekiwania, wspomnień i porównań, dochodzenia do wniosku, że życie jest jednak piękne i że "warto". Lubił także ogarniać wtedy wzrokiem kabinę, jej gustowne umeblowanie, drobiazgi. Sprawiało mu to tę samą przyjemność, co przeliczenie paczki banknotów i włożenie jej do kieszeni; przyjemność sumowania. Potem drzemka, przed którą miewał zawsze ochotę pomruczeć z rozkoszy, jak kot. Właśnie odłożył "Life" na brzeg łóżka i przymknął oczy, gdy zapukano do drzwi.

— Wejść!

Drzwi uchylił Wacek, wślizgnął się do środka i zamknął je starannie za sobą.

— Co jest?

— Nic takiego, panie kapitanie, ale wolałem to od razu powiedzieć. Nigdy nie wiadomo... Znalazłem na przednim pokładzie.

Podał mokry i trochę zabłocony brulion formularza telegraficznego "Tropical Radio". Świdkiewicz uniósł się na łokciu i spojrział niedbale. "Jest. Płynę razem. Cartagena. Kenneth." — przeczytał. Coś skoczyło z wnętrza i zapchało mu gardło. W ułamku sekundy pewne rzeczy połączyły się w całość, jak kawałki liter, które zbiegają się na ekranie kinowym, by utworzyć szybko jednolity napis reklamy lub tytułu filmu.

— Dobrze, dobrze, wykrztusił, kaszląc. Możesz odejść.

Po wyjściu Wacka doskoczył do biurka i zaczął gorączkowo przerzucać paczkę gazet. Przeglądał numer po numerze. Papier szeleścił, litery mieszały się. Wreszcie znalazł. Pierwszych złapano pod Marsylią. Tam było główne laboratorium, zainstalowane od przeszło dwóch lat w jakimś opuszczonym zamku. Potem po nitce do kłębka. W Nowym Orleanie wpadła następna paczka. Ale trzech głównych przywódcy wraz z całym kapitałem towarzystwa byli nieuchwytni. Przypuszcza się, że wartość prawdziwych banknotów i papierów wartościowych umiejętnie skupowanych przy pomocy mistrzowsko podrabianych dolarów, sięga dziesiątek milionów. Merling, jego nalegania i niepokój, trzydzieści skrzyń, ten Amerykanin z ostatniej chwili, ironiczny

uśmiech Barreta — ułamki wiązały się i dawały wynik bezbłędny.

Krew uderzała mu do głowy, miał wyraźne uczucie próżni, a równocześnie wszystko to wydawało mu się jakby zmyślane. Pragnął sam siebie wziąć na plecy, wynieść z tego wiru i postawić z daleka, żeby odetchnąć. Czuł najwyraźniej, że stało się; że nastąpiło coś nieubłaganego, a jednak próbował wyślizgnąć się i umknąć przed samym sobą. Co robić? Fala niedorzecznych, absurdalnych pomysłów ogarnęła go i pozwoliła zapomnieć na chwilę o zapadnięciu klamki. Wyrzucić za burtę, wyżyć się za wszelką cenę. W nocy. Nie — tamten na pewno zwraca uwagę na wszystko. Uspić... Trzydziestu ciężkich skrzyń nie sposób wyrzucić tak, aby nikt tego nie zauważył. Zastrzelić... Ostrożnie, jakby mógł być słyszany, otworzył szufladę biurka i wyjął z niej stalową kasety. Była w niej ta paczka banknotów. Zaczął badać je, podświetlał latarką elektryczną, porównywał z innymi przez szkło powiększające. Naturalnie, tu w tym kącie ślepy mógłby wymacać. Choć, może nie... Tamte mają to samo. I znowu coś w nim zaczęło pędzić coraz szybciej i zaciskać się wokoło karku. Trzeba z tym skończyć, dość tego, to jest ostatni rejs. Już więcej nigdy. Sprzedać to pudło choćby diabłu i żyć uczciwie, nawet najskromniej. Zdawało mu się, że to postanowienie załatwiało jakby sprawę; że już ktoś i gdzieś wie o nim, że jakiś sąd "uwzględnił" i "wziął pod uwagę". Przede wszystkim on nie wie, co wiecie. Ale to nie takie proste. Wprawdzie dokumenty ma w porządku, ale... Obręcz znowu zacisnęła się. Spojrzał ukradkiem na obrazek Matki Boskiej i nagle zaczął bełkotać coś w duszy, jak dziecko; żeby się odstało jakimś cudem, a on już nigdy więcej... Z silnym postanowieniem poniesienia ofiary natychmiast, zawiąnął w paczkę tych przeklętych banknotów srebrny nóż do przecinania kartek i wszystko razem w gazetę. Tego trzeba się pozbyć od razu. I uspokoić, obliczyć. Myśl znowu zaczęła szybko pracować, ale już w innym kierunku. W Limon pojutrze o świcie. Do tego czasu nic mu nie grozi. W Limon na pewno również nic, bo chcą użyć skrzynek jako przynętę i wyłapać wszystkich do końca. A więc dopiero w Cartagenie.

Położył się, wstał. Narzucając marynarkę, przekalkulowywał po raz drugi szanse. Horyzont rozjaśniał się. Po chwili był już spokojniejszy. Przyczesał się przed lustrem, zawiązał czarny krawat. Rozerwał opakowanie gazetowe, wyjął nóż, potrzymał go chwilę w ręce — ładna robota meksykańska — i włożył pieniądze do kasety. Wyprostował się i kaszlnął, z rozmachem zamknął szufladę biurka. Ta ostatnia partia będzie trudna; potem koniec — należy postawić kropkę. Obliczając, za ile sprzeda "Coco de Oro", obliczając dni i terminy, rzucił okiem na kalendarz — jednak nie ma to, jak nagie ciało kobiece, pokryte czarną koronką — i jeszcze raz poprzeczował w głowie daty. Zamknął starannie drzwi swojej kabiny i wyszedł na pokład.

Ulewa przeleciała, świeciło pomarańczowe, zachodzące słońce. Między okrętem a odległym wybrzeżem kładły się smugi różowe,

fioletowe, seledynowe, przeplatane tymi najsubtelniejszymi półtonami, jakie spotkać można jedynie na tych morzach. Za rufą szło kilka rekinów i czasem czarny sierp wynurzała się pletwy ciął bezszelestnie fale. Zrobił szczegółowy przygląd. Amerykanka drzemała na leżaku; młode małżeństwo meksykańskie stało oparte o poręcz na rufie, wysłuchując z uległością długiej lekcji Hiszpana, który, jak wszyscy jego rodacy, przybrał od razu pozę nauczyciela i przewodnika w zetknięciu ze swymi dawnymi poddanymi. Z przedniego pokładu dobiegały energiczne tony głosu Sister Maggy, rozpoczynającej swe funkcje ewangelistki wśród kolorowych maluczkich. Ten byk — Świdkiewicz nie nazywał go już inaczej — siedział w koszykowym fotelu i czytał "Reader's Digest". Podszedł do niego i wyjmując z kieszeni znaleziony przez Wacka blankiet, wręczył mu go, zapytując z udaną obojętnością:

— Czy to przypadkiem nie pańskie zapiski?

Ten wziął kartkę do ręki, przeczytał i zmieszał się:

T — Tak — i rozglądając się wokoło, dodał: Niech pan tę wiadomość zachowa dla siebie. Sprawa bardzo ważna — zakończył tajemniczo i oddał krótką serię śmiechu.

— Przypuszczam! Może pan być najzupełniej spokojny.

Wszystko zgadza się, pomyślał. W czasie kolacji rozmowa była ożywiona. Rumun, podając się za lekarza psychiatrę, opowiadał o ciekawszych wypadkach ze swojej praktyki, Świdkiewicz o wyprawie Morgana na starą Panamę w sposób tak interesujący, że wszyscy słuchali z zapartym tchem.

— Uratowano przed piratami jedynie złoty ołtarz z katedry, kończył swą opowieść, dobrze przestudiowaną w jednym z przewodników, odpowiednio wzbogaconą własnymi wstawkami technicznymi na temat ówczesnych okrętów żaglowych i uzbrojenia i opowiadaną już niezliczoną ilość razy.

— Musiały to być olbrzymie skarby — zauważyła młoda Amerykanka.

— I Bóg ich wszystkich pokarał — rzekły dobitnie sztuczne szczęki Sister Maggy.

— Na szczęście dziś można to wszystko zrobić z większym komfortem — ryknął Amerykanin. Robi się dobre klisze i maszyny i ma się w jedną noc dziesięć razy więcej, niż Morgan w ciągu całego swojego pirackiego żywota.

Świdkiewicz poprawił się na krześle i zaczął nerwowo ubijać papierosa, stukając nim w papierosnicę.

— No — nie jest to takie proste... Różnica polega na tym, że Morgan miał prawdziwe złoto, a pan miałby fałszywy papier — zauważył zachrypniętym głosem.

Wszystkie jego myśli skupiły się teraz w tylnym luku. Około 2-iej nad ranem zszedł z mostku i przeszedł na tylny pokład. Rozglądając się. Nie było księżycy i tylko biała poświata od nabitego gwiazdami nieba rozjaśniała gorące ciemności. Na pneumatycznym materacu, obok pokrywy luku, leżała jakaś postać zawi-

nięta w pled. "Pilnuje" pomyślał Świdkiewicz i podszedł na palcach do schodków po prawej stronie, aby zejść pod pokład.

— Wiedziałem, że pan przyjdzie. Czy ma pan zapalniczki?

Słowa były porozciągane, długie, trochę zaspane. Zaklął pod nosem i przykleknął, podając ogień. W świetle zaśloniętego od powiewu płomyka ukazały się tylko lśniące wargi z papierosem; wolno zacisnęły się i rozchyliły, wchłaniając dym. Na twarzy poczuł gorący zapach oddechu zmieszany z wonią tytoniu. Szybko zgasił zapalniczkę.

— Proszę natychmiast zejść do kabiny — powiedział z umyślną brutalnością i zbiegł po wąskich schodkach.

Przez wodoszczelne drzwi w korytarzu wszedł do luku towarowego. Było tu ciasno. Między dwoma grubymi murami skrzyń ciągnęło się wąskie przejście. Żelazne drgi, rozgraniczające luk na klatki i zapobiegające przesypaniu się ładunku w razie silnego kołysania, dzwięczały cicho w obsadach w takt stukotu motorów. Na lewo piętrzyły się skrzynie z butami, na prawo mydło. Otworzył szczypek i wsunął ostrze w szparę między deskami jednej ze skrzyń z mydłem. Zatrzymało się na metalu. Spodziewał się tego. Wewnątrz mieściły się pudła z blachy. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Spoglądał na nie i szepnął do siebie kilka razy: "Wyrzucić". Zgrzyt trybów dźwigu unoszącego je jedną po drugiej byłby najwspanialszym koncertem.

Wracając do swojej kabiny, zatrzymał się obok schodków, prowadzących na pokład, położył dłoń na poręczy; ale po chwili namysłu poszedł dalej korytarzem. Potrzebował pomocy, wierzył, że zostanie mu udzielona i to byłoby już całkiem nie "fair". Toteż rozbierając się, spoglądał z dużą dozą pewności siebie i nadziei na mały obrazek obok kalendarza. Najwięcej kłopotów jest zawsze z wierzącymi z przyzwyczajenia.



Od rana termometr wskazywał o parę stopni więcej. Wziąwszy kurs na Limon, "Coco de Oro" opływał łukiem brzegi Nikaragui w Zatoce Moskitów. Świdkiewicz siedział w swojej kabinie przy biurku i załatwiał czynności administracyjne, sumował rachunki. Z przedniego pokładu dolatywały dźwięki harmonijki i śpiewy. To Sister Maggy, grając na przemian popularne przeboje meksykańskie i trochę mniej wesołe, lecz równie pogodne pieśni "Church of God", zachęcała umiejętnie swych słuchaczy do śpiewania hymnów. Na rufie, pod nadzorem Wacka, strzelano z pistoletów małokalibrowych do puszek od konserw. Na "Coco de Oro" nic się nie marnowało. Świdkiewicz, jako typowy "oflagowiec", miał słabość do wszelkiego rodzaju puszek i nie pozwalał ich nigdy wyrzucać. W porcie, w czasie postojów, wołał blacharza i za kilka dolarów dawał lutować stopy pustych. Służyły później jako cel przy strzelaniu z pokładu. Sport ten miał zawsze wielkie powodzenie wśród pasażerów. Amunicja nie kończyła się nigdy, kończyło się zwykle na tym, iż prawie wszyscy

mężczyźni przynosili własne pistolety i wtedy dopiero zaczynała się prawdziwa zabawa. Szły grube zakłady.

Po pewnym czasie Świdkiewicz usłyszał głośniejsze wystrzały. Zamknął książki i wykazy, wyjął z dolnej szuflady swojego Colta i wyszedł na pokład. Zawody były już w pełni. Wacek i Meksykanin walczyli zawzięcie, otoczeni spojrzemieniami podnieconej reszty pasażerów. Chodziło o to, kto z sześciu wrzuconych naraz puszek trafi więcej i szybciej, licząc w to naładowanie pustego bębena, przy czym czas ładowania wpływał na szanse; ładujący szybciej strzelał do bliższego celu. Meksykanin był właśnie okłaskiwany za cztery puszeki i gdy Świdkiewicz nadszedł, kolej wypadała na Wacka. Rozbawiony Amerykanin wyrzucił za burtę sześć puszek i w tej samej chwili Wacek zaczął ładować. Ładował z ust, po meksykańsku, podobnie jak jego współzawodnik, ale z szybkością nieprawdopodobną. Nabój za nabojem wypadał mu na prawą dłoń i szedł w bębenek w ułamkach sekundy. Trafił wszystkie puszeki, strzelając do nich prawie tuż za burtą. Wzbudziło to prawdziwy entuzjazm. Świdkiewicz rozglądał się.

— Czy teraz też każe mi pan zejść do kabiny? — usłyszał za sobą.

Była w białych szortach i w lekkiej bluzce jedwabnej, rozgrzana i miękka, jakby upał rozhartował sprężystość jej delikatnych mięśni.

— Być może. Przy tej zabawie o wypadek nie trudno — zaśmiała się i ująwszy jej ramię powyżej łokcia, pociągnęła bliżej.

— Niech pan ustawi na poręczy osiem puszek i zrzuca po jednej, licząc zawsze do trzech — krzyknął do Amerykanina. Może by tak przypadkiem... przeleciało mu przez głowę.

Puszeki zaczęły spadać do wody podskakując w spienionej brudzie za śrubą i tworząc osiem lśniących punktów w dość długich odstępach. Amerykanin był tak podniecony, że niemal nie usunął się z linii strzału. Gdy spadła ostatnia, Świdkiewicz odczekał jeszcze chwilę, potem podniósł pistolet i zaczął strzelać wolno, z precyzją. Trafił pierwszą, już bardzo oddaloną i zbijał jedną po drugiej. Podskakiwały i nikły. Okrzyki zachwytu i podziwu przytłumiły ostatni strzał. Niemcy spoglądali z szacunkiem, wymieniając między sobą bardzo fachowe uwagi. "Strzela pan, jak król gangsterów" — zawołał Amerykanin. Świdkiewicz udał, że nie słyszy. "To było wspaniałe" — szepnęła z uległością. Otarła chusteczką drobne kropelki potu ponad górną wargą i uśmiechnęła się spoza ciemnych okularów.

— Całą noc nie spałam; jest strasznie gorąco.

— Przyśle pani dwa wentylatory. To podobno pomaga! — i zwrócił się do Niemców, demonstrując i objaśniając im zalety swego Colta. Po czym wrócił do normalnych zajęć. Był zmęczony, panował nad nerwami, ale co pewien czas powracał niepokojący ucisk, a po nim przyspieszenie wewnętrzne, skupiające się całe w przetyku. I wtedy wydawało mu się, że jest wypchnięty poza rzeczywistość, zawieszony w próżni, obserwując jakby z daleka słońce, wodę, okręt. Za wszelką cenę chciał do

tego powrócić, poczuć znowu smak życia, ale tymczasem nie potrafił.

Nie spał. Przez całą noc, w miarę zbliżania się do Limon, ciśniona nerwów napinała się coraz bardziej. Stawiał na logikę, ale w tym wypadku nawet ułamek niewiadomej urastał do olbrzymich rozmiarów. Świt był szary, bez słońca, duszny. Mgły przysłaniały ład. Gdy pilot wszedł na statek, Świdkiewicz gorączkowo zapytał:

— Co słychać?

— Nada! — odrzekł obojętnie.

Dobili do mola. I wtedy "Coco de Oro" został nagle obstawiony policją. Świdkiewicz, stojąc w sterowni, zapinał i odpinał szybko guziczek przy koszuli. Machinalnie liczył, ile razy to robi; zacisnął usta. Spoglądał na opadający w dół pomost, obok którego ustawiło się natychmiast dwóch uzbrojonych ludzi. Na pokład wszedł oficer gwardii cywilnej. Świdkiewicz nie miał siły wyjść na jego spotkanie. Czekał. Po chwili oficer stanął w drzwiach sterowni i zasalutował. Świdkiewicz patrzył w milczeniu, zaciskając szczęki z całej siły. Czuł, że gdyby je rozwarł, zaczęłyby drgać.

— Panie kapitanie, jest mi bardzo przykro, ale mam rozkaz...

Oficer odwrócił się. Na pomoście nie chciano przepuścić dwóch ludzi z załogi, schodzących, aby poprowadzić cumy. Wybuchła zapadła dyskusja i wzajemne popychanie się.

— Czy to ktoś z załogi? — zapytał oficer.

Świdkiewicz skinął głową. Serce biło mu w uszach.

— Przepuścić — krzyknął oficer. Otoż bardzo mi przykro, ale mam rozkaz nie wypuszczania nikogo na ład. W związku z sytuacją wewnętrzną w kraju, przepisy policyjne zostały od wczoraj zaostrzone. Oczywiście zakaz ten nie dotyczy wysiadających tu definitywnie. Zasalutował.

— Dziękuję — rzekł prawie szeptem Świdkiewicz. Usiadł na wysokim zydlu naprzeciwko koła sterowego i zapalił papierosa. Wchłaniał dym, jak czysty tlen. Na pokładzie słychać było podniecone głosy pasażerów, komentujących niewygodne zarządzenie. Wywnioskował z nich, że poprzedniego dnia zastrzelono kandydata na prezydenta i w Costa Rico zanosilo się na rewolucję. Skończywszy palić, zamknął się w swojej kabine i po jakimś czasie zszedł na ład. Jako kapitana statku przepuszczono go bez trudności. Musiał być w urzędzie portowym, załatwić dostawę paliwa oraz szereg innych spraw.

Nie był na obiedzie i zjawił się dopiero przy stole w czasie kolacji, witany przez wszystkich z wyraźnym zadowoleniem, tym bardziej, że postój przeciągał się. Były komplikacje z otrzymaniem ropy, Świdkiewicz przeproszał i opowiadał o szczegółach wczorajszego zamachu, co spowodowało namiętną rozmowę polityczną. Hiszpan i para Meksykanów wzięła stronę zamachowców, Niemcy i Rumun twierdzili, że zamach był dziełem komunistów, a Amerykanie milczeli, nie wiedząc, jak zwyk-

le, o co chodzi i traktując to wszystko jako jedną z osobliwości turystycznych tych śmiesznych krajów. Około północy "Coco de Oro" ruszył w dalszą drogę.

Rano znajdował się o ok. 150 mil na wschód od wybrzeży Panamy. Termometr znowu podskoczył o kilka stopni w górę. Świdkiewicz był niewyspany, gdyż położył się dopiero o świcie i do tego ataki uporczywego kaszlu budziły go kilkakrotnie. Siedząc w sterowni, wpatrywał się w błękitną przestrzeń przed dziobem. Od czasu do czasu spoglądał na przesuwające się wolno wskazówki wielkiego chronometru umieszczonego obok busoli. Czuł zbliżające się zaziębienie. W tym klimacie skradało się ono nieraz przez kilka dni.

Ponad płóciennym dachem przemieszczał się powietrze wrzało, jak woda w imbryku, rozciągając horyzont w bezkształtną masę wody i nieba. Około południa słońce prażyło niemal prostopadle i wszystko pogrążone było w przeraźliwym świetle bez cieni.

Nawet ta ewangelistka ma dość, bo już od rana nie słychać organków — mruknał Walek, pokręcając czasem kołem sterowym. Świdkiewicz nic nie odpowiedział. Przetarł wilgotną od potu chustką piekące oczy i przeszedł na tylny pokład. Pod płóciennym dachem pomimo cienia, gorąco było jeszcze bardziej sprasowane. Rozłożeni na leżakach i pogrążeni w półśnie pasażerowie, wyglądali jak źle wypchane lalki z gałganków, a stukot motorów potęgował swą rytmiką panującą tu ciszę. Czasem tylko jakaś wypróżniona i przewrócona butelka po jednym z niezliczonych napojów odświeżających pragnienie, przetaczała się z głuchym dudnieniem od burty do burty, potykając się na rozrzuconych wszędzie słomkach z papieru. Świdkiewicz podszedł do jednego z leżaków i pochylił się nad nim:

— Czy nie chciałaby pani przejść na dziób? Tam jest przewiewniej.

Mówił półgłosem, by nie rozbudzić reszty pasażerów. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Jej jasne włosy pozlepiały się miejscami w sztywne, ciemniejsze kosmyki, usta były suche i w całej postaci było coś z opadniętego na leżak płatka kwiatu. Podniosła się leniwie. Rzucił okiem na zegarek i idąc za nią, mimowolnie wchłaniał zapach jej potu zmieszany z zapachem perfum. Na przednim pokładzie leżeli porozkładani na deskach Murzyni i powietrze było przesycone wzywaniami czarnych ciał. Przystanął nad jednym z nich, nogą wysunął mu spod głowy kamizelkę ratunkową i kazał odnieść na swoje miejsce, dodając ostro, że to nie jest poduszka. Ledwie odczuwalne przesuwanie się powietrza na samym dziobie stwarzało złudzenie powiewu.

— Czy nie myśli pan, że ten upał zapowiada burzę.

— Nie sądzę; to zupełnie normalne.

Z kieszonki szortów wyciągnęła zwilgotniałego papierosa, zapaliła i wyrzuciła do wody z niesmakiem. Milczeli. Świdkiewicz oparł jedną nogę na łańcuchu kotwicy i stał z pochyloną głową.

wą, jakby wsłuchując się w szum rozcinanej wody. Murzyni pochrapywali, któryś stękał głośniej przez sen i zapadała cisza.

— Pójdę się położyć!

Poruszyła się z zamiarem powrotu na tylny pokład. Świdkiewicz raptownie chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Przyłgnęła do niego, czekała. Odchyliła głowę i zaśmiała się krótko; trochę zniecierpliwiona, chciała coś powiedzieć, lecz huk nagłego wybuchu zamknął jej usta. Pokład zadrżał pod ich stopami, statek przechylił się, cisnęło nim o poręcz. W kuchni tłukły się stopy naczyń, z okien sypały się szyby.

Świdkiewicz wyswobodził się z przerażonych objęć i rzucił się ku sterowi. Po drodze potknął się i upadł, bo staczający się bezwładnie Murzyn podciął mu nogi. Podniósł się w mgnieniu oka i pobiegł dalej. Na całym statku rozlegały się przeraźliwe krzyki, pomieszane z przenikliwymi odgłosami gwizdków. Maszyny stały. Instrukcje, wydawane przez głośniki, tonały w ogólnym chaosie i zamieszaniu. Świdkiewicz przebiegł na tylny pokład, pod którym nastąpił wybuch. Roztrącając obskakujących go ze wszystkich stron pasażerów, starał się przywrócić porządek, chcąc równocześnie jak najprędzej ustalić stopień zagrożenia. Wybuch odrzucił parę grubych desek, przykrywający tylny luk i z wnętrza wydobywał się gęsty dym. Nie było rannych.

Beładna bleganina trwała nadal, wynoszono z kabin walizki, tarasowano przejścia, przewracano się, Straszliwe krzyki i jakby miarowe bębnienie, dolatujące z przedniego pokładu, głużyły słowa rozkazów i wzniewały jeszcze większą panikę. Świdkiewicz w jednej chwili opanował sytuację. Czwórka ludzi, odwalwszy resztę desek i założywszy maski, schodziła do luku, pompy poszły w ruch, pasażerowie ustawili się wokół łodzi ratunkowej. Ale na przednim pokładzie dzikie wrzaski trwały nadal i Świdkiewicz, zniecierpliwiony, coraz częściej spoglądał w tamtą stronę. Po chwili przybiegł zadyszany Wacek:

— Panie kapitanie, czarni zwariowali. Czyste święto morza — pisał i pobiegł z powrotem, chwyciwszy po drodze gaśnicę. Świdkiewicz zaklął głośno i ruszył za nim. Po całym pokładzie Murzyni przewalali się w szaleńczych podskokach, wylili i krzykali. Uderzając głowami w nisko rozpięty, płócienny dach, odbijali się od niego, spadali na deski z głuchym łomotem bosych stóp, wylatując znowu w górę, jakby ktoś bawił się w odbijankę jedenastu czarnymi lankami naraz. Wśród nich podskakiwała ciężko i niezgrabnie Sister Maggy, zachęcając swą nowonawróconą trzódkę do dalszych skoków piskliwymi okrzykami. Wyrazy angielskie mieszały się z hiszpańskimi, starając się przebić poprzez bełkot Murzynów:

— *En esta ultima hora... just jump up and down... mis hijos... and tell your troubles to Christ Jezus!*

Z ucha wypadł jej czarny aparacik i wiał się w powietrzu, jak groźny kańczug.

— Po grecku, psiekrwie, mówią, czy co — pisał Wacek i odbiwszy gaśnicę, skierował strumień piany na jednego z Murzynów. Ten stanął, zamknął nieprzytomne oczy i nagle wybielony, rzucił się w wir zawrotnych młynków. Inni podwoili szybkość podskoków. Wacek cisnął gaśnicę i rzucił się między nich. Chwyciwszy pierwszego z brzegu wół, starał się osadzić go na miejscu. Ale czarny olbrzym zarzucił mu ciężkie łapy na ramiona, przycisnął do siebie i porwał w powietrze. Przez moment skakali razem dopóki Wacek nie wyslizgnął się z jego objęć. Przypadł do Świdkiewicza:

— W derwiszów ich zakłęta ta stara Szecherezada; nie da rady, panie kapitanie!

— Rury! — krzyknął Świdkiewicz.

Kilku ludzi z załogi nadbiegło z kawałkami gumowych rur. Jedno celne uderzenie w ciemię zwałało z nóg nowych wyznawców "Church of God". Sister Maggy podbiegła do Świdkiewicza i prężąc biust, protestowała formalnie:

— Konstytucja Guatemali gwarantuje wolność religii. Nie zgadzam się! — krzyczała, upychając w uchu aparacik.

Świdkiewicz w odpowiedzi na to zaklął ordynarnie po angielsku i popchnął ją w stronę tylnego pokładu.

— Gwarancje są zawieszono — dodał już bardziej pojednawczym tonem, nie bez sporej dozy satysfakcji, iż swobodnie może przeciwstawić się herezjom, obrażającym jego uczucia. W tej chwili poczuł się nawet dumny, stając zdecydowanie w obronie swych przekonań. Osobiście eskortował Sister Maggy.

Po kwadransie głośnik powiadomił pasażerów, iż statek padł najprawdopodobniej ofiarą sabotażu, ale nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa. Łączność radiowa została nawiązana z Colonem, pomocy tymczasem nie wezwano. Wszyscy mężczyźni mają stać się do pracy przy luku, gdyż zachodzi konieczność jak najszybszego wyrzucenia ładunku.

Pierwsza szóstka, złożona z ludzi spośród załogi, zeszła na dół. Przez wyrwę w kadłubie, woda wdzierwała się z szumem do wnętrza, ale pompy opóźniały skutecznie wnoszenie się poziomu. Eksplozja rozbiła kilkanaście skrzyń z butami. Najdużące się wyżej i nie zatopione, tliły się przesycając powietrze dusznym dymem palącej się skóry. Ugaszono je bez trudności, można było zdjąć maski. Świdkiewicz kierował dźwigiem.

Niebawem cztery skrzynie zawisły w sieci nad pokładem, przesunęły się za burtę i wpadły z pluskiem do wody. Z gwizdkiem w zębach, stał nad lukiem i krótkimi ruchami rąk przekazywał rozkazy marynarzowi, obsługującemu bęben linowy. Twarz miał pogodną, poruszał się ze swobodą i jedynie oczy rzucały twarde spojrzenia. Jego zachowanie się było dla pasażerów gwarancją zupełnego bezpieczeństwa. Dalsze cztery skrzynie wtaczały się tam, na dole, do sieci. Nie myślał o tym, że zawrotne sumy szły na dno, zapomniał niemal, iż pod nogami może poczuć znowu twardy grunt. Był przede wszystkim nieugięty w wykonywaniu sprawiedliwości, co pozwalało mu

nie tylko na przybranie wobec siebie dawnej postawy, lecz podnosiło jeszcze bardziej. Wewnątrz czuł się teraz jeszcze wyższy, jeszcze twardszy, jeszcze bardziej kimś. Los właśnie jemu, a nie komu innemu, pozwolił wpaść na właściwy trop i być wykonawcą wyroku. Niszczył cały dorobek najohydniejszych (niecnych — pomyślał) machinacji, mścił krzywdę tysięcy ludzi, wielu na pewno biednych, szukających w zielonym papierku tam, po drugiej stronie tych wód, ostatniej szansy przechowania swych skromnych oszczędności. Przypomniało mu się powiedzenie jakiegoś emigranta, usłyszane w którymś z portów: "W Europie można dziś już wierzyć tylko w Boga i w dolara". On, w głębi duszy, wierzył tylko w Boga. I nie zawiódł się. Krótkie odgłosy gwizdka i ruchy rąk były jak pantomima mowy prokuratorskiej.

Amerikanin, zdejmując koszulę i przygotowując się do pracy, zbliżył się do niego.

— Czy rzeczywiście istnieje konieczność wyrzucenia całego ładunku?

Świdkiewicz spojrzał ukosem i wyjął z ust gwizdek:

— Awaria jest bardzo poważna. Woda wdziera się do wnętrza i namoknięcie butów, z których składa się cały ładunek w tej części statku, mogłoby spowodować niebezpieczne przeciążenie. Na statku o tym tonażu...

Nastąpiła zmiana. Amerykanin zabrał się do pracy dosyć leniwie, wyłapując poszczególne buty z porozbijanych skrzyń i wrzucając je do sieci. Świdkiewicz spojrzał w dół z politowaniem, uśmiechnął się i krzyknął ostro:

— To nie połów raków; proszę brać się do tych skrzyń z prawej strony!

Rzucił mu na dół parę rękawic z bawolej skóry ruchem, jakim rzuca się parszywemu psu kawałek ochłapa. Wacek pochylał się nad lukiem:

— Ale z tym sabotażem, to będzie galowa granda na całe Karaiby, panie kapitanie. Dałby Bóg, żeby się te kmiotki amerykańskie przebudziły, bo już za wiele tego mieszania na czerwono.

— Od jutra słuchać uważnie San Domingo i Nikaragwę.

Odetchnął głęboko i zmarszczył czoło. Czuł teraz na sobie także ciężar odpowiedzialności politycznej. Był jednym z tych rozsianych po świecie bezkompromisowców i patriotów, których głównym zadaniem było uświadamianie obcych społeczeństw o przewrotności metod potwornej zagłady, sunącej od wschodu krok za krokiem. Czuł, że wybuch na "Coco de Oro" powinien odezwać się głośnym echem (zawyc na alarm w sennym tropiku — pomyślał) i być poważnym wkładem w dzieło wspólnej sprawy. Niewątpliwie był kimś. Wyprostował się, wpatrzył w horyzont i przez głowę przeleciały mu trzy wyrazy: "Londyn, Prezydent, raport".

— W Colon odkładać wszystkie gazety paczkami. Co wieczór — powiedział oschle.

Na wypadek ewentualnego wywiadu z którymś z amerykańskich korespondentów prasowych, przygotował sobie krótkie, stanowcze oświadczenie. Głównie "facts", poza tym kilka słów o kraju i emigracji, złączonych wspólnym frontem.

— Tacho Somoza i Trujillo narobią krzyku przez radio, Guatemala będzie głośzyć i rozejdzie się po kościach — stwierdził filozoficznie Wacek.

— Przygotować zmianę! —

W odwodzie stała już ocucona ekipa Murzynów i praca posuwała się szybko. Przy ostatniej partii skrzynek, Świdkiewicz spojrzał w niebo i nieznacznie, z pełną godnością pokorą, przeżegnał się wielkim palcem na piersiach. Spośród wszystkich pasażerów, jedynie Hiszpan zachowywał się nadal niespokojnie. Wiadomość, że po wyrzuceniu ładunku, "Coco de Oro" skieruje się do Colonu, wprawiała go w widoczny niepokój. Świdkiewicz zauważył, że krążył on po pokładzie ze sporą paczką pod pachą, rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Wydał wobec tego cichy rozkaz zwracania na niego uwagi i uniemożliwienia mu wyrzucenia czegokolwiek za burtę. Tępienie tych elementów uważał za swój obowiązek. Nie miał zamiaru go denuncjować, gdyż to byłoby poniżej wszelkiej etyki, ale też nie zamierzał utrudniać pracy właściwym czynnikiem zbytnią pobłażliwością.

O świecie zamajaczyły falochrony, osłaniające wejście do Kanału Panamskiego. "Coco de Oro", z rufą głęboko zanurzoną, zatrzymał się. Dalej odbyło się wszystko normalnie. Na pokład weszli pilot i oficer F.B.I. Świdkiewicz zaprowadził ich do luku, wyjaśniał. Potem długo rozmawiał z oficerem w swojej kabine, trzaskała maszyna do pisania. W jadalni odbyło się badanie dokumentów. Hiszpan miał paszport guatemalski i razem z resztą pasażerów otrzymał pozwolenie na trzydniowy pobyt w Colonie. Natomiast Rumun został dla pewności zatrzymany i odesłany bezpośrednio motorówką na dalsze przesłuchanie. Władze Canal Zone były czujne i ostrożne. Około 8-ej rano "Coco de Oro" dobił do mola Nr 3.

Pasażerowie schodzili na ląd, żegnając Świdkiewicza ze wzruszeniem. Podawał rękę, przepraszając w krótkich, prostych słowach, za tak niefortunne zakończenie podróży. Ściskając dłoń Amerykanki, powiedział z uśmiechem:

— *Excuse me* — mam nadzieję, że spotkam panią dziś wieczorem w "Washington". — Powoli wracał do normalnego życia.

— *Oh, fine!*

Wchodząc do hali celnej odwróciła się jeszcze i pokiwała ręką. Świdkiewicz zasalutował. Ktoś uderzył go ze zbytnią poufałością w ramię. Stał przy nim młody Amerykanin.

— *Thank you* — i kiwnąwszy głową w kierunku drzwi, w których przed chwilą zniknęła dziewczyna, dorzucił: Biegnę depeszować do rodziców, że wszystko w porządku.

Świdkiewicz wyprężył się, poczerwieniał i zdołał wybełkotać tylko:

— *What?!*

— Jeden z największych posagów. Uciekła z domu, ale znaleźliśmy ją — ryknął zadowolony z siebie i zbiegł po pomocy.

Świdkiewicz szklanym spojrzeniem odprowadzał grupę Murzynów, oganianych troskliwie ze wszystkich stron przez Sister Maggy.

W dwa tygodnie później, mając już poza sobą wszystkie kłopoty policyjne i ubezpieczeniowe oraz "Coco de Oro" w naprawie, Świdkiewicz wybrał się do Panamy, aby trochę odpocząć. Po początkowej sensacji, jaką wzbudził sabotaż na jego statku, wszystko ucichło. Jak było do przewidzenia, gazety rozpisywały się przez trzy dni o rosnących wpływach komunistów w całym okręgu Morza Karaibskiego, podczas gdy komuniści wykorzystali to w swojej propagandzie przeciwko Stanom Zjednoczonym, oskarżając je o dławienie każdej inicjatywy, zmierzającej do częściowego choćby uniezależnienia się tych krajów od wpływów kapitału "białych pijawek z północy". Całym wydarzeniem zajął się także "Time" w swojej kronice z Ameryk, traktując je na wpół humorystycznie i zamieszczając fotografię Świdkiewicza z podpisem "Lloyd zapłaci".

Gdyby nie ciągnęła obawa, że lada chwila zjawi się ktoś z właścicieli fatalnej przesyłki i zażąda rozrachunku, Świdkiewicz byłby zupełnie spokojny. Niemniej jednak przekonanie o spełnieniu obowiązku i słusznym pokaraniu tych łajdaków, dawało mu otuchy. Co do wartości skrzynek w dalszym ciągu nie miał wątpliwości. Wprawdzie Amerykanin okazał się fałszywym ogniwem w całym jego łańcuchu logicznym, lecz to utwierdzało go niemal jeszcze bardziej w podejrzeniach. Było to wyraźne ostrzeżenie dobrej Opatrzności, czuwającej nad nim. Toteż trwał nadal w mocnym postanowieniu sprzedania "Coco de Oro" i zlikwidowania wszystkich interesów. W sumie czuł się pomimo wszystko rześki i zapisywał już tyle na swoje dobro, iż ktoś stawał się w tym prawie dłużnikiem.

Termometry w całej Panamie przekroczyły czerwoną kreskę z napisem "Calor excesivo" i Świdkiewicz, przed pójściem na plażę, wstąpił na lodowatą "orchata". Czytając gazetę, rzucił okiem na wchodzącą do baru dziewczynę. Miał słabość do Kubanek, a ta była jednym z najwspanialszych okazów. Za nią wszedł Merling. Świdkiewicz nie miał czasu nic pomyśleć, gdy już usłyszał wesołe *What's cooking, Herr von Schwidkewitsch*.

— Jak można — wołał Merling — od trzech dni szukam pana w tym przeklętym tyglu panamskim i nie mogę odnaleźć. W końcu dałem spokój, licząc na to, że w takiej dziurze musimy się spotkać prędzej czy później... Chita, zamów sobie, co ci się podoba, byle już nie "tamales". Tyjesz, "chula", zanadto — powiedział do swojej towarzyszki, przysiadając się do stolika Świdkiewicza.

— Od samego rana je, ale niech pan patrzy — to najwspanialsza trzcina cukrowa z Kuby, jaką dotąd spotkałem. Bodaj że z najświeższego transportu.

Świdkiewicz był oszołomiony. Nie bardzo wiedział, co mówić i milczał, spoglądając na dziewczynę.

— A co — oniemiał pan z zachwytu. Ale mniejsza z tym. Herr von Schwidkewitsch, wiele spraw do omówienia.

Świdkiewicz poprawił się na krześle i z pedanterią obstukiwał papierosa o wieko papierośnicy.

— Najpierw moje najserdeczniejsze gratulacje. To było fantastyczne — *f a n t a s t y c z n e* — powtórzył Merling. Nikomu nie przyszło to na myśl. Widać z tego, że i komuniści mogą czasem przydać się na coś.

Świdkiewicz spojrzał na Merlinga, potem szybko skierował wzrok z powrotem na dziewczynę. Miał ochotę przetrzeć oczy tak, jak przeciera się zapocone okulary.

— Wyobrażam sobie, co pan musiał przeżyć będąc zmuszonym... Merling pochylił się i mówił szeptem.

— Domyślałem się — bąknął głośnie Świdkiewicz.

— Eh — nie znał pan prawdziwej wartości, za to ja... nie, to się nie da opowiedzieć; to było monstrualne.

Znowu przysunął krótką, pachnącą bródkę do ucha Świdkiewicza, po czym odsunął się:

— ...rozumie pan. Dublowanie, przesyłka równoległa. To się robi w takich wypadkach, szczególnie gdy ktoś zbyt interesuje się trasą... Po tej całej petardowej historii dali spokój. Są przekonani, że mimo woli wykonał pan za nich to, o co w końcu chodziło najbardziej. Zaśmiał się. No, gdyby mydło pieśniło się w wodzie morskiej, "Coco de Oro" miałyby kąpiel w mydlinach. *Mais c'est du passé* — tymczasem zapraszam pana do siebie na odpoczynek. Jedna z najładniejszych plantacji kawy w całej Guatemali. "Tierra fria", siedem tysięcy pięćset stóp. W grudniu szron, w "pilas" lód, naturalny, nie z elektrycznej lodówki.

Świdkiewicz wyszarpnął z kieszeni chustkę, obtarł twarz i szyję i wczepił się ustami w słomki, ssąc wolno ryżowe "refresco". Potem uniósł głowę i zapytał, potykając się na poszczególnych słowach:

— Chciałbym tylko wiedzieć, czy ta kwota, którą mi pan wyplacił... to znaczy, czy banknoty, z których...

— Herr von Schwidkewitsch, jak można... Wie pan przecież, że są pewne granice. Może pan być zupełnie spokojny.

Merling dopił szybko do końca swój dżyn z mlekiem kokosowym i przysunął się bliżej.

— Widzi pan — są nowe możliwości. Chodzi o to, że Stany Zjednoczone zdecydowały się w końcu rozpocząć program ujednolicenia broni w całej Ameryce łańskiejskiej; niech Bóg czuwa nad nimi! Otóż zaczęto od Meksyku i w tej chwili są tam już możliwości kupna starych karabinów siedmiomilimetrowych za grosze. Ja zająłbym się kapitałem, pan transportem. Rozlicze-

nie fifty-fifty. Mam wrażenie, że byłoby ciężkim grzechem przepuścić taką okazję. Grube tysiące. Kiedy spodziewa się pan wyjść z Colon? Świdkiewicz odstawił szklanke i łamiąc dokładnie słomki, spojrzął z uwagą na Merlinga:

— Nie prędzej, niż za dziesięć dni. Ale czy...

— Interes czysty, jak kryształ. Odbiór zapewniony. Mam pewne informacje, że Legion Karaibski — między nami mówiąc, zupełnie dobrze zorganizowana siła komunistyczna — projektuje obalenie Somoczy w Nikaragui. Zgrupowanie miałoby nastąpić w Costa Rica. No, ale chodźmy pomoczyć się w morzu. Zobaczysz ją pan w kostiumie kąpielowym. *Je vous assure* — kawa ze śmietanką.

W miesiąc później, wśród ciemnej, bezksiężycowej nocy, "Co-co de Oro" błakał się na zwolnionych obrotach w pobliżu wybrzeży Costa Rica. Świdkiewicz stał w sterowni i starał się przebić ciemności, wypatrując w nich przez lornetkę umówionych światła z barek.

Andrzej BOBKOWSKI.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.
W każdą niedzielę dodatk.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,
Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo
w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:
17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau
US Zone, Germany.

Granica

Sprawa, o której poniżej, jest niezwykle doniosła, poważna, wielka i czuła. Jest jedną z osi, na których toczy się ku przyszłości byt Polski. Więc aby nie być w tak ogromnej sprawie posądzonym o złą wolę albo wręcz diabelskie podszepty, okrywam się szerokim krzyżem na znak, że jestem katolikiem. Wyjmuję też z filcowego gałganka wszystkie ordery i medale — na znak, że wiernie Ojczyźnie służyłem i oświadczam, że jeśli tylko dożyję chwili rozwinięcia naszych sztandarów, pokuszę się natychmiast i jak w piosence — zaciągnę się. Tyle, że nie do werbujących ułanów, a do maszerujących strzelców.

Ale żart na stronę. Chodzi o rzecz wielką. O granicę Polski. Nie tę, biegnącą od Wilii i Dżwiny po Zbrucz i nie tę, która dzieli nasz kraj od Niemiec Odrą i Nysą. O tę natomiast, która biegnie przez całą Polskę, jak długa i szeroka, Polskę na jej najdalszych rubieżach, aż po Tamizę, Rzekę św. Wawrzyńca i Ziemię ognistą. Jest to granica wierności Polsce, czyli po prostu duszy polskiej.

Polska i polskość, to są pojęcia zbiorowe. Polska, jak każdy naród, jest przedmiotem ontologicznie złożonym. Nikt nie ma prawa uważać, że w nim jedynym, w jego tylko duszy żyje wcielona, pełna i cała ojczyzna. Polskę stanowią wszyscy Polacy, nie zaś niektórzy Polacy, czy nawet najlepsi Polacy. Polska, to zarówno Polacy dobrzy, źli, jak i błądzący. "... Miłość męża, bolejącego nad złością swojego narodu, wchodzi do samych głębin jego duszy... A miłość, która głęboko wnika, daleko patrzy i wiele rozumie. I wtedy, kiedy błyskotliwi i samolubni miłośnicy ojczyzny, spokojni i bezpieczni, kąpią się w słońcu jej sławy, mąż który w bólu kocha i rozżala się o złe swego narodu, zdala wejrzeniem obejmuje te chmury, które sąd Boży i historii nad dumną głową niebaczego narodu gromadzi..." (Arcyb. Teodorowicz "O miłości ojczyzny").

Trudno jest nawet ustalić dokładne granice ojczyzny w człowieku. Pochylmy się nad drobiazgiem faktów! U Foylesa w Londynie otwarto jest od kilkunastu dni pokaz współczesnego polskiego afisza. Obejmuje on około setki powojennych afiszów polskich o tematyce głównie kulturalnej (teatralnej filmowej, książkowej), turystycznej, gospodarczej i oczywiście, ale w dość ograniczonej mierze, propagandowo-politycznej. Autorami są graficy i malarze zarówno młodzi, jak znani dobrze już przed wojną, np. Witold Chomicz, Tadeusz Gronowski, Eryk Lipiński, Henryk Tomaszewski i inni. Ta setka kolorowych afiszów przynosi w najgłębszy wir Londynu malarzy skrawek Polski. Tylko przymknąć powieki, a widać sceny sławnych naszych teatrów, ambitne polskie filmy, skromne wystawy przemysłowe, świetniejsze wystawy plastyków, szum dźwięni i wiertarek przy odbudowie Warszawy, dalekie szlaki beskidzkie i tatrzańskie... Afisze te, mówiąc nawiasem, nie przynoszą wstydu plastyce polskiej: obcy chwala ją szczerze. Niejedna reprodukcja zawędrowała z wystawy do angielskich wydawnictw plastycznych.

Niestety salka wystawowa jest pusta. W księdze gości figurują podpisy niemal wyłącznie angielskie. Przypomina się wystawa polskiej

sztuki ludowej sprzed roku, która triumfalnie objechała Rzym, Paryż i Brukselę, ukazując obok sztuki i głębi religijności polskiego ludu. Tylko w Londynie wystawa świeciła pustką.

Powiedzmy otwarcie: wystawy te są przez społeczeństwo polskie, a zwłaszcza przez kierownicze czynniki i prasę na obczyźnie, bojkotowane. Uzasadnia się ten bojkot po pierwsze "reżimowością" organizatorów. Zastanówmy się dobrze! Czy kiedykolwiek komu wpadło do głowy bojkotować np. sowieckie filmy albo książki, wydane w Niemczech. Idąc drogą takiego rozumowania, nie powinniśmy się uczyć języków wrogich nam narodów, poznawać ich literatury, ba, korzystać np. z lornetek Zeissa, maszyn do pisania Olympia (właśnie ten felieton jest na powyższej pisany) ni zażywać aspiryny Bayera. Wszak nikt organizatorom nie każe ręki podawać! Więcej nawet: wystawa jest bezpłatna, zatem grosz nie pójdzie, jak się to głosi, na "ucisk narodu polskiego".

A zresztą, jeśli już bojkot, to czemuż nie konsekwentny: czemu np. przyjmować listy, stemplowane, ba, cenzurowane przez "reżimową" pocztę, czemu kupować litrami polską wódkę wyborową i ogłaszać ją niemal we wszystkich pismach emigracyjnych, czemu zajądąć krakowską kiełbasę i wdychać aromat grzybów polskich w zapach?

Tak więc na wystawę polskiej sztuki ludowej, na koncert laureatki konkursu Chopinowskiego, Haliny Czerny-Stefańskiej, na wystawę polskiego afisza powinni polscy emigranci uczęszczać tłumnie. Nawet, podkreślam nawet, jeśli by ci wszyscy graficy byli komunistami. Albowiem i komuniści polscy, to niestety nasi bracia. Ci źli lub błądzący, ale bracia, cząstka ojczyzny.

(Inna jest sprawa z pokazami filmów, propagujących komunizm, gdyż celem ich jest agitacja prosowiecka. Głupstwem jednakże było by bojkotować polskie filmy, wyświetlane w kinoteatrach angielskich, takie jak "Ostatni etap", "Ulica Graniczna" lub "Zakazane piosenki").

Jedno z pism polskich, omawiając zresztą dość pochlebnie wystawę afiszów, z gorliwością godną lepszej sprawy docieka, dlaczego tak mało na wystawie politycznej propagandy, a tak wiele mydlenia oczu teatrem, sztuką, itp., przyczem pismo z ulgą stwierdza, iż większość artystów tworzyła jeszcze przed wojną. Czym się tu, na miły Bóg, cieszyć? Że młode kadry grafiki polskiej nie są zbyt liczne? I dlaczego, dlaczego, dlaczego pragną, aby obcy widzieli w Polsce tylko dzieł i papugi kremlowskie, a nie dumny i tworzący mimo niewoli naród? Czyżbyśmy mieli dla przekonania świata o niewoli Polski jeden tylko dowód: jej kompletną ruinę?

Niech najwspanialsze wystawy polskie olśnią świat, niech się w Kraju rodzą geniusze nauki i sztuki, niech imię Polski dojdzie w każdy zakątek świata — mimo iż Polska jest pod chwilową okupacją! Największych dzieł na polu sztuki i nauki Polska dokonała również w czasie stuletniej niewoli. Nie budziło to nigdy w świecie obojętności wobec nas, ale przeciwnie dowodziło, iż taki naród w pełni zasługuje na niepodległość. Uczmy się miłości ojczyzny od Moskali. Biali emigranci rosyjscy, mimo iż trzydzieści lat minęło, odkąd opuścili swój kraj, dumni są ze wszystkich dokonań sowieckich i dumni są nawet z ich zwycięstw orężnych, choć to oddala powrót emigrantów do ojczyzny.

Inna oczywiście jest sprawa Polski. Nikt nas nie zmusił do radości z nastania Rokossowskiego ani ze wzrostu wydobycia węgla, który idzie wprost do Rosji ani z powiększenia się katedr leninizmu ani ze wszystkich innych skutków fizycznej i duchowej okupacji Polski. Ale czemuż-byśmy się mieli nie cieszyć z odbudowy Warszawy, z osadnictwa Ziemi Odzyskanych, z rozbudowy przemysłu, rozwoju sztuki, ze zdobycia nauki? To są przecież wartości polskie, własne, niezaprzeczalnie nasze, a niezbędne do życia i trwania narodu.

Jakże łatwo na emigracji wypowiada się lekkie słowa o złym wychowaniu w Kraju, skomunizowaniu szkoły, o sowieckich wpływach na uniwersytetach! Jest to niewątpliwie częściowa prawda. Ale czy ów, kto

wyrzeka te zdania, pomyśli, jak heroiczną walkę o duszę polską muszą toczyć w tejsze szkole, na tymże uniwersytecie, w takiej czy innej służbie społecznej polscy nauczyciele, księża, profesorowie, artyści, kolejarze, pocztowcy?

Dwa szczególnie poglądy wydają się już nawet nie lekkomyślne, ale wręcz zbrodnicze. To wołania o izolację dyplomatyczną oraz o izolację handlową Polski. Gdyby bowiem państwa zachodnie zerwały stosunki dyplomatyczne z Polską, rzuciłyby ją na ostateczny łup Sowietom. Naród polski zawsze będzie w tych wątpliwych stosunkach dyplomatycznych i konsularnych upatrywał światła nadziei. Zachęcanie więc państw zachodnich do zerwania z Polską jest aktem nieprzyjaznym wobec narodu.

Podobnie ze stosunkami handlowymi. Polska, pozbawiona wymiany towarowej, będzie Polską ubogą — bez względu na to, czy będzie komunistyczną czy nie. Jeśli przyjmujemy, że Polska ze stosunkami handlowymi z Zachodem będzie nadal komunistyczna, to dodajmy, że bez tych stosunków będzie i komunistyczna i uboga. Każdy grosz zysku Polski tak czy inaczej wchodzi w organizm gospodarczy Kraju, każdy grosz, wytracony z polskiej ręki zuboża Kraj.

W jednym z pism emigracyjnych prawie że napiętnowano niedawno akcję "paczek Pekao" reżimu, który pragnie przy okazji zakupu paczek z zagranicy chytrze ściągnąć do Kraju obce waluty. Oczywiście zapewne tracić się będzie na tych paczkach, ale ów sprzeciw gazeciarski brzmi zupełnie tak, jakby naszym interesem miało być bogacenie się obcych i zubożenie "reżimu", czyli w tym wypadku gospodarki polskiej. Jakby jakimś wstrętnym posunięciem była chęć zgarnięcia do Polski obcych walut.

Nie tędy droga. Zubożanie Polski nie może być celem żadnego Polaka, nawet jeśli chwilowo panuje tam rząd komunistyczny. Rządu tego nie usuną żadne postrachy gospodarcze. Póki Polska nie odzyska wolności na drodze politycznej, niech przynajmniej w Kraju nie brakuje obcych walut, obcych towarów, obcej pomocy gospodarczej. Zbudowane fabryki, warsztaty i domy napewno nie przepadną wraz z reżimem.

Wielu Polaków dostrzega interesy Polski na Zachodzie. Jest ich tu niewątpliwie wiele — z politycznym na czele. Ale trzeba się też z tym zgodzić, że główne interesy Polski są w Polsce. Naród, bez względu na trwającą niewolę, musi żyć, trwać, rozwijać się gospodarczo i kulturalnie. Tego za naród polski nie zrobi ani jego emigracja ani żadna obca pomoc. Trzeba umieć znaleźć granice sprawy polskiej — bez względu na granice polityczne. Granice te przebiegają przez Kraj.

Tak jeszcze niedawne są czasy, kiedy Polska, choć pod trzema zaborami, musiała przecieżyć żyć. Próbowano i to wielokrotnie krwawych powstań, ale jakieś formy współżycia z zaborcami musiała znaleźć. W tamtych czasach nie gorszyła ludzi tak bardzo kolaboracja. Polacy pracowali na rzecz państw obcych nie tylko jako robotnicy, rolnicy, czy inżynierowie, ale nawet jako urzędnicy, nauczyciele, profesorowie, oficerowie. Nasz korpus oficerski po odrodzeniu państwa w roku 1918 składał się w większości z oficerów armii zaborczych. Naród wszystko to znakomicie pojmował i nie miał żalu, że w obliczu konieczności życiowej inżynier polski budował koleje syberyjskie, że tkacz łódzki pracował na umundurowanie carskiego żołnierza, a ziemianin dowodził pułkiem carskiej kawalerii. Nie wyciągajmy i dziś pochopnych wniosków, nie oskarżajmy nikogo nazbyt pośpiesznie! Tylko bowiem działalność wyraźnie skierowana przeciw Polsce jest zbrodnią.

Jeśli nie znajdziemy właściwej granicy duszy polskiej i sprawy polskiej, możemy łąco wejść na straszną drogę samobójstwa.

Jan BIELATOWICZ.

Arkusze poetyckie

Pieśń o burzy

Z dłońmi pełnymi urody świata na progu stoję.
Krażą nisko jaskółki. Ku stopom czołga się burzan.
Co niegdyś zdawało się metą, dziś już nie moje
i wiatr ostatnie żdźbła stomy wymiata z podwórza.

Długo czekałem na podmuch, co drzwi rozwali na przestrzał,
dom mój powali na twarz przed groźnym Bogiem,
sam zaklinałem burzę, sam podkładałem ogień
pod butwiejące krokwie, pod zgniłe przęsta;
a oto ptaki słów pomarły na czarnych wargach,
wicher uderzył skrzydłem i tylko piersi potargał;
jedne burze odeszły, innymi niebo się mroczy,
— któryż to raz popieliska stają w poźodze?
Włosy splekały deszcze, piachem nawiato w oczy,
i wracam skąd wyruszyłem
i próżno w światy odchodzę...

Straciłem rachubę czasu. Zegar się dawno zatrzymał.
Jutro przyszłością nie będzie,
a przeszłość dotąd się dzieje.
Ta sama noc spogląda wylupionymi oczyma,
ta sama ręka wypycha na gromy i na zawieje.
Cegły rozgrzane pożarem ktoś skrzętnie pozbiera,
popiół wróci do gliny, obrodzą krzaki malin.
Z niedopalaných foliatów,
w krwią porudziałych literach
dziecko mozolnie odczyta, jak myśmy dzisiaj konali.

Popłyną tratwy flisacze po wistach i niemnach,
dziewkom dorastającym nad ranem przyśni się miłość,
jak gdyby nasza udręka i wiedza była daremna,
jakby nas w życiu, a naszych prochów
nigdy w tej ziemi nie było!

A ja, com z owej burzy pragnął wyjść krzepki i nagi,
by odkryć świat zmieniony i nowym słowem nazwać,
zawisłem w nocy, odarty z nadziei i odwagi,
i broczę krwią powoli, rozkrzyżowany na gwiazdach.

Nie prorok, ale fałszerek w nocy do okien zastukał,
jałowa była burza, co miała ziemię zapłodnić,
nie walka — bójka karczemna, znachorstwo — nie nauka..
Hojnie nas chciano nakarmić, a oto znowuśmy głodni.

Lecz mięśnie, ścięgni i kości, co dojrzewały w rebelii,
nie chcą pokorze się poddać, w gniewie nie stygną.
Nim wapno serce spali, nim w kamień krew się wcieli,
jeszcze się styszy ich krzyk nad mrokiem i nad maligną.

Ustami, pełnymi krzemieni, zranione słowa wykrztuszam,
palą się ogniem krwi, nim zagasną w żużel.
Ciało moje jak grot, a ziemi napięta kusza
drży, aby pocisk wyrzucić. Znowu czekamy na burzę.

Wtedy nasze zwłoki z krwawych popiołów obetrzesz,
rozkrewisz nad nami Twój wiekuisty las,
życie odnowisz w śmierci i konstelacjom gwiazd
jak pawim piórom każesz się sypać na wietrze.

Jak ptaki, co z gniazda wypadły, gdy wiatr je schwycił,
wysupłasz nas z mokrej trawy dłońmi Twej władzy.
Na brzegu czarnej rzeki, wśród olszyn i rokitin
pod świtem gorejącym znów odnajdziemy się nadzy.

Twa burza krzywo nie chadza i w ślepe oczy
dżdżem nie uderza, ani w zdradzieckich zaroślach
czai się dzikim zwierzem. Z groźnych uroczysk
chmurą nie pędzi i domów nie pali w złości.
Twa burza jest nam przychylna. To smagły wioślarz,
który zbiegów wojennych przewozi na brzeg wolności.

Nie urodziłem się dla bitew

Nie urodziłem się dla żadnej z ziemskich bitew,
lecz ani jednej z nich mi los nie odjął,
i próżno wolnych słów melodią
chciał się uskrzydlić dźwięczny rytm.

Gdym nieprzytomny po mieście się snuł,
a by zroszone kwitły po podwórzach,

*tyś nadchodziła, jak wiosenna burza,
i porywała stopy w mętny nurt.*

*A gdy mi usta, wezbrane jak pęk,
pękały gwizdem psotnego gawrosza,
szłaś czarnym tłumem pod wartownię koszar,
frygijską czapkę wtykając do rąk.*

*I pokochałem ten zatruty chmiel,
którym poiłaś mnie, dziewczko złowieszcza,
bym głuche okna sennych mieszczan
budził co noc i brat na cel.*

*W cmentarnej ciszy przeludnionych miast
w krzyk urastałem na trybunach
i oglądałem się, czy nad domami tuna...
Lecz to wschodziły konstelacje gwiazd.*

*Kołował w głowie gorzki płyn
i skrzypce nawiedzały serce srebrnym płaczem,
a za oknami świetliści spawacze
bili młotami w żywy płomień szyn.*

*I karczma, jak na ciemnej nocy prom,
gdy w nurt muzyczny ukołysał chmiel ją...
Czym wtedy byłaś? Poezją? Rebelią?
Coś przekazała przyszłym dniom?*

*Niepewnej stopy nikły ślad,
sny przepalone walką niedorzeczną
i pieśń, co chciała zaćmić wieczność
całopaleniem młodych lat.*

*Więc teraz głoś n o n o m n i s m o r i a r
tym gorzkim strofom, co już nie nie znaczą,
gdy całe życie, jak mroczna historia,
opowiadana na postrach słuchaczom.*

Józef ŁOBODOWSKI.

Straty Kultury Polskiej

Wacław Borowy

Wiosną 1945 roku widziałam śp. Profesora Wacława Borowego po raz ostatni. Było to na terenie Uniwersytetu Warszawskiego. Klony kwitły i ziemia była osypana ich drobnym zielono-złotym kwieciem. W ciemnym płaszczu, w szarym szaliku okręconym koło szyi i szerokopojłym kapeluszu krzątał się profesor rześko wśród zachowanych szczątków Warszawskiej Wszechnicy.

20-go stycznia, to jest w kilka dni po wyparciu Niemców ze zburzonej stolicy (16-go została jeszcze spalona Biblioteka Publiczna na Koszykowej), był profesor już na miejscu i, przy pomocy kilku przygodnych uczniów, zajął się zebraniem rozrzuconych książek i zabezpieczeniem reszty Biblioteki przed grabieżą. Czuwając nad pozostałym mieniem, zdobywając drzwi, ramy okienne, szyby, krzesła i stoły, zajął się Borowy bez zwłoki organizowaniem nauczania. Już 11-go kwietnia rozpoczęły się ćwiczenia seminaryjne (mimo że oficjalne otwarcie Uniwersytetu nastąpiło dopiero w listopadzie tego roku). Tematem tych pierwszych ćwiczeń była analiza «Fantazego» Słowackiego i «Dożywocia» Fredry, jako że przypadkowo posiadano kilkanaście egzemplarzy obu tych utworów. Seminarium zaś roku szkolnego 45-46 było zatytułowane «O tragedii».

Profesor przyjął nas wtedy, tych ostatnich dni kwietnia, w jedynej reprezentacyjnej salce zachowanego gmachu porektor-skiego, gdzie się odbywały jego ćwiczenia i gdzie się już wtedy zbierał zdziesiątkowany KLIN (Koło Literackie i Naukowe), którego Profesor był w ciągu długich lat naczelnym animatorem. Na ścianach tej salki wisały dobre, dużego formatu reprodukcje obrazu Van Gogha (pole pszeniczne pod ciężkim, letnim niebem) i mieniący się barwami pejzaż, o ile się nie mylę, Moneta. Były tam też sztychowane portrety pisarzy polskich. Pierwsza komórka odradzającej się polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, pierwszy znak życia w obrębie tragicznych jego ruin.

W kilka dni później, 1-go maja, została otwarta w częściowo odremontowanym Muzeum Narodowym wystawa pod hasłem: «Warszawa oskarża!».

Szereg artystów współdziałało w organizowaniu tego pamiętnego pokaz. Wykresy, statystyki, mapy plastyczne, fotografie, szczerki Zamku Królewskiego, tablice z nazwiskami pomordowanych historyków sztuki i artystów plastyków oraz pęki magnolii i posąg Zygmunta z potrzaskanej kolumny — to wszystko mówiło o śmierci ale również o nadziei.

Bo też ówczesna Warszawa, jej ulice zawałone jeszcze gruzem i przebite lejami pocisków, pełne rozdeptanych grobów a już rojące się od ludzi, zdecydowanych tu pozostać i tutaj żyć — to był widok zadziwiający i podniosły.

W jednej z sal poświęconej stratom bibliotek stały na tle suchych wykresów i statystyk szklane słoje z białym popiołem. Były to prochy archiwów z Biblioteki Krasieńskich. Wielu pisarzy i uczonych złożyło swoje rękopisy do magazynów nowoczesnego gmachu na Okólniku, w nadziei że jest lepiej od innych zabezpieczony od pożarów. W tejsze biblioteki kazały władze niemieckie w okresie okupacji gromadzić najcenniejsze starodruki i rękopisy z innych bibliotek, w pierwszym rzędzie Polonica. W dwa tygodnie po upadku Powstania cały gmach, od piwnic, piętro po piętrze, został spalony. W tym popiele spoczyły też prace profesora Borowego, a między innymi materiały do dzieła o stosunkach kulturalnych pomiędzy Anglią a Polską. Jedną ósmą zaledwie tych materiałów zdołał Profesor przed wojną opracować i opublikować, całość spłonęła, o czym Profesor doniósł zwięźle w *Sprawozdaniach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego* (wydz. II. Roczn. XXXIX. 1946 r.) pt. *Anglo-Polonica. Wiadomości o niedokończonych Pracy i zniszczonych Materiałach*.

Urodzony w 1890 r., doktoryzował się Wacław Borowy u prof. Chrzanowskiego w 1914, pracą o Ign. Chodźce; następnie, po krótkim okresie służby w Legionach, zaczął nauczać w szkołach średnich w Warszawie. Od 1920-go do 28-go zajmował stanowisko kustosa w Bibliotece Uniwersyteckiej, w latach 1921-22 był redaktorem *Przeglądu Warszawskiego*. Od 28-go do 30-go — radcą Wydziału Sztuki Min. W. R. i O. P. Od 30-go do 35-go docentem języka i literatury polskiej w *School of Slavonic Studies* w Londynie. Wykorzystał te lata żeby na różne sposoby zaznajomić Anglików z kulturą polską i zbierać materiały do zamierzonej pracy.

«Zdobywanie *nieznanych* anglo-poloników — pisze Profesor — stało się dla mnie na czas jakiś nie tyle pracą, ile ulubioną rozrywką, czymś w rodzaju sportu. Przedsiębrałem wycieczki do różnych bibliotek (...), jeździłem do Cambridge, do Oxfordu, do Edynburga, do Dublina. Nawet przygodna wizyta

w bibliotece publicznej niewielkiego Canterbury okazała się owocna...»

W 1936 r. został mianowany Dyrektorem Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, a w 1938 profesorem na tymże Uniwersytecie. Dzięki swemu wielkiemu autorytetowi naukowemu i moralnemu powołano go na katedrę bez uprzedniej habilitacji, zdarzenie rzadkie w dziejach uniwersyteckich.

W ciągu lat okupacji prowadził komplety seminaryjne, włączone następnie do sekcji polonistycznej wydziału humanistycznego podziemnego Uniwersytetu.

Mieszkając w Zalesiu, koło Piaseczna, nie przeżył Borowy bezpośrednio ostatniego aktu tragedii stolicy, ale zaraz po kapitulacji i na mocy jednego z punktów aktu kapitulacyjnego stanął do akcji zabezpieczania mienia kulturalnego Warszawy, skazanej na doszczętne zniszczenie. To «zabezpieczenie» polegało zasadniczo, za zgodą władz niemieckich, na wywożeniu wartości niespalonych jeszcze bibliotek i muzeów do Niemiec. Większość odratowanych zabytków dała się zabezpieczyć na Śląsku, albo w podziemiach klasztornych na prowincji.

Ekipa ratownicza wyjeżdżała o świcie i musiała wracać o zmierzchu, pracując w mróz i słońce bez ciepłej strawy i odzieży, w przemarzłych i opustoszałych budynkach lub podziemiach spalonych gmachów. Mimo surowej kontroli udało się wtedy prof. Borowemu, doskonale obeznanemu w zasobach Biblioteki Uniwersyteckiej, znieść i zamurować w jej piwnicach najcenniejsze druki XVI-to i XVII-to wiecza. Jednego wieczoru, ciężarówka z resztą ekipy odjechała, pozostawiając przez nieuwagę Profesora w podziemiach Biblioteki. Spędził więc całą noc zimową samotnie w zabitym mieście, gdzie nie pozostało nawet żywego ptaka.

Nie wiadomo które «dary» Zmarłego należało by wysunąć w tym pobieżnym szkicu poświęconym jego pamięci.

Czy jego wiedzę, ogarniającą coraz dalsze, chociaż zawsze ściśle z jego specjalnością związane dziedziny (czytał biegle w 7 czy 8 językach)? Czy miłość przedmiotu, literatury ojczystej, a ściśle biorąc poezji polskiej? Czy dokładność badacza, cechującą każdy nawet drobny artykuł, wyszły spod jego pióra? Czy wytrawność krytyka, kulturę polemisty? Czy może też skromność i zapomnienie o sobie tak dalece posunięte iż po otrzymaniu w 1929 roku nagrody Polskich Wydawców cierpiał dosłownie nad «efekciarskimi koniecznościami», które ta nagroda za sobą pociągnęła, a które polegały na daniu ustępu niewydanej jeszcze książki o Chestertonie do *Wiadomości Literackich* i «ufotografowaniu się do tychże»?

Spuścizna literacka Wacława Borowego obejmuje około 200 pozycji bibliograficznych. W ogromnej większości są to szkice i studia o poszczególnych pisarzach, tematach, motywach, zależnościach, przeobrażeniach i właściwościach językowych. Jego zmysł drobiazgowej analizy skłaniały go do formy drobnej. Nie

lubił obszernych monografii, porównując je do sklepu «Braci Jabłkowskich». Z większych jego prac należy wymienić książkę o Chestertonie (*Gilbert Keith Chesterton*, 1929), oraz dzieło wydane w 1948 r. przez P.A.U. *O Poezji Polskiej w w. XVIII*, złożoną z 20-tu poszczególnych studiów.

Tak jak trudno jest wyłączyć jakąś szczególną właściwość Borowego, trudno również wyznaczyć jakąś specjalność w dziedzinie jego zainteresowań. Człowiekiem był jednolitym, uczonym o rozległych i różnorodnych horyzontach. Prace jego sięgały od Kochanowskiego do czasów najnowszych z wyróżnieniem Książnina, Mickiewicza, Fredry, Norwida, Wyspiańskiego i Żeromskiego.

Miłośnicy Norwida winni są profesorowi Borowemu szczególną wdzięczność za wszystko co zrobił dla uprzywilejowania poety.

Norwid posiada już dziś sporo wielbicieli, ale nawet przez nich jest mało, albo bardzo niedostatecznie znany, dla ogółu zaś pozostał «poetą garstki miłośników lamigłówek» jak go określił T. Pini w krzywdzącej poetę a kompromitującej autora przedmowie do «Dzieł C. N.».

Borowemu zawdzięczamy wydanie po raz pierwszy w układzie, nadanym mu przez poetę zbioru stu drobnych utworów, zatytułowanych *Vade Mecum*, dla którego za życia Norwid nie zdołał nigdy znaleźć wydawcy. Ukazały się w fotokopii (Nakładem Tow. Nauk. Warsz., 1947 r.), z kartą tytułową:

VADE MECUM

tym z którymi błogo, poufnie
i często rozmawiałem
poświęcam i posétam

C. N. 1865.

W przedmowie wyraził Profesor nadzieję, że zaznajomiwszy czytelników z piórem poety, czytelnik pomoże mu w odcyfrowaniu niektórych poprawek i dopisków:

«Co (...) wydaje się nie do odczytania przez jedno oko, może być szczęśliwie odczytane przez inne. Im więcej par oczu będzie mogło na autograf spoglądać, tym większa pewność, że go pełniej i lepiej poznamy.»

Tegoż roku wydał Borowy *Myśli Wybrane*, wyjęte z rozpraw i korespondencji Norwida pt. *Ludzkość Ojczyzna Sztuka* (Łuk, W-wa 47). W zbiorowej książce, obejmującej krytycznie opracowaną bibliografię dzieł poety, wydaną przez Muzeum Narod. w Warszawie, w 125-tą rocznicę jego urodzin, mamy studium Borowego pt. *Norwid Poeta*, w *Zeszytach Wrocławskich* (Nr. 1-2, 49 r.) pracę stanowiącą jakby dopełnienie Wyboru Myśli, zatytułowaną *Główne Motywy Poezji Norwida*, gdzie autor wykazuje ciągłość pewnych wyobrażeń i jednolitość życiowej postawy poety.

Na przykładzie Norwida w szczególności widzimy na ile od-

krywczość tej miary badacza co Borowy, jego analiza procesów twórczych, źródeł i natchnień na tle epoki może się stać nicią przewodnią dla czytelnika, wyjaśniającą konstrukcję odśladającą drogą analizy utajony nieraz sens utworu albo zamierzenie twórcy.

W szeregu tych rozpraw i studiów Borowy kierował się orzeczeniem samego poety:

«Zadanie krytyka jest wszystko postawić na właściwym miejscu i otworzyć okno — pozostawiając resztę światła i czasowi!»



Przykładem metod polemicznych Borowego jest odpowiedź, którą dał Stefanowi Żółkiewskiemu na jego napastliwą i nieuczciwą krytykę *Poezji XVIII w.* (*Kuźnica* nr. 146). Żółkiewski nazwał tę książkę «fantastycznie sekciarską, stronniczą, jednostronnie w służbie ducha zakrystii, lekceważącą wszelki obiektywizm historyczno-literacki». Odpowiedź Borowego (*Tyg. Powszechny*, nr. 179) jest nie tylko pełna umiaru i prostoty ale nawet pogodna i w miarę ironiczna.

«Bo aczkolwiek, pisze Profesor, religijność jest dla mnie najwyższym i wiecznym walorem kultury (czego zresztą nie napisałem, ale co z wyjątkową trafnością napisał za mnie Żółkiewski) książka moja, wbrew wyobrażeniom jakie o niej daje redaktor *Kuźnicy*, nie zajmuje się religijnością pisarzy, nie zajmuje się również ich rolą oświatową, społeczną, polityczną, itd... Wiele razy już dawniej pisałem jak to rozumiem: «W świecie wartości poetyckich nie przechodzą granice nawet między teizmem i ateizmem, ale przechodzą między oschłością a wrażliwością, pomiędzy ludzką a nieludzką postawą wobec życia».

Mimo zniszczonego serca, tempo i rozpiętość prac Wacława Borowego w ciągu pięciu ostatnich lat życia jeszcze się chyba wzmożyły.

Niech za dowód służy chociażby niepełne zestawienie tematów, ówceń, seminariów i wykładów:

W 45/46 poza seminarium «O Tragedii» prowadził Borowy dla 1-go roku ćwiczenia analizy drobnych utworów lirycznych. W 46/47 — seminarium Norwidowskie, w 47/48 — konwersatorium na temat techniki edytorskiej; w 48/49 seminarium — Młoda Polska i Literatura Polska po 63 roku na te literatury powszechnej oraz konwersatorium — Boy Zeleński i sztuka przekładu; wreszcie w roku 49/50 — Od Kochanowskiego do Krasińskiego i Zaranie Powieściopisarstwa Polskiego na te literatury powszechnej.

W tych samych latach tematami wykładów była poezja Mickiewicza, Literatura Staropolska i literatura w. XVIII-go. Profesor Borowy współpracował w okresie tego pięciolecia z szeregiem czasopism jak *Twórczość*, *Znak*, *Tygodnik Powszechny*, *Pamiętnik Literacki*, *Wiedza i Życie* — a wymieniam tylko te pisma, które dzięki łaskawości autora mam pod ręką.

W Roczniku XXXVI-tym *Pamiętnika Literackiego* (1946 r.),

poświęconym stratom poniesionym przez polski świat naukowo-literacki w latach wojny i okupacji, od najstarszych do najmłodszych jego pracowników (79 nazwisk!) znajdujemy trzy nekrologi pióra Borowego o przyjacielu Leonie Piwińskim, koledze z ławy szkolnej Aleksandrze Patkowskim i Kazimierzu Królu, pisane z właściwą mu rzeczowością, bez natężenia nawet głosu (nie znosił patosu), ale jakże wymowne w swojej prostocie.

W materiałach po śp. profesorze Borowym pozostało ponadto, od lat już do druku gotowe Nekrologium innych zmarłych i zamęczonych w latach wojennych, przeznaczone dla zagranicy, oraz drugie wydanie *Antologii Liryki Polskiej*. W przygotowaniu pozostał tom rzeczy dawnych i nowych, rozproszonych po czasopiśmie, tom studiów o Mickiewiczu z których *Poeta przeobrażeń* i *O wierszach religijnych Mickiewicza* ukazały się w *Twórczości* (zesz. XII r. 48) i w *Znaku* (zesz. 21, r. 49), oraz listy i pamiętniki Żeromskiego, opracowane do druku w ciągu ostatnich już miesięcy życia.

Profesor Borowy nie znosił żadnych, bodaj najskromniejszych hołdów składanych mu osobiście. Kiedy więc uczniowie, radzi z jego powrotu do zdrowia po dłuższym pobycie w klinice, wystąpili na Uniwersytecie z powitalnymi kwiatami, odpowiedział im szorstko, że jeżeli już myślą o kwiatkach dla polonistów, to złożyć je powinni na grobach tych, którzy odeszli. (Ze wspomnień Z. Lichniaka, *Dziś i Jutro*, nr. 258).

Kilka dni przed śmiercią wrócił Profesor z Kielc, gdzie omawiał z tamtejszymi muzeologami projekt wystawy w 25-ciolecie śmierci Żeromskiego. Pracował nad tą wystawą i związanymi z nią wydawnictwami z wielką ochotą. Ostatni dzień życia i pracy był również pogodny, spokojny i niemal radosny.

Umarł 16 października 1950 roku na atak sercowy.

Kto zastąpi profesora Wacława Borowego w obecnych warunkach nauki w Polsce? Kto podejmie prace tych, co rok rocznie odchodzą, a którzy byli chwałą naszego piśmiennictwa i naszych Uniwersytetów? Kto będzie bronił wolności i bezstronności uczonego? Kto nie wymieni prawdy na taktykę?

«Z duchem jest jak z wodą, pisał Norwid, zmieć ją w dolinę z gór, to odtryśnie na niebo o całą miarę poniżenia.»

Maria CZAPSKA

Sprawy sowieckie

Rosja i Azja

(Wyjątek z większej całości)

Wstęp

Kontynent azjatycki w pierwszej fazie swych dziejów był kolidacją największych cywilizacji świata. Ich rozkład i upadek zbiegł się z szybkim rozwojem cywilizacji zachodniej, która od 16-go stulecia poczynając zaczęła przybierać cechy uniwersalnej. Podporządkowanie Azji Zachodowi stało się w tych warunkach nieuniknione. W ten sposób zapoczątkowana została druga — tak zwana kolonialna — faza dziejów Azji.

Wiek 20-ty wysunął hasło wyzwolenia narodów Wschodu, zaś okres między dwoma wojnami światowymi, a zwłaszcza okres po drugiej wojnie światowej, charakteryzuje polityczna (choć nie kulturalna i nie gospodarcza) emancypacja całej prawie Azji. Proces ten nabrał cech nieodwracalnych wskutek coraz większego przenikania do Azji wywoleńczo-demokratycznych zasad cywilizacji zachodniej, które podważyły podstawy kolonializmu.

Rewolucja w Rosji w 1917 roku oraz penetracja komunizmu wpłynęły na powstanie nowej linii podziału w Azji — socjalnej, jak i wzmocniły wszelkie inne płaszczyzny tarć, potęgując dotychczasowe napięcia walców niepodległościowych z imperializmem zachodnich potęg. Polityczna i gospodarcza rola Azji jak i potencjalne znaczenie mas azjatyckich oraz, z drugiej strony, waga czynnika Azji w światowych planach Moskwy powodują, że walka komunizmu z Zachodem staje się przede wszystkim walką o Azję. Zagadnienie Europy na dłuższej fali rozstrzyga się w tej walce, choć taktycznie w różnych momentach wysuwać się może na pierwsze miejsce. Można przyjąć jako pewnik, że zajęcie samej tylko Europy przez Sowiety, może mieć charakter przede wszystkim militarny i mniej lub więcej tymczasowy, natomiast łatwiejsze — w porównaniu z Europą — skomunizowanie Azji prowadzi do zajęcia przez Moskwę dominującej pozycji w całym świecie na okres względnie dłuższy.

U podłoża tych zjawisk leżą zagadnienia stosunków rosyjsko-azjatyckich oraz komunistyczno-azjatyckich, które są treścią niniejszego studium.

Można by wymienić cały szereg momentów, świadczących o bliskich powiązaniach Rosji Sowieckiej i rosyjskiego komunizmu z kontynentem azjatyckim. Przede wszystkim już sama Rosja w 3/4 swego obszaru leży za Uralem. Azjatycka część państwa wskutek gospodarczej rozbudowy przez komunistyczne rządy przestała być prowincją części europejskiej i zamienia się w jej zaplecze. Główny ośrodek państwa przenosi się na historycznie czysto azjatyckie obszary między Wołgą a Jenisiejem, zaś po ostatniej wojnie i opanowaniu Chin przez komunizm, jeszcze dalej na wschód.*) Granice polityczne Sowietów w Europie są stosunkowo krótkie, lecz ciągną na około 13 tys. km. w Azji. Wielkie pasma górskie i pustynie, odgradzające Rosję od krajów Azji od dawna straciły pierwotne znaczenie. Mandżuria, ongiś słabo zaludniona przez drobne szczepy mongolskie, zamieszkała jest obecnie przez około 35 milj. Chińczyków, przybyszy z Chin Centralnych, którzy wypełnili dawne pustacie między Chinami a rosyjską Syberią. Pustynie centralnej Azji od połowy 19-go wieku są w rękach Rosji i obecnie coraz bardziej zagospodarowywane straciły charakter buforowych obszarów między obu światami. Analogiczne przemiany nastąpiły na obszarze Kaukazu. Nowoczesny rozwój dróg i środków komunikacji potęguje wymowę sąsiedztwa Rosji z Azją.

Rosja graniczy ze wszystkimi głównymi narodami Azji: Chinami, Japonią, Turcją, Iranem i Afganistanem. Oddzielona jest wąskim skrawkiem od Indii, sztucznie wykrojonym w czasie delimitacji granicznej w r. 1893 dla uniknięcia wspólnej granicy rosyjsko-indyjskiej. Granica sowiecko-azjatycka, podobnie jak i zachodnia, będąc wynikiem podbojów i stałego parcia w głąb kontynentu ma charakter "tymczasowy" i jako taka nie trzyma się naturalnych linii podziału, fizjograficznych czy etnograficznych. Ma ona tendencję przedzielania pokrewnych sobie ugrupowań narodowościowych. I tak np. na Zakaukaziu odcina ona od podstawowej masy gruzińskiej, Łazów, muzumański odłam Gruzinów, zamieszkujących w północno-wschodniej Turcji. Po stronie tureckiej znajduje się również część dawnego obszaru etnograficznego Ormian z drobnymi resztkami tej ludności. Tureckie plemię Azerbejdżanów podzielone jest na dwie części: sowiecką i perską. Tureckie szczepy sowieckiego Turkiestanu spokrewnione są z ludnością północnego Afganistanu.**)

Działając poprzez azjatyckie republiki sowieckie Moskwa dą-

* Wielkim ośrodkiem gospodarczym rosyjskiej Azji i Dalekiego Wschodu staje się obecnie Mandżuria.

** Ogólnie biorąc ok. 20 mil. ludności pochodzenia tureckiego zamieszkuje Kazachstan, sowiecką środkową Azję, obszar środkowej Wołgi i Kaukaz oraz jest językowo, kulturalnie, religijnie związana z Turcją.

żyła i dąży do wchłonięcia pokrewnych zakordonowych odłamów ludności tych republik. Cel był bliski do osiągnięcia na terenie perskiego Azerbejdżanu. Mniej rzuca się w oczy systematyczna bulwersująca akcja Tadżykistanu, prowadzącego komunistyczną propagandę w języku tadżyckim, zrozumiałym dla Persów. Buriat-Mongolia jeszcze za czasów carskich była wypadowym punktem ekspansji rosyjskiej na Mongolię, Wschodni Turkiestan i Tybet oraz na świat buddyjski. Odegrała ona doniosłą rolę w sowietyzacji Mongolii Zewnętrznej, jak i ostatnio w ekspansji komunistycznej w północnych Chinach.

Tak więc narodowościowa polityka Moskwy, wyrażająca się w tworzeniu na swym obszarze autonomicznych republik narodowych, rządzonych przez bezwzględnie oddanych Moskwie i komunizmowi autochtonów — łączy się z aneksyjnymi planami wobec sąsiednich azjatyckich ludów i z dalekosięglymi zamiarami wobec całej Azji. Jej głębokie motywy, wypływające z ideologii komunistycznej, są znane. Są one jednak integralnie powiązane z motywami imperialistycznej polityki narodu rosyjskiego na strategicznych obszarach, sąsiadujących z Rosją (Cieśniny, północna Persja, Mandżuria, itp.).

Stosunki z Azją ułatwia Sowietom skład narodowościowy ich ludności: na około 200 milj. — elementy słowiańskie, bałtyckie i inne stanowią około 160 milj., zaś reszta — to ludy azjatyckie. Biorąc pod uwagę dużą domieszkę krwi azjatyckiej u wschodnich Słowian, a u Rosjan w szczególności, liczbę Azjatów i pół-Azjatów należy podwoić a może i potroić. Ten wielki udział elementów azjatyckich w etnograficznym składzie ludności Rosji tłumaczy genezę wielkich wpływów i endemicznych pierwiastków kultur azjatyckich w życiu państwa rosyjskiego, jak i z drugiej strony rozprzestrzenienie się rosyjskich wpływów kulturalnych i języka rosyjskiego daleko poza granice polityczne państwa.

Rosyjskie radykalne i socjalistyczne powiązania z Azją, torujące drogę dla przyszłych porewolucyjnych planów Moskwy, historycznie sięgają czasów przedrewolucyjnych. Liczna rosyjska emigracja polityczna początkami sięgająca pierwszej połowy 19-go wieku i rozrzucona po wszystkich stolicach Europy — kontaktowała się ze studentami i przyszłymi rewolucjonistami azjatyckimi i zaszczepiała im radykalne hasła. Klęska Rosji i wybuch rewolucji 1905 roku był wielkim krokiem naprzód w tworzeniu sojuszu rewolucyj rosyjskiej i azjatyckich. Rok 1905 inspirował chiński przewrót 1911 roku, bulwersował inteligencję postępową Persji, imperium osmańskiego, jak i podniecał ducha oporu w Indiach. Jedną z płaszczyzn kontaktu rewolucjonistów rosyjskich z pierwocinami rewolucji w Azji był międzynarodowy ruch socjalistyczny. Tak np. w r. 1904 socjaliści japońscy wystosowali antywojenny manifest pod adresem socjalistycznego kongresu w Amsterdamie, doręczony przez Katayamę, który wraz z Plechanowem pełnił funkcję jednego z trzech wiceprezesów Kongresu, a po rewolucji w Rosji został członkiem

Komitetu Wykonawczego Kominternu. W manifestie tym czytamy: "Wojna rosyjsko-japońska jest tylko konfliktem między dwoma kapitalistycznymi rządami i przynosi wielkie straty klasie robotniczej obu narodów." Rewolucja bolszewicka z 1917 r. zapoczątkowała systematyczną ekspansję komunistycznej Moskwy na Azję pod sztandarami walki z imperializmem Zachodu, równości z narodami Azji, walki z dyskryminacją rasową, itp. Powstały w 1919 r. Komintern stał się sztabem generalnym akcji komunistycznej na Azję, podobnie jak i na cały świat.

Możliwości Moskwy w Azji opierają się nie tylko na elementach geograficznych i politycznych, lecz przede wszystkim na głębokim fundamencie podobieństwa problemów, trapiących oba światy. Zarówno Azja jak i Rosja są zacofane kulturalnie i cywilizacyjnie, posiadają niską stopę życiową, do niedawna kompletną przewagę rolnictwa w życiu gospodarczym, wiele analogii kulturalnych. Pisarz hinduski, S. K. Datta, podróżujący (w latach 1928-1931 ?) po środkowej i wschodniej Europie pisał:

"Podróżnik z Azji, jak tylko przekroczy granicę, oddzielającą zachodnią Europę od Polski, lub wschodniej Słowacji, lub nawet Austrii, trafia w warunki, które wydadzą mu się bliskie... Rolniczy charakter kraju, używanie zwierząt jako siły pociągowej, prymitywne formy rolnictwa, w dziwny sposób przypominają mu Indie i Chiny. Ta sama uwaga odnosi się do Rosji, której ekonomiczne warunki z ubiegłego stulecia i z okresu, poprzedzającego rewolucję, posiadały te same cechy, jakie charakteryzują Indie i Chiny dzisiaj."*)

Zarówno w Indiach jak i w Rosji — pisze w innym miejscu tenże autor — mimo olbrzymiego odsetka analfabetów, w 19-ym wieku zaczęły jednocześnie powstawać kadry wysoko wykształconej elity, która podjęła walkę ze sprężystą, lecz zarazem martwą, biurokracją i autokracją w swych krajach. Słowianofilska część elity rosyjskiej nie godziła się na uzachodnienie Rosji, widząc w Cerkwi prawosławnej i w odrębności kulturalnej kraju skuteczny środek przeciwstawiania się zmaterializowaniu, idącemu z Zachodu. Wśród elity indyjskiej istniała podobna warstwa, która mimo zachodniego wychowania, wierzyła, że duchowy spadek starożytnych Indii jest lekiem na zbawienie kraju, a może i całego świata. Akcja ta dała małe wyniki w obu krajach na skutek niskiego stopnia uświadomienia mas. Uprzemysłowienie zarówno Rosji jak i Indii dokonywało się za pomocą zagranicznego kapitału i pod kierownictwem cudzoziemców. W obu krajach rosły podatki na pokrycie długów zagranicznych. W wyniku oba te kraje weszły w okres napięcia politycznego. Tajne antyrządowe zebrania spowodowały wzmoczenie reżimów policyjnych. Przebieg wojny rosyjsko-japońskiej wywarł i tu i tam wielki wpływ, zmuszając rządy do pewnych ustępstw na rzecz mas.**)

*) S. K. Datta, *Asiatic Asia*, London 1938, str. 140-41.

**) *ibid.*, str. 142-45.

Podobieństwo warunków bytu mas azjatyckich i rosyjskich ułatwiało psychologiczne zbliżenie, i między Rosjaninem a Azją nie było i nie ma tej przepaści, jaka istniała między człowiekiem Zachodu a Azją. Powstała na tym tle nić sympatii utorowała drogę dla podziwu dla Rosji porewolucyjnej, "dźwigającej się" z wewnętrznego gospodarczego zaniedbania drogą industrializacji i kolektywizacji.*)

Ten podziw był w pewnych okresach tak powszechny i silny, że tylko bierność mentalności azjatyckiej powstrzymywała wybuch powszechnych rewolucji komunistycznego typu w całej Azji. W każdym razie Chiny taką rewolucję przeszły w latach 1925-27. Nie wiele brakowało, by Afganistan, Persja i Turcja nie zostały zsovietyzowane. Potencjalnie rewolucja ta wisiła i nad Indiami. Sir John Maynard, badacz życia chłopów rosyjskich, w odczycie "Collectivisation and Agriculture: Russia and India",**) po zanalizowaniu podobieństwa warunków bytu mas w Rosji i Indiach, odpowiadając na zadane sobie pytanie, czy kolektywizacja, jako jeden z elementów industrializacji, nie mogłaby poprawić bytu rolnika w Indiach, twierdzi:

"Jeśliśmy mogli sobie wyobrazić jakiegoś teokratycznego wodza w rodzaju Gandhiego, urzeczonego podziwem dla rozwoju przemysłowego, nie w duchu kołowrotka, wówczas zapanowanie powszechnego entuzjazmu dla tej metody byłoby możliwe."

Azja na ogół tym różni się od świata Zachodu, że jej odległa przeszłość historyczna jest w dużym stopniu częścią aktualnej rzeczywistości. Dystans między zapomnianym "wczoraj" a "dziś", tak duży w Europie, jest mały w Azji. Stosunki rolne w Persji przypominają czasy Cyrusa Wielkiego, chłop w Egipcie żyje jak za faraonów, kulis chiński pracuje w warunkach zbliżonych do niewolniczych. Wieśniak hinduski w ogóle żyje poza czasem.

Cechy te powodują, że historyczne reminiscencje i analogie polityczne czasów odległych i najnowszych rzucają się Azjatom w oczy. Tak więc przykłady planowego i etatystycznego budownictwa starożytnej Azji, od piramid i tam wodnych poczynając a na Wielkim Murze kończąc — sugerują analogie do sowieckich planów pięcioletnich. Zachęca w tym kierunku i to, że państwa wschodnie zdradzają przemienne tendencje do etatyzmu i planowania państwowego, wyrastającego na tle słabości inicjatywy kapitału lokalnego, bojącego się inwestycji na długą falę, szukającego szybkich zysków lub lokującego się w martwym dobytku jak ziemia lub domy. Inspiruje w tym samym

*) Rzeczywistość kolektywizacji rosyjskiej i straszliwych kosztów industrializacji nie umniejszały tego podziwu. Po pierwsze dlatego, że nie dochodziły one do świadomości azjatyckiej masy, po drugie — że gdyby nawet doszły, to wruszyłyby tylko lepiej usytuowanych, natomiast nie przemówiłyby do nędzy azjatyckiej, przeżywającej regularne okresy wybuchów epidemii i głodów.

**) *The Asiatic Review*, April, 1943.

kierunku ogrom niezbędnych reform, wynikłych z wiekowych zaniedbań. Realizacja tych reform "normalnymi" metodami wydaje się dla wielu nierealna, natomiast zdaniem ich — można je wcielić w życie metodami bądź starożytnego Wschodu, bądź w pewnym sensie pokrewnymi mu — nowożytnego komunizmu.

Pewnego rodzaju żywotność odległej przeszłości wyraża się w Azji w trwaniu nastrojów psychicznych, wytworzonych przed wielu setkami lat i łączących się niekiedy z tak świeżym zjawiskiem, jak komunizm. Tak np. na rolniczych terenach, których produkcja jest uzależniona od sztucznego nawodnienia, utrwalila się zależność rolnika od czynników wyższych, kierujących rozdziałem wody lub prowadzących prace irygacyjne na wielką skalę. Ziemia bez wody jest niczym. Toteż w rolniku Mezopotamii czy doliny Nilu wyrobił się kompleks zupełnej zależności, poczucie niższości i własnej nieudolności w kierowaniu losem. Ten psychiczny podkład mas rolniczych może teoretycznie sprzyjać łatwemu zaszczerpieniu zasad gospodarki, kierowanej totalnie, od góry, czyli kolektywnej.

Potęę tradycji i jej związek z teraźniejszością obserwuje się i w Chinach. W tym wypadku jest ona jednak bardziej skomplikowana i możemy tu zaobserwować dwa prądy, kształtujące stosunek mas do zasad komunizmu. Jedna sprzyja tendencjom kolektywności, druga — indywidualistyczna. Pierwsza wystąpiła w historii w 9 i 11 stuleciu p. Chr. gdy w Chinach ujawniły się prądy w kierunku uregulowania produkcji rolniczej, przypominające metody sowieckie. W 11-tym stuleciu w Chinach żył i działał rewolucyjny reformator, zwany przez sinologa sowieckiego, Charnskiego, "chińskim Leninem" (por. "Kitaj s drevniejszych wremion do naszych dniej"). Współczesna dyktatorska zasada władzy państwowej w Chinach, zarówno za Czang-Kaj-Szeka jak i komunistów, obok anarchii, skrajny biurokracizm zbiegający się z rozkładem tradycyjnych, przeżytych form bytu — sprzyjają zapuszczeniu w grunt chiński korzeni przez siły z zewnątrz, a więc i przez komunizm. Z drugiej strony silne jest w Chinach poczucie własności prywatnej, przywiązanie do własnego kawałka ziemi. Ta zasada posiada jednak swą przeciwwagę w postaci ogromnego przyrostu ludności, której rolnictwo wyżywić nie może i przymusowej emigracji w poszukiwaniu nowych terenów. Osłabia poczucie indywidualnego władania własnym kawałkiem ziemi również i fakt wielkiej liczby dzierżawców, wyzyskiwanych przez właścicieli ziemskich. Ten ostatni moment jest powtarzającym się zjawiskiem na rolniczych obszarach Azji.

Na kierunek ewolucji politycznej w Azji oraz na tendencje w kierunku komunizmu oddziaływują równolegle w pewnym stopniu elementy rasowo-fizyczne i duchowo-kulturalne, stwarzając pewnego rodzaju predyspozycję ku łatwiejszemu uleganiu

wpływowi Moskwy, aniżeli Zachodu. Zjawisko to można by wytłumaczyć w następujący sposób. Orientalność nie sprzyja rozwojowi wiedzy ściślej, posegregowanej na poszczególne dziedziny, wyraźnie określone, wymagające wysiłku zbiorowego oraz rozwiniętego zmysłu organizacyjnego. Azja jest matką wiedzy ogólnej, syntezującej i oderwanej. Człowiek Azji zdolniejszy jest od Europejczyka w metafizyce, we wszystkim, co jest związane z intuicją, z poznaniem rodzającym się z zachwyty i związanym z poczuciem piękna.

Cechy te są wytworem ziemi i klimatu, z jednej strony podtropicalnego i tropikalnego — z drugiej kontynentalnego, z jego skrajnościami temperatur lata i zimy, nocy i dnia. Człowiek Wschodu jest podobnie jak i jego przyroda z jednej strony gwałtownie pobudliwy, z drugiej stale popada w głęboką apatię. Niezdolny do beznamiętnej rozważi, tak niezbędnej dla twórczej pracy umysłu, jest on niewolnikiem uczucia. Stan ten powoduje, że orientalny *homo politicus* słabo reaguje na argumenty tak zwane "zimne". Trafia mu do przekonania tylko to co jest silniejsze od jego apatii, lub przelicytowuje jego namiętne wybuchy, apeluje do jego uczuć, odwołuje się do przyjaźni, fantazji i wyobraźni.

W tej duchowej atmosferze komunizm w ujęciu rosyjskich maksymalistów i rosyjskiej uczuciowości, obiecujący raj na ziemi, chwytą mocniej i głębiej od konkretnych, zimnych i w pewnym sensie minimalistycznych składników ekspansji Zachodu, wyrażającej się w zdobyczach naukowych, w słabo reklamowanych i niewidocznych bankowych przelewach pożyczek, w wyługowanej z uczucia i fantazji pracy misji badawczych, doradczych, itp.

Szczególnie charakterystyczne jest oddziaływanie uczuciowości i zmienności wobec jednych zjawisk, tych które przeżywa się sercem, i wobec tych, które są nowe lub nie przemawiają do uczucia. Z nienawiści do imperialistów zachodnich, z nienawiści, która obok miłości jest prawie jedynym źródłem dynamizmu politycznego w Azji — Azjata łączy się z komunizmem często nie dlatego, aby podzielał jego poglądy, lecz że nie ma do niego uczuciowego stosunku, czyli nie ma do niego żadnego stosunku. Jego łączność z komunizmem bardzo często jest tylko wyrazem nienawiści do imperialistów zachodnich.*)

Z uczuciowości człowieka Azji wypływa również jego zmienność i pomieszanie poglądów i sentymentów. "Jest on — pisał Wacław Sieroszewski we wstępie do polskiego tłumaczenia "Bajek z tysiąca i jednej nocy" — jak te ich bajki dziwną i niezmiernie ludzką mieszaniną chciwości i szczodroty, przebiegłości

*) Przykładów podobnego łączenia się w walce ze wspólnym wrogiem mamy wiele i na Zachodzie, jak np. w latach 1939-41 między Niemcami hitlerowskimi a komunistyczną Rosją, oraz w latach 1941-45 między Anglosasami a tą samą komunistyczną Rosją. Na Zachodzie sojusze te wypływały z dwóch źródeł: kalkulacji politycznej i cynizmu, nie zawierały jednak w sobie elementów eklektyzmu ideologicznego.

i prostoty, przedsiębiorczości i ostrożności, rzewności i okrucieństwa, męstwa i tchórzostwa, rozwiązłości i pruderii..." Nie oznacza to, by we własnym rodzinnym czy narodowym życiu zmieniał przywiązania i sympatie pod wpływem samego tylko nastroju. Ulegając "absolutnej tyranii pierwszego impulsu"*) pozostaje on niewolnikiem tego impulsu do ostatniego tchu, lecz we wszystkim co nie jest ściśle związane z codziennym życiem, nie porywa uczucia i nie tyranizuje serca — jest obojętny na różnice poglądów i kierunków. Jest eklektyczny w swym światopoglądzie i synkretyczny w swej religii.***) Różnice między doktrynami, religiami i światopoglądami są przez niego słabo odczuwane a różne ich składniki mieszają się razem. Łatwo się godzi z wielu elementami składowymi doktryny komunistycznej, chętnie je włącza do swego światopoglądu, nie zmieniając zasadniczo swego tradycyjnego. Toteż nacjonalizm azjatycki wrogli w swej istocie komunizmowi — łączy się w Azji często z sympatiami do komunizmu. Taktyczne strojenie się poszczególnych partii komunistycznych w lokalne piórka narodowe przyjmowane jest — nie bez słuszności — z dużą wiarą. Tradycjonalizm nie wyklucza modernizmu, religijny zelotyzm na siłę dopatruje się wolności religii w Rosji, itd.

Powyższe uwagi odnoszą się do wewnętrznego życia, do impulsów i odruchów i nie oznaczają, by idee komunizmu i propaganda sowiecka miały wywoływać potężne lub masowe objawy zdecydowanego wspierania Moskwy. Poza uczuciem wchodzi tu w grę inne czynniki, o których mowa niżej. Reakcja Azji na wpływy sowieckie na obszarach nieopanowanych przez komunistyczne rządy jest więc mimo wszystko bierna i połowiczna. Wyraża się ona w życiu najszerzych mas raczej tylko w wyuczwalnym przechyleniu szali na rzecz Moskwy w drodze swego rodzaju "działania przez niedziałanie", chińskiej doktryny sformułowanej przez Lao-Tse, zakorzenionej i na innych obszarach Azji. Postawa tego rodzaju, sui generis biernej sympatii jest b. ważna: ułatwia prowadzenie przez komunistów tajnych akcji zakulisowych, wybitnie skutecznych, oraz prowadzi do tego, że masy azjatyckie sceptycznie reagują na apele Zachodu i na jego propagandę, natomiast z pewnym ciepłym uczuciem i w podnieceniu wpatrują się we wszystko, co idzie z Moskwy. Postawa ta nie pozwala jednym zdobyć się na konsekwentny kompromis wobec *wczorajszych* kolonialnych ciemiężycieli, choć nakazuje to rozum polityczny i aktualny interes realny; innym — ekstremistom dyktuje bronienie poglądu, iż sowiecki system obozów koncentracyjnych jest bardziej humanitarny od brytyjskiego więziennictwa i sądownictwa kolonialnego, lub że ewentualne ustalenie się wpływów sowieckich w Egipcie gwarantowałoby

*) Określenie Comte de Gobineau w jego kapitalnym opisie Persji *Romances of the East*.

**) Cechy te związane są również z wpływami panteistycznych prądów jak i politeizmu. Rozkład cywilizacji azjatyckich w ostatnich 2-3 stuleciach jeszcze bardziej wzmacnia te zjawiska.

większą wolność, niżeli pozostanie sił brytyjskich w strefie Kanału. Uczucie fanatycznej niekiedy nienawiści do imperializmu Zachodu jest kluczem, który otwiera drzwi wpływom czy też sympatiom ku stronie przeciwnej, mało znanej, pociągającej nowością. Historia Wschodu notuje jaskrawy przykład zbliżonej sytuacji. Wyprawy Krzyżowe zakorzeniły w Bizancjum i na całym Lewancie głęboką niechęć do europejskich przybyszów. Ułatwiając w ten sposób podbój Azji Mniejszej przez wiele groźniejszych Osmanów w 14 i 16 stuleciu. W przededniu zajęcia Konstantynopola pierwszy minister wschodniego rzymskiego imperium miał powiedzieć, że woli, by nad miastem Konstantego zapanował turban Mahometa, niż tiara papieska lub kardynałski kapelusz.

Dla całości obrazu duchowego nastawienia Azji ku komunizmowi brakuje jeszcze jednego fragmentu. Sensualizm nie jest w Azji jedynym czynnikiem decydującym o stosunku do różnych zjawisk. Duże natężenie tego rodzaju reakcji zrodziło i jego antytezę w postaci skrajnego racjonalizmu, przewijającego się przez dzieje i filozoficzne prądy azjatyckie cienkim lecz nieprzerwanym strumieniem. Reprezentanci tego prądu, może najciekawszy typ umysłowości w Azji, stanowią czynniki o szczególnej wartości dla komunizmu. Ich realizm, łączący się często z pesymizmem płynącym z surowej oceny rzeczywistości narodów azjatyckich — prowadzi do szukania radykalnych rozwiązań, zaś niewiara we własne azjatyckie źródła odrodzenia i nienawiść do imperializmu zachodniego — podnoszą komunizm, jako jedyną drogę wyjścia z impasu. Niektórzy spośród tego typu umysłowego przekształcają się w najlepszych komunistów. Często są to jednak ludzie niezdolni do własnej przebudowy, pozostają więc oddanymi komunizmowi "poputczykami". Są niekiedy lepsi od tych pierwszych, gdyż nie chorują na odchylenia, nie trapi ich sumienia ani widmo trockizmu, ani dzisiejszego titoizmu. Razem z pierwszymi są oni ostoją komunizmu w Azji, wypami skalnymi, wokoło których przewalają się to rosnące, to zanikające fale masowych, płytkich sympatyj komunistycznych, pomieszanych częstokroć z innymi.

Mówiliśmy dotychczas o tym, w jakim stopniu rozwój komunizmu w Azji uzależniony jest od bezpośrednich wpływów Moskwy, względnie od warunków gospodarczych i podkładu psychicznego samego kontynentu. W jakim jednak stopniu polityka mocarstw Zachodu ponosi odpowiedzialność za obecny rozwój wypadków? Teoretycznie polityka ta mogłaby w przewidujący sposób dążyć do zahamowania wpływów komunistycznych i przygotować opinie i rządy azjatyckie do stawienia oporu rosyjskiej ekspansji. Mogła również lekceważyć to niebezpieczeństwo i w konsekwencji ułatwić jego naradzanie. Zachód obrał drugą alternatywę. W okresie między dwiema światowymi wojnami nie prowadził analogicznie do Sowietów propagandy, li-

czącej się z azjatycką logiką serca, trzymając się suchych biurokratycznych metod informowania i bezdusznej obiektywizacji. Zamiast kształcić kadry znawców Sowietów, uodpornionych na komunizm — mechanicznie odgradzał Rosję od Azji, walcząc metodami policyjnymi z narastającą penetracją. W okresie ostatniej wojny polityka Zachodu pod wpływem koniunkturalnej współpracy z Moskwą ułatwiła głębokie zakorzenienie się jej wpływów na terenie całej Azji. W okresie 1941-47 — Londyn a nie Moskwa, był miejscem skupienia się pracy komunistycznej, zmierzającej do rozsadzenia imperium brytyjskiego. Z Londynu napływała na teren Wschodu Bliskiego i Środkowego, Indii i innych sfer wpływów zachodnich literatura komunistyczna i prosowiecka. Londyńskie wydawnictwa dzieł Lenina i Stalina przez firmę Lawrence and Wishart, przez Cobbet Publishing Co i inne, publikacje Twa Przyjaciół Związku Sowieckiego, wydawnictwo "Little Lenin Library", "A Russia Today Booklet", prasa komunistycznej partii angielskiej, propagowanie przez Reutera i całą prasę brytyjską prosowieckich wypowiedzi *najwybitniejszych* postaci z życia brytyjskiego, jak i pseudo-obiektywne czyli prosowieckie opracowania lewicowych czy prorosyjskich historyków i uczonych — zasypywały rynek księgarski Azji, szerząc legendę komunizmu. Średnio na jedno wydawnictwo komunistyczne nadsyłane z Moskwy, wypadało kilka jeśli nie kilkanaście wydawnictw komunizujących z Londynu.

W wymienionych latach polityka brytyjska likwidowała ośrodki swych dawnych akcji antysowieckich na obszarach graniczących ze Sowietami, wpuszczając na tereny swych wpływów bez zastrzeżeń sowieckie poselstwa i konsulaty, komisje przejmujące sprzęt wojskowy, misje handlowe, placówki Tassa, itp. Niektóre z tych ośrodków sowieckich były wybitnie rozbudowane, na przykład poselstwo sowieckie w Kairze w pewnym okresie liczyło około 200 pracowników. Pod egidą mocarstw zachodnich kraje wschodnie ze swej strony nawiązywały stosunki z Moskwą i pod koniec wojny z jej satelitami. Równoległe, zwłaszcza na obszarach mandatowych, w latach 1946-47 likwidowano z naiwnym pośpiechem placówki byłych sojuszników z okresu wojny, nie uznających reżimów komunistycznych.

Prowadząc politykę tego rodzaju nie usiłowano równocześnie utrwać własnych wpływów wśród ludów Azji i przynajmniej tą drogą osłabiać oddziaływanie rosnących akcji sowieckich. Nie wprowadzono częstokroć na odpowiednią skalę niezbędnych reform, choć o ich potrzebie doskonale wiedziano i o ich konieczności jeszcze więcej otwarcie pisano. W dalszym ciągu aż do ostatnich dni wojny — panowała w Azji dziewiętnastowieczna wyniosłość reprezentantów Zachodu, odgradzanie się od bieżącego życia.

Podejście Amerykanów było w zasadzie odmienne. Skłonni do szukania przyjaznych kontaktów z ośrodkami niepodległościowymi i nacjonalistycznymi zdobyli na niektórych terenach duże sympatie. Jednak mało doświadczona amerykańska polityka w

Azji w ostatecznym bilansie dała wyniki o wiele gorsze od brytyjskiej. Na pierwsze miejsce w tej dziedzinie wysuwa się Daleki Wschód. W dniu 11 lutego 1945 Waszyngton uznał sowieckie pretensje do Mandżurii, Dairenu i Port Artura. Wkrótce Stany Zjednoczone wywarły presję na Czang Kai Szeku w kierunku podpisania umowy sowieto-chińskiej z 14. 8. 1945, o treści sprzecznej z przyrzeczeniami kairskimi z listopada 1943, gdzie Czang Kai Szekowi obiecywano utrzymanie Mandżurii w granicach Chin. W ten sposób załamano morale Chińczyków i niszczone prestiż Kuomintangu, oraz zapoczątkowano ten łańcuchowy proces rozwoju wydarzeń, który po trzech latach doprowadził do opanowania Chin przez komunistów. Polityka palestyńska Ameryki, dzięki brakowi ruchliwości i giętkości politycznej, zniechęciła świat arabski i w ogóle muzułmański do Zachodu, budząc nadzieje na Sowietów.

Francuska polityka nie odbiegała wiele od anglosaskiej. W latach 1941-45 Paryż wyzyskiwał i czerpał korzyści z antybrytyjskiej postawy komunistów na Lewancie, ułatwiając w ten sposób rozbudowę lokalnych partii komunistycznych. Przykładów tego rodzaju można przytoczyć bardzo wiele.

Polityka Zachodu rozpatrywana na tle predyspozycji mas azjatyckich do ulegania wpływowi Moskwy — teoretycznie biorąc winnaby już doprowadzić do całkowitego opanowania Azji przez Moskwę. Nie nastąpiło to na skutek szeregu przyczyn, a m. in. i wielkich błędów sowieckich, takich jak: zniszczenie w pierwszych miesiącach okupacji przemysłu chińskiego w Mandżurii pod pozorem reparacji wojennych po Japonii, jak agresywne plany wobec Chin północnych, wobec tureckich prowincji Karasu, Ardahanu oraz Cieśnin, wobec afgańskich prowincji graniczących z Sowietami, przedłużanie — poza przewidziane traktatem terminy — okupacji północnej Persji, itp. Oddziaływała hamująco na ekspansję sowiecką przewidująca polityka Ankary. Pozytywną rolę odegrała zręczna polityka Persji; gwałtownie bronił się przed prosowiecką polityką Waszyngtonu rząd Czang Kai Szeka. Walczyli z wpływami komunistycznymi czołowi przywódcy świata Islamu.

Bardzo poważną rolę w opóźnieniu ekspansji komunistycznej w Azji spełniło również to samo zjawisko, które z drugiej strony odpowiedzialne jest za masowe fale sympatii ku Rosji w masach azjatyckich; jest nim uczuciowość i eklektyzm mentalności. Dzięki tym cechom człowiek Azji nie daje się zamknąć w sztywnych i wyrozumowanych ramach jakiegokolwiek totalnej doktryny politycznej. Przyjmując oficjalnie internacjonalizm komunistyczny pozostaje w duszy nacjonalistą; zarażając się bezbożnictwem będzie walczyć w interesie własnej gminy religijnej; w modernizacji przyjmuje cechy zewnętrzne bijące w oczy, w życiu prywatnym zaś trzyma się uporczywie tradycji. Niezwyciężona potęgą inercji i głuchoty na wszystko, co idzie skądkolwiek, jest pancernem, który broni Azję przed zbyt pochopnym poddaniem się nowej wierze. Dzięki tym przyczynom komunizm

w Azji rozlewa się i oczarowuje, ale rzadko przeistacza jak też niewiele mobilizuje trwale. Bazowany na przewalencji uczuciowych motywów jest zjawiskiem mało konstruktywnym, gdyż przede wszystkim jest skutkiem oddziaływania propagandy, oraz fikcyjnych czy rzeczywistych sukcesów Sowieckiej Rosji, jest wyrazem nienawiści do imperialistów zachodnich lub konfliktów lokalnych; rasowych, religijnych czy też politycznych rywalizacji, w mniejszym zaś stopniu wynikiem antagonizmów klasowych i gospodarczych.

Wszelka próba podsumowywania elementów sprzyjających bądź wrogich rozprzestrzenieniu się komunizmu i rosyjskich wpływów w Azji może być tylko bardzo nieścisła. Wydaje się jednak pewne, że suma momentów sprzyjających jest większa. Stąd też wypływa, że dotychczasowy *balance of power* między komunizmem a antykomunizmem w samej Azji utrzymuje się głównie dzięki materialnej i kulturalnej przewadze Zachodu zarówno w szerokim świecie, jak i w samej Azji, gdzie nawet procesy wyzwiania politycznego spod dominacji potęg kolonialnych oparte są na wolnościowych i demokratycznych hasłach zachodnich. Gdyby nie te wpływy wówczas Azja, pozostawiona sam na sam z czerwoną Moskwą, dawno by jej już uległa.

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym

tygodnikiem społeczno-religijnym

Polaków na O b c z y ń i e

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}

C.C.P. 4955-03

Sprawy i troski

Polonia belgijska

W Zachodniej Europie Polonia belgijska ze swymi 60 tysiącami naszych rodaków zajmuje obecnie czwarte miejsce — po Francji, Anglii i Niemczech. Czy wobec gwałtownego — na szczęście — topnienia liczby Polaków w Niemczech, nie zajmie niebawem trzeciego? Wydaje się to prawdopodobne, jeżeli — a to “jeżeli” nie jest fantazyjne — jeżeli w międzyczasie również i połowa Polaków osiedlonych w Belgii nie czmychnie za morza.

Ci co jeszcze pamiętają moje poprzednie reportaże w “Kulturze” o Polakach w Anglii i Francji wiedzą, że zasadnicza różnica między tymi dwoma wielkimi skupiskami emigracyjnymi polega przede wszystkim na tym, iż Polonia francuska jest w lwiej części emigracją przedwojenną a angielska całkowicie powojenną. Wiedzą też, że z tej różnicy w czasie wywodzą się wszystkie dalsze cechy zasadnicze obu tych skupisk, a w pierwszym rządzie normalna struktura pod względem płci i wieku naszego wychodźstwa w Galii, a anormalna — bo o kolosalnej przewadze mężczyzn — w Albionie. Belgia jest jakby skrzyżowaniem obu naszych wielkich emigracji: w połowie tamedzni Polacy — to górnicy osiedleni grubo przed wojną, żonaci, dzieciaci, czasem dzładkowie; gdy druga połowa — to ex-dipisi ściągnięci po wojnie z sąsiednich Niemiec. Pierwsza grupa — to bliźniacy naszego wychodźstwa w zagłębiu Lens, w Nord i Pas-de-Calais. Druga grupa — to duplikat młodzieży, która zaludnia hostele dla samotnych od Cumberland'u po Sussex.

Te dwie emigracje się nie zły. Słyszałem nawet że między nimi nie brak waśni i niechęci. Sam słyszałem od starych górników nieprzyjemne, szorstkie uwagi o tych “nowych”; padały wyrazy “przybłędy”, “łaziki”; padały przechwałki, że “nie, panie, my z tymi z Niemiec nie utrzymujemy żadnych stosunków, do domu bym nie wpuścił”. Może to był przypadek — ale właśnie ta cierpkość mnie najbardziej zastanowiła. Dlaczego? Dlaczego?

Nie grzeszymy nadmierną miłością bliźniego, wbrew pozorom nie garniemy się łatwo do nowych znajomości. Nasze reakcje są rezultatem psychologii nie miasta, z jego rynkiem, z jego tradycją "gminy", ale zapadłej wioski, odgradzonej bezdrożami od choćby sąsiednich "dziadówek"; spode łba i z ukosa spoglądającej na "tych z Wólki, Rzędziny czy Zacisza". Pierwsza fala emigrantów w Belgii już i tak musiała zrobić spory wysiłek by się jakoś zżyć i zapoznać gdy losy wyгнаły ją z łanów poznańskich, hańd śląskich, pagórków pomorskich do Zagłębia Charleroi, Liège, Louvières, Mons i Limburgu. Jakoś te Bartki i Błażeje, ciężkie poznaniki, pierony, rzadziej Westfalczyki tego dokonali. Dzisiaj na stare lata znowu zdobywać się na ten wysiłek, tym razem dla młokosów, gołowosów, co to przy tym harde, pewne siebie, gada że tyle przecierpiał dla Ojczyzny, tyle widziało, a sądzi że wszystkie rozumy zjadło? Nie, za ciężko. Rzecz zabawna, to sfuzjonowanie emigracji starej i nowej poszłoby łatwiej, gdyby ci "starzy" byli starsi, mieli dorosłe córki, panny na wydaniu. O, wówczas, jak w klasycznych komediach, młode pary godziłyby zwaśnione faksje. Ale sęk w tym, że ta emigracja do Belgii przybrała na sile dopiero gdy pod naporem kryzysu wrota do Francji zamknęły się przed ubogim polskim wychodzącą — w latach trzydziestych. Rzadko który stary górnik ma dorosłe już w domu pannice, przeważają dziewczynki parunastoletnie, za młode by mogły wychodzić za mąż. We Francji młodzież dipisowska łatwo by znalazła cały targ na dziewczęcą. W Belgii ma małoletnie uwodzić, guzy obrywać?

Burzliwe nasze losy sprawiły, że w naszym społeczeństwie różnice wieku, grupy pokoleniowe zaznaczają się jaskrawiej i nawet boleśniej niż w krajach szczęśliwych: w rzeczy samej można mówić o współistnieniu kilku narodów polskich, wielce od siebie różnych. O, daleki jestem od młodzieży-manii, od tego wiecznego obkadzania młodych, od tych inteligencjskich przeciwstawiań "starych" i "młodych", które przeważnie są tylko sztydem, fiszką i parolem dla usuwania doświadczenia i wyrobienia a zapewniania "emerytury", paszportu na dożywotnie pasożytnictwo rozmaitym rozwydrzonym bubkom i łobuzom. Inteligencja polska, niezależnie od wieku, jest zasadniczo podobna, jeżeli co, to tylko z każdym pół- czy ćwierćpokoleniem gorsza. Ale mówię o masie, nie o tej drobnej odgórnjej grupce bez większego znaczenia. Otóż w tej masie jest pokolenie wychowane przed niepodległością: często niepiśmienne, bardzo tępe, mało obrotne, strasznie zaściankowe, ale jako porządność, uczciwość i poczciwość, charakter, zasady, bije wszystkich młodszych — i co dziwniejsze właśnie ci ludzie dzisiaj po pięćdziesiątce mówią najpoprawniejszą polszczyzną, najbardziej pachnącą, najbardziej jędrną i mają jakąś swojszczyznę, że aż zalatuje staropolskim obyczajem, tradycją, smakiem: to nie są robotnicy czy chłopci mówiący po polsku, to są naprawdę autentyczne polusy, wobec których Zygmunt Nowakowski, i Terlecki, i Bielecki, i

Mikołajczyk — to są międzynarodowcy, kosmopolici, etranżery, londyńczycy lub paryżanie.

Druza grupa — to ci co dojrżeli już w Polsce niepodległej. Są inteligentniejsi, zdolniejsi, bardziej rzutcy, bardziej europejscy, łatwiej się aklimatyzują, łatwiej sobie dają radę: ale nie mają prawości i zacności tych co są od nich od 10 do 20 lat starsi. Ich patriotyzm jest głośniejszy, ale może nie tak niezachwiany. Ich genre, ich maniera raczej przypomina podwarszawskie osiedla niż reymontowskie Lipce. To las twarde i wcale zwarty, krzepki i chojry — ale nie ma tu tej powagi, tej godności i siły starego, rozłożystego dębu, wszystkimi korzeniami wrośniętego w ziemię ojczystą.

Trzecia grupa — to ci co dojrżeli już w czasie tej wojny. Dzielą się oni z kolei — i to bardzo — na tych co dojrżeli w wojsku, w kraju, w obozach niemieckich. Najlepsi są ci z wojska. Wszystko to spryciarze, to chłopaki oblatane i bywałe. Umysły żywsze, za to charakterzy słabsze. Oczywiście są i bohaterzy. Ale brak tej młodości tego, co ostatecznie modeluje charakter — to znaczy przekonania że są zasady i reguły niezmiennne, niewzruszone, możniejsze od widzi mi się, starsze od człowieka, że istnieje to co ludzie wierzący nazywają Prawem Bożym a ludzie niewierzący — prawami natury. To są dzieci relatywizmu, choć naturalnie przeważnie o tym słowie nawet nie słyszeli.

I wreszcie grupa ostatnia: dzisiejsze dzieci. Co z nich wyrośnie — ktoż dzisiaj powiedzieć może? Jedno jest pewne: te, które wyrosną na emigracji i te, które wychowają się w Polsce, nie prawie wspólnie mieć ze sobą nie będą. Sądzę, że te wychowane na obczyźnie będą miały znacznie większe walory. Tym bardziej boleć wypada, że to już prawie wszystko dla Polski stracone, że zagubiły i język, i miłość dla istoty, jeśli nie form narodowej tradycji.

Polonia belgijska — to mechaniczny zlepek — 50 na 50 — tej pierwszej grupy, prapolskiej, tak jak prafrancuski jest rojalistyczny chłop wandejski — z tą trzecią, najbardziej kosmopolityczną jaką dotychczas wydaliśmy. Trudności współżycia powiększa jeszcze fakt, że obie połówki stykają się zawodowo. Bo pod tym względem nasza emigracja w Belgii jest fenomenalnie jednolita. Trzy czwarte czy nawet więcej "zawodowo czynnych" — to górnicy, podczas gdy w Anglii podzieleni jesteśmy na tysiąc zawodów, i nawet we Francji górnicy stanowią tylko mniejszość wśród naszych uchodźców. A wiadomo — w tymże fachu łatwiej o tarcia. W tym wypadku przysłowia ludowe są wyjątkowo błędne. "Kruk krukowi oka nie wykole" — właśnie wykole.

Starzy górnicy pobłażliwie patrzyliby na młodych tkaczy lub kolejarzy. Lecz przy jednej taczce, przy jednym kilofie — narastają niechęci. Stary więcej zarabia — zazdrość. Młody zarabia tyleż — znowuż zazdrość! Starzy kochają swój zawód — młodzi chcą koniecznie z niego uciekać. Stary narzeka, że młody

psuje markę polskiego górnik, młody że stary trzyma przeciw niemu z contre-maitre'm. Stary zrzędził: tych młokosów się praca nie trzyma. Młodzi wołają: te staruchy dawały się wyzyskiwać a na nas huzia.

Ten konflikt zasadniczy przejawia się we wszystkim. Leży on u podstaw rozbitcia organizacyjnego: towarzystw, związków, organizacji jest bez liku, wszystkie skłócone, wszystkie martwe i wegetujące, suchotnicze i bez środków, po uszy pogrążone w kapliczkowych sporach o prezesury i stołki przy stołach przedziałnych w pustych i ciemnych salach, ale za to gdy w podłej mieścinie urządzi się obchód z okazji rocznicy 11 listopada, to nieszczęsny burmistrz, pragnący zmanifestować swe propolskie sympatie, musiał trzy niedziele z rzędu wkładać cylinder, bo miejscowych tysięcy Polaków musiało się na trzy faksje rozbić i trzy niedziele między sobą podzielić.

Nasi rodacy nie mają szczęścia do pięknych miast czy okolic. We Francji osiedlili się przeważnie na północy, w tej jedynej prowincji, której płaskość przypomina tak bardzo przez Boga i naturę upośledzoną równinę północno-niemiecką, a której klimat jest jakby wypożyczony z drugiej strony kanału La Manche. W Stanach próżno szukać skupisk polskich na Florydzie czy w Kalifornii; za to pełno ich w brudnym Chicago, w zatłoczonym New Jersey, w smętnych, ponurych miasteczkach Connecticut i Massachussets. Tak samo w Belgii jest ich za ledwie około tysiąca w Brukseli, po kilku w Anvers, w przeszłej Gandawie czy starodawnym Bruges, ale za to są rozrzućeni we wszystkich mieścinach od Charleroi do Mons, czarnych od sadzy kominów, o brukach wyboistych, nędznych sklepikach, zakurzonych domkach. Te miasteczka sto lat ledwo liczą — a już wyglądają jakby Karnaki i Luxory ubiegłego stulecia. Ani jednego zabytku — za to same ruiny, nigdzie antyku, za to wszędzie rupiecie. Oko nie spocznie na zieleńcu czy drzewku: tylko szare i brunatne piramidy hałd znaczą jednostajnymi kurhanami brzydoty jednostajny horyzont. Wśród tych ruder gnieźdzą się grupki Polaków, zbyt nieliczne by gdziekolwiek silniejsze wycisnęły piętno: jak duchy czołgają się po tych wielkich Bałutach.

Jest genialne wyrażenie angielskie: "inarticulated". Jak je przetłumaczyć: niewypowiedziane, niedopowiedziane, nieświadome, niewyraźne? To wszystko nie to. Otóż powiedziałbym, że wszystkie osiedla górnicze polskie na świecie, na Zachodzie mają coś takiego "inarticulated", coś co się wyczuwa a czego określić, zdefiniować się nie da. Widocznie praca w trzewiach ziemi znaczy człowieka, jak praca na roli, czy żywot pasterski, czy mundur żołnierza, czy habit zakonny, czy rynsztok wielkiego miasta. Co to jest? Czy ziemistość cery? Czy jarzące, głęboko osadzone oczy? Czy ciężkość ruchów? Czy ponurość twarzy? Czy ubranie jakby zawsze odświętne bo nigdy do pracy nie noszone? Czy mowa krótka, urywana, jakby przychodziła z trudem, jakby słów im brakło? Czy jakby żal, niechęć do ludzi

zza krat, z kazamat, z karcerów do tych co światło Boże oglądają? Czy jakby zbratanie się z myślą o śmierci, tej pani ciemności, tej wiecznej towarzyszki trudów górniczych? Nie wiem. Ale wiem, że gdy gwarzyłem z tymi górnikiem w Châtelineau pod Charleroi jakby żywi stanęli mi w oczach inni górnicy — ci z Shenandoah, i ze Scranton, i z Wilkes-Barre, z którymi przed 20 laty gadałem w czarnym zagłębieniu Pennsylvanii. Nawet akcenty wydawały mi się podobne, i jakiś podobny fatalizm, i ta sama bierność. W oczach ani jednych ani drugich nie mogłem doszukać się połysku radości, tej figlarności co potrafi rozjaśnić oblicze nawet apasza, nawet nędzarza, nawet kaleki. Kamienne, surowe są to twarze. Nie wiem dlaczego, ale patrząc na nie wydaje mi się, że tak wyglądać musieli fellahowie egipcscy, o których tak cudownie pisze Prus w "Faraonie", ciągnąc ciężkie koła prymitywnej kanalizacji zamulonego Nilu, znosząc głazy na piramidy warujące u grobów zmumifikowanych faraonów. O, gdyby miał się dzisiaj narodzić nowy Spartakus, byłby powstał wśród tych nowoczesnych cyklopów. Komunizm — to Geistungsleidenschaft inteligentów, to odwieczna pasja władzy, absolutnej władzy człowieka nad człowiekiem, to tęsknota do niewolnictwa, ale prawdziwi przywódcy robotniczy — ci którzy chcą mu naprawdę pomóc, wyzwolić z kajdan pracy — to dzieci górników. Taki Bevan na przykład. Nam, inteligentom, schöngestom, niewolnikom słowa i frazesu łatwo przeklinać maszyny, postęp techniczny, mówić: cóż to światu dało? Ale ile razy patrzę na tych czarnych, smutnych górników, błagam o ten postęp, o te maszyny, co by pozwoliły trud umniejszyć, płace podnieść, i dzień pracy skracać, skracać, skracać...

Lecz znowuż padam ofiarą "inteligencckości", literatury, deformacji profesjonalnej, wszystkich tych Proust'ów i Gide'ów a za nimi rodzimych płotek, co suchą opowieść zastępują opisem własnych reakcji, doznań, wrażeń. Gdybym to co napisałem opowiedział moim rozmówcom-górnikom wruszyliby powoli, ciężko, niezgrabnie ramionami. Oni kalkulują dniówkę, obliczają wartość deputatu węglowego, zysk na czynszu ulgowym, wartość dodatków rodzinnych, świadczeń socjalnych. Zestawiają wartość emerytury, ceny i płace, czujnie baczą czy aby tubylcy nie są uprzywilejowani. Zgodnie stwierdzają, że można zarobić 8 do 10 tys. fr. belg. czyli do 70 tys. fr. franc. miesięcznie, że można odłożyć 2 tys. fr. belg. (15 tys. fr. fr.) miesięcznie, że trudno stwierdzić czy dzisiaj lepiej niż przed wojną, bo, prawda, płace dziś wyższe, ale wszystko zdrożało. Stary górnik powiada, że tu już zostanie, bo chyba byłby wariatem by zrezygnować z emerytury; młody burzy się że mu karty na inną pracę wydać nie chcą, że siłą go na kopalni trzymają: a oszwabili, a oszukali, mówili, że po 2 latach w kopalni wszystkim wolność pracy dadzą, a teraz to nie, nie chcą puszczać, gdyby tak ludzie wiedzieli, to nikt by tu do Belgii nie przyjechał, żeby ich wszyscy diabli!! Starzy kiwają głową: robić się im nie chce, tym chłopakom, ot co! Młodzi z cicha spluwają:

żeby was tu wszystkich jasna cholera... A teraz to i IRO odmawia nam prawa na wyjazd, bo powiadają, że my osiedleni, a takie osiedlenie — to więzienie, panie, my tylko chcemy uciekać, do Kanady, Australii, bo tu żadnej przyszłości, a ten rząd to dla Polaków taki niedobry, że i Niemiec nie był gorszy! — Słucham tych skarg: to prawda, Polak wszędzie narzeka, ale we Francji jednak nie tak, i nawet w Anglii mniej pyskuje. Coś w tej Belgii musi być nie w porządku, że aż taki gwałt.

I nie tylko ludzie narzekają, ale też uciekają na dobre. Nawet pomimo odmowy IRO finansowania podróży za morze, kto zdoła uciekać trochę grosza pakuje manatki i na własną rękę ucieka za ocean. Belgia jest nawet terenem niezwykle ucieczki Polaków "na zielono"... do Niemiec. Tak, naprawdę. W Niemczech pociągają tych młodych chłopaków perspektywa służby w oddziałach wartowniczych, bo primo Polak zawsze lgnie do munduru i do broni, a secundo ta służba daje ułatwienia przy emigracji za morze. Ale tam gdzie Polacy uciekają do Niemiec — tam musi się dziać bardzo niedobrze.

W teorii Belgia powinna być idealnym dla nas terenem emigracyjnym. Bo i w Anglii i we Francji naturalny jest pewien kompleks niższości wobec dwóch cywilizacji bardzo starych i bardzo wspaniałych. W Belgii na ten kompleks nie ma miejsca i rzeczywiście brak go zupełny. Belg Polakowi nie imponuje. Polak nie może ulegać urokowi kultury belgijskiej, bo tej kultury nie ma. Nie ma nawet narodowości belgijskiej. Belgia ma rację bytu tylko dla Flamandów, którzy, póki istnieje to państwo, bronią się przed sfrancuzieniem, ale Walloni są po prostu niczym: wytłumaczono im, że nie są Francuzami, Flamandów nienawidzą — toteż wpadli w gruby materializm, bez jakiegokolwiek ideału, bez żadnych lojalności innych niż wobec swego brzucha i swojej kieszeni. Wynarodowienie — przynajmniej częściowe — we Francji i Anglii jest nieuniknione. Ale jak je wytłumaczyć w Belgii?

Winna jest w dużej mierze polityka rządu belgijskiego, który nie tylko dla sprawy polskiej nie zrobił nic — zresztą nie mógł, ale tak samo nic nie zrobił dla utrzymania polskości w Belgii. Swoim ustawodawstwem o kartach pracy Belgowie utrzymują Polaków na dnie drabiny społecznej, nie pozwalają im wyskoczyć z najniższych kategorii pracowników fizycznych. Polak może przejść do wyższej grupy społecznej tylko o ile przestaje być Polakiem. Godzi również w Polaków polityka rozmieszczenia obcokrajowców: Polacy nie siedzą na kupie, są rozrzućeni w grupkach po kilka czy kilkanaście rodzin lub osób. Podobnie polityka szkolna. Istnieje przymus uczęszczania do szkół belgijskich, a rząd nie łoży ani grosza na polskie szkoły czy nawet na te nędzne kursy języka i historii polskiej, które tu i ówdzie — jedna godzina tygodniowo! — istnieją. Rząd belgijski nie subwencjonuje oświaty polskiej nawet w tych mizernych granicach w jakich to czyni rząd angielski poprzez Polish Education Committee. Rząd nie daje żadnych stypendiów w szkołach

średnich, a jeżeli chodzi o stypendia uniwersyteckie, to choć zaraz po wojnie udzielił ich paręset, obecnie wstrzymał tę akcję zupełnie i stypendystów polskich nie ma nawet pięćdziesięciu, a za rok-dwa pozostanie zaledwie paru. Rząd belgijski nie finansuje żadnych polskich imprez kulturalnych czy oświatowych, nawet parszywego kwadransa emisji polskich w swym radio nie stworzył. Rząd nie wypłaca żadnych rent inwalidzkich czy rent b. polskim wojskowym, nie daje grosza na SPK czy inne organizacje samopomocowe, palcem nie kiwnął by dać inteligencji pracę; nawet pomocy filantropijnej w granicach angielskiego Assistance Board w Belgii nie ma. Niekiedy frazesy, jak z okazji wizyty gen. Andersa — ale nic realnego, nic konkretnego. Stanowisko rządu wobec Polaków w Belgii zasługuje tylko na bezwarunkowe i pogardliwe potępienie.

Oczywiście i społeczeństwo polskie w Belgii jest nie bez winy. Powiedziałem już że główną jego cechą jest bierność, drugą skłócenie. Polacy nie umieją dostatecznie mocno — nawet brutalnie — bronić swoich praw, dopominać się o nie. Życie polskie ogranicza się przeważnie do tego, że Polacy słuchają radia Lille i czytają "Narodowca". Są szlachetne wyjątki: praca np. p. Krakowskiego w związkach zawodowych. Fatalnym obciążeniem wszelkich wysiłków jest to, że oficjalnym przedstawicielem władz polskich jest drobny urzędnik, bez autorytetu i standingu. Trudno oficjalnym naszym reprezentantom mówić tubalnym głosem w Londynie i Paryżu, ale w Brukseli mogą sobie pozwolić na inny ton i inne manieri.

W rezultacie Belgia w naszym życiu emigracyjnym nie odgrywa prawie żadnej roli. Nie odczuwa się tam wcale obecności Polaków. Nikt z Polaków się tam nie dorabia. Instytucji i domów polskich prawie nie ma, a ubóstwo tych co istnieją jest przerażające. Bruksela jest w pół drogi między Paryżem a Londynem, a ma się wrażenie że to jakiś zaścianek, zahukany i zagubiony, jeszcze mniejszą odgrywający rolę w naszym życiu, niż Rzym czy Madryt.

O "przyjaźni" Belgów do Polaków nie ma co i mówić — jest obcość i obojętność zupełna. Te uczucia są całym sercem odwzajemniane. Łatwo mogą sobie wyobrazić entuzjazm ogarniający naszych wychodźców we Francji, całe sale, całe zebrania wrzeszczące ze wszystkich sił "Vive la France". Trudniej to oczywiście wyobrazić sobie w Anglii — ale i tam może się przytrafić, że rzesze naszych uchodźców dołączą się do śpiewu "God save the King", przynajmniej będą słuchać z szacunkiem. Ale w Belgii nikt z nas nie zawoła: "Vive la Belgique". Jedyną reakcją na jakieś manifestacje patriotyczne tubylców będzie rozpytywanie się gdzie można jak najprędzej wykupić szyfkartę do New Yorku czy bilet do Paryża.

Belgia jest w ogóle krajem, który w obecnym wieku stracił wszelki sens i rację bytu. Powstała ona jako konkretny wyraz obaw angielskich przed hegemonią Francji: dzisiaj i Anglia i świat

boleją tylko nad jej słabością. Powstała ona w epoce gdy szczytem mądrości była parcelacja Europy: dzisiaj nakazem chwili jest jej całkowanie, zjednoczenie. Belgia powstała jako twierdza liberalizmu: dzisiaj jej polityka wobec imigrantów jest tego liberalizmu jaskrawym zaprzeczeniem. Małe państwa mają rację bytu tylko jako ostoje liberalizmu: właśnie dlatego, że były tak nieliberalne "nowe" państwa środkowo-wschodniej Europy tak niewiele miały sympatii na świecie, a najwięcej miała ich Czechosłowacja, która stosunkowo najbardziej się kanonów liberalnych trzymała. Nie jestem wyznawcą żadnego nacjonalizmu, ale w nacjonalizmie francuskim a nawet angielskim są pewne elementy wielkości; natomiast nacjonalizm belgijski czy bułgarski jest śmieszny.

Dzisiaj rolę XIX-wiecznej Belgii — przystani dla krzywdzonych i uciśnionych — przejęły Stany, Kanada, Argentyna. Tam jest dla nas miejsce. W Belgii go nie ma. Polacy tamtejsi powinni jak najprędzej ten kraj wywieźć i niewdzięczny — bo jakżeż dużą rolę odegrała nasza I dywizja pancerna w jego wyzwoleniu, a praca naszych górników w jego gospodarczym podźwignięciu! — opuścić. Wyciągnięcie wszystkich naszych rodaków z Niemiec pozostaje oczywiście postulatem najpierwszym, ale emigracja naszych rodaków z Belgii winna znajdować się zaraz na drugim miejscu w hierarchii naszych dezyderatów.

W. A. ZBYSZEWSKI.

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

1588 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",
"Wiadomości", "Zycia".

Kronika emigracyjna

« Z dna »

(Zamiast kroniki z Niemiec)

Uchodźcy polscy przechodzą już drugi wstrząs w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Pierwszym było przekazanie ich pod rząd niemiecki w lecie. Obecnie muszą opuszczać swe dotychczasowe mieszkania koszarowe i rozpraszać się w niewielkie grupy, najwyżej po paręset osób do różnych baraczków, klecnych pospiesznie z deszczulek i tektury.

Trzeba koniecznie zacząć od tej fizycznej strony egzystencji ludzi wysortowanych, by zrozumieć co myślą oni i co będą (o-bym się mylił) robić. I jutro i po jutrze.

Do jednego pokoju pakuje się najmniej — w najszcześniejszych, rzadkich, wypadkach — dwie osoby, przeważnie trzy, często cztery. Pokój ma 3.60 x 3.60 metrów, czyli 13 metrów kwadratowych. Jest trochę większy, o ile mieści się w nim piecyk kuchenny. W tym wypadku rozmiary jego wynoszą 3.60 x 5 metrów. Ale w takim pokoju trzeba sobie wyobrazić trzy gospodynie, gotujące obiad, oraz ich dzieci, które będą się zbiegać z całego mieszkania, gdyż w innych pokojach, czy raczej izdebkach nie ma żadnego ogrzewania.

Jest już ustalonym w Niemczech zwyczajem, że dipisów się nabija w butelkę, czy też buja. Sądzę, że z wielu względów te wyrażenia są tu bardziej na miejscu od literackich. Otóż, gdy okazało się, że koszary trzeba będzie ewakuować, zapowiadano, że "każda rodzina otrzyma osobne mieszkanie". Tymczasem pakuje się trzy rodziny do jednego mieszkania, jeżeli to można w ogóle nazwać mieszkaniem. Nazwa psia buda byłaby odpowiedniejsza. Mieszkań dwu i jednopokojowych jest bardzo mało, przeważają trzypokojowe.

A teraz jeszcze trochę szczegółów technicznych. Grubość ściany wynosi 7 cm., na co składa się deseczka, trochę wiór i tektura. Wszystko to mokło długo na deszczu i obecnie po wykończeniu baraków woda leje się dosłownie ze "ścian". Okna są pojedyncze, drzwi też pojedyncze, no i popękane, tak że przez szpary oglądać można niebo. Żadnej wody, ani żadnych urządzeń sanitarnych w mieszkaniu nie ma — na to zbudowano osobne baraki. Kobiety z niemowlętami muszą biegać do umywalni i prymitywnych sławojek po śniegu. A w znanych nam barakach na 290 osób jest 100 dzieci i 30 gruźlików.

Ponieważ wszystkie prawie mieszkania są przechodnie, mimo zastosowania systemu łóżek piętrowych nikt nie może trzymać w mieszkaniu roweru, czy skrzyni, czy jakichkolwiek sprzętów,

których się dorobił. Całymi dniami nędzne meble stoją naprzemian na śniegu i deszczu — rozsypuje się ostatni dorobek.

Czyż można się dziwić, że trzy kobiety, stojące przy jednej maleńkiej piycie kuchennej wszczynają piekielne kłótnie, że ich mężowie uciekają do knajpy? Że dzieci słyszą przez otwarte drzwi, albo przez przepierzenia z samej tektury, najmniejszy szmer u swoich sąsiadów, rozumiejąc jego znaczenie i w dzień i w nocy...?

Zresztą dajmy już temu spokój. I tak kto nigdy w takich warunkach nie mieszkał, nie potrafi tego wszystkiego wyczuć i zrozumieć, a my którzy w nich mieszkamy nie potrafimy ich opisać z całą plastyką, z całym brutalnym realizmem piekielką udęk tak małych, tak po prostu banalnych czy śmiesznych, że nie chce się nad nimi rozwodzić tak, jak nikomu się nie chce malować męki, zadawanej przez proste ograniczenie prawa do wypróżniania się w transportach sowieckich łagierników. Przecież o tych rzeczach można opowiadać dopiero po latach w formie wspomnień, w ciszy, spokoju i komforcie, ale nie dziś, nie w tych i kilkudziesięciu innych obozach barakowych na terenie Niemiec. Tu się już pisze ostatnim strzępkiem rwącej się myśli i ostatnim wysiłkiem woli, słabnącej równomiernie z upadkiem sił, posuwającym się wolno, ale nieubłaganie.

Spróbujmy wrócić do spokojnego i rzeczowego wykładu. Wrócić do cyfr, suchych, rzeczowych cyfr. Ich wymowa będzie większa.

Koszt wybudowania psich bud w znanym mi "osiedlu", mieszczącym 290 osób wynosił 87.000 niemieckich marek. Na głowę wypada równo 300 marek. Ale tylko dlatego, że baraki stawiano na gwałt w deszczu i mrozie. Normalnie nie powinny kosztować więcej niż 60.000 marek, a zatem 200 marek na głowę, Czyli tyle ile kosztuje lepsza psia buda.

Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie dziś, gdy piszę te słowa, wpadło mi w rękę pismo, krytykujące nadmierne wydatki wojskowe z gatunku nieproduktywnych w pewnym państwie. Na jedno mieszkanie dla samotnego oficera — co prawda dość daleko na północy — wydaje się 48.000 dolarów. Równo tysiąc razy więcej. Jesteśmy gorsi, dobrze, wiemy o tym, ale czy tysiąc razy? Oni się bili, czy też będą się bić. Ale czy myśmy się nie bili? I to w warunkach o wiele gorszych? Czyż mamy cytować suche cyfry, tym razem nie w dolarach, ale w tysiącach poległych i pomordowanych? Ja się też biłem — na swój sposób. Krew lała się na polach bitew, ale czasem wprost i dosłownie na rękopisy i arkusze korektowe.

Cisnie mi się pod pióro pewne wspomnienie. Mija dokładnie 10 lat od tygodnia, a może nawet i od dnia — nie pamiętam — kiedy komentowałem dla warszawskiej "Pobudki" mowę gubernatora Franka. Mowę w której powiedział, że ta ziemia (GG) jest i będzie niemiecka. Komentarz mój był pełen pogody. Czyż może wygrać wojnę naród, kierowany przez tak nieprawdopo-

dobnie głupich przywódców? Myśl, która była wówczas źródłem otuchy, jest dziś źródłem bojaźni.

Trzeba się znów przywołać do porządku. Znów pogrzebać w cyfrach. Wspomniałem kiedyś, że emigrujący do krajów zamorskich pozostawili w Niemczech około 50 milionów marek opłacanych składek na ubezpieczenia emerytalne. Zakłady zarządzające tymi funduszami obracają je w dużej części na kredyty budowlane. Na mieszkania, jak to ktoś napisał "nur für...". IRO zbierało składki od zatrudnionych pracowników D.P. na fundusz dobroczynny, który miał być przeznaczony w głównej mierze na urządzenie mieszkań dla pozostających w Niemczech. IRO, jedna z najbardziej totalitarnych organizacji w dziejach świata, nie zdaje publicznie sprawy z tego, co robi z pieniędzmi. Ludzie lepiej znający się na rzeczy mówią, że zostały one zużyte na rozpoczęcie prac remontowych w koszarach obecnie przekazanych na inne cele. Resztkami zarządza trzech urzędników IRO pierwszej klasy. Przeciętne uposażenie 500 dolarów miesięcznie na głowę. Na trzech w ciągu roku tyle ile kosztować powinno wybudowanie mieszkań dla 450 pozostających w Niemczech. Ten fundusz wynosił podobno 15 milionów marek. Zestawmy te cyfry: 50 milionów plus 15 milionów. A na psie budy w całym Niemczech wydano 5 milionów.

Nie powołuję się tu na żaden z argumentów, już dziś nieaktualnych, a tysiąc razy powtarzanych przez nas dawniej. Na Warszawę i na Westerplatte, na Teheran i na Jajtę, na Monte Cassino i Normandię, na natchnienie świata, na straszny wyzysk tych ludzi zegnanych na roboty do Niemiec, na lata ich zamieszkiwania w warunkach niemal tak złych jak obecnie w obozach pracy (była o tym mowa w Norymberdze, także w motywach wyroków), na kacety, na to wszystko co przeszło. Powołuję się na prosty, jasny i niewątpliwy, zupełnie aktualny rachunek powojenny. Jestem ekonomistą, a nie wieszczem krzywd narodowych à la Nowakowski.

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest, że na pewno przeciętny przedstawiciel świata zachodniego będzie te słowa uważał za dowód czarnej niewdzięczności za wszystko co zrobiono dla uchodźców. Ile wydano na nich milionów dolarów! Gdyby wydano ich połowę, a za to dorzucano choć odrobinę więcej uczciwości, rozumu i serca! Filantropia bez serca i bez rozumu może być strasznym okrucieństwem.

Skazywanie na bezczynność setek tysięcy dipisów w Niemczech przez okres wyczekiwania na emigrację absolutnie nie było potrzebne. Zbudowanie przez nich choćby domów dla tych, którzy zostaną, było możliwe po prostu za grosze przy odpowiednim postawieniu sprawy pracy w obozach. Cóż kiedy nikt w IRO o tym naprawdę nie myślał, nikt nie uróbował też oczywiście pewnych zasad demokracji przez przyciągnięcie do współpracy przedstawicielstw samych dipisów. Prościej było zapewnić darmo obóz.

Trzeba teraz poświęcić parę słów stosunkowi Niemców do zagadnienia dipisów, przenoszonych do psich bud. W dziedzinie ustawodawczej postawiono ich w sytuacji bez porównania gorszej niż Flüchtlingów.

Dość powiedzieć, że dotychczas nie przyznano dipisom licznych przywilejów, przyznanych ewakuowanym Niemcom. Nie korzystają oni z pożyczek na zakładanie warsztatów pracy, odszkodowań za utracone podstawy egzystencji i wielu innych form szczerze okazywanej pomocy, zamiast wysokich stawek zasiłków dla Flüchtlingów otrzymują niskie stawki zasiłków opieki społecznej. Są one np. wielokrotnie niższe, niż emerytury dla żołnierzy niemieckich, lub przyznawane w niektórych krajach emerytury dla urzędników zwolnionych ze służby państwowej za wybitne współdziałanie z reżimem narodowo-socjalistycznym.

Błędem jest pogląd, że przeniesieni na gospodarkę niemiecką dipisi stanowią obciążenie dla Niemców. Nawet wśród wysortowanych mieszkańców psich bud 2/3 utrzymuje się z własnej pracy i ponosi wszelkie ciężary podatkowe na rzecz budżetu niemieckiego, z którego wypłacane są zasiłki dla niezdolnych do pracy. W Niemczech procent inwalidów i emerytów, utrzymywanych z funduszy publicznych wynosi wraz z rodzinami 20% ludności. Ale te niemieckie 20% otrzymuje renty i emerytury wielokrotnie wyższe, niż te dipisowskie 33%. Można więc przyjąć, że dipisi są dla Niemców już dzisiaj "dochodowi".

Ich przekazanie gospodarce niemieckiej było nie obciążeniem, ale kolosalnym odciążeniem tej ostatniej. IRO bowiem dawało utrzymanie każdemu choremu i zdrowemu, oraz zatrudniało fantastyczną ilość niepotrzebnych pracowników, a to wszystko szło niemal wyłącznie na koszt gospodarki niemieckiej, a nie samego IRO, jak to się błędnie przypuszcza. Budżet IRO służył na utrzymanie dipisów poza Niemcami, ale w Niemczech pokrywano z niego tylko królewskie uposażenia nielicznych pracowników cudzoziemskich (I klasa) i niewielkie wydatki rzeczowe na artykuły importowane. Niemcy ograniczyli pomoc tylko do niezdolnych do pracy, a tam gdzie IRO zatrudniało 10-ciu ludzi postawili jednego człowieka.

W praktyce stanowisko urzędów przy osiedlaniu dipisów jest różne, ale na ogół nie wiele gorsze niż przy osiedlaniu Flüchtlingów, to znaczy mniej więcej skandaliczne. A jednak jest faktem, że można się było spotkać z wrzuszającymi dowodami współczucia i chęci pomocy ze strony Niemców. Dotyczy to i lekarzy niemieckich, wnoszących gwałtowne protesty przeciw umieszczeniu ludzi w psich budach i wzorowej postawy gorliwych pracowników niemieckiego Caritasu, jakże ludzkich w zestawieniu ze słodkawo odpychającą i pogardliwą filantropią z poziomu limuzyn, ba nawet wybuchów wściekłości na władze przełożone ze strony zarządów obozów, byłych oficerów z Prus Wschodnich, na urzędową nieludzkość! Jeden z dzienników niemieckich pi-

sząc o umieszczeniu dipisów w ich nowych barakach, pisał dosłownie:

"Tego, co się tam dzieje, wstydzić się muszą wszyscy ci, którzy za to ponoszą odpowiedzialność".

Wiadomo, kto ponosi odpowiedzialność główną i kogo miał na myśli dziennikarz niemiecki. Nie przypuszczałem, by kiedyś Niemcy, a zwłaszcza tak prędko Niemcy zaczęli nas brać w obrońcę...

To jest ludzkie i to jest politycznie wcale nie głupie. Ale to są jednostki. Jest coś faustycznego w tym dziwnym przeciwieństwie między ludzkością i rozumem, które można znaleźć u tyłu jednostek w Niemczech a między nieludzkością innych albo nawet i tych samych ludzi w innych okolicznościach. Przy tym im wyżej w hierarchii władzy, tym częściej bierze górę nieludzkość i bezrozum. A może to jest inaczej — może ludzie są rozumni i nie tak źli, a władza tępa i gorsza od ludzi? Dziwny naród.

A teraz parę słów o nas samych. Element, który idzie do psich bud jest wysortowany i taki, jakim go wychowało najpierw Gestapo, a potem IRO. Ale trudno. Źli czy dobrzy, zdrowi czy chorzy, ale to są nasi ludzie. My też ponosimy za nich swoją część odpowiedzialności.

Mimo wszelkie trudności można by wiele zrobić dla mieszkańców psich bud. Jestem pewien, że w obecnych warunkach padną oni ofiarą czterech "k": komunizmu, knajpy, kryminału itd. Mężczyzna, przechodzący do domu po pracy będzie uciekać od piekła nieuniknionych kłótni i od ciasnoty swego mieszkania. Młoda dziewczyna będzie też uciekać. Gdzie? Żadna działalność kulturalna do mieszkańców psich bud nie dociera. Gdybyż w takich obozach, liczących po 200-300 ludzi, zrobić przynajmniej jeden pokój, w którym by się uczyły dzieci, w którym by było kilkadziesiąt książek, w którym by były polskie pisma, w którym by jeden z mieszkańców (kandydatów jest dosyć) za groszowym dosłownie wynagrodzeniem tego wszystkiego pilnował — i jeszcze może nastawiał radioaparat na audycje Wolnej Europy czy BBC, by ludzie mogli się dowiedzieć jak szlachetny i sprawiedliwy jest świat demokracji zachodnich, gdyby jeszcze tłumaczył im listy urzędowe i udzielał im prostych rad — to połowa mieszkańców obozu spędzałaby wolne chwile w tej sali, zamiast w knajpie, na ulicy lub w burdelu. I nawet wówczas ci ludzie sami by zapłacili składki czy na Skarb Narodowy, czy na podobną organizację. Ale to by przecież wymagało współpracy wszystkich organizacji społecznych i władz szkolnych. Na samą myśl o współpracy władz szkolnych np. ze Skarbem Narodowym ludzie w Niemczech się śmieją. To jest zupełnie niemożliwe.

Jak czytelnik zauważył o różnych bardzo rzeczach piszę z perspektywy psiej budy. Z tej perspektywy chcę pisać i o naszym Londynie. Trudno nam się jakoś z londyńczykami poro-

zumieć i coraz lepiej zaczynam wyczuwać dlaczego. Mamy trochę poważniejszy stosunek do polityki.

Brałem niedawno udział w rozmowie z kimś z Londynu. Wspomniano o jakimś urzędniku, który dorobił się domu wartości 2.000 funtów. Londyńczyk zauważył, że dla urzędnika w Londynie to rzecz normalna. Otóż dla nas normalne jest mieszkanie w cudzym baraku (koszt budowy 200 DM na osobę). Nawet zasiłek Assistance Board dla Polaka w Niemczech oznaczałby królewski dobrobyt. Zasiłek niemiecki dla niezdolnego do pracy, wynosi w Niemczech miesięcznie tyle, ile w Anglii tygodniowo jeśli idzie o parytet walutowy. Jeśli chodzi o siłę kupna jeszcze mniej. No i różnica warunków życia w ciągu ubiegłych lat dziesięciu. (Wyjątek — ci co walczyli i ci co przeszli Rosję).

Podobnie jak w Anglii, mamy w Niemczech zwolenników i przeciwników Skarbu Narodowego. Ale ci zwolennicy są jacyś bardziej serio. Jeśli idzie o proporcję do zamożności i do ilości ludzi, Anglia powinna dać dziesięć razy tyle co Niemcy. Daje trochę mniej niż Niemcy. Co prawda są w Niemczech wartownicy, którzy głównie przyczynili się do powodzenia akcji Skarbu Narodowego. Ale i prosty człowiek z psich bud też daje, gdy się do niego dotrze. Znam ciężko chorego w sanatorium, którego główną troską jest, by on, jego żona i dwuletnia córka miały co miesiąc wlepione znaczki na legitymacjach. Dochód całej rodziny: 60 marek miesięcznie — 5 funtów.

— Na takie coś zawsze dam — to najczęstsza odpowiedź z ust prostych ludzi, gdy się im zacznie tłumaczyć, co to jest Skarb Narodowy. A niestety ci ludzie niewiele dotychczas widzieli skutków akcji opartej o Skarb Narodowy, niestety nikt do nich nie docierał.

Otóż jest tak dziwnie na tym świecie, że rodzice najbardziej kochają te dzieci, dla których ponosili największe ofiary. Tak samo często ludzie są bardziej przywiązani do Ojczyzny, gdy ta Ojczyzna sporo ich kosztowała, sporo kosztuje, sporo będzie kosztować. Wielu ludziom w Anglii inaczej się te rzeczy układały i tym tłumaczę różnicę, to znaczy nieco mniej poważny stosunek londyńczyków do polityki.

Nie piszę tego wszystkiego z rozgoryczeniem, ani z wściekłością. Między psią budą a niebem są tylko cienkie deseczki. Do piekła też niedaleko. Jednym słowem blisko jesteśmy rzeczy ostatecznych, a w tym nastroju ma się usposobienie raczej spokojne i stara się wszystko zrozumieć — w myśl francuskiego przysłowia. Tylko że... wydaje mi się, że wolno nam z nizin niemieckich psich bud skierować na wyżyny londyńskich Olimpów dwie skromne prośby. Różni ludzie w Londynie mają zwyczaj w różnych oświadczeniach i pismach dziękować Polakom w Niemczech "za obywatelskie stanowisko". Ten frazes się utarł. Prosimy po pierwsze o nie dziękowanie nam za zajęcie oby-

watelskiego stanowiska, po drugie o zajęcie obywatelskiego stanowiska. Okoliczności nas do tego upoważniają.

Obywatelskie stanowisko winno się wyrażać w różnych rzeczach. Na przykład prosimy, by nie narzucano nam z Londynu tamtejszych podziałów, gdy wszyscy w Niemczech prócz kilku osób chcą zjednoczenia. Widzimy jak straszną cenę trzeba płacić za to, że żadna organizacja polska w Niemczech nie może solidnie działać z myślą o całości interesów uchodźczych, a podejmowane czasem w tym kierunku próby z Londynu są strzelaniem kulą w płot.

Nie chodzi nam przy tym tylko o nasze podwórko. Chodzi nam o sprawy dużo szersze i dużo ważniejsze, niż nasze psie budy. Chodzi nam o to, że sprawa polska nie istnieje dla możnych tego świata, tak samo jak nie istniała od paru lat. Może od dziesięciu? O to, że może można by było ją zacząć wprowadzać, gdyby myśiano o tym nie z tego punktu widzenia, kto prędzej dostanie się do... żłóbka i jakiego, ale o tym, jak pokazać, że jesteśmy może niewielką, ale zawsze jakąś siłą naszą własną, nie tylko zespołem kandydatów do pensji. Gdybyśmy w ten sposób wykazali, że w jakimś zakresie trzeba się z nami liczyć i w pewnych sprawach można na nas polegać. Skoro nie potrafimy się zjednoczyć na emigracji, to czyż nie jest to dowodem, że nie potrafimy się zjednoczyć z Polakami w kraju? A jeżeli tak, to dla nikogo w wolnym świecie nie jesteśmy warci funta kłaków.

Jesteśmy jak dzieci, które przyszedłszy do stołu pokerowego rozebrały między siebie karty jednego gracza i każde chce grać na swoją rękę jedną kartą. Wiadomo, że koloru, ani pokera w tych naszych pięciu kartach nie ma, ale kto wie, może złożone razem dadzą jakąś skromną parę czy dwie? Może kiedyś wpadnie w ręce coś na co będzie można choć trochę wygrać — ale w pojedynczych kartach nie znajdzie się nigdy ani para... A pula jest duża i nasze stawki wplacone.

Chciałbym wypowiedzieć jedną przestrożę. Podkreślam — nie pogróżkę lecz przestrożę — bo my tu nic nie zrobimy z psiej budy. Sądzę, że emigracja może zareagować na obecną sytuację w Londynie, w sposób zgoła nieoczekiwany. Może poszukać sobie, albo stworzyć sobie nowe ośrodki dyspozycji, po prostu dlatego, że nie będzie innego wyjścia.

Mieliśmy tu małą próbkę zupełnej bezsily naszych ośrodków emigracyjnych i zupełnej niezajomości polskich zagadnień przez naszych przyjaciół amerykańskich w postaci przemówienia gen. Grossa, Land Commisionera dla Wirtembergii i Badenii na otwarciu baraków w Neckargartach. To przemówienie znane jest dziś Polakom chyba na całym świecie. I nie tylko Polakom. Mówiono mi, że mowę generała Grossa powtórzono nie tylko w prasie reżimowej i w reżimowym radiu, ale, że nadawano ją w najróżniejszych językach za żelazną kurtyną, by przekonać narody Środkowej Europy, że emigracje dipisow-

skie skazane są na wynarodowienie, a ściśle mówiąc na zniesienie, że więc nie mogą być żadnym czynnikiem politycznym.

Pocziwemu gen. Grossowi zdawało się, że mówi do tych paru urzędników amerykańskich, irowskich i niemieckich, którzy byli na uroczystości otwarcia baraków. (Dipisi na tę uroczystość przyszli, co było możliwie najłagodniejszą formą zaznaczenia swego stanowiska). W rzeczywistości przemawiał on do ponad stu milionów ludzi za żelazną kurtyną, z jakim skutkiem, można wnosić stąd, jak jego mowę tam rozreklamowano. Pocziwy gen. Gross był szczerze przekonany, że dipisom dobrze się będzie mieszkać w ich barakach, dlatego, że deseczki były ładnie wyheblowane, a baraki ozdobione jedliną. Nie o to jednak idzie. Idzie głównie o rady, dawane dipisom: by posyłali dzieci do niemieckich szkół, by nie uczyli dzieci gloryfikowania przeszłości narodowej, lecz kierowali się troską o ich przyszłość w Niemczech. Krótko mówiąc doradzał asymilację. Godził się wprawdzie na uzupełniającą naukę w języku polskim ale to jest w obecnych warunkach czysta teoria, gdyż brak na to czasu, pieniędzy i miejsca.

Gdy w jakimś kraju istnieje system nauki bezpłatnej i pokrywania jej kosztów z podatków, to nauka dodatkowa w ojczystym języku powinna być pokrywana z tych podatków, gdyż nie można obciążać tych samych ludzi podwójnymi kosztami szkolnictwa. Tak samo powinny być na ten cel oddane sale szkolne w budynkach niemieckich. W obecnych warunkach uzupełniająca nauka po polsku jest teoretycznie dozwolona, praktycznie uniemożliwiona.

Stało się tak z inicjatywy władz amerykańskich, którym parę rządów krajowych niemieckich przeciwstawiło się, nawiązując współpracę z polskimi władzami szkolnymi i układając wspólnie z nimi zasadę nauczania dwujęzycznego. Takie stanowisko zajmuje m. in. nowy minister dla spraw uchodźców prof. T. Oberlaender w Monachium, podobnie zresztą jak jego poprzednik Jaenicke. Historia Oberlaendera jest bardzo ciekawa i warto się nad nią bliżej zatrzymać.

Prof. Oberlaender był czołowym działaczem Ostinstitutu w Królewcu i członkiem partii narodowo-socjalistycznej. W 1942 r. sprzeciwił się ostro polityce niemieckiej wobec ludności wschodnich ziem okupowanych. Można powiedzieć, że gdyby Hitler posłuchał rad Oberlaendera, to może by i wygrał wojnę. Niewątpliwie Oberlaender pragnął politycznego opanowania przez Niemców wschodu europejskiego ale o wiele więcej niż Hitler wiedział, jakimi metodami cel ten osiągnąć można, a jakimi osiągnąć go nie można. Ludzi mądrzejszych od siebie Hitler albo likwidował, albo zamykał w obozach, albo skazywał na areszt domowy. Wobec Oberlaendera zastosował sposób najłagodniejszy. Można się dopatrywać pewnej analogii między stanowiskiem Oberlaendera a obecnie.

Władze okupacyjne amerykańskie całego tego zagadnienia nie

rozumieją i nie przychodzi im na myśl, jakie znaczenie polityczne mogą mieć ci emigranci, którzy nie chcą się asymilować. Uwag Burnhama na ten temat na pewno nikt z Amerykanów, zajmujących się sprawami dipisów w Niemczech, nie czytał. Trzeba tu powiedzieć parę słów o psychologii amerykańskich urzędników okupacyjnych. Nie znoszą oni w ogóle interesantów, a poza tym spraw skomplikowanych, które utrudniają im osiągnięcie celów politycznych aktualnych w Niemczech. O możliwości pogodzenia apetytu wilka z interesami owcy nawet nie myślą, gdyż to postawiłoby ich przed koniecznością niesłychanego wysilenia mózgu. Paru ludzi, rzeczywiście myślących znajduje się w wydziałach, mających za zadanie zbliżenie kulturalne z Niemcami, ale ci z dipisami nie mają nic do czynienia.

Chcę być znów spokojny i obiektywny. Zarzucamy Amerykanom, że nic nie rozumieją, dopatrujemy się w tym jakiejś złośliwości, ale my w tych sprawach także czegoś nie rozumiemy, mianowicie amerykańskiego punktu widzenia i przyczyn dla których jego zbliżenie do naszego punktu widzenia jest szczególnie trudne.

Podstawową tezę naszej polityki narodowej jest ściśle rozróżnienie narodowości od obywatelstwa oraz przekonanie, że narodowość swą zachowuje się mimo zmiany obywatelstwa. Gdybyśmy tę tezę odrzucili, to naród polski powinienby być przestać istnieć.

Podstawową tezę amerykańską jest, że obywatelstwo to to samo co narodowość i każdy, przyjmujący obywatelstwo amerykańskie nabywa narodowość amerykańską. Każdy mieszkaniec Ameryki powinien oczywiście przyjąć obywatelstwo amerykańskie. Gdyby Amerykanie odrzucili tę tezę, naród amerykański w ogóle by nie powstał. W południowej części północnej Ameryki mieszkaliby Anglicy, Irlandczycy, Włosi, Niemcy i Polacy. Tymczasem faktem jest, że mieszkają tam Amerykanie. Potem, jak trudno nam zrozumieć Amerykanów, możemy łatwo poznać jak trudno Amerykanom zrozumieć nas. Tym niemniej trzeba, by nas zrozumieli, gdyż leży to w interesie nie tylko Polski, nie tylko Ameryki ale całego tzw. wolnego świata. Jest to wielkie zagadnienie polityczne, wymagające działania uzgodnionego w porozumieniu z innymi emigracjami politycznymi, z wielkimi Amerykanami, którzy już zrozumieli o co chodzi itd. To jest zagadnienie polityczne na serio, którym się nikt nie zajmuje dlatego, że jak starałem się wykazać, nasi olimpijczycy londyńscy różnej maści mają niepoważny stosunek do polityki.

Na pewno spotkam się z zarzutami, że przez otwarte wyłożenie spraw trudnych i nieprzyjemnych zaszkouję sprawie polskiej. Na określenie mojego stosunku do tych zarzutów użyłbym najchętniej któregoś z jędrnych wyrażenia, jakie w tej chwili dochodzą do mnie z sąsiedniego mieszkania, to jest zza tektury. Ponieważ jednak na łamach "Kultury" wypada używać innego języka, ograniczam się do stwierdzenia, że szkodzi nam (i in-

nym) samo zło i sam błąd, a nie pisanie o błędach i o tym co jest złe. Otwarte poruszanie tych tematów może się, jak sądzę, więcej przydać polskiej i niepolskiej sprawie niż ich przemilczenie.

I jeszcze jedno. Nigdzie tak jak w psich budach nie czuje się tego, jak wciąż jeszcze trzeba płacić za to, że się jest Polakiem. Cena, którą się dziś za to płaci nie jest efektywna, nie można jej porównać z ceną, jaką płacili inni w czasie wojny, ale jest bardzo przykra, psychicznie może trudniejsza do zniesienia. Jest faktem, że gdyby dipłomi w Niemczech poszli na wynarodowienie ich położenie poprawiłoby się wydatnie. Powstaje pytanie, nieaktualne dla ludzi, którzy już nic innego nie mogą robić (dla braku kwalifikacji), niż zajmować się polityczką, ale aktualne dla ludzi w Niemczech: pytanie za co? Za co wciąż płaci się, by móc nadal zostać Polakiem? Odpowiedź na to pytanie musi być tak *poważną*, jak poważna jest sytuacja tych, którzy Polakami nadal chcą zostać. Mamy swoje mniej lub więcej świadome racje ku temu.

Ale nie mówmy, że jest to jakiś nakaz kategoryczny, absolutny jak dziesięcioro przykazań. Tu trzeba znaleźć motywy wyprowadzone z wartości wspólnoty narodowej polskiej, z wartości jej dorobku dla nas samych i dla świata. Powiedzmy, że potrafię znaleźć te motywy, czy w akcie Unii Horodelskiej i innych wydarzeniach przeszłości, czy w osiągnięciach Wielkiej Emigracji, czy w Warszawie, ale sama przeszłość nie wystarcza. Zwłaszcza ludzie prosić potrzebują motywów **aktualnych**, czy to w naszej twórczości kulturalnej, czy w dziełach politycznych przywódców obecnej emigracji.

Szukajcie — ale czy znajdziecie?



Na zakończenie muszę przeprosić czytelników za nieco chaotyczne przedstawienie spraw mieszkańców psich bud, naszej polityki emigracyjnej, spraw polityki niemieckiej i amerykańskiej. Ta chaotyczność jest oczywiście wynikiem wyżej opisanych warunków. Zdecydowałem się mimo to na przedstawienie pewnych rzeczy z perspektywy psiej budy, gdyż wydaje mi się, że z tej właśnie perspektywy to i owo widać trochę wyraźniej.

J. B.

Kronika angielska

„KLIKI EMIGRACYJNE”

„Myśl Polska” (Nr. 165/22) komentując artykuł londyńskiego korespondenta „Kultury” („Kultura” nr 11/37) określa wszystkie ugrupowania polityczne, które znalazły się poza ramami Rady Politycznej — mianem klik emigracyjnych. „Takie świadome sprowadzanie do absurdu pojęcia stronnictw politycznych” — cytując dosłownie — „i mieszanie drobnych klikzek emigracyjnych z historycznymi ruchami zmierza do pogłębienia rozkładu i wywołania chaosu pojęć”.

Tan kataklizm nie zagraża „Myśli Polskiej”, bo „chaos pojęć” jaki panuje w tym organie trudno byłoby chyba już powiększyć. Nie mam zamiaru wszczynać akademickich sporów (wielokrotnie podnoszonych) czy — powiedzmy — Liga Niepodległości jest partią polityczną czy też nią nie jest. Jeżeli jednak chodzi o ową „historyczność” na którą stronnictwa Rady powołują się przy każdej okazji — to Piłsudzczyści skupieni w Lidze Niepodległości są na pewno znacznie bardziej... historyczni niż np. NiD, którego dzieje są raczej krótkie i mało dramatyczne.

Jest rzeczą zupełnie niezrozumiałą do czego zmierza propaganda istotnej i rzekomej historyczności partii wchodzących w skład Rady Politycznej. Historyczność nie jest żadnym aktywem w bilansach partii politycznych. Raczej minusem.

„Labour Party” jest zupełnym nowicjuszem w porównaniu z jakże historyczną Partią Liberalną. W r. 1828 starzy, dostojni Whigowie przechrzczli się na Liberalistów przyjmując miano nadane im przez wrogów politycznych. Z pewnymi przerwami sprawowali rządy niemal przez całą drugą połowę XIX w. „Labour Party” datuje się właściwie dopiero od r. 1906. Lecz w obecnym parlamencie brytyjskim historycznych Liberalistów jest tylko 9. Nie-historycznych postów Labour — 315!

Czy Rada Polityczna, podkreślając uparcie swą Historyczność, pragnie w umysłach czytelników wywołać analogiczne przypuszczenia i asocjacje?

W JAKIM CELU?

Londyn roi się od polskich stowarzyszeń. Specjalną grupę stanowią zrzeszenia zawodowe. Mamy więc Związek Pisarzy, Związek Dziennikarzy, Zrzeszenie Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich, mamy — Zrzeszenie Psychologów i Pracowników Psychologicznych na obczyźnie, Zrzeszenie Kooperatystów (dlaczego nie Spółdzielców?) Polskich i dziesiątki innych.

Charakterystyczny jest fakt, że na obczyźnie wielu ludzi osiągnęło w ramach emigracyjnego układu „awans społeczny”, który w normalnym świecie byłby może dla nich niedostępny. Np. w Związku Pisarzy są członkowie, którzy wydali jeden tomik poezji w latach politycznej powodzi (1942-1944) — i od tego czasu rozsądnie nabrali wody w usta i mikożą.

W zamierzonych czasach przedwojennych wspaniały tytuł „pisarza polski” znaczył bardzo wiele i nie łatwo go nadawano. Gdyby Związek Pisarzy nazwał się skromnie np. Związkiem Literatów może niejednego z jego członków w okresie przypływu zdrowej „samokrytyki” czułyby się mniej zakłopotani.

W Związku Dziennikarzy oprócz autentycznych dziennikarzy jest bardzo wielu, którzy są zapewne i zdolni i zasłużeni — ale mimo to w myśl polskich przepisów dziennikarzami nie są. Mam na myśli tych co redaktorskie ostrogi zdobywali w biuletynach obozowych, gazetkach ściennych, biuletynach wojskowych itp.

Lecz niewątpliwie najdziwniejszy z tej serii jest fakt, że w spisie członków Stowarzyszenia Profesorów i Docentów odnalazłem garść znajomych osób, co do których stwierdzić mogę pod przysięgą przy zapalonych świecach, że nigdy w życiu ani profesorami ani docentami nie byli.

Jaki jest cel tego dziwnego liberalizmu? Zawody techniczne temu liberalizmowi nie uległy i nadal stosują rzetelne normy. Praktyka w biuletynie w Jebel-El-Rab może wystarcza by zostać członkiem Związku Dziennikarzy ale jak ktoś pragnie zostać członkiem Związku Lekarzy trzeba po staremu przedłożyć dyplom ukończenia medycyny. Kurs sanitarny w Sidi-Bishr nie wystarcza. Podobnie ukończenie kursu kreślarskiego w Calveley Camp nie uprawnia do członkostwa Związku Inżynierów i Techników Polskich.

Nie umiem wyjaśnić dlaczego pisarze, dziennikarze, profesorowie i docenci traktują swój zawód i powołanie mniej poważnie niż lekarze i technicy.

TRZY ORIENTACJE

Korespondent "Kultury" przeprowadził prywatną "ankietę" zapytując o opinie około 20 Polaków płci obojga w Londynie. Jeżeli tych kilkanaście osób uznamy za "reprezentatywne" dla tutejszego polskiego środowiska to z "ankiety" należy wyciągnąć następujące wnioski:

W chwili obecnej istnieją trzy poglądy na rolę jaką winna odegrać Emigracja w związku z ewentualnym konfliktem wojennym.

Pierwsza orientacja — to zwolennicy neutralności. Wysuwa się bardzo różne argumenty celem poparcia tego poglądu. Jest nas mało, symboliczna armia byłaby bez znaczenia, winniśmy zachować przy życiu Emigrację, której zadaniem będzie odbudowa zachodniej kultury w Kraju. Inni zwolennicy neutralności twierdzą, że Anglicy nie odbudują armii polskiej by zaoszczędzić sobie kłopotów i komplikacji politycznych i tym samym zmuszą nas do neutralności.

Drugą orientację reprezentują zwolennicy czynnego udziału warunkowego. Owszem — powiadają — godzimy się na odbudowę armii polskiej ale w pierwej Anglosasi uznać muszą rząd londyński, zawrzeć odpowiednie umowy — cofnąwszy oczywiście uprzednio uznanie administracji warszawskiej. Jak długo te warunki nie są spełnione oznacza to, że Sprawa Polska nie dojrzała do rozstrzygnięcia.

Do trzeciej orientacji zaliczam zwolenników "akcji bezwarunkowej". Są oni zdania, że w walce przeciw komunizmowi stawką jest nie tylko los Polski ale Chrześcijaństwa, cywilizacji zachodniej i całego wolnego świata. Wychodząc z tych założeń uważają, że walka z Rosją jest obowiązkiem ciężącym na każdym wolnym człowieku. Obowiązkiem narodowym i ponad-narodowym równocześnie.

Rozmiar "ankiety" nie upoważnia mnie do określenia choćby w przybliżeniu jaki jest procentowy stosunek sił zwolenników tych trzech orientacji.

POSIEDZENIE RADY POLITYCZNEJ

W Londynie odbyło się pod przewodnictwem p. Z. Berezowskiego publiczne posiedzenie Rady Politycznej. Treścią wszystkich niemal przemówień był odwieczny temat "zgody narodowej".

Prezes Wydziału Wykonawczego p. J. Dziechowski w dłuższym przemówieniu stwierdził m. in.: "...o nic innego nie chodzi w sporze obecnym, jak o przywrócenie demokratycznej zasady ograniczającej władzę Prezydenta (w myśl ogłoszonego 20 listopada 1939 r. oświadczenia Prezydenta Raczkiewicza)."

Słusznie! Gdyby jednak chodziło tylko o "przywrócenie zasady ograniczającej władzę Prezydenta" — misja prof. H. Paszkiewicza w sierpniu ub. r. byłaby zapewne uwieńczona rezultatem. Jak jednak powszechnie wiadomo rokowania rozbiły się, bo p. Ciołkosz przy pe-

nym poparciem wszystkich stronnictw Rady Pol. — zażądał natychmiastowego ustąpienia Prezydenta R.P.

Wydaje mi się zatem, że chodziło nie o „ograniczenie władzy Prezydenta” lecz o **pozbowienie** go władzy i urzędu.

Nie istnieje na świecie ani państwo ani konstytucja, która zmuszałaby prezydenta do ustąpienia ilekroć zażądają jego głowy trzy stronnictwa. Nawet gdyby to były stronnictwa tak historyczne jak PPS i tak nie-historyczne jak NiD.

Znacznie bardziej logiczne było przemówienie prez. Z. Zaremby. Oświadczył on między innymi, że „...ośrodek rządowy” jest to „element, który wyszedł z kłęski wrześnieowej, element przelotnych ptaków. Jest to element przeszłości politycznej Polski — bardzo niemilej przeszłości. Dlatego wydaje mi się — mówił prez. Zaremba — „że przeceniamy ten ośrodek mówiąc o nim jako o ośrodku politycznym”.

To jest jasno postawiona sprawa.

Obserwując obiektywnie dotychczasową linię Rady Politycznej trudno oprzeć się wrażeniu, że instytucja ta stanęła obecnie przed kardynalnym zagadnieniem: albo podjąć jeszcze raz próbę porozumienia i doprowadzić ją do realnego wyniku — albo otwarcie odciąć się od tzw. „sanacji”, „ośrodka rządowego”, i legalizmu.

Można stanąć na stanowisku, że z obozem rządowym nie należy szukać porozumienia. Jeżeli hołduje się takiemu pogładowi należy go jasno sformułować i stwierdzić, że z obozem rządowym nie szuka się porozumienia tylko przeciwnie zwalcza się go i potępia.

Jeżeli jednak na tym samym posiedzeniu Rady jeden mówca (prez. Bielecki) zapewnia, że Rada stoi na stanowisku „prawnej ciągłości” (tzn. rządu i Prezydenta bo bez tych urzędów nie byłoby „prawnej ciągłości państwowej”) — natomiast drugi reprezentant tej samej Rady powątpiewa czy rząd („element przelotnych ptaków”) jest w ogóle ośrodkiem politycznym — to cierpliwy słuchacz tych wypowiedzi dojdzie musi do wniosku, że Rada Polityczna nie ma ani linii ani wyrobionego poglądu na całość naszego życia politycznego.

Idealne rozwiązanie z punktu widzenia Rady Pol. musiałoby wyglądać następująco: Prezydent przelewa „legalną ciągłość Państwa Polskiego” na rząd uformowany z członków Rady oraz na osobę nowego prezydenta wskazaną przez przywódców Rady. Bezpośrednio po tym następuje rozwiązanie Ligi Niepodległości, która na likwidacyjnym posiedzeniu podejmuje uchwałę, że „pachołkowie sanacji” uznali się jednomyślnie za „zbrodniarzy wojennych”.

Tego rodzaju idealnego rozwiązania, które Radzie Politycznej umożliwiłyby przyjęcie legalizmu i równocześnie zlikwidowanie obozu rządowego — nie należy oczekiwać. Nie leży to w sferze realnych możliwości. Dlatego trzeba się na coś zdecydować. Namawianie do samobójstwa nie jest bowiem żadną polityką. Do samobójstwa nie można nikogo namawiać — nawet sanacji...

BADANIE CUDZOZIEMCÓW

W Anglii od dłuższego czasu przeprowadzane jest badanie cudzoziemców, którzy nie przeszli przez tego rodzaju wywiad bezpośrednio po lądowaniu. W pierwszym rządzie dotyczy to b. żołnierzy polskich, którzy przybyli na tę wyspę z pominięciem jakichkolwiek cywilnych formalności.

Po Londynie krąży seria anegdotek, które zrodziły się w czasie przesłuchiwań z dowcipnych odpowiedzi Polaków i rewanżów Brytyjczyków.

Za 100% autentyczny uchodzi następujący epizod:

Urzędnik zapytuje majora Z.:

— Czy namawiał ktoś pana do powrotu do Polski?

Major Z.:

— Tak. Namawiał mnie pewien wysoko postawiony Anglik.

Cisza. Nikt nie pyta o dalsze szczegóły ani o datę. (Wiadomo kiedy to być mogło).

Po chwili urzędnik brytyjski przystępuje do rewanzu:

— Podał pan na policji, że mieszka pan w wynajętym pokoju?

— Tak — potwierdza Major Z.

— Jak to? Przecież pan był oficerem 2 Korpusu i nie posiada pan własnego domu w Londynie? Czy to możliwe?

Londyńczyk.

Stany Zjednoczone

O tak zwanym przesunięciu ośrodka ciężkości świata zachodniego z Paryża i Londynu do Waszyngtonu słyszałem od jakichś pięciu lat przy każdej okazji. Dla przeciętnie zdrowo kalkulującego umysłu jest to truizm od lat chyba dziesięciu. Nie o to jednak idzie co mówią różni polscy mędrcy w Londynie, ale o to jakie z tego wyciągają wnioski. Otóż trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć, że poza Mikołajczykiem nikt z czołowych polityków polskich w praktyce żadnego wniosku nie wyciągnął po dzień dzisiejszy. Najgorsze, że stan obecny nie jest wynikiem pewnej określonej decyzji, ale raczej jakiegoś paraliżu woli. Okopani pomiędzy Hyde Park Corner i Earls Court co najmniej dwie trzecie swego czasu i wiedzącej energii poświęcają ci przedwczorajsi, wczorajsi, dzisiejsi i jutrzejsi dostojnicy na wojnę wewnętrzną. Nie twierdzą bynajmniej, by należało obrócić się plecami do Anglii. Mamy tam cenne zespoły oddanych przyjaciół. Należało by więc tam zostawić dobre zespoły: dziennikarski, ambasadzki i organizacyjno-społeczny. Ze zrozumiałych względów nie mogli tego terenu opuścić wszyscy socjaliści, którzy mogą tam (teoretycznie) więcej zdziałać od innych. Ci inni jednak powinni byli wyjechać. Obawiam się, że emigracja polityczna w Londynie zdaje się być skazana na postępujący proces gnilny.

Stan obznajomienia Zachodu z problemem polskim, niewielki we Francji, znikomy w Wielkiej Brytanii — na terenie amerykańskim przedstawia się wprost skandalicznie. Nie pora tu i nie miejsce szukać winnych. Stwierdzam fakt, który poprzec mógłbym tysiącem przerażających argumentów. Oto kilka tylko przykładowych kwiatków z tej niewesołej niwy, zebranych na przestrzeni ostatniego roku.

Szef Sztabu, gen. Bradley, w swym programowym artykule, drukowanym w październikowym wydaniu "Reader's Digest", mówi o tym, że granica Europy biegnie w sercach amerykańskich, podobnie jak w sercach europejskich — na Łabie. Nie dawno jeden z czołowych przedstawicieli amerykańskich związków zawodowych zadał mi, po dłuższym namyśle, wypracowane pytanie — jak to się stało, że Polacy tak łatwo ulegli komunizmowi i Rosji. "Chicago Tribune" jeszcze rok temu umieszczała reportaże jakiegoś pismaka, który opisywał jak to Armia Krajowa własnoręcznie paliła w Warszawie dom za domem, by nie oddać miasta braciom ze Wschodu. Prezydent Truman, nie dalej jak parę miesięcy temu, mówił przez radio o Rosji i narodach satelickich w Europie. Jedno z czołowych pism katolickich dowodziło, że Polska cierpi dziś słusznie za krzywdy wyrządzone uchodźcom niemieckim. Stołeczny, półoficjalny "Washington Post" w wigilijnym numerze zabawił czytelników ankietą wśród której takie oto były pytania i odpowiedzi: "Jaki niemiecki okręg przemysłowy znajduje się pod polską okupacją?" — Odpowiedź: — "Silesia".

"Jakie państwo zagrabiło po wojnie największą część ziem niemieckich?" Odpowiedź: — "Polska". Parę tygodni temu toczyłem zażartą dyskusję w gronie polityków waszyngtońskich, pytany bez ogródek, dlaczego przeciwstawiam się obecnie zbrojnej walce podziemnej w Polsce, czy chcę by naród polski biernie czekał na wyzwolenie go przez armię amerykańską. Jednocześnie dowiedziałem się, że jeden z moich lwowskich przyjaciół, znawca Dalekiego Wschodu i poszukiwacz przygód, został odrzucony jako ochotnik, gdyż nie jest obywatelem amerykańskim. Itd., itd., bez końca, aż ręce opadają.

Gdyby nawet tych piętnastu byłych dyplomatów polskich w Waszyngtonie było tytanami pracy, jeszcze wówczas trzeba by zaprzęcać planowo całą polską emigrację polityczną do urabiania opinii amerykańskiej. Pole jest ogromne, na nasze siły bodaj zbyt wielkie. W naszej sytuacji oddziaływać trzeba nie tylko na Departament Stanu, ale w równym stopniu na komisję spraw zagranicznych obu Izb, na wpływowych senatorów i kongresmanów, przywódców związków zawodowych, wyznai i kościołów, profesorów uniwersyteckich, wybitnych wojskowych, komentatorów radiowych, pisarzy, organizacje kombatanckie, kobiece itp. Niemal we wszystkich wylicznych wypadkach wyrobiony działacz polityczny, znający język angielski, będzie miał łatwiejszy dostęp od najwytrawniejszego urzędnika dyplomatycznego. To musi trwać i dlatego choćby tu dziś zjechał do Waszyngtonu wszystkie polskie tuzy polityczne, sporo czasu musiałyby upłynąć, zanim moglibyśmy zbierać pierwszy plon polityczny. A czasu jest już bardzo mało.

O wyprawie amerykańskiej gen. Andersa i prezesa Arciszewskiego pisano już tyle, że ograniczę się jedynie do stwierdzenia, że z punktu widzenia sprawy polskiej była ona bardzo pozytywna. Sam objazd ośrodków polonijnych przez tych ludzi o historycznych nazwiskach, stał się ogromną podniętą dla wzmożonej akcji polskiej, nie tylko wśród starych działaczy polonijnych, ale — co najważniejsze — wśród młodzieży. Odnosi się to samo do wszelkich spotkań z wybitniejszymi Amerykaninami, chociażby miały one charakter nieoficjalny i twarzyski. Byłoby niewątpliwie lepiej, gdyby podróż ta odbywała się "połączonymi siłami", bo przecież tam gdzie docierał z tytułu swych zasług czy właściwości, jeden z wymienionych gości, tam zwykle nie miał dojścia drugi. Niestety nie mogę powiedzieć by moje argumenty na temat wspólnego działania znalazły równe zrozumienie u obu stron.

W następnej korespondencji postaram się scharakteryzować istniejące na terenie Stanów polskie ośrodki polityczne, a więc "ośrodek londyński", Radę Polityczną, Mikołajczyka i ambasadę warszawską.

Jerzy LERSKI.

Najnowsza historia Polski

« L'offensive pour la Pologne »

Tak nazywa generał Gamelin, naczelny wódz francuski w 1939 roku rozdział swych pamiętników*), dotyczący pomocy Polsce we wrześniu 1939 r. Przedstawiając swoje zarządzenia i działania wojenne wojska francuskiego w tym okresie utrzymuje on, że wykonał wówczas więcej aniżeli to, do czego się zobowiązał w przedwojennych umowach z Polską. Niestety jednak rzeczywistość wyglądała inaczej.

Z gorzkim uczuciem czyta czytelnik polski nieprzekonywujące wywody byłego naczelnego wodza francuskiego. Świadczą one jak różne były istotne zamiary i czyny najwyższych dowódców sojuszniczych od ich słów i zobowiązań przedwojennych. Sposób, w jaki "L'offensive pour la Pologne" była prowadzona sprawił, że w stosunku do Polski była ona obłudą, w stosunku zaś do Francji — jak to już dziś, po częściowym nawet odsłonięciu kart niemieckich, staje się coraz bardziej widoczne — była przegraną bitwą, w której Francuzi stracili jedyną okazję uchwycenia w swe ręce inicjatywy i zadania Niemcom ciosu, który mógł mieć bardzo daleko idący wpływ na dalszy przebieg wojny.

By wyrobić sobie prawdziwy pogląd na to, jakie były wojskowe zobowiązania Francji i W. Brytanii w stosunku do Polski i w jakim stopniu zostały one wykonane we wrześniu 1939 r., trzeba poznać fakty historyczne. Przejdźmy więc do ich rozpatrzenia.

Umowy wojskowe

Kiedy w marcu 1939 r. rząd polski w porozumieniu z generalnym inspektorem sił zbrojnych dawał odmowną odpowiedź na żądania Hitlera, był zdecydowany przeciwstawić się zbroj-

nie agresji niemieckiej nawet niezależnie od stanowiska sojuszniczej Francji. Liczono jednak wówczas, że tak wypadki 1938 r., a tym bardziej jeszcze zajęcie Czechosłowacji, jak i zdecydowana postawa, którą Polska zajmie w wypadku konfliktu z Niemcami (tak zasadniczo różna od postawy Czechosłowacji), wpłynię na zmianę biernego dotychczas stanowiska Zachodu. Liczono, że uda się wtedy doprowadzić do sprecyzowania warunków działania sojuszu z Francją oraz ustalenia sposobu i terminu czynnego jej wystąpienia, czego do tej pory, pomimo prawie 20 lat istnienia sojuszu, nie można było osiągnąć.

Jak wiadomo, wkrótce po odrzuceniu przez Polskę żądań Hitlera, rząd brytyjski, jak też w ślad za nim rząd francuski (13 kwietnia 1939 r.) złożyły deklaracje, zapewniające Polsce udzielenie pomocy natychmiastowej i bezpośredniej przeciwko każdemu zagrożeniu bezpośredniemu lub pośredniemu, które by dotyczyło jej spraw żywotnych.

Deklarację gwarancyjną polsko-brytyjską miał zastąpić w najbliższej przyszłości wzajemny układ sojuszniczy.

Po wspomnianej deklaracji francuskiej chodziło już tylko o umowne ustalenie nowej interpretacji sojuszu w formie odpowiedniego protokołu interpretacyjnego. Negocjacje w tym kierunku rozpoczęły się z końcem kwietnia 1939. Nie napotykały one na żadne poważniejsze trudności, tak, że należało przypuszczać, że zakończą się szybko i pomyślnie.

Umowy wojskowe polsko-francuskie

W tym stanie rzeczy można było przystąpić do ułożenia z wojskowymi władzami francuskimi zasad współpracy wojskowej, opartej na nowych formułach politycznych.

W tym celu wyjechał do Paryża, w maju 1939 r., z ramienia Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, generał Kasprzycki, minister spraw wojskowych, któremu towarzyszył płk. dypl. Jaklicz, zastępca szefa Sztabu Głównego do spraw operacyjnych i ppłk. dypl. Karpiński, zastępca szefa Sztabu Lotniczego.

Podstawę rokowań wojskowych gen. Kasprzyckiego i płka dypl. Jaklicza stanowiły wytyczne, udzielone im przez Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Wytyczne te oparte były na hipotezie pierwszego uderzenia gros sił niemieckich na Polskę. Uderzenie to miałoby na celu zniszczenia sił Polski, by uzyskać następnie swobodę skupienia całości sił na zachodzie i zwrócenia się ofensywnego przeciwko Francji. W tym okresie, brzmiała instrukcja, Polska prowadzić będzie działania defensywne w ten sposób, by zadać nieprzyjacielowi jak największe straty, nie dopuszczając jednak do rozbicia sił własnych przed rozpoczęciem działań sprzymierzonych i zyskać czas potrzebny dla Francji do rozpoczęcia ogólnej ofensywy na zachodzie. Przejście sił polskich do ofensywy nastąpi, gdy warunki na to pozwolą. W ramach tych wytycznych, strona pol-

*) Général GAMELIN. Servir. Paris. Plon, I i II tom 1946, III t. 1947.

ska miała dążyć do uzyskania od Francuzów zobowiązań co do jak najszybszej pomocy od samego początku działań wojennych (przede wszystkim lotniczej) i do możliwie najwcześniejszego wyruszenia ogólnej ofensywy. Poza tym chodziło o uzyskanie pomocy finansowej i materiałowej, w gotowym sprzęcie wojennym.

Na konferencjach, które się odbyły w Paryżu między delegacją polską a generałem Gamelin (przewidywanym na naczelnego wodza w czasie wojny), generałem Vuillemin (szefem Sztabu Generalnego Lotnictwa), generałem Georges (przewidywanym na dowódcę frontu przeciwniemieckiego) i innymi, rozpatrywane były różne możliwości działań sił zbrojnych Francji oraz przewidywany podział sił niemieckich w wypadku zwrócenia głównego wysiłku niemieckiego przeciw Polsce. Gen. Gamelin dał zapewnienie, że w tym wypadku Francja zrobi wszystko możliwe, ażeby związać na tym froncie maksimum sił niemieckich. Oświadczył, że daty ofensyw będą ułożone kolejno w czasie, a mianowicie: "wczesnie (de bonne heure) zostaną wykonane operacje częściowe pomiędzy liniami umocnionymi francuskimi i niemieckimi, zanim jednak nastąpi usiłowanie przełamania frontu niemieckiego ("avant de tenter la rupture du front allemand") będzie musiała być umieszczona na stanowiskach silna artyleria". Na zapytanie, czy w tych warunkach główne siły ("la masse") będą mogły rozpocząć działania ofensywne przed 15 dniami, generał Gamelin odpowiedział, że taki mniej więcej okres czasu należy na to przewidzieć.

Generał Georges podał niektóre dane o wartości linii Zygrydy *) oraz odnośnie artylerii, potrzebnej do natarcia na nią. Uważał, że ofensywa na tę linię w celu jej przełamania nie może być przedsięwzięta przed 17-ym dniem, ze względu na czas potrzebny na przygotowanie.

Na zapytanie co do sił francuskich, które będą mogły działać ofensywnie przeciwko Niemcom — generał Gamelin oświadczył, że nie będzie dość środków na to, by linię, silnie trzyma-

*) Linia Zygrydy nazywano niemiecką, ufortyfikowaną pozycją obronną, biegnącą wzdłuż zachodniej granicy Rzeszy. Jej przebieg na odcinku między Renem a Luxemburgiem podaje załączony na str. 160 szkic.

Odpowiednikiem niemieckiej pozycji była po stronie francuskiej tzw. linia Maginot.

Ofensywę mogli Francuzi prowadzić tylko na odcinku między Renem a Luxemburgiem. Wymagała ona przełamania linii Zygrydy, po czym operując prawe skrzydło na Renie mogła być kontynuowana w ogólnym kierunku na Moguncję, Kobleniec czy Kolonię.

Znacznie łatwiejsze warunki istniałyby dla ofensywy prowadzonej przez Belgię w kierunku na Ren. Ponieważ jednak przemarsz przez Belgię, bez zgody Belgii, był niemożliwy (neutralność Belgii), ofensywa w tym kierunku nie mogła wchodzić w rachubę.

Ofensywa w kierunku wschodnim przez Ren, byłaby ze względów technicznych nadzwyczaj trudna do przeprowadzenia, gdyż wymagałaby sforsowania rzeki, bronionej fortyfikacjami stałymi, a następnie wyprowadzałaby w trudny operacyjny teren Czarnego Lasu.

ną przez nieprzyjaciela, atakować wszędzie. Trzy czwarte wojsk francuskich będzie na froncie północno-wschodnim (front przeciwniemiecki), połowa tych sił może wziąć udział w ofensywie.

Odnosnie działań lotnictwa francuskiego, generał Vuillemin oświadczył, że lotnictwo to może na początku wojny działać energicznie ("vigoureuxment") w celu odciążenia Polski. Przy obecnym stanie lotnictwa francuskiego działanie to jest możliwe w wypadku decydujących działań lądowych lub w wypadku kryzysu bitwy. W wypadkach tych przewiduje się dwa rozwiązania: działanie z terenu Francji na tyły niemieckie albo wysłanie, na żądanie dowództwa polskiego i po wyrażeniu zgody obu rządów, części lotnictwa francuskiego na przeciąg kilku dni na teren Polski.

W wyniku przeprowadzonych rozmów został podpisany w dniu 19 maja przez generałów Gamelin i Kasprzyckiego protokół końcowy (konwencja wojskowa), którego ustęp dotyczący zobowiązań strony francuskiej brzmiał jak następuje:

- "I. — W wypadku agresji niemieckiej przeciwko Polsce albo w wypadku zagrożenia jej żywotnych interesów w Gdańsku, które spowodowałyby działania zbrojne ze strony Polski, armia francuska rozpocznie automatycznie działania swych różnych sił zbrojnych w sposób następujący:
- 1) Francja wykonuje natychmiast działanie lotnicze według planu ustalonego z góry,
 - 2) Z chwilą gdy część sił francuskich będzie gotowa (około 3-go dnia/1+*) Francja rozpocznie kolejno (progressivement) działania ofensywne o ograniczonych celach.
 - 3) Z chwilą gdy główny wysiłek niemiecki zaznaczy się przeciwko Polsce, Francja rozpocznie działanie ofensywne przeciwko Niemcom swoimi głównymi siłami (avec les gros de ses forces) (począwszy od 15-go dnia/1+*).

II. — W pierwszej fazie wojny, Polska zaangażuje się całością swych sił w działania defensywne przeciwko Niemcom, przechodząc do działań ofensywnych gdy warunki na to pozwolą i w sposób przewidziany przez oba dowództwa.

Dalsze ustępy protokołu omawiają działania polskie w wypadku natarcia niemieckiego na Francję oraz pomoc materiałową i finansową Polski.

Na podstawie i w rozwinięciu konwencji wojskowej, zawarta została 27-go maja w Paryżu, między przedstawicielami sztabów lotniczych obu stron, umowa lotnicza. Określała ona współpracę obu lotnictw na początku wojny. Ustalony w niej został podział stref działania lotnictwa Francji i Polski i pomoc, jaką na żądanie władz polskich udzielić nam miało lotnictwo francuskie,

*) Po pierwszym dniu ogólnej mobilizacji francuskiej.

w wypadku gdyby główne uderzenie niemieckie zostało skierowane przeciwko Polsce.

Lotnictwo francuskie miało w chwili kryzysu bitwy w Polsce uderzyć w granicach swego zasięgu na Niemcy, by w ten sposób odciągnąć część lotnictwa niemieckiego z terenu Polski. Poza tym, 3 dywizjony bombowe ciężkie miały przylecieć do Polski na przeciąg kilku dni, by wziąć bezpośredni udział w walce wspólnie z naszym lotnictwem. Umowa w szczegółowy sposób regulowała stronę techniczną przygotowania przylotu.

Wahania rządu francuskiego sprawiły, że interpretacyjna umowa polityczna nie została, wbrew przewidywaniom, podpisana w tym samym czasie co protokół wojskowy. W związku z tym generał Gamelin, już po podpisaniu protokołu wojskowego, wręczył gen. Kasprzykowi list, w którym podkreślał, że protokół ten nabędzie charakteru umowy wojskowej, po podpisaniu umowy politycznej, która jest obecnie w przygotowaniu.

Zastrzeżenie to nie wносиło niczego nowego, gdyż było oczywiste, że wojskowe zobowiązania francuskie mogły być zrealizowane tylko w wypadku uprzedniego wykonania przez rząd francuski politycznych zobowiązań sojusznicznych, tzn. — wypowiedzenia wojny Niemcom, w wypadku napadu ich na Polskę, lub zamachu na Gdańsk.

Rząd francuski, zwlekając z podpisaniem samego protokołu politycznego, stwierdził jednak w oficjalnych pismach z końcem maja 1939 r., ważność swych zobowiązań, zawartych w deklaracji rządowej z 13-go kwietnia oraz podkreślił, że ze strony francuskiej nie ma żadnych zastrzeżeń, by sprawę Gdańską uważać za casus foederis.

Zobowiązania francuskie odnośnie działań lądowych (w wypadku głównego uderzenia na Polskę) obejmowały zatem 2 zasadnicze fazy:

Pierwszą, wstępną (od 3-go dnia mobilizacji franc.), w której część sił francuskich miała swymi działaniami zaczepnymi o ograniczonym zakresie, na przedpolu niemieckiej linii obronnej, przygotować siłom głównym warunki do uderzenia na nią. Musiała zatem zepchnąć ubezpieczenia niemieckie wysunięte przed tę pozycję i dojść do kontaktu z nią. W międzyczasie siły główne łącznie z ciężką artylerią byłyby podciągnięte na stanowiska wyjściowe do natarcia.

— W drugiej fazie (od 15-go dnia mob. franc.) miała być wykonana właściwa ofensywa sił głównych na linię Zygryda w celu jej przełamania.

Zobowiązania odnośnie działań powietrznych obejmowały:

— uderzenie lotnictwa bombowego na Niemcy, w chwili kryzysu bitwy w Polsce,

— przelot 3-ch dywizji bombowych na teren Polski, w celu bezpośredniego współdziałania z lotnictwem polskim.

Całość tych działań miała na celu jak najskuteczniejsze odciążenie frontu polskiego oraz wykorzystanie przez stronę francuską szczególnie dogodnych warunków przeprowadzenia ofensywy na niemieckie pozycje obronne.

Jednakowoż generał Gamelin utrzymuje w swych pamiętnikach (II tom, str. 418, 419), że nie zobowiązywał się do ofensywy na linię Zygryda, a termin 15-go dnia mobilizacji, ustalony w protokole konferencji polsko-francuskich nie dotyczył się, jak twierdzi, właściwej ofensywy, a jedynie przygotowań do niej. Na potwierdzenie tego cytuje niektóre ustępy z protokołu, zestawiając je w ten sposób, ażeby stworzyć wrażenie, że to tylko jego zastępca, generał Georges nieostrożnie zaangażował się zbyt daleko, mówiąc o ataku na linię Zygryda, podobnie jak gen. Vuillemin, który zbyt pochopnie oświadczył, "że lotnictwo francuskie może na początku wojny działać energicznie w celu odciążenia Polski". Przemilcza jednak ustęp protokołu, w którym widnieje jego własne oświadczenie, że wcześniej zostaną wykonane operacje częściowe pomiędzy liniami obronnymi francuskimi i niemieckimi, a "przed usiłowaniem przełamania (*«rupture»*) frontu niemieckiego (podkr. wł.), będzie musiała być umieszczona na stanowiskach silna artyleria", na co trzeba przewidzieć okres czasu do 15 dnia mobilizacji. Jeżeli po tym oświadczeniu, generał Gamelin podpisuje protokół końcowy, w którym zobowiązuje się do rozpoczęcia ofensywy głównymi siłami, począwszy od 15-go dnia mob., to chyba jest zupełnie jasne, że dotyczy się to ofensywy, która miała na celu przełamanie frontu niemieckiego, a nie przygotowań do niej.

Zresztą trudno zrozumieć dlaczego gen. Gamelin w drugim tomie swych pamiętników tyle starań wkłada w bardzo nieprzekonywujące udowadnianie, że wcale nie myślał o ofensywie na linię Zygryda, kiedy w trzecim tomie zajmuje już in-

*) W ogóle, między wywodami gen. Gamelin zawartymi w tomach I i II, a tymi które podaje w tomie III są poważne różnice.

W dwóch pierwszych stara się udowodnić, że w zobowiązaniach swoich był bardzo ostrożny i wcale nie podejmował się przeprowadzenia ofensywy na większą skalę. W I tomie (str. 33) twierdzi nawet, że zawsze był zdania, że ofensywa francuska nie mogła nastąpić wcześniej jak w 1941, lub nawet 1942 r. (Mimo to w maju 1939 r. zobowiązał się do ofensywy głównymi siłami od 15-go dnia mob.). Te dwa pierwsze tomy (wydane w 1946 roku), były obroną przed zarzutami, stawianymi mu głównie w procesie w Riom, że lekkomyślnie zobowiązał się do działań, których nie mógł wykonać.

Pisząc III tom (wydany w 1947 r.) generał Gamelin znał już zeznania generałów niemieckich w procesie norymberskim, którzy twierdzili, że Francja nie wykorzystwała we wrześniu 1939 r. nadzwyczaj dla niej korzystnej sytuacji, w której Niemcy nie wytrzymałyby uderzenia francuskiego, mając na zachodzie jedynie minimalne siły. Stąd powstały zarzuty zupełnie odwrotne aniżeli poprzednie. Przypuszczam, że gen. Gamelin chcąc odeprzeć i jedne i drugie popadł w sprzeczności, które utrudniają zrozumienie jego istotnych zamiarów.

ne stanowisko i twierdzi, że wojsko francuskie było w stanie przełamać tę linię i że mógł rozpocząć to działanie po 20-ym września, a nie przeprowadził go tylko dlatego, że opór polski w międzyczasie został złamany i Sowiety wkroczyły do Polski *).

Zastrzeżenia generała Gamelin nie ograniczały się, jak twierdzi w drugim tomie swych pamiętników, tylko do stopnia zaangażowania sił francuskich, w wypadku ataku Niemiec na Polskę. Sięgały one znacznie głębiej, gdyż, jak utrzymuje, nie był zwolennikiem umowy politycznej, która była w trakcie negocjacji ("il ne fallait pas qu'on pût dire que la France allait "se battre pour Danzig") (II tom, str. 424) i był w ogóle przeciwny prowadzeniu rozmów wojskowych z Polakami przed porozumieniem z dowództwem sowieckim (t. II, str. 415).

Jednak stwierdzić należy, że wypowiedzi gen. Gamelin jak i generałów Georges'a i Vuillemin w czasie konferencji z delegacją polską w maju 1939 r. były jasne i niedwuznaczne i nie nasuwały żadnych wątpliwości co do rzetelności w traktowaniu przez nich omawianych zagadnień i złożonych zobowiązań. Jeżeli w dyskusji gen. Gamelin okazywał pewne wahania i wyrażał pewne zastrzeżenia to nie odnośnie działań francuskich w wypadku głównego uderzenia na Polskę. Dotyczyły one jedynie jego wątpliwości, czy Niemcy uderzą najpierw na wschód, na Polskę, czy też na zachód, jaka będzie postawa Włoch, itp. Jeżeli te niedwuznaczne wypowiedzi najwyższych dowódców francuskich były sprzeczne z tym co myśleli i zamierzali i były robione tylko po to, by, jak się wyraża gen. Gamelin, "ne pas décourager nos alliés", to niestety do nich należało by skierować pytanie, z którym gen. Gamelin zwraca się do ministra spraw zagranicznych Georges Bonnet'a, zarzucając mu kręactwo w jego polityce: "était-ce digne de la France?" —

Umowy wojskowe polsko-brytyjskie

Możliwości współpracy wojskowej polsko-brytyjskiej zaistniały dopiero po politycznej deklaracji gwarancyjnej obu rządów z kwietnia 1939-go roku.

Zasadniczymi etapami tej współpracy były konferencje sztabowe odbyte w Warszawie w maju 1939 r. z delegacją brytyjskich sił zbrojnych, której przewodniczył generał Clayton, oraz w lipcu, z generałem Ironside'm.

Na konferencji z delegacją gen. Clayton'a rozpatrzono całość wojennej sytuacji Polski, ze szczególnym uwzględnieniem stanu naszej organizacji, uzbrojenia i wyposażenia materialnego, sytuację wojenną Wielkiej Brytanii w zakresie, jaki mógł interesować Polskę, oraz przewidywania odnośnie sił niemieckich i ich przypuszczalnego podziału na fronty.

Możliwości natychmiastowej pomocy zbrojnej, którą mogła nam dać Wielka Brytania w wypadku agresji niemieckiej, były bardzo ograniczone. Nieliczne jej siły lądowe miały być użyte na froncie zachodnim wspólnie z siłami francuskimi. Na wypadek wojny, Wielka Brytania zobowiązała się wobec Francji do wysłania na jej teren niezwłocznie 5-ciu dywizji piechoty i jednej dywizji pancernej. Termin ich przybycia był uzależniony tylko od warunków transportowych. Następnie miało być zorganizowanych, w ciągu czterech miesięcy 10 dywizji piechoty, po 9 - 10 miesiącach — 16-cie dyw.

Odnosnie marynarki, przedstawiciel jej oświadczył, że w braku baz na Bałtyku, Wielka Brytania nie może tam angażować jakichkolwiek, najmniejszych nawet sił morskich. (Na konferencjach prowadzonych między przedstawicielem marynarki brytyjskiej a naszym kierownictwem Marynarki Wojennej ustalono m. inn., że w razie wzrastającego napięcia stosunków niemiecko-polskich, nasze kontrtorpedowce przypłyną do Wielkiej Brytanii gdzie, w wypadku wojny, współdziałać będą z flotą brytyjską).

Brytyjskie siły powietrzne były w stanie rozbudowy. Według danych przedstawicieli lotnictwa brytyjskiego wynosiły one w maju 1939 roku:

524 samolotów bombowych o zasięgu ponad 550 km

500 samolotów myśliwskich, z czego 50 - 70% nowoczesnych

96 samolotów współpracy

184 samolotów rozpoznawczych i wodnopłatowców.

Gros lotnictwa miało działać z terenu W. Brytanii, część zaś w ilości 5-ciu eskadr bombowych (po 16 - 24 aparatów), wspólnie z lotnictwem francuskim, z baz na terenie Francji. Lotnictwo bombowe stanowiło masę uderzeniową, która według oświadczenia delegacji brytyjskiej mogła być użyta natychmiast. Delegaci oświadczyli, że w razie agresji niemieckiej przeciwko Polsce, lotnictwo to bombardować będzie wojskowe obiekty nieprzyjaciela, w razie zaś bombardowania przez Niemców obiektów cywilnych w Polsce odpowie bombardowaniem takich samych obiektów w Niemczech. Bombardowania te będą prowadzone nawet wtedy, gdyby Niemcy nie atakowali terytorium brytyjskiego.

Delegat brytyjski oświadczył, że ewentualne bombardowania niemieckich obiektów cywilnych przez lotnictwo brytyjskie, w wypadku gdyby Niemcy zaatakowali obiekty cywilne u alian-tów, będzie mogło nastąpić tylko po porozumieniu się z alian-tami. Anglia nie rozpocznie pierwsza bombardowania obiektów cywilnych. Natomiast jeżeli jakiegokolwiek osoby cywilne będą zabite w Polsce, lotnictwo angielskie będzie miało rozwiązane ręce i odpowie bombardowaniem obiektów cywilnych w Niemczech. Należy jednak stwierdzić, że zaczęli bombardowanie Niemcy. Porozumienie może nastąpić w drodze telegraficznej. Poza tym jest ono konieczne także i ze względu na to, że bombardowanie przez lotnictwo angielskie obiektów cywil-

nych niemieckich mogłoby spowodować jeszcze gwałtowniejsze ataki niemieckiego lotnictwa na Polskę.

Delegacja brytyjska kładła bardzo silny nacisk na ograniczenie bombardowań, początkowo wyłącznie do obiektów ściśle wojskowych. Rząd brytyjski przywiązywał do tego szczególną wagę. Ograniczenie to posuwał tak daleko, że do obiektów wojskowych zaliczał jedynie wojskowe lotniska i bazy lotnicze oraz oddziały wojsk na ziemi. Nie obejmował nimi natomiast ani fabryk przemysłu wojennego ani nawet węzłów i linii komunikacyjnych, przy bombardowaniu których mogłyby zginąć osoby cywilne. Bombardowanie tych obiektów nastąpiłoby dopiero jako odpowiedź na bombardowanie takich obiektów przez Niemców.

W lipcu 1939-go roku przybył do Polski generał Ironside. Nie towarzyszył mu żaden oficer sztabu. W rozmowach, generał Ironside deklarował pełną gotowość Anglii udzielenia nam jak najszybszej pomocy materiałowej, o którą poprzednio nalegaliśmy.

Odnosnie akcji brytyjskiej w wypadku agresji Niemiec na Polskę, generał Ironside podkreślał szereg razy i w sposób bardzo kategoryczny natychmiastowość czynnego wystąpienia brytyjskiego, co praktycznie tyczyło się przede wszystkim lotnictwa. Poza tym na nalegania nasze obiecał przysłać do Polski misję oficerów lotnictwa dla szczegółowego ustalenia technicznej strony współpracy obu lotnictw. Chodziło m. in. o poprzednio już poruszoną sprawę zwiększenia skuteczności działania lotnictwa bombowego brytyjskiego przez alternatywne lądowanie eskadr brytyjskich w Polsce i W. Brytanii względnie Francji, podobnie jak to było ustalone z Francuzami. W związku z tym brytyjskie władze lotnicze przewidywały przysłanie do Polski bomb, amunicji, materiałów pędnych itp. dla swych samolotów, które lądowałyby w Polsce.

Jednakowoż misja oficerów lotnictwa brytyjskiego do chwili wybuchu wojny do Polski nie przyjechała, wskutek czego sprawy techniczne związane z przewidywanym przylotem eskadr brytyjskich nie zostały ustalone*).

Ogólna ocena sytuacji wojskowej na tle powyższych umów

W studiach prowadzonych w Sztabie Głównym na temat sił niemieckich i przewidywanego podziału ich w wypadku pierwszego uderzenia na Polskę, jako najprawdopodobniejszą, przewidywaliśmy hipotezę następującą:

Niemcy zmobilizują na początku wojny 110 - 120 dywizji. Z tego na początku działań użyją przypuszczalnie:

- na froncie polskim 70 - 80 wielkich jednostek (w tym wszystkie pancerne i motorowe),
- przeciwko Francji i Belgii około 20 w. jednostek,

*) W artykule tym nie omawiam sprawy pomocy materiałowej i finansowej dla Polski ze strony Francji i Anglii.

- na granicach Holandii, Danii i wybrzeżu morskim 8 - 10 wielkich jednostek,
- na granicach Szwajcarii i Jugosławii oraz jako garnizony w Czechosłowacji około 10 w. j.

(W ilości wielkich jednostek na froncie polskim, wliczony był odwód ogólny, który obliczaliśmy na około 15 w. jednostek).

Kiedy powyższy, przewidywany podział sił został przedstawiony Francuzom na konferencji majowej, gen. Gamelin uważał, że 20 dywizji nie wystarczy na utrzymanie frontu zachodniego, a sama obecność Francuzów unieruchomi więcej dywizji nieprzyjacielskich. Wyraził się, że "ça serait de la part de l'Allemagne une négligence complète de la France" *). Uważał, jak pisze w swych pamiętnikach, za rzecz pewną, że gdyby ta hipoteza się zrealizowała, Francja zyskałaby takie możliwości działania, przynajmniej czasowo, jakich nie mogłaby mieć w innych warunkach. (W procesie norymberskim generałowie niemieccy zeznali, że we wrześniu 1939 było na całym froncie zachodnim około 23 dywizji niemieckich).

Siły lotnicze niemieckie obliczaliśmy na:

- około 1500 samolotów bombowych (w tym około 200 nurkowców),
- około 800 samolotów myśliwskich,
- około 670 samolotów rozpoznawczych,

W sumie, łącznie z samolotami rezerwowymi w jednostkach, transportowymi i morskimi około 3500 samolotów**).

Liczyliśmy, że gros lotnictwa bombowego przypuszczalnie użyte będzie początkowo na froncie polskim, gros zaś lotnictwa myśliwskiego na froncie zachodnim i dla obrony przeciwlotniczej kraju.

Linia Zygfryda, w przeciwieństwie do francuskiej linii Maginot, składała się z dużej ilości niewielkich stosunkowo obiektów, rozrzuconych w terenie na dużą głębokość i zabezpieczonych przeszkodami przeciwpancernymi. W roku 1939 nie była jeszcze wykończona.

Jej cechą charakterystyczną był fakt, że składając się z dużej ilości obiektów wymagała do pełnego obsadzenia jej znacznych ilości sił. W ich braku, główna jej wartość, polegająca na dużej głębokości, nie mogła być dostatecznie wykorzystana, co tym samym osłabiać musiało w poważnym stopniu jej siłę.

Po stronie francuskiej na froncie przeciwniemieckim miało się znajdować $\frac{3}{4}$ całości mobilizowanych wielkich jednostek (według danych doręczonych nam przez sztab francuski, Francja mobilizowała ogółem 102 dywizje i 7 brygad kawalerii — gen. Gamelin podaje w swych pamiętnikach cyfrę 110 dywi-

*) Uwaga płk. dypl. Jaklicza napisana na marginesie protokołu konferencji majowej.

**) Według materiałów uzyskanych po wojnie, Niemcy mieli w tym czasie około 3400 samolotów. Churchill (*The Gathering Storm*) podaje, że mieli wówczas 1546 samolotów bombowych.

zji), a więc około 80 wielkich jednostek (gen. Gamelin podaje wartość 85 dyw. na froncie przeciwniemieckim).

Z tej ilości do samego uderzenia przełamującego miało być skupionych około 40 dywizji (w tym wszystkie wielkie jednostki zmotoryzowane, tzn. 1 dyw. pancerna i 3 lekkie mechaniczne). Do wsparcia tego uderzenia Francuzi mogli dysponować poza artylerią korpusów — 78 pułkami artylerii dyspozycyjnej (w tym 30 pułków artylerii ciężkiej i najcięższej z moździerzami kalibrów 220, 280, 320 i 400 mm), oraz 40 batalionami czołgów (w sumie ponad 2 tysiące czołgów, w tym czołgi ciężkie 30-tonowe).

Do sił powyżej podanych należy dodać dywizje brytyjskie (1 pancerna i 5 zmotoryzowanych). Zmotoryzowane te jednostki nie mogły wziąć od początku udziału w natarciu, lecz mogłyby po przełamaniu niemieckich pozycji być skutecznie użyte w dalszym ruchu naprzód.

Słabą stroną sił francuskich było lotnictwo*). Jednak braki pod tym względem mogło w znaczne mierze wyrównać lotnictwo brytyjskie. Oba lotnictwa razem wzięte miały około 1000 samolotów myśliwskich i 950 samolotów bombowych, na przypuszczalną ogólną ilość około 800 samolotów myśliwskich i 1500 bombowych niemieckich. Niemcy posiadali zatem przewagę ilościową (również i jakościową) w lotnictwie bombowym. Biorąc jednak pod uwagę, że gros sił bombowych Niemcy skierowałiby na Polskę, ta część, której mogliby użyć początkowo na zachodzie, byłaby prawdopodobnie mniejsza od połączonych sił brytyjsko-francuskich. A zatem w sumie, stosunek sił lotniczych obu stron, nawet po przrzuceniu części bombowców niemieckich ze wschodu, nie byłby dla Zachodu tak niekorzystny, ażeby nie pozwalał na przeprowadzenie od samego początku wojny działań, do których nasi sojusznicy się zobowiązali.

W związku z powyższym liczyliśmy, że:

1) Siłami, którymi dysponowali, Francuzi będą mogli przełamać linię Zygryda, działając w warunkach najkorzystniejszych, gdy główne siły niemieckie znajdować się będą na froncie polskim.

2) Jeżeli nasza hipoteza co do sił niemieckich przeznaczonych na front zachodni sprawdzi się choć w przybliżeniu, to około 20 dywizji, przewidywanych na froncie francuskim i bel-

*) Nie posiadam cyfr odnośnie lotnictwa francuskiego, podanych nam przed wojną przez Sztab francuski. Według danych, zawartych w akcie oskarżenia w procesie w Riom, ilości poszczególnych kategorii lotnictwa francuskiego w 1-ej linii w chwili mobilizacji były następujące: 390 samolotów bombowych, 510 myśliwskich, 340 obserwacyjnych, 170 rozpoznawczych.

Churchill (*The Gathering Storm*) podaje, że lotnictwo bombowe brytyjskie i francuskie razem wzięte liczyło w tym czasie 950 samolotów.

gijskim będzie siłą zbyt słabą, by pozwolić na pełne obsadzenie całej pozycji i stworzenie odpowiednich odwodów, co oczywiście odbije się poważnie na sile obrony niemieckiej. Ponieważ utrzymanie pozycji Zygryda miało dla Niemców podstawowe strategiczne znaczenie, dowództwo niemieckie będzie zmuszone do natychmiastowego wzmocnienia frontu zachodniego z chwilą ruszenia ofensywy francuskiej a nawet i wcześniej, o ile wstępne działania francuskie na przedpolu linii Zygryda będą prowadzone szybko i energicznie.

W ten sposób odciążenie naszego frontu dałoby się odczuć dość wcześnie i w dalszym ciągu potęgowałoby się w szybkim tempie, oczywiście zależnie od przebiegu walk na zachodzie, zwiększając nasze szanse zatrzymania nacisku nieprzyjaciela i ewentualnego przejścia następnie do przeciwwuderzenia.

3) Działania ofensywne lotnictwa francuskiego i brytyjskiego, które w myśl zobowiązań miały się rozpocząć natychmiast, względnie w chwili kryzysu bitwy w Polsce, odciągną poważną część lotnictwa niemieckiego z frontu polskiego i wraz ze wzmocnieniem lotnictwa polskiego przez eskadry francuskie, zmniejszą przygniatającą przewagę, jaką siły powietrzne Rzeszy miały nad Polską.

Liczyliśmy, że najcięższy dla nas będzie pierwszy okres działań (do rozpoczęcia ofensywy na zachodzie), kiedy główne siły lądowe i powietrzne nieprzyjaciela zwrócone będą przeciwko nam, a pomoc jaką będziemy mogli otrzymać polegać będzie jedynie na akcji lotnictwa sojuszniczego i wstępnych działaniach naziemnych francuskich. Okres ten będzie miał decydujący wpływ na dalsze działania. Od tego jak go przetrzymamy, jak wielkie poniesiemy w nim straty i jaką część obszaru kraju, mającego zasadniczy wpływ na możliwości prowadzenia wojny, będziemy musieli oddać nieprzyjacielowi, zależą będą dalsze możliwości naszych działań i możność późniejszego przyłączenia się do ofensywnych działań sojuszników.

W ocenie postawy sojuszniczej Francji, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych miał zawsze, do samego wybuchu wojny, obawy co do politycznego stanowiska Francji. Obawiał się mianowicie, że decydujące czynniki polityczne mogą z tych czy innych względów wahać się w wykonaniu zobowiązań sojusznicznych, a zatem mogą odwiekać wypowiedzenie wojny Niemcom w razie ich ataku na Polskę.

Generalny Inspektor zdawał sobie sprawę, że szalę przeważy tu stanowisko Anglii i że jej zaangażowanie się w kwietniu miało decydujące znaczenie. Jednak odwiekanie przez Anglię i Francję podpisania ostatecznych umów politycznych, podtrzymywało jego obawy.

Tym się tłumaczy fakt, że Generalny Inspektor liczył się bardzo poważnie z ostrzeżeniami i sugestiami sojuszników, ażeby w naszych zarządzeniach przygotowawczych w okresie poprze-

działającym wojnę, unikać wszystkiego, co przez propagandę niemiecką mogłoby być przedstawione jako nasza prowokacja i w opinii Zachodu stworzyć nieprzychylnie dla nas nastroje. Obawiał się, że nieliczenie się z tymi ostrzeżeniami mogłoby być w pewnych wypadkach wykorzystane przez rządy sojuszników dla postawienia nam zarzutów i usprawiedliwienia niepomysłnych dla nas posunięć. Natomiast nie miał wątpliwości co do wykonania przez dowództwo francuskie zobowiązań wojskowych z chwilą gdyby zapadły pozytywne decyzje polityczne.

Działania wojenne na zachodzie we wrześniu 1939 r.

Sytuacja wyjściowa.

- Wstępne mobilizacje częściowe zaczęły się we Francji 26-go sierpnia 1939 r.
- Mobilizacja powszechna została ogłoszona w dniu 1 września. Pierwszy dzień mobilizacji został wyznaczony na dzień 2-go września.
- Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom 3-go września.
- Polityczna umowa interpretacyjna polsko-francuska została podpisana 4-go września^{*)}. Umowa sojusznicza polsko-brytyjska 27-go sierpnia.
- Od pierwszego dnia napadu niemieckiego na Polskę nie ulegało żadnej wątpliwości, że główne uderzenie skierowali Niemcy na Polskę, przeciwko której zwrócili swe główne siły, pozostawiając na froncie zachodnim jedynie słabą ich część.

^{*)} Jak poprzednio podałem, od podpisania tej umowy generał Gamelin uzależniał ważność konwencji wojskowej z 19 maja 1939 r. W II tomie swych pamiętników (str. 428) utrzymuje, że konwencja ta pozostała bez znaczenia, gdyż rząd nie ratyfikował umowy politycznej. O podpisaniu tej ostatniej nie był, jakoby, powiadomiony (III, 60). Jednakowoż, jak stwierdza w III tomie, już z końcem sierpnia uważał, że projekt konwencji wojskowej praktycznie go obowiązuje, gdyż doszedł do przekonania, że rozwój wypadków przekracza "wypadek Gdańsk", gdyż Niemcy atakują całą Polskę, wskutek czego w grę wchodzi "notre alliance elle-même".

Sprawę tę porusza w swych pamiętnikach Georges Bonnet *Fin d'une Europe* (str. 227), podając oświadczenie gen. Gamelin, ogłoszone 2 maja 1946 r. w szwajcarskiej gazecie *Curieux*, a będące odpowiedzią na zarzuty, jakie mu stawiał rząd polski w Londynie z powodu nieprzeprowadzenia ofensywy, do której się zobowiązał w maju 1939 r. W oświadczeniu tym gen. Gamelin utrzymuje, że konwencja wojskowa była nieważna, gdyż umowa polityczna, na której konwencja była oparta, nie została podpisana. „Zrobiliśmy wszystko, ażeby pomóc armiom polskim... Nie tylko dostosowaliśmy się do konwencji wojskowej, do czego nie byliśmy zobowiązani, ponieważ była ona uzależniona od nieistniejącej umowy politycznej, ale poszliśmy nawet dalej, aniżeli sięgaliśmy zobowiązania tej konwencji”.

Georges Bonnet stwierdza, że umowa polityczna, podpisana 4 września, obowiązywała od chwili podpisania, wskutek czego konwencja wojskowa weszła w życie tego samego dnia!

Sytuacja więc tak polityczna jak i wojskowa była dla naszych sojuszników zupełnie jasna i na podstawie złożonych przez nich zobowiązań powinni byli przeprowadzić następujące działania:

- Lotnictwo brytyjskie — od dnia 3 względnie 4-go września powinno było rozpocząć bombardowanie obiektów wojskowych w Niemczech. Powinno było również bombardować obiekty cywilne, ponieważ Niemcy rozpoczęli sami takie bombardowanie w Polsce, co tak rząd polski jak i Naczelne Dowództwo podały niezwłocznie do wiadomości władz brytyjskich, żądając od nich wykonania obiecanych działań.
- Lotnictwo francuskie powinno było również od dnia 3-go względnie 4-go września uderzyć na Niemcy, gdyż kryzys bitwy na terenie Polski już zaistniał, o czym dowództwo francuskie było dokładnie poinformowane. Na przysłanie na teren Polski bombowych eskadr francuskich i brytyjskich nie można było liczyć, gdyż ani Francja ani Anglia do chwili wybuchu wojny nie przysłały do Polski swego personelu i sprzętu technicznego ani swej amunicji.
- Działania naziemne. Od 4-go września (3-ci dzień mobilizacji francuskiej) powinny się być zacząć na froncie francuskim działania ofensywne o ograniczonym zakresie między liniami obronnymi francuskimi i niemieckimi. Od 16-go września (15-ty dzień mobilizacji francuskiej) powinna się była rozpocząć ofensywa głównymi siłami na linię Zygfrйда.

Podkreślić przy tym należy, że ponieważ od samego początku działania niemieckie w Polsce przyjęły charakter uderzenia totalnego i niesłychanie gwałtownego, prowadzonego przynajmniej przewagą sił przy zupełnej bierności bardzo słabych sił pozostawionych na zachodzie, działania sojuszników, mające na celu jak najskuteczniejsze odciążenie frontu polskiego, powinny być prowadzone z miejsca jak najenergiczniej i możliwie jak najszybciej. Podkreśla to zresztą szereg razy sam generał Gamelin.

Na tego rodzaju działania Polska miała prawo liczyć na podstawie zobowiązań sojuszników.

Stosunek sił. — Stan sił francuskich podałem poprzednio. Odnośnie sił niemieckich nie posiadamy dotychczas dokładnych danych, które by pozwoliły ustalić ilość dywizji zmobilizowanych do września 1939 r. oraz ich podział na poszczególne fronty. Ścisłe cyfry będzie można uzyskać dopiero po ogłoszeniu dokumentów Sztabu niemieckiego.

Według obliczeń Sztabu francuskiego, podanych przez generała Gamelin, Niemcy mieli we wrześniu ogółem 110 dywizji, z czego 70 było na froncie polskim, 40 na froncie zachodnim

od granicy szwajcarskiej do holenderskiej włącznie. Z tych 40-tu dywizji, 18 miało się znajdować 18-go września na odcinku między Renem a Moselą. Poza tym w trakcie organizacji miało być około 20-tu dyw. wewnątrz kraju.

Według wiadomości, posiadanych wówczas przez Sztab polski, na froncie zachodnim przeciwko Francji i Belgii Niemcy posiadali 11 dywizji czynnych i pewną, bliżej nierozpoznaną ilość wielkich jednostek piechoty rezerwowych.

Wszystkie wielkie jednostki pancerne, lekkie i zmotoryzowane jakie Niemcy posiadali, znajdowały się na froncie polskim.

Według zeznań generałów niemieckich w procesie norymberskim, na *całym* froncie zachodnim, łącznie z głębokimi odwodami, było około 23 dywizji. Siły te były, jak twierdzą oni, tak słabe, że nie można było nawet obsadzić nimi wszystkich obiektów pozycji Zygryda.

Tak więc stosunek sił sojuszniczych do niemieckich na froncie zachodnim był we wrześniu 1939 r. bardzo korzystny dla Francuzów i dawał im wyjątkowe możliwości skutecznego przeprowadzenia planowanych działań. Rezultat ich tak dla Francji jak i dla Polski zależał teraz w pierwszym rzędzie od zdecydowanego i energicznego prowadzenia ich od samego początku.

Działania lotnicze

Kiedy na Polskę uderzyła przyniatająca swą masą potęgą lotnictwa niemieckiego, kiedy lotnicy nieprzyjacielscy napadem swoim objęli powierzchnię całego kraju, bombardując bez rozróżniania, linie komunikacyjne, otwarte miasta, w których wojsk zupełnie nie było i ludność cywilną na drogach i polach, kiedy działanie ich coraz bardziej paraliżowało walkę i ruchy wojsk, komunikacji i łączności — w Naczelnym Dowództwie francuskim toczyły się narady, co ma robić lotnictwo sojusznicze, stojące beczynnie na swoich lotniskach. Dziwne to były narady dowódców sojuszniczych, którzy zaledwie parę miesięcy temu deklarowali w sposób tak bardzo zdecydowany natychmiastową pomoc Polsce i gotowość bombardowania Niemiec, by odciążyć napadniętego sojusznika. Gdy przyszło do wykonania obietnic i zobowiązań, zamiast działać zaczęli radzić.

Dnia 3-go września generał Gamelin zwraca się do dowódcy lotnictwa, generała Vuillemin zapytaniem co zamierza zrobić, by pomóc Polsce^{*)}. Gen. Vuillemin odpowiada, że przewiduje rozpoczęcie bombardowania na froncie polskim, ale przedtem musi się porozumieć z Brytyjczykami.

W dniu 4-ym września w naradach bierze udział gen. Ironside i dowódca lotnictwa brytyjskiego. Sojusznicy mają już z pewnością przed sobą depeze Rządu i Naczelnego Dowództwa polskiego, przedstawiające sytuację w Polsce i urgujące roz-

^{*)} Opis i cytaty z narad lotniczych w Nacz. Dow. franc. wzięte są z pamiętników gen. Gamelin, III tom, str. 50 i następne.

poczęcie obiecanych działań. Mają też zapewne meldunki swoich przedstawicieli, którzy poprzedniego dnia zgłosili się w polskim Naczelnym Dowództwie z gratulacjami z powodu bohaterkiej walki i wspaniałych sukcesów polskich myśliwców. Otrzymali wówczas odpowiedź, że przy tak przytłaczającej przewadze lotnictwa nieprzyjacielskiego i przy tak dużych stratach jakie ponoszą nasi myśliwcy, siły ich wyczerpią się bardzo szybko o ile lotnictwo sprzymierzonych natychmiast nie rozpocznie działania i nie odciążą skutecznie naszego frontu.

Dowódca lotnictwa brytyjskiego, jak utrzymuje gen. Game- lin, okazał się bardzo powściągliwy ("reticent") odnośnie możliwości działania lotnictwa brytyjskiego na korzyść frontu polskiego. Ta powściągliwość udzieliła się widocznie i dowódcy lotnictwa francuskiego.

Na konferencji 6-go września generał Vuillemin przyznaje, iż pomoc lotnictwa Polsce staje się coraz bardziej konieczna, ale "Brytyjczycy są nadal bardzo powściągliwi". Stwierdza, że wysłanie eskadr bombowych do Polski, do czego Francuzi się zobowiązali, byłoby wobec sytuacji w Polsce połączone z dużym ryzykiem sprzętu i ludzi^{*)}. Ale dowódca francuskiego lotnictwa, mówiąc tylko o niemożliwości wysłania do Polski swych bombowców, zapomniał widocznie o tym, że zobowiązał się również do bombardowania Niemiec z lotnisk we Francji. Na konferencji w maju, przedstawiciele lotniczego sztabu francuskiego sami podkreślali, że takie bombardowanie wpłynie wydatnie na odciążenie Polski od nacisku lotniczych sił niemieckich, że zmusi dowództwo niemieckie do przesunięcia przeciwko Francji części lotnictwa bombowego, zaangażowanego przeciw Polsce. Dlaczego więc w chwili, kiedy dowództwo francuskie nie przysyła samolotów do Polski, a kiedy Niemcy coraz bardziej nasilają działania swego lotnictwa, miażdżące opór Polski i przesuwają jeszcze na front polski swoje eskadry bombowe trzymane dotychczas w pogotowiu wewnątrz kraju, lotnictwo francuskie jest dalej beczynne?^{**)}

^{*)} Tak było w istocie. Wobec przyniatającej przewagi lotnictwa niemieckiego w Polsce i gwałtownego postępu ofensywy niemieckiej, przysłanie eskadr francuskich do nas byłoby zbyt ryzykowne i trudne. Jednakowoż muszę tu stwierdzić, że motywowanie niewykonania tej części umowy lotniczej tylko sytuacją na froncie polskim jest niesłuszne. Główną przyczyną tego był fakt, że przerzucenie lotnictwa francuskiego do Polski nie było uprzednio przygotowane przez dowództwo francuskie. Ani personel, ani sprzęt techniczny, ani części zapasowe, ani amunicja francuska nie zostały do chwili wybuchu wojny przysłane do Polski (tak, jak to ustalała umowa lotnicza). Wskutek tego, działanie lotnictwa francuskiego z terenu Polski nie byłoby możliwe niezależnie nawet od sytuacji na naszym froncie.

^{**)} W pamiętnikach swych, ambasador Łukasiewicz podaje, że wieczorem, dnia 6 września amb. Léger, sekretarz generalny francuskiego M. S. Zagr. zakomunikował mu, że następnego dnia, względnie najdalej za dwa dni zostanie przeprowadzony poważny raid bombowców angielskich i francuskich na Niemcy, który być może pozwoli na sięgnięcie aż do tyłów formacji niemieckich na froncie polskim. (Żaden taki raid nie doszedł do skutku).

Sprawa wyjaśnia się na konferencji dnia 8-go września, gdy generał Gamelin w obecności premiera Daladier oświadcza, że jeżeli by dowództwo francuskie zdecydowało się na bombardowanie Niemiec, to "trudno będzie ażeby ludność cywilna nie ucierpiała. Poza tym nastąpi natychmiastowa reakcja ze strony Niemców, co z konieczności przeszkadzać będzie na szerszą koncentrację". Na to oświadczenie, tak premier Daladier jak i generał Vuillemin zgadzają się, że nie ma "intérêt immédiat" w bombardowaniu obiektów nie ściśle wojskowych, nawet w pobliżu granicy.

W końcu, na konferencji w dniu 9-go września generał Vuillemin ostatecznie stwierdza, że "przeprowadzenie bombardowań lotniczych na bezpośrednią korzyść Polski jest "décidément inopportun".

W ten sposób, sojusznicze naczelné dowództwo francuskie, w dniu 9 września załatwiło negatywnie i ostatecznie sprawę pomocy lotniczej dla Polski, pomocy do której zobowiązało się oficjalnie przed niespełną 4-ma miesiącami *)!

Ani jedna bomba francuska nie spadła na Niemcy w czasie całej kampanii polskiej. Bombowce niemieckie nie zakłóciły koncentracji francuskiej i w ogóle nie pojawiły się na francuskim niebie, ludność cywilna niemiecka i francuska nic nie ucierpiała, ale wojsko polskie było dziesiątkowane przez lotnictwo nieprzyjacielskie, większość miast polskich stała w płomieniach, podpалona niemieckimi bombami, a tłumy bezbronnej ludności cywilnej były masakrowane na obszarze całego kraju.

A lotnictwo brytyjskie? Pisze o nim Churchill w swych pamiętnikach **, twierdząc, że rząd francuski żądał od rządu brytyjskiego, ażeby się powstrzymał od ataków lotniczych na Niemcy, gdyż sprowokowałyby one działania odwetowe przeciwko fabrykom, które nie były zabezpieczone. Brytyjczycy zadowolili się rzucaniem ulotek na Berlin. Ministerstwo Lotnictwa, jak utrzymuje Churchill, bolało ("deplored") nad faktem, że nie pozwolono mu bombardować obiektów wojskowych w Niemczech.

Bardziej dosadnie określił postawę rządu brytyjskiego szef wojskowej misji brytyjskiej w Polsce, kiedy na zakończenie jednej z rozmów ze mną, w której stwierdzając, że na wielokrotne swoje urgensy, ażeby lotnictwo brytyjskie rozpoczęło

*) W pamiętnikach swych ambasador Łukasiewicz podaje, że na codzienne jego urgensy o działanie lotnictwa, premier Daladier odpowiedział w dniu 10 września, że lotnictwo francuskie było już przed czterema dniami (tj. 6 września) gotowe do podjęcia akcji bombardowania obiektów wojskowych w Niemczech, jednak Anglicy odmówili swego udziału i wobec tego nie mogła ona dojść do skutku. Zdaniem Daladier, w Londynie decydującą rolę odgrywa względ na opinię amerykańską (przy bombardowaniu obiektów wojskowych nie można by uniknąć ofiar wśród osób cywilnych).

***) W. S. Churchill. *The Gathering Storm*. Houghton Mifflin Camp, Canada, 1948, na str. 423, 451. (*L'orage approche*, Plon, Paris, 1948).

wreszcie bombardowanie Niemiec, nie otrzymywał w ogóle odpowiedzi, oświadczył: "j'ai honte de mon gouvernement".

Działania naziemne.

Generał Gamelin podaje w swych pamiętnikach (III tom, str. 48), że działania francuskie we wrześniu 1939 r. rozwijały się w ramach jego dwóch dyrektyw podstawowych, jednej z 8 czerwca 1938 r. i drugiej z 31 maja 1939 r.

Dyrektywa pierwsza nosi tytuł: "Directive pour l'offensive entre le Rhin et Luxembourg" i była wydana na wypadek, gdyby Francja miała wystąpić zbrojnie w razie ataku Niemiec na Czechosłowację (III t., str. 26 - 32). Jak wynika ze słów generała Gamelin, była ona obowiązująca również w roku 1939 dla działań, które wojsko francuskie miało prowadzić w wypadku ataku Niemiec na Polskę.

Zasadnicze wytyczne tej dyrektywy były następujące:

— rozpoczęcie ofensywy miały poprzedzić *działania wstępne* ("opérations préliminaires"), które miały mieć na celu wejście na teren nieprzyjaciela między Mozela a Hardt'em i dojście do styczności ("prendre le contact") z jego pozycją obronną, znajdującą się na prawym brzegu rzeki Sarre, nad rzeką Wurzbach, na południe rejonu Deux-Pons i w rejonie Eppenbrunn (szkic).

— właściwe *działania ofensywne* między Mozełą a Renem miały mieć na celu opanowanie rejonu Moguncji i miały być przeprowadzone w dwóch zasadniczych fazach: W pierwszej fazie główne siły francuskie miały najpierw przełamać pozycję Zygryda w rejonie między Hardt i Hochwald (przedmiot: Deux-Ponts — Homburg — Otweiler — Tholey), a następnie dojść do linii Spire — Lauterecken — Bernkastel — Bilburg (szkic). W drugiej fazie miały ew. rozwinąć ofensywę w kierunku na Ren w rejonie Moguncji względnie Koblencji.

Dyrektywa druga, z dnia 31-go maja 1939 r. odnosi się tylko do działań początkowych, które ewentualnie miały być prowadzone między Renem a Mozela (t. II, str. 426).

W dyrektywie tej, gen. Gamelin podkreśla na wstępie, że w razie początkowego głównego uderzenia Niemiec na Polskę, siły francuskie będą musiały interweniować jak najwcześniej, by ulżyć siłom polskim, wiążąc względnie ściągając na front francuski jak najwięcej sił niemieckich.

Interwencja polegać ma, w ogólnych zarysach — na działaniach wstępnych ("actions préliminaires"), zmierzających do nawiązania pierwszej styczności z nieprzyjacielem, a następnie — na angażowaniu straży przednich i sił głównych, w którym chodzić będzie o zepchnięcie nieprzyjaciela z terenu francuskiego, dojście do kontaktu z jego pozycją głównego oporu i

wyszukanie tych jej części, na które należało by przeprowadzić uderzenie, zależnie od posiadanych środków.

Dyrektywa ta jest bardzo niejasna, pełna zastrzeżeń, warunkowości i przesadnej ostrożności. W wykonaniu prowadzić musiała jedynie do hamowania działań wstępnych i nadania im żółwiego tempa, które mogło tylko uspokoić ewentualne obawy nieprzyjaciela co do ofensywnych zamiarów Francji, a nie związać, względnie ściągnąć na front francuski jak najwięcej sił niemieckich, co autor podał na wstępie jako cel tych działań.

Ale co najwięcej uderza w tej dyrektywie to zasięg operacji, które przewiduje. Sięga on jedynie do nawiązania kontaktu z główną pozycją niemiecką i wyszukania miejsc, nadających się do uderzenia. O samej ofensywie w celu przełamania frontu nieprzyjaciela nie ma w tej drugiej dyrektywie mowy.

Dyrektywa z 1938 r. obejmowała całość operacji ofensywnych, łącznie z przełamaniem linii Zygryda i wyjściem na jej dalekie tyły. Według niej działania, które miały doprowadzić do nawiązania kontaktu z pozycją obronną, stanowiły tylko wstęp do właściwej ofensywy. W dyrektywie z 1939 r. wyczerpują one całość przewidywanych operacji ofensywnych.

Jest to zasadnicza różnica, wskazująca na bardzo znaczne ograniczenie rozmiarów działań, którymi naczelny wódz francuski zamierzał odciążyć front polski. Tak wąskie ramy tej dyrektywy można by tłumaczyć faktem, że uważał ją jedynie za rozwinięcie jednego, wstępnego punktu ogólniejszej dyrektywy z 1938 r., którą traktował jako nadal obowiązującą. Jednakowoż fakt, że była ona napisana nieomal bezpośrednio po konferencjach majowych i że sam autor uważa ją za przygotowanie wykonania umowy polsko-francuskiej nakazuje przypuszczać, że wówczas całą swą ofensywę głównymi siłami, do której się zobowiązał w stosunku do Polski, zamierzał ograniczyć jedynie do działań wstępnych na przedpolu pozycji niemieckiej. Jeżeli tak było rzeczywiście to stwierdzić należy, że było to zupełnie niezgodne z tą umową.

Przebieg działań *). We wstępnym rozwinięciu sił francuskich frontu północno-wschodniego, na odcinku między Renem a Mozela, na którym miała być przeprowadzona ofensywa, znajdowała się Grupa Armii Nr 2, złożona z trzech Armii: 5-ej na prawym skrzydle, 4-ej w środku i 3-ej na lewym skrzydle (szkic). Na lewo od tej Grupy Armii, wzdłuż granicy z Luxemburgiem i Belgią (aż do morza) stała Grupa Armii Nr 1, na prawo nad Renem 8 Armia.

Początkowy wysiłek miała przeprowadzić 4-a Armia oraz lewe skrzydło 5-ej Armii z zadaniem zepchnięcia wysuniętych oddziałów nieprzyjaciela i dojścia na odległość natarcia na linię Zygryda w rejonie na południe Deux-Ponts i Pirmasens.

*) Przedstawiony na podstawie pamiętników gen. Gamelin, t. III, str. 57 i dalsze.

Następnie ruszyć miała 3-a Armia z zadaniem dojścia do rzeki Sarre. W następnej fazie nastąpić miało forsowanie linii.

W nocy z dnia 4-go września gen. Gamelin pisze:

"Pierwszym celem początkowych operacji między Renem i Mozela jest dojście do kontaktu z pozycją Zygryda, ażeby związać przed nami jak największe siły niemieckie". Należy rozpoznać jak najszybciej czy nieprzyjaciel będzie uparcie stawiał opór na przedpolu swej głównej pozycji, czy też opuści je dobrowolnie. Nie możemy czekać biernie na zebranie wszystkich sił, jeżeli nieprzyjaciel będzie odchodził z przedpola. Takie działanie byłoby mu tylko na rękę.

Dnia 6-go września dywizje 1-ej linii rozpoczęły ruch naprzód, wychodząc spoza linii Maginot, za którą się skoncentrowały *).

W nocy z 6 na 7-go września wysunięte elementy przekroczyły granicę, nie napotykając poważniejszego oporu nieprzyjaciela. Jednakowoż straże przednie natknęły się wkrótce na pola minowe, co, jak podaje generał Gamelin, opóźniało akcję znacznie więcej aniżeli opór nieprzyjaciela.

Od dnia 9-go września 4-a Armia i lewe skrzydło 5-ej znajdowały się na ogólnej linii Carlsbrunn, występ Cadenbronn, Liederschiedt. Wobec tego dowódca Grupy Armii Nr 2 dał 4-ej Armii rozkaz dojścia do kontaktu z pozycją Zygryda pomiędzy występem Cadenbronn (naprzeciw Sarrebrück) i zachodnim brzegiem Wogezów. Pierwszym przedmiotem do osiągnięcia była linia Spicheren — Breitfurt — Hornbach — Rolbing. O żadnym poważniejszym oporze nieprzyjaciela w tym ruchu generał Gamelin nie wspomina.

Bardziej na lewo 3-a Armia rozpoczęła działania straży przednich w kierunku rzeki Sarre (między Sarrebrück a Merzig). Napotkały one na opór wysuniętych ubezpieczeń nieprzyjaciela i od razu stanęły, czekając na wzmocnienia.

"Można było uważać — pisze gen. Gamelin — że około 15 dywizji czynnych było już zaangażowanych w działaniach".

Naczelny Wódz francuski uważał, że działaniami tymi przekroczył, przynajmniej w dziedzinie wojsk lądowych — jak powiada — obietnice dane sojusznikom polskim, w myśl których ofensywa głównymi siłami miała się rozpocząć od 15-go dnia mobilizacji, tzn. 16-go września. Wyraz temu dał w liście z dnia 10 września, przeznaczonym dla polskiego Naczelnego Wodza, a skierowanym do attaché wojskowego w Paryżu, pułk. d. Fydy, w którym pisze dosłownie (t. III, str. 60):

"1) Więcej niż połowa naszych dywizji czynnych frontu północno-wschodniego jest zaangażowana w walce.

"Od chwili przekroczenia naszej granicy, Niemcy przeciwstawili

*) W dniu 5 lub 6 września zgłosił się w Naczelnym Dowództwie w Warszawie szef wojskowej misji francuskiej, generał Faury, z depeszą od generała Gamelin, w której naczelny wódz francuski zawiadomił oficjalnie, że rozpoczyna działania o ograniczonym zakresie, do których zobowiązał się w umowie wojskowej.

nam zacięty opór (résistance vigoureuse). Mimo to idziemy naprzód. Ale zostaliśmy zaangażowani w wojnę pozycyjną, mając przed sobą zorganizowanego nieprzyjaciela, a nie dysponując jeszcze całością potrzebnej artylerii.

"Jeńcy zeznają, że Niemcy wzmacniają swój front bojowy nowymi wielkimi jednostkami.

"2) Działania lotnicze rozpoczęły się od początku w łączności z działaniami naziemnymi. Mamy świadomość, że wiążemy przed sobą poważną część lotnictwa niemieckiego.

"Wyprzedziłem zatem obietnicę rozpoczęcia ofensywy głównymi moimi siłami 15-go dnia mobilizacji. Niczego więcej nie mogłem zrobić".

Ten list Naczelnego Wodza sojuszniczego wojska francuskiego musi budzić smutne refleksje. — "Zacięty opór nieprzyjaciela — mimo to idziemy naprzód". Sam gen. Gamelin podał poprzednio, że 4-a Armia i lewe skrzydło 5-ej nie napotykały poważniejszego oporu, jedynie pola minowe. Straże przednie dywizji 3-ej Armii, skoro tylko natknęły się na opór wysuniętych ubezpieczeń niemieckich, zaraz stanęły na miejscu, czekając na wzmocnienia. To się nazywa marsz naprzód mimo zaciętego oporu! — "Działania lotnicze rozpoczęły się od początku". Widzieliśmy jak ta sprawa wyglądała. Więc chyba chodzić tu mogło jedynie o loty rozpoznawcze nad linią Zygryda, a te z pewnością nie wiązały "poważnej części lotnictwa niemieckiego". — "Wyprzedziłem obietnicę rozpoczęcia ofensywy głównymi moimi siłami 15-go dnia mobilizacji". Zaangażowanie 15 dywizji piechoty na 85, znajdujących się na froncie niemieckim, to się nazywa ofensywa głównymi siłami naczelnego wodza! Sam w swych instrukcjach nazywał te działania "action préliminaires", operacjami początkowymi, a nie ofensywą głównymi siłami, która miała się rozpocząć dopiero po dojeździe do kontaktu z pozycją Zygryda.

List ten, powiedzmy ogólnie, bardzo nieściśle oddawał rzeczywistą sytuację i prawdopodobnie był napisany raczej by "ne pas décourager nos alliés". Działania, szumnie nazwane przez gen. Gamelin ofensywą głównymi siłami, która napotkała na zacięty opór nieprzyjaciela, Naczelne Dowództwo niemieckie określiło jako potyczki między liniami.

Dnia 12 września Naczelny Wódz francuski wydaje instrukcję osobistą do dowódcy frontu północno-wschodniego, gen. Georges'a (t. III, str. 66):

"Sytuacja ogólna, wynikająca z przebiegu wypadków w Polsce, nie narzuca już nam potrzeby zapewnienia sobie podstawy do ewentualnego natarcia na linię Zygryda i zwiększa nasze zagrożenie". W związku z tym gen. Gamelin nakazuje wstrzymanie dalszego ruchu naprzód, zorganizowania obrony w odpowiedniej odległości od pozycji niemieckiej (ażeby uchronić się przed przeciwnatarciami nieprzyjaciela spoza linii Zygryda), a nawet przewiduje cofnięcie się na fortyfikacje linii Maginot. Dodaje, że gdyby Niemcy gros swoich sił aktywnych zaangażowali w dalszym ciągu na Bałkany "nic nam nie przeszkodzi w zorganizowaniu zdobytego terenu". Najwyższa Rada ("Conseil Suprême") zatwierdziła tę decyzję tego samego dnia. Anglicy "se déclarent heureux".

Dzień 12-go września, stwierdza gen. Gamelin, oznacza ko-

niec pierwszej fazy wojny, tzn. ataku całości sił, który był przewidziany między Wogezami a Luxemburgiem.

A więc wtędy, gdy polski sojusznik zmagając się samotnie z przyniatającą potęgą prawie całości sił niemieckich wdzierających się coraz dalej w głąb Polski, naczelnym wódz francuski, którego dotychczasowe działania w niczym nie pomogły Polakom, czuje się już zwolnionym ze swych obowiązków i nie tylko zatrzymuje wszelki ruch naprzód, już tym samym idąc na rękę Niemcom, ale nawet przewiduje cofnięcie się na linię Maginot. Nie chce wykorzystać dla siebie, dla Francji, jedynej okazji, którą mu daje zaangażowanie głównych sił nieprzyjaciela na odległych terenach operacyjnych. Myśli tylko kiedy jak najprędzej będzie mógł swoje wojska schować za zbarwienną linię Maginot.

Jednakowoż już w parę dni później, bo 15-go września, następuje pewna refleksja. W instrukcji wysłanej tegoż dnia do generała Georges'a pisze, że

"rozwój wypadków (na froncie polskim) pozwala obecnie przypuszczać, że gros wojsk niemieckich będzie jeszcze przez poważniejszy okres czasu ("un temps appréciable") zaangażowane w odległych operacjach w Polsce, a może nawet zwróci się przeciwko Rumunii... W takim wypadku nie wolno by nam było pozostawać w całkowitej bierności... Już w najbliższym czasie może okazać się gwałtowna potrzeba poniesienia się naprzód na froncie 3-ej Armii w celu zdobycia punktów obserwacyjnych, panujących nad rzeką Sarre. Opanowawszy ten rejon będziemy mogli mniej obawiać się tam poważniejszych przeciwnatarć aniżeli na froncie 4-ej Armii. Tak samo trzeba będzie wybrać części linii Zygryda, na których będziemy mogli przeprowadzić doświadczenia nad działaniem niszczącym ognia naszej artylerii różnych kalibrów (i to z najmniejszymi stratami)".

A więc już nie zupełna bierność, ale przynajmniej przeblask jakiegoś ruchu naprzód. Co prawda, nie w celu wykorzystania związanego głównych sił niemieckich na wschodzie do zdecydowanego uderzenia, a tylko jedynie dla polepszenia sobie warunków obrony i stworzenia możliwości strzelań doświadczalnych. Ale w każdym razie lepsze to niż dawanie Niemcom zupełnej już pewności, że nic im nie grozi na zachodzie.

W dniu 16-go września zgłosił się w Naczelnym Dowództwie polskim w Kołomyi, szef wojskowej misji francuskiej, generał Faury z oświadczeniem, że wysłał do swych władz raport, w którym stwierdził, że sytuacja na froncie naszym ulega poprawie i że o ile będziemy mieli kilka dni czasu na przeprowadzenie wydanych zarządzeń (zorganizowanie obrony na tzw. przyczółku rumuńskim, tzn. na linii Stryja i Dniestru), to potrafimy utrzymać się w Małopolsce Wschodniej i skupić tam znaczniejsze siły, co stworzy nam nowe możliwości działania. Równocześnie podał nam do wiadomości, że rozpoczęcie ofensywy francuskiej zostało przesunięte na 20-ty dzień mobilizacji, gdyż przygotowania nie zostały jeszcze ukończone.

W instrukcjach, które gen. Gamelin podaje w swych pamiętnikach, nie ma żadnej wzmianki o ewentualnym rozpoczęciu

właściwego uderzenia na linię Zygfryda. Przeciwnie, z treści ostatnio zacytowanej, z dnia 15-go września wynika, że tego wcale nie zamierzał. Sądę więc, że wiadomość, przekazana nam przez gen. Faury była z kategorii "pour ne pas décourager nos alliés" i nie miała nic wspólnego z istotnymi zamierzeniami francuskiego naczelnego wodza.

O świcie dnia 17-go września wojska sowieckie wkroczyły na teren Polski. "C'est la fin", pisze gen. Gamelin. "Zachowanie się Sowietów zmieniło cały problem".

W dniu 21-ym pisze w swej instrukcji, że wydaje się iż gros sił niemieckich znajduje się jeszcze na froncie wschodnim; jeżeli zwróci się ono przeciwko Francji, to bitwę obronną trzeba będzie przyjąć nie gdzie indziej jak tylko na linii Maginot. Liczy, że nieprzyjaciel będzie potrzebował około 3-ch tygodni na przewiezienie swych wojsk z frontu wschodniego. Tyle samo mniej więcej czasu potrzeba by było na przegrupowanie własnych sił. W związku z tym rezygnuje, jak pisze, ze wszelkich zamiarów ofensywnych, tzn. z posunięcia frontu 3-ej armii nad rzekę Sarre i dnia 24-go września zatwierdza rozkaz dowódcy Grupy Armii Nr 2 przejścia do obrony na całym froncie.

Uwagi o działaniach sprzymierzonych na froncie zachodnim

Podaję poprzednio do jakich działań zobowiązali się Francuzi i Anglicy w wypadku głównego uderzenia Niemiec na Polskę. Co z tego wykonali?

— W zakresie działań lotniczych — nic.

Z obawy przed bombardowaniem własnego terenu, lotnictwo sojuszników nie zrzuciło ani jednej bomby na Niemcy przez cały okres kampanii polskiej, kiedy lotnictwo niemieckie bombardowało bez rozróżnienia nie tylko cele wojskowe ich sojusznika, ale również jego otwarte miasta i ludność cywilną. W ten sposób sojusznicy nasi pozostawili Niemcom zupełną swobodę działania i umożliwili im użycie głównych sił lotniczych na wschodzie, ułatwiając nieprzyjacielowi przeprowadzenie błyskawicznej i totalnej ofensywy przeciwko Polsce.

— W zakresie działań naziemnych:

Należy tu rozróżnić 2 fazy, do których się dowództwo francuskie zobowiązało:

- 1) wstępne działania ofensywne o ograniczonym zakresie (od 4-go września),
- 2) ofensywa głównymi siłami (od 16-go września).

Analiza zobowiązań francuskich z maja 1939 roku oraz instrukcji gen. Gamelin sprzed i z czasu kampanii wskazuje, wbrew jego twierdzeniom, że całość działań przeprowadzonych we wrześniu odnosiła się tylko do 1-ej fazy, a nie do ofensywy głównymi siłami.

W tym zakresie, odnośnie rozpoczęcia działań 1-ej fazy, dowództwo francuskie formalnie (z opóźnieniem paru dni) wypełniło zobowiązania umowy z maja 1939 r.

Ale jak działania te były prowadzone?

Celem ich, jak stwierdza sam gen. Gamelin, było ulżyć siłom polskim, wiążąc względnie ściągając na front francuski, jak najwięcej sił niemieckich. W sytuacji jaka istniała na froncie polskim, jedynie szybka, zdecydowana i energicznie prowadzona akcja mogłaby związać Niemców i zmusić do wzmocnienia, od razu od początku, słabych sił frontu zachodniego, a tym samym częściowo przynajmniej odciążyć front polski.

Tymczasem oddziały francuskie posuwały się żółtym krokiem. Czołowe dywizje dwóch armii (4-ej i 5-ej), mimo że nie napotykały żadnego poważniejszego oporu, zahamowały swój ruch naprzód a następnie w ogóle go wstrzymały jedynie z powodu min, które po drodze napotykały i obawy przed przeciwnatarciami niemieckimi.

Straże przednie 3-ej Armii, napotkawszy na opór wysuniętych ubezpieczeń nieprzyjaciela, natychmiast stanęły i w ogóle nie poszły już naprzód. Całość działań, szumnie nazwanych przez generała Gamelin "l'offensive pour la Pologne", doprowadziła jedynie do zajęcia dwóch występów terenu niemieckiego i przez to wyrównania granicy. Na lewym skrzydle nawet nie przekroczono granicy (patrz szkic). Do bezpośredniego kontaktu z niemiecką pozycją Zygfryda siły francuskie nigdzie nie doszły.

Czyż można się było spodziewać, że tak prowadzone działania spełnią cel, w jakim były podjęte? Czyż mógł Niemców zaniepokoić ślimaczy ruch wojsk francuskich, niedoprowadzony nawet do ich pozycji obronnych? Wystarczyły miny i ubezpieczenia niemieckie, żeby tę "ofensywę" zatrzymać, po co więc mieliby wzmocniać swój front i ściągać siły ze wschodu.

Nie można oprzeć się wrażeniu, że Naczelnemu Dowództwu francuskiemu chodziło jedynie o formalne wykazanie, że wypełnia swe zobowiązania a nie o istotne dopomożenie sojusznikowi.

Nic dziwnego, że Niemcy, zachowanie się Francuzów nazwali zupełną bezczynnością, a całą tę "ofensywę" potyczkami między liniami.

W umowie z maja 1939 r. generał Gamelin zobowiązał się do rozpoczęcia ofensywy głównymi siłami od 15-go dnia mob. (16-go września). Motowywał to czasem, potrzebnym na ukończenie przygotowań, szczególnie na umieszczenie artylerii na stanowiskach. W pamiętnikach swych powiada, że nie mógł jej zacząć przed 20-ym września, gdyż przygotowania do niej nie były ukończone. Ale skąd to opóźnienie?

Tak mobilizacja jak i koncentracja francuska odbyły się bez żadnych zakłóceń, ściśle według planu i w terminach z góry przewidzianych. Rozpoczęcie wstępnych mobilizacji 26 sierpnia pozwalało przyspieszyć początek wstępnych działań i mo-

gło tylko ułatwić przeprowadzenie mobilizacji powszechnej i z nią połączonych transportów mobilizacyjnych.

Transporty koncentracyjne również nie były w niczym zakłócone. Ani jedna bomba nie spadła na francuskie linie kolejowe, ani na oddziały maszerujące drogami.

Żadne wypadowe działania niemieckie nie utrudniły wstępnego rozwinięcia sił.

Sytuacja ogólna sprzymierzonych, nadzwyczaj ciężka na froncie polskim, a wyjątkowo dogodna na froncie francuskim, wymagała jak najszybszego działania, co gen. Gamelin podkreśla kilkakrotnie ze szczególnym naciskiem. Dlaczego więc działania wstępne prowadzone były tak powoli, a przygotowania do ofensywy głównymi siłami był tak opóźnione, że mogła się ona zacząć dopiero 20-go września? Tego generał Gamelin nie wyjaśnia.

Naczelnny wódz francuski zdawał sobie sprawę z tego, że Polska sama długo nie wytrzyma naporu prawie całości sił niemieckich. Mimo, to, zamiast wzmocnić i przedłużyć opór sojusznika i sobie samemu w ten sposób ułatwić przeprowadzenie ofensywy, hamował działania wstępne i odkładał termin rozpoczęcia głównego uderzenia, uzależniając własne działania od sytuacji na froncie polskim, którą swoim kunktatorstwem tylko pogarszał.

Reasumując powody, dla których nie mógł, jakoby, interweniować skutecznie we właściwym czasie, generał Gamelin tak ujmuje zagadnienie:

"Nie mogliśmy rozpocząć przełamującego natarcia na linię Zygfrйда przed 20 września. W tym czasie, już od ośmiu dni wszelki skuteczny możliwy opór wojska polskiego był złamany, a interwencja Rosji wykańczała dzieło armii niemieckiej. Nasi przeciwnicy zyskiwali możliwość przerzucenia głównego wysiłku przeciwko nam... Z punktu widzenia działań lądowych, zachowanie Sowietów zmieniło cały problem".

Pomińmy na razie sprawę wkroczenia Sowietów. O tym gen. Gamelin przed 17-ym września nie wiedział i to nie mogło wpływać na jego decyzje przed tą datą.

Powody zatem zaniechania ofensywy, podane przez gen. Gamelin, sprowadzają się do dwóch spraw:

- 1) złamanie oporu polskiego od 12-go września, wskutek czego ofensywa na Zachodzie już w niczym Polsce pomoc nie mogła,
- 2) Niemcy zyskiwali możliwość przerzucenia głównych sił na zachód, wskutek czego zniknęły dogodne dotychczas warunki przeprowadzenia ofensywy —

Szanse pomocy Polsce i przedłużenia jej oporu istniały aż do chwili wkroczenia Sowietów. Dla Niemców utrzymanie linii Zygfrйда miało tak podstawowe strategiczne znaczenie, a siły, które mieli na zachodzie były tak słabe, że z chwilą ruszenia ofensywy musieli by natychmiast zacząć je wzmacniać

(nawet wcześniej, gdyby działania wstępne Francuzi prowadzili energicznie i zdecydowanie). Ociążenie musiałyby się dać odczuć niezwłocznie na naszym froncie nie tylko odnośnie lotnictwa bombowego, ale również i wojsk lądowych. Były one bowiem zaangażowane głęboko w kraju i przy zniszczeniu linii kolejowych na terenie Polski, powrót ich do stacji załadunkowych na granicy niemiecko polskiej musiałyby trwać dość długo. Poza tym, meldowane oznaki zwolnienia tempa ruchu wielkich jednostek pancernych wskazywały na coraz większe trudności jakie stawały przed Niemcami w związku z ich zaopatrzeniem oraz stratami i zużyciem sprzętu motorowego. Wytworzona w ten sposób sytuacja na froncie polskim ułatwiłaby nasz manewr, zdążający do skupienia sił w Małopolsce wschodniej a tym samym umożliwiłaby przedłużenie naszego oporu i z tym połączone związanie części sił niemieckich na naszym froncie. Że Naczelnny Wódz francuski musiał o tym wiedzieć, świadczy zacytowane poprzednio oświadczenie gen. Faury oraz jego własna instrukcja z dnia 15-go, w której pisał, że "rozwój wypadków (w Polsce) pozwala obecnie przypuszczać, że główne siły niemieckie będą jeszcze przez poważniejszy okres czasu zaangażowane w odległych operacjach w Polsce". A zatem dnia 15-go nie uważał, że "wszelki skuteczny możliwy opór wojska polskiego był złamany" i podawanie tego jako przyczyny zaniechania działań zaczepnych nie może być argumentem przekonywującym.

Co się tyczy możliwości szybkiego przerzucenia sił niemieckich na front zachodni, to groźba ta w tym okresie nie była tak bliska aby mogła stanowić dostateczny powód do zaniechania ofensywy. Dnia 15-go gen. Gamelin przewiduje, że główne siły niemieckie będą jeszcze przez dłuższy czas zaangażowane głęboko w Polsce. Jak sam powiada w innym miejscu, obliczał, że transport kolejowy tych sił ze wschodu na zachód musiałyby trwać około 3-ch tygodni. A zatem według jego własnych obliczeń, co najmniej miesiąc czasu musiałyby upłynąć, zanim by gros sił niemieckich mogło się znaleźć na froncie zachodnim.*) Był to chyba wystarczający czas na przeprowadzenie ofensywy i przełamania linii Zygfrйда, w tym czasie słabo jeszcze obsadzonej. Poza tym na froncie zachodnim Niemcy nie mieli żadnych jednostek pancernych, Francuzi zaś dysponowali około dwoma tysiącami czołgów.

Zatem obawa, ażeby przerzucenie głównych sił niemieckich nie uniemożliwiło francuskiej ofensywy, nie może być również przekonywującym argumentem, usprawiedliwiającym decyzję jej zaniechania.

Generał Gamelin czuje, zdaje się, że ta argumentacja nie jest

*) Podkreślić należy, że w. jednostki pancerne nieprzyjaciela nie mogłyby być natychmiast przerzucone i użyte na froncie zachodnim. Straty, które poniosły w Polsce, szczególnie w sprzeczcie, były tak poważne, że dywizje te musiałyby mieć czas na otrzymanie uzupełnień, naprawę sprzętu itp.

przekonywująca, gdyż na zakończenie ustępu omawiającego "l'offensive pour la Pologne", nieco inne podaje powody. Pisze mianowicie :

"Jest rzeczą pewną, że gdybyśmy nie czuli dużej niższości w lotnictwie, którą spodziewaliśmy się wyrównać do wnosny dzięki wysiłkom naszym, a zwłaszcza Brytyjczyków, mogliśmy atakować zdecydowanie ("à fond") z końcem września, zanim by Niemcy przetrzucili całość swych głównych sił ze wschodu" (t. III, str. 76).

A zatem jako ostateczny powód nieprzeprowadzenia ofensywy "à fond" (nawet po 17-tym września) podaje tym razem przewagę lotnictwa niemieckiego.

Przedstawiłem poprzednio jaki był stosunek ilościowy sił lotniczych francusko-brytyjskich do niemieckich. W lotnictwie myśliwskim mniej więcej 1:1, w lotnictwie bombowym 1:1,5 na korzyść Niemców. W czasie kampanii polskiej, gdy gros lotnictwa bombowego było zaangażowane na froncie polskim i ponosiło tam straty, ewentualna przewaga niemieckich bombowców, nawet po odciążeniu ich części z frontu polskiego, nie mogłaby być tak wielka, ażeby uniemożliwić Francuzom ofensywę. Oczywiście z chwilą likwidacji frontu wschodniego, sytuacja pod tym względem znacznie się pogarszała. Ale ten fakt tym bardziej przemawiał za aktywizowaniem i przyspieszaniem działań ofensywnych, jeżeli dowództwo francuskie naprawdę miało zamiar uderzać na Niemców.

Gen. Gamelin liczył, że sytuacja lotnicza państw Zachodu zmieni się zasadniczo na ich korzyść w ciągu zimy. To już mogło być tylko pobożnym życzeniem, które miało usprawiedliwić bezczynność we wrześniu.

Przemysł wojenny francuski i brytyjski dopiero przechodziły na produkcję wojenną, podczas gdy przemysł niemiecki już od dłuższego czasu pracował na pełnych obrotach wojennych. Należało więc raczej liczyć się z tym, że jeszcze przez szereg miesięcy, zanim przemysł państw zachodnich nie osiągnie pełnej wydajności wojennej, nie potrafi nadrobić zaległości i prześcignąć produkcji niemieckiej. Nie posiadam danych dotyczących produkcji samolotów po obu stronach, w ciągu zimy 1939-40. Natomiast ciekawe informacje znajdują się w aktach procesu norymberskiego odnośnie niemieckich zapasów bomb lotniczych. Według zeznań generała Milcha, Rzesza zaczynała wojnę mając zapas bomb na 5 tygodni działań. W kampanii polskiej, lotnictwo niemieckie zużyło połowę całego zapasu tak, że po ukończeniu kampanii dysponowało ilością bomb na dwa i pół tygodnia działań. Główną ilość bomb, zrzuconych na Holandię, Belgię i Francję w czasie ofensywy w 1940 roku, wyprodukowano dopiero w zimie.

Tymczasem strach przed niemieckimi bombami sparaliżował wolę dowództwa francuskiego do tego stopnia, że nie tylko nie dotrzymało ono zobowiązań w stosunku do Polski, ale zaniechało ofensywy, która mogła zasadniczo zmienić sytuację strategiczną na korzyść sprzymierzeńców.

Czyż nie nasuwa się tu analogia z 1936-tym rokiem? W jednej z rozmów, jaką miałem wówczas z szefem Sztabu wojska francuskiego, generałem Colson, zapytałem go dlaczego Francja nie reagowała czynnie na remilitaryzację Nadrenii? Na to otrzymałem odpowiedź, że obawiano się niemieckiej przewagi lotniczej. Dziś wiemy,* że Niemcy zajęli Nadrenię jedną dywizją piechoty, a na zachodni brzeg Renu wysłali zaledwie trzy bataliony wojska. Nawet tylko osłowne wojska francuskie, jak twierdzi generał Jodl, byłyby z miejsca zlikwidowały oddziały niemieckie.

Jest rzeczą jasną, że po wkroczeniu Sowietów do Polski, żadne działanie ofensywne na zachodzie nie mogło już Polsce pomóc. Jednakowoż na sprawę ofensywy francuskiej w 1939-tym roku nie można patrzeć tylko jako na działanie, związane z Polską i z wypełnieniem zobowiązań w stosunku do niej. Nie można jej traktować jako jakiejś uciążliwej ofiary, która nic nie dawała ogólnej sprawie sojuszniczej, a którą Francja miała złożyć tylko ażeby pomóc swemu sojusznikowi. Nazywanie jej "l'offensive pour la Pologne", jak to robi gen. Gamelin w swych pamiętnikach, jest bardzo jednostronne i niewłaściwie zacieśnia jej cel i znaczenie.

Ofensywa, którą Francja miała przeprowadzić w chwili gdy główne siły niemieckie były zaangażowane na wschodzie, była dla Zachodu, w układzie politycznym istniejącym w 1939 roku, jedyną okazją, która mu umożliwiała przejęcie inicjatywy w swoje ręce i osiągnięcie rezultatów, które mogły mieć może nawet decydujący wpływ na dalszy przebieg wojny. Francja w swym własnym interesie powinna była od samego początku przyspieszać działania i prowadzić je jak najbardziej energicznie i zdecydowanie, bez opóźnień i straty cennego czasu, by wykorzystać okres, w którym posiadała decydującą przewagę na swym froncie. Lecz na to trzeba było ze strony dowództwa francuskiego zdecydowanej woli walki, energii i przeświadczenia że bezczynnością i kunktatorstwem niczego Francja osiągnąć nie mogła, tylko pogorszyć własną sytuację.

Pamiętniki generała Gamelin wskazują jednak że tego zdecydowania i tego przeświadczenia naczelnego wódz i najwyżsi dowódcy francuscy nie mieli. Mimo, że podkreśla szereg razy, że siły i wyposażenie wojska francuskiego pozwalały na przełamanie linii Zygryda, mimo że fakt niedojścia do ofensywy głównymi siłami stara się tłumaczyć różnymi, niezależnymi od niego przyczynami, to jednak po przestudiowaniu jego pamiętników musi się dojść do przekonania że tej ofensywy w ogóle wcale nie chciał przeprowadzać (mimo że się do niej zobowiązał).

Zatrzymując w dniu 12 września działania wstępne z powodu,

* Trial of the Major War Criminals before The International Military Tribunal. Nuremberg. Published at Nuremberg, Germany. 1947, 8. 42 tomy, Tom XV, str. 352.

jak twierdzi, sytuacji w Polsce i wspominając nawet o możliwości wycofania się za linię Maginot, liczy się z możliwością dalszego działania głównych sił niemieckich na Bałkany. Nie zamierza jednak wykorzystać dla własnej ofensywy zaangażowania się nieprzyjaciela na tak odległym terenie operacyjnym a przewiduje jedynie bierne umocnienie się w zajęтым terenie. Dnia 15-go września liczy, że główne siły niemieckie będą jeszcze przez dłuższy czas zajęte w dalekich operacjach w Polsce a może zaangażują się na Rumunię, ale zamierza wykorzystać to jedynie do poprawienia swej wysuniętej pozycji obronnej i przeprowadzenia strzelań doświadczalnych na umocnienia linii Zygryda.

W świetle tych faktów motywowanie niedojścia do skutku ofensywy na tę linię przyczynami od niego niezależnymi, może być jedynie pokrywaniem zasadniczej przyczyny — bierności dowództwa i braku woli walki.

Bezczynność i pozostawienie nieprzyjacielowi zupełnej inicjatywy i swobody działania nie mogły dać dobrych rezultatów nie tylko pod względem pomocy Polsce ale z punktu widzenia całości wojny.

Toteż zachowanie się sił francuskich w czasie kampanii wrześniowej było zupełnie niezrozumiałe dla Naczelnego Dowództwa niemieckiego. W procesie norymberskim b. feldmarszałek Keitel zeznawał*):

„My żołnierze oczywiście zawsze oczekiwaliśmy uderzenia ze strony mocarstw zachodnich, tzn. Francji, w czasie kampanii w Polsce i byliśmy bardzo zaskoczeni, że na Zachodzie, poza nielicznymi potyczkami pomiędzy linią Maginot i wałem zachodnim (linią Zygryda), nie się w rzeczywistości nie działo, mimo że wzdłuż całego frontu zachodniego od granicy holenderskiej aż do Bazylei mieliśmy jedynie 5 dywizji poza stałymi siłami obsadzającymi fortyfikacje wału zachodniego (sprostowane na 20 dywizji łącznie z odwodami w Nadrenii i zachodnich okręgach poza liniami). Tak więc, z punktu widzenia ściśle wojskowego, atak francuski w czasie kampanii polskiej byłby napotkał jedynie wojskową przesłonę, a nie prawdziwą obronę.

Ponieważ nic podobnego (tzn. atak francuski) nie nastąpiło, my żołnierze uważaliśmy oczywiście, że państwa zachodnie nie miały poważnych zamiarów, ponieważ nie wykorzystały niezmiernie dogodnej sytuacji do działań wojskowych i nie przedsięwzięły nic poważnego przeciwko nam w czasie trzech do czterech tygodni, kiedy wszystkie niemieckie bojowe formacje były użyte na wschodzie”.

Podobnie zeznawał generał Jodl, szef operacji w Naczelnym Dowództwie sił zbrojnych niemieckich**):

„Hitler sam miał wątpliwości w czasie kampanii polskiej. Także i on nie mógł znaleźć żadnego właściwego wytłumaczenia kompletnej beczynności francuskich i angielskich sił we Francji, które prowadziły jedynie rodzaj udawanej wojny za pomocą swych komunikatów” — „Siły (niemieckie) obsadzające wał zachodni (linię Zygryda) były tak słabe, że nie mogły nawet obsadzić wszystkich obiektów”. — „Nasz

*) Trial of the Major War Criminals before The International Military Tribunal. Tom X, str. 519.

**) Idem. Tom XV, str. 349 - 357, 372, 380.

zapas amunicji był tak śmiesznie mały, że wyszliśmy cało tylko dlatego, że nie było bitwy na zachodzie”. — „Jeżeliśmy się nie załamali w 1939 roku, to tylko dlatego, że w czasie kampanii polskiej około 110 dywizji francuskich i brytyjskich na zachodzie stało zupełnie beczynnie naprzeciw 23 dywizji niemieckich”.

Hans B. Gisevius, zacięty wróg Hitlera i nazistów, który w czasie wojny był przydzielony do centrali niemieckiego wywiadu a biorąc czynny udział w spisku na Hitlera był w ścisłym kontakcie z b. szefem sztabu wojska niemieckiego generałem Beckiem, w swej książce*) pisze :

„...Postawa polska (we wrześniu 1939 r.) musi być uznana za godną podziwu w świetle oporu jaki przeciwstawiły napastnikom niektóre później napađnięte kraje, mimo że mogły już korzystać z doświadczeń. Tak jak polscy lotnicy, którzy w czasie bitwy w jesieni 1940 roku nad Anglią wybili się na czoło walczącej Europy, tak samo armie polskie we wrześniu 1939 roku wniosły do sprawy Europy wkład, którego nie wolno pomnieć. Było godne pożałowania, że wkład ten tak beczynnie zmarnowano; gdyby go wykorzystano w pełni, kto wie czy już wówczas na polach bitew Wschodu nie otwarto by drzwi dla wolności Europy.

Oczywiście konieczne do tego było współdziałanie europejskie. Fakt, że go zabrakło, wbrew wszystkim poprzednim obietnicom państw zachodnich, jest drugim, który powinien być nas ostrzec przed przeoczeniem tej pierwszej kampanii. Nigdy nie wolno nam było traktować w odosobnieniu wojny polskiej ani tzw. zwycięstwa Hitlera, które tam odniósł. W rzeczywistości udało się kalkulacja ryzykanta. Wiemy o tym, że Hitler postawił wszystko na jedną kartę, że Anglicy i Francuzi czynnie nie wystąpią... kiedy Gamelin zwlekał i nie odważył się wkroczyć — Hitler wygrał grę”.

Jednak za postawę Francji we wrześniu 1939 roku nie można obciążać odpowiedzialnością jedynie generała Gamelin. Bitwa ta, jak słusznie twierdzi Churchill, została przegrana już kilka lat wcześniej przez bierność rządów francuskiego i brytyjskiego w kolejnych kryzysach lat 1933, 1936 i 1938. Bierność i bezwład polityki „appeasement'u”, która w ciągu tych lat poddawała się wszystkim bezprawnym inicjatywom i agresjom Hitlera, udzieliła się tak umyślnie najwyższych dowódców sojusznicznych, że w chwili decydującej nie potrafili zdobyć się na czyn, którego wymagała sytuacja.

SOJUSZNICZY BILANS KAMPANII WRZEŚNIOWEJ

Powojenna literatura pamiętnikarska i historyczna Zachodu na ogół przedstawia kampanię polską jako izolowane działanie wojenne, które nie miało żadnego znaczenia dla całości wojny, niczego nie wniosło do wysiłku wojennego państw zachodnich a tylko wykazało, że sojusz polsko-brytyjsko-francuski był sojuszem dla Zachodu bezwartościowym a nawet uciążliwym.

Niekiedy nawet pomija się milczeniem zobowiązania, jakie Francja i Anglia miały w stosunku do Polski, a których nie

*) Hans B. Gisevius Biss zum Bitteren Ende. Wasmuth Verlag, Zürich, 1946, 2 tomy (II tom, str. 144).

wypełniły mimo solennych obietnic. Jeżeli się o nich wspomina to tylko po to, ażeby winę niewypełnienia ich przerzucić na Polskę, która krótkim swoim oporem nie dała jakoby Zachodowi czasu na wywiązanie się z jego zobowiązań.

Darmo szukać w literaturze naszych sojuszników uczciwego bilansu września, który jasno wskazuje, że Polsce w jej zmaganiach Zachód nie dał nic, Polska zaś Zachodowi bardzo wiele, a jeżeli nie potrafił on wykorzystać możliwości, które mu dała postawa i samotna walka Polski, to winę tego przypisać musi tylko sobie.

Dzisiaj wiemy, że Hitler chciał najpierw uderzyć na Francję a dopiero potem po kilku latach zwrócić się na Wschód. Liczył na ułożenie możliwych stosunków z Polską, ażeby zwalczyć najpierw Zachód. Jednak stało się dla niego jasne, że Polska zaatakuje Niemcy, kiedy będą one zaangażowane na Zachodzie. Wskutek tego zmienił swój "ulubiony" ("sympatische") plan i postanowił najpierw uderzyć na Polskę (Dokument 798 PS procesu norymberskiego).

Sama kampania polska dała Zachodowi przede wszystkim możliwość spokojnego przeprowadzenia mobilizacji i koncentracji swych sił.

Zaangażowanie przeciwko Polsce głównych sił niemieckich, w tym całości wojsk pancerno-motorowych i pozostawienie na skutek tego na froncie zachodnim jedynie minimalnej ilości wojsk, dało Francji jedyną okazję, od razu na początku wojny, zadania Niemcom ciosu, który mógł mieć może nawet decydujący wpływ na dalsze losy wojny. Taka okazja już więcej powtórzyć się nie mogła. — Francja nie potrafiła jej wykorzystać.

Kampania polska dała Francji bezcennych 8 miesięcy spokoju, w których mogła podnieść wyszkolenie i zgranie swych zmobilizowanych jednostek, zwłaszcza rezerwowych, rozbudować swoje urządzenia obronne oraz rozwinąć produkcję przemysłu wojennego i nadrobić braki w uzbrojeniu i wyposażeniu. — Czasu tego Francja nie wykorzystała.

W kampanii polskiej zastosowali Niemcy po raz pierwszy nową metodę prowadzenia wojny błyskawicznej zapomocą wojsk pancerno-motorowych i lotnictwa, metodę, która zadecydowała o ciągłych ich powodzeniach przez pierwsze trzy lata wojny i w ogóle nadała nowy charakter działaniom całej II-ej wojnie światowej. Doświadczenia zdobyte na polach walki w Polsce powinny być mieć kapitalne znaczenie dla Francji, odsłaniając przed nią nieznaną jej dotychczas możliwości taktyczne a zwłaszcza operacyjne, jakie atakującemu dawało użycie wielkich jednostek pancerno-motorowych, działających wspólnie z lotnictwem.

Przyznać trzeba, że Francuzi mogli mieć trudności w trafnym ujęciu doświadczeń z terenu Polski. Nastrój stworzony w Paryżu dookoła kampanii wrześniowej nie sprzyjał obiektywnemu roz-

patrywaniu jej przebiegu i doświadczeń. Głoszone wówczas oficjalnie tezy, że przykłady z terenu Polski nie mogą znaleźć *żadnego* zastosowania na froncie zachodnim, oraz że mówienie o wojnie błyskawicznej na Zachodzie jest absurdem, musiały wyrzucić swój wpływ na opinię francuskiego dowództwa tym bardziej, że były mu z wielu względów na rękę i odpowiadały jego wierze w słuszność doktryny opartych na doświadczeniach I-ej wojny światowej. Świadczy o tym następujący ustęp studium, w którym Sztab francuski ujął doświadczenia, zebrane na terenie Polski :

"Sposoby prowadzenia walki, zastosowane przez wojsko niemieckie w Polsce, odpowiadają specjalnym warunkom... Na froncie zachodnim operacje przybiorą inny wygląd".

Mimo tak kategorycznego twierdzenia, dowództwo francuskie nie zbagatelizowało jednak w całości doświadczeń polskich. W wymienionym studium czytamy : "może się jednak zdarzyć, że na niektórych przynajmniej częściach frontu, metody kampanii polskiej zostaną na nowo zastosowane". W związku z tym, tak we wspomnianym studium jak też w szeregu luźnych instrukcji, które generał Gamelin cytuje w swej książce, dowództwo francuskie podaje w jaki sposób należy wzmocnić obronę ażeby mogła ona wytrzymać uderzenia zmasowanych czołgów i lotnictwa szturmowego.

Jednak w instrukcjach tych uderza jedna nuta przewodnia — wszystkie wysuwane wnioski odnoszą się tylko do drobiazgowej dziedziny taktycznej; o szerszych wnioskach natury operacyjnej nie ma w nich mowy. Dotyczą one prawie wyłącznie udoskonalenia urządzeń i organizacji obronnych w obrębie pozycji głównego oporu. Jednym słowem, wnioski z działań wybitnie ruchowych Francuzi nagiełi do swej doktryny wojny pozycyjnej. Nie umieli nawet przypuścić, że przy nowych środkach i sposobach walki, Niemcy potrafią przebić ich pozycję obronną i że także na ich froncie działania będą mogły przyjąć charakter ruchowy. A jednak z I-ej wojny światowej mieli przecież doświadczenia, że nawet najlepiej i najsilniej zorganizowane pozycje mogą być przełamane. A wtedy ich metody przeciwdziałania musiałyby się okazać zupełnie nieskuteczne wobec piorunującej szybkości w wykorzystaniu powodzenia i w prowadzeniu pościgu przez wielkie jednostki pancerne wspólnie z lotnictwem. Tej formy walki nie było w pierwszej wojnie i Francuzi zupełnie nie byli do niej przygotowani.

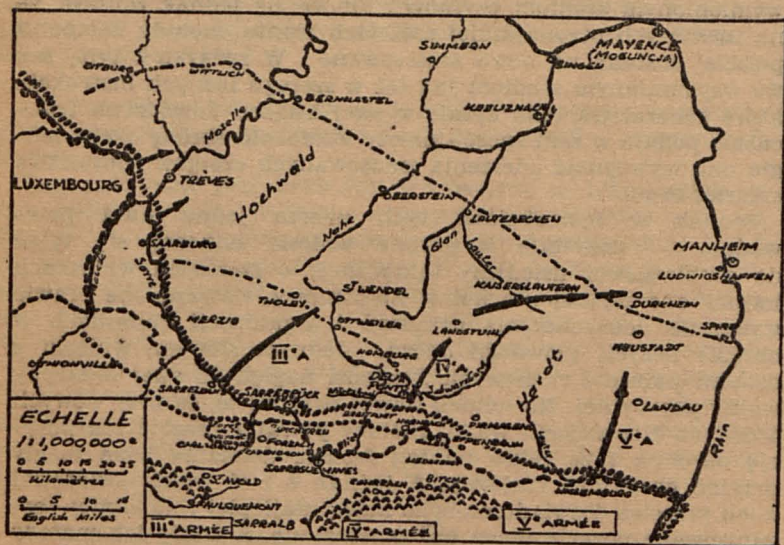
Gwałtowność i szybkość uderzenia z zaskoczeniem, kontynuowanie natarcia i dalekiego pościgu bez oglądania się na skrzydła i tyły, niedanie czasu na zorganizowanie przeciwdziałania czy stawienia nowego oporu, dezorganizacja głębokich tyłów, dowodzenia i w ogóle całego systemu obronnego — na tym właśnie polegała wojna błyskawiczna i to było najistotniejsze w metodzie niemieckich operacji w Polsce.

Tu, w tej najistotniejszej dziedzinie, Francuzi nie wykorzy-

stali doświadczeni z Polski, nie przemysłeli i nie zastosowali nowych metod obrony na głębokość w znaczeniu operacyjnym, a nie tylko taktycznym i to w głównej mierze zemściło się na nich w tragicznych dniach maja 1940 roku.

Wacław STACHIEWICZ

gen. brygady.



OFENZYWA FRANCUSKA MIĘDZY RENEM I MOZELĄ

PROJEKTOWANA WEDŁUG DYREKTYWY z 8^o CZERWCA 1938
WYKONANA WE WRZESNIU 1939

SZKIC SCHEMATYCZNY

----- Linia Zygfryda - - - - - Linia Maginot
 DYREKTYWA z 8-VI-1938 - - - - - Pierwszy przedmiot notarcia
 - - - - - Drugi przedmiot notarcia
 - - - - - Kierunek notarcia armii
 Linia osiągnięta przez armie francuskie we wrześniu 1939
 Zestawienie na podstawie szkiców schematycznych podany
 w książce Gen. Gamelin p.t. "Service", III^o tom

Jeszcze o konspiracji na Wołyniu

W związku z artykułem Jakuba Hoffmana pod tytułem "Początki konspiracji na Wołyniu" (Kultura Nr 10/36 — 1950, str. 112 - 124) chciałbym podać pewne fakty związane z początkami konspiracji na Wołyniu.

Na stronie 124-iej Jakub Hoffman wspomina, jako o pogłosce o aresztowaniu księdza infułata Tokarzewskiego z Kowla. Rzeczywiście aresztowanie ks. Tokarzewskiego nastąpiło przy końcu czerwca 1940 r., prawdopodobnie po 25-tym czerwca. Bywałem częstym gościem na probostwie w tym czasie. Po jego aresztowaniu jeden z przywódców konspiracji w Kowlu nauczyciel gimnazjalny, Bolesław Głódź, tłumaczył mi, że to aresztowanie ma związek z majorem Majewskim, który w poprzednich miesiącach próbował wciągnąć do organizacji Związku Walki Zbrojnej ks. Tokarzewskiego, a który stanowczo odmówił przystąpienia do tej organizacji, co więcej, nawet miał wyprosić p. Majewskiego ze swego domu, obawiając się szkoliwych skutków tej konspiracji dla Kościoła. Pan Majewski miał się zemścić, wydając ks. infułata władzom sowieckim jako rzekomo wtajemniczonego w działalność Z. W. Z. Razem z ks. Tokarzewskim był aresztowany ks. kanonik Szpaczyński, prefekt polskiego gimnazjum w Kowlu, człowiek cieszący się dużym wpływem w tym mieście, a zwłaszcza wśród młodzieży. Obydwaj w listopadzie lub początkach grudnia 1940 roku zostali skazani na karę śmierci w Łucku, gdzie siedzieli w Brygidkach w celach śmierci, zachowując się bardzo wzorowo jako kapłani i Polacy. Ksiądz infułata Tokarzewski, jak mi mówili inni uczestnicy jego rozprawy sądowej, wypowiedział wspaniałą, odważną mowę obrończą przed trybunałem bolszewickim, w której wyrzucał bolszewikom wszystkie ich zbrodnie wobec narodu polskiego. Na wiosnę (koniec marca i początek kwietnia 1941 r.) żył on jeszcze w jednej z cel śmierci w Brygidkach w Łucku. Dalsze jego losy są mi nieznane, ponieważ opuściłem w tym czasie więzienie w Łucku.

A teraz jeszcze parę słów o pułkowniku czy też majorze Majewskim. Człowieka tego widziałem w marcu lub kwietniu 1940 r. w mieszkaniu wspomnianego Bolesława Głóździa, który tłumaczył mi potem, że jest to komendant Z. W. Z. na Wołyniu. Mówiono mi o nim wtedy jako o majorze. Później w celi śmierci Nr 46 w Łucku spotkałem jego kuriera, Ryszarda Kasprzyckiego. Ten żalił się, że Majewski go wsypał i wielu, wielu innych członków konspiracji. Ryszard Kasprzycki był młodym człowiekiem, liczącym chyba nie więcej niż 24 lata. Przeszedł on bardzo ciężkie śledztwo. W celi śmierci zachowywał się bardzo godnie i nie chciał pod żadnym warunkiem napisać prośby o ulaskawienie. Żalił mi się też, na niewdzięczność naszych rodaków, do których miał polecenia z Warszawy. W ogóle nie chciano go niekiedy przyjmować na nocleg. Często otrzymywał pomoc od ludzi obcych, nie mających nic wspólnego z konspiracją. Sam Kasprzycki w 1939 roku ukończył trzyletnią szkołę saperską. Na wojnę poszedł jako plutonowy podchorąży, w walkach miał uzyskać stopień podporucznika. Kasprzycki też twierdził, że Majewski miał w Równem swoją kwaterę u jednej z nauczycielek szkół powszechnych, u której w Łucku, po aresztowaniu Majewskiego, znaleziono prawie wszystkie nazwiska ważniejszych członków Z. W. Z. na Wołyniu. Była to karygodna lekko-myślność ze strony Majewskiego, bo potem wielu ludzi zapłaciło śmiercią za tę jego głupotę. Pamiętam, że obok mej celi śmierci w Łucku, była "kamera" Nr 45, gdzie właśnie siedziała owa nauczycielka z Równego, która dawała schronienie Majewskiemu. Szkoda że nie pamiętam jej nazwiska, bo według świadków miała się bardzo godnie zachowywać na rozprawie sądowej mówiąc do sądu bolszewickiego: "Tak, świadomie poszłam do szkoły bolszewickiej, by ratować polskie dzieci od zarazy komunistycznej". To odważne wyzwanie rzucone "sądowi ludowemu" było sensacją dla bolszewików. Razem

z nią siedziała jeszcze jedna ofiara pana Majewskiego: urzędniczka pocztowa Grabowska z Równego.

A teraz o Zbigniewie Sierakowskim, którego zastałem w grudniu 1940 roku w celi Nr 46 w Brygidkach w Łucku. Był to dwudziestoletni młody człowiek, któremu nierozsądni kierownicy konspiracji powierzyli funkcje komendanta na powiat wołyńsko-włodzimierski. Był on uczniem ósmej klasy gimnazjum, pełen szlachetnych pobudek, przygotowany do pracy społecznej w harcerstwie. Powierzenie mu jednak tak ważnej placówki i oddanie odpowiedzialności za powiat było, moim zdaniem, rzeczą bardzo nierozsądną. Dano mu podobno do dyspozycji radiostację, za której pośrednictwem miał łączność z Warszawą i zagranicą. W celi śmierci zachował się bardzo godnie, o ulaskawienie nie prosił, okazywał dużą osobistą odwagę. Niestety, ta odpowiedzialność nałożona na jego młode barki była nad jego siły. Przyznał mi się, że po aresztowaniu załamał się i wydał około stu osób. Wiem, że nie mógł sobie tego darować i szukał śmierci. Niejednokrotnie siedział w karczerze razem z innymi i nosił wszelkie kary z jak najwyższą pogodą ducha. Jeśli wyrok śmierci wykonano na nim, to chyba z ulgą go przyjął. Z końcem marca 1941 roku żył jeszcze w celi Nr 46.

Razem z nim siedział jego kolega z ławy gimnazjalnej, Drabik. Nikogo nie wydał, za słabość Zbyszka skazano go na karę śmierci, od której nie wien czy się uratował, bo go też z końcem marca 1941 roku zostawiłem w tej samej "karcerze śmierci". W stosunku do kolegów był wzorem franciszkańskiej miłości i poświęcenia. Pamiętam, jak rzucono nas w bieliznie na tak zwane "karczerne położenie", na trzy dni postu przy dwustu gramach chleba na dzień i troszkę zimnej wody; przypominam sobie wtedy Drabika. Gdy w trzecim dniu owego karczeru ludzie walili się ze znużenia na goły, zimny beton, (zakratowane okna były otwarte, — styczeń lub luty!) to wtedy on, jako najsiłniejszy, kładł się na ziemię, służąc innym za "poduszkę", by się tylko nie rozchorowali. Pochodził on z okolicy Włodzimierza Wołyńskiego.

Po aresztowaniu ks. infułata Tokarzewskiego w czerwcu 1940 r. poszły dalsze aresztowania w Kowlu i okolicy. W ciągu następnego tygodnia został uwięziony wspomniany Bolesław Głód. Ten cały szereg aresztowań nastąpił w związku z "wspą" Majewskiego. Cios przyszedł wtedy, gdy organizacja Z. W. Z. miała nakazane wstrzymanie się od wszelkiej szerszej działalności i gdy już wielu członków przypuszczało, że cała organizacja zaniechała wszelkiej akcji. Po dłuższym "urabianiu" B. Głóda przez N.K.W.D. w Łucku, w późniejszych miesiącach (wrzesień, październik i listopad) przysłyły dalsze aresztowania w powiecie kowelskim na skutek całkowitego załamania się B. Głóda, który najlepszych kolegów gimnazjum kowelskiego sypał z bezprzykładną szczerością wobec "śledowateł". Ci, co go widzieli w listopadzie lub grudnia 1940 roku podczas konfrontacji, ujrzeli cień człowieka zupełnie złamanego i "śpiewającego" najdrobniejsze szczegóły rozmów i fakty z życia konspiracji. W listopadzie lub z początkiem grudnia 1940 roku dostał w nagrodę za tę przysługę: karę śmierci. Rezultatem tego załamania się Głóda było uwięzienie wielu członków organizacji w powiecie kowelskim: między innymi aresztowano kierownika szkoły z Maniewicz, Komosę, co znowu spowodowało wiele innych aresztowań. Komosa, uważając za niepotrzebne przestrzeganie tajemnicy, skoro komendant powiatu (t.j. B. Głód) wydał tylu ludzi, zeznał prawie wszystko co wiedział o organizacji. Co więcej, na sądzie w Łucku prosił "sąd ludowy" o łaskę zmniejszenia mu kary, bo on "przecież władzom sowieckim pomógł w zdemaskowaniu zbrodniarzy, godzących w Związek Sowiecki". W nagrodę — otrzymał karę śmierci.

Podaje te dane, aby przyszłym historykom pomóc w odtworzeniu tych tragicznych wydarzeń. Zaznaczam ponadto, że początki tej konspiracji były raczej zabawką w konspirację niż prawdziwą pracą spiskową.

Bolesław STARZYK

Sprawy Krajowe

Autonomizm, reformizm, syndykalizm

Kilka miesięcy temu, na jednym z posiedzeń Warszawskiej Rady Związków Zawodowych, sekretarz Rajkowski w sprawozdaniu z 5-letniej działalności Rady stwierdził, że "Rada Związków ma za sobą poważne osiągnięcia i zdobycze. Przelamane zostały wszystkie złe tradycje — odrodzony warszawski ruch zawodowy wypenił autonomizm, reformizm i syndykalizm" (podkr. nasze).

Słowa te nie były zdawkowym frazesem, a odzwierciedlają w telegraficznym skrócie fermenty i spontaniczne opory w obecnym tzw. ruchu zawodowym w Polsce.

Ruch ten, podobnie zresztą jak i w Rosji Sowieckiej, przechodził ewolucje od pełnego nadziei roku 1945 aż do r. 1948, kiedy nawet ślepi politycznie, wobec ustalania się reżimu, stwierdzili niemożliwość wykonywania przez związki zawodowe ich naturalnego zadania — obrony interesów pracowniczych.

Związki pracowników poszczególnych gałęzi przemysłu, nawet w Rosji, nie od razu stały się instrumentem władzy w zakresie politycznym i ekonomicznym. Pierwsze oznaki zmian nastąpiły w okresie wprowadzania 1-ej "piatiletki". Na 8-ym Powszechnym Kongresie Związków Zawodowych w r. 1928, zaznaczyły się już odgórne dążenia do pełnego podporządkowania ruchu zawodowego władzy państwowej. Tym, który szczerze i odważnie przeciwstawiał się reformom, był stary i zasłużony bolszewik M. P. Tomski, przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych. Chciał on widzieć sytuację ruchu zawodowego taką, jaką ten ruch miał w państwach kapitalistycznych. Tomski podkreślał wagę pełnej wolności związków, które powinny dążyć głównie do polepszenia sytuacji swych członków, do podwyżek płac itp. Przeciwstawiał się kategorycznie temu, by związki brały czynny udział w pracach i próbach udoskonalenia technicznych

dla powiększenia produkcji, by brały udział w "wścigu wydajności" (już wówczas znany był termin "socjalistyczne socrenowanie").

Sprawa broniona przez Tomskiego, była z góry skazana na przegranie. Co prawda wszedł on jeszcze do władz naczelných ruchu zawodowego, skąd ustąpił jednak wkrótce, początkowo tymczasowo pod pozorem choroby, później definitywnie. W r. 1931 widzimy go na stanowisku dyrektora przedsiębiorstwa "Wydawnictw Państwowych" ("Gosizdat"). Po ostrych konfliktach z kierownictwem partii, zagrożony dalszymi represjami, popełnił w r. 1937 samobójstwo. Wpływy Tomskiego zostały zastąpione w centrali Profsojuzów wpływami Łazarza Kaganowicza, który dokonał tam kapitalnych zmian w ideologii i programie Związków Zaw. Miały one hołdować odtąd hasłom "frontem do produkcji", "socjalistyczny wścig pracy" itp.

Trzeba pamiętać, że dalszej akcji podporządkowania związków zawodowych państwu, sprzyjało przekazanie Wszechzwiązkowej Centrali Związków Zawodowych przez Komisariat Ludowy Pracy, olbrzymiego zakresu kompetencji. W r. 1933 Centralna Rada Z. Z. otrzymała najszersze kompetencje w sprawach ubezpieczeń społecznych, zaś od r. 1934 też sama Rada otrzymała upoważnienia do wydawania instrukcyj, przepisów i wyjaśnień (za uprzednią sankcją Rady Komisarzy Ludowych) w sprawach dotyczących stosowania całego ustawodawstwa pracy.

Czytelnik wybaczyć raczy tę przydługą może wycieczkę w dziedzinę stanu prawnego w Sowietach. Ale warunki w obecnej Polsce tak się układają, że dla zrozumienia wielu reform ustawodawczych i przemian społecznych wymagana jest znajomość prawozoru sowieckiego, tak jak dla komentowania nowoczesnego prawa cywilnego konieczne są studia prawa rzymskiego, jak dla zrozumienia Marksa trzeba sięgać do Hegla!

W Polsce obecnej od początku 1945 r. związki zawodowe ulegały sprzecznym tendencjom: jedna hołdowała klasycznemu programowi reprezentacji interesów pracowników dla polepszenia ich bytu, przy względnej niezależności od władzy państwowej. Druga — oznaczała przydzielenie związkom obowiązków "stróżów" produkcji, uposażenie w uprawnienia publiczno-prawne i włączenie do aparatu państwowego.

Zilustrujmy pokrótce przykładami, jaki jest program ruchu zawodowego w Polsce w świetle uchwał organów tego ruchu lub innych miarodajnych wypowiedzi. Otóż, w sprawach politycznych mówi się o wzmożeniu "czujności klasowej" (uchwała III Plenum Centr. Rady Zw. Zaw.), o walce o pokój, o jedność klasy robotniczej. W sprawach podniesienia produkcji (sprawy te nazywa się przeważnie kulturalno-oświatowymi!), — uprawia się wzmożoną propagandę współzawodnictwa i racjonalizatorstwa. "Związki zawodowe wnikać będą w najdrobniejsze zagadnienia, związane z pracą każdego przodownika pracy i racjonalizatora, aby udostępnić ich doświadczenia szerokiemu ogółowi pracow-

ników ("Rzeczpospolita", 9.2.50). O "rozwijaniu długofalowego współzawodnictwa zainicjowanego przez górnika Markiewkę, mówił wiceprzewodniczący CRZZ Tadeusz Cwik na odprawie (!) przewodniczących związków zawodowych w lutym rb. Były przewodniczący CRZZ Aleksander Zawadzki zachwalał "wspaniały rozwój współzawodnictwa pracy w ruchu stachanowskim, w robotniczym nowatorstwie i racjonalizatorstwie."

To są cele pozytywne, zaś jako cele negatywne wszystkie urzędowe dokumenty i wypowiedzi, obok walki z titoizmem i trockistowsko-hitlerowską agenturą oraz imperializmem podżegaczy wojennych, nakreślają walkę z autonomizmem (jako przeciwstawieniem leninowskiego "demokratycznego centralizmu"), z reformizmem (tzn. z wszystkimi znanymi formami niekomunistycznego socjalizmu), wreszcie walkę z syndykalizmem. Przypominamy sobie egzaltację, z jaką oddał hołd Leninowi Georges Sorel w ostatnim rozdziale "Réflexions sur la violence" (1918). Lenin nie odplacił się Sorelowi, temu duchowemu ojcu syndykalizmu, tym samym, czy choćby mniejszym uznaniem: był Lenin, jak wiadomo, bezwzględny przeciwnikiem syndykalizmu, uważając go pogardliwie za równoznaczność anarchizmu. Mit "strajku powszechnego" nie przemawiał do wyobraźni Lenina.

Okazuje się jednak, i to zostało ujawnione na V Plenum Komitetu Centralnego PZPR (15-16 lipca r.ub.), że w realizacji i w praktyce, daleko jeszcze do pełnego ideału, jaki sobie nakreśliło. V Plenum poświęcone było omówieniu planu sześcioletniego. W ciągu dwudniowych obrad przedyskutowano wszystkie dziedziny życia mające coś wspólnego z tym planem. Przewodniczący (po A. Zawadzkiem) CRZZ — Wiktor Kłosiewicz, mówił o zazębianiu się i znaczeniu dla planu Związków Zawodowych, tej "transmisji partii do mas" (wyrażenie to stało się ostatnio b. modne). Referent podniósł, że partia na odcinku Związków Zawodowych ma poważny wkład w podnoszeniu wydajności, w rozwoju współzawodnictwa pracy. Ale mówi dalej — "Wobec nowych jakościowych i ilościowych zadań, jakie wysuwa plan 6-letni, należy jednak krytycznie ocenić dotychczasowe metody i styl pracy Związków Zawodowych, tak by na gruncie tej oceny wskazać na broń i sposoby ich przewyciężenia. — Pierwszym takim brakiem jest to, że sama Centralna Rada Zw. Zaw. jeszcze niedostatecznie kieruje ruchem współzawodnictwa pracy." (cytuje za "Nowymi Drogami", Nr 4/22, lipiec-sierpień 1950, str. 170 i n.).

A dalej wytyka się, rzecz znamienne, że "oportunistyczne, syndykalistyczne tendencje w Związkach Zawodowych, nie zostały jeszcze wyeliminowane, że w dalszym ciągu istnieje poważne niezrozumienie roli Zw. Zaw. w walce o zadania produkcyjne i niezrozumienie żelaznego prawa, że wzrost zarobków jest ściśle związany z wzrostem wydajności pracy." Komunistycznego sprawozdawcę oburza, że Związki Zawodowe mają śmiałość dopominać się o prawa swych członków i o polepszenie

ich bytu. Jako rzecz wysoce ujemną, cytuje się np., że na ostatnim zjeździe Związku Transportowców, na 60 wniosków przyjętych przez Komisję Wnioskową Zjazdu, było 53 wniosków dotyczących spraw "bytowych" (nowy termin urzędowego żargonu) w wąskim ujęciu, np. żądania podwyżki płac, większych urlopów, rewizji umowy zbiorowej, jednego dnia wolnego w miesiącu dla kobiet. Zdaniem Kłosiewicza, były to żądania bez wnikania w możliwości ich realizacji. Nie było, i to jest główny kamień obrazy, — żadnego wniosku, który by dotyczył roli Związków Zaw. w walce o plany produkcyjne lub tp. Było co prawda kilka wniosków w sprawie współzawodnictwa, ale i one dotyczyły opieki nad przodownikami, ulg i przywilejów...

Podobna była sytuacja na zjeździe Związku Spółdzielców, i, choć w mniejszym stopniu, na niektórych innych zjazdach.

W referacie Minca na tymże V Plenum KC PZPR dn. 15.7.50, słyszemy tę samą nutę: "Nasze Związki Zawodowe — mówią — nie umieją jeszcze jak należy, organizować współzawodnictwa pracy, walczyć o dyscyplinę na zakładzie pracy i o likwidację nieusprawiedliwionych nieobecności, nasza propaganda i prasa nie umie jeszcze dostatecznie mobilizować na wykonanie zadań produkcyjnych, na walkę z plagą biurokratyzmu".

Podobnie Jędrzychowski już bez osłonek mówił o "bolszewizacji naszego planowania" wymaganej dla realizacji 6-latki.

Tak oto przedstawia się w skrócie teoria i praktyka dzisiejszego ruchu zawodowego w Polsce. Wysiłki jego reformatorów, jeszcze nie zakończone, idą w kierunku odebrania mu tych prerogatyw, które były zawsze tradycyjnie i integralnie związane z tą formą reprezentacji klasy robotniczej. Reżimowe reformy są dokładną kopią wzoru sowieckiego, według którego pracownik uspołecznionego zakładu pracy i jego pracodawca (w istocie państwo), są jednością, z odrzuceniem, jako nieaktualnej, idei walki klas. Jak pisze A. J. Wyszynski w swym podstawowym dziele "Sowietskoje Gosudarstwiennoje Prawo" (1938), "wielka październikowa socjalistyczna rewolucja zmieniła u nas radykalnie pozycję i zadania Związków Zawodowych. W krajach kapitalistycznych głównym ich zadaniem jest walka przeciw kapitałowi i obrona klasy robotniczej przed kapitalistami. W państwie socjalistycznym, Związki Zawodowe ręka w rękę z gospodarczymi i państwowymi sowieckimi organami dążą do celu dalszego rozwoju produkcji". Dopiero na dalszym planie umieszcza Wyszynski jako cele Zw. Zaw. — polepszenie bytu materialnego i kulturalnego robotnika. W tej jedności i totalizmie, — nie ma miejsca na niezależną obronę klasy pracowniczej. Kontrydykcja — która jak dotychczas, jest najlepszym środkiem łagodzenia w nieuniknionych kolizjach jednostki i państwa — została skasowana. Konstrukcja wpływania na stosunki ekonomiczne przez związki pracownicze z jednej strony, a związki pracodawców z drugiej, — z czynnikiem państwowym jako arbitrem, — nie jest uznawana przez program komunistyczny. Fikcyjna jedność interesów, wypływająca z zasad komunistycz-

nego, karykaturalnego neo-solidaryzmu, — dająca pracownikowi pewne iluzoryczne prawa do współzawodnictwa z zakładem pracy, a z drugiej strony dająca państwu poprzez podległe mu Związki Zawodowe, prawo sprawowania rzekomej obrony jego interesów — stawia pracownika w sytuację pełnej bezbronności przed wyżyskiem państwa.

Związki Zawodowe w Polsce obecnej stały się na mocy ustawy sejmowej z 1949 r. organami państwowymi. Po prostu cynizmem dźwięczą słowa wspomnianego już Zawadzkiego, (w wywiadzie prasowym z lutego rb.), że to "trockiści usiłovali zepchnąć rolę Zw. Zaw. do jednego z ogniw aparatu państwowego". Jeżeli trockiści w okresie międzywojnia mieli takie tendencje, to znaleźli godnych naśladowców w obecnym reżimie.

Uchwalone na początku rb. ustawy socjalne wpłynęły, na wzór sowiecki, na znaczne rozszerzenie zakresu działalności związków, a przede wszystkim rad zakładowych.

A jak wyglądają Zw. Zaw. w praktyce, w życiu codziennym? Sytuację można scharakteryzować b. krótko: pracownik w związku nie ma nic do powiedzenia. Ale i związek, gdyby chciał nawet pomóc pracownikowi w razie konfliktu z zakładem pracy, nie ma wpływu i znaczenia. W "terenie" rzeczywistą władzę sprawuje komórka PZPR. Jeśli chodzi o zakres reprezentacji robotniczej i obrony interesów pracownika — związek ("transmisja partii do mas") istnieje tylko pozornie. Interwencję w poszczególnych wypadkach załatwi skuteczniej komórka partyjna. Zresztą, przy powszechnym systemie donosów, każdy może interweniować u każdej władzy, do Bezpieki włącznie... Związek zawodowy w istniejącej postaci (współzawodnictwo, dyscyplina) — pracownikom jest niepotrzebny. Dlatego też do związków należą ci tylko co muszą, a więc pracownicy instytucji i przedsiębiorstw państwowych lub komunalnych. Natomiast pracownicy "inicjatywy prywatnej" unikają należenia do związku.

Jak to było przewidziane na Warszawskiej Radzie Zw. Zaw. (luty rb.) — "poza szeregami związkowymi pozostaje jeszcze kilka dziesiątków tysięcy ludzi z przemysłu i handlu prywatnego oraz służby domowej, którzy są nadal przedmiotem wyzysku...(!)

Do katalogu pozycji, które w żadnym razie, po najdłuższym nawet okresie pokoju, w przyszłej Polsce ostać się nie mogą, — należy wpisać obecną formę, czy to teoretyczną, czy to praktyczną, — Związków Zawodowych.

Wacław SZYSZKOWSKI.

Jeszcze o polskiej strukturze rolnej

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem z wielkim zainteresowaniem artykuł pt. "Sytuacja Gospodarcza Polski" p. K. Brzóska. Zawiera on materiał cenny, w części tylko znany i opracowany ze znajomością przedmiotu rzadko spotykaną. Tym bardziej uderzyła mnie na stronie 8 nieścisłość w cyfrach oświetlających władanie ziemią w Polsce przedwojennej a przytoczonych z powołaniem się na "Mały Rocznik Statystyczny 1939 r.". Artykuł zawiera zdanie następujące: — "Ilustracją tego" — niezadowolonych stosunków rolniczych w Polsce — "może być fakt, że 05% całkowitej ilości gospodarstw rolnych miało w swym posiadaniu 47,3% całości ziemi uprawianej rolniczo". Autor artykułu sugeruje, że ten stan rzeczy istniał w chwili poprzedzającej wybuch ostatniej wojny światowej, przytaczając w tym samym ustępie cyfry dotyczące np. dochodu narodowego etc. z r. 1938. Tymczasem "Mały Rocznik Statystyczny" podaje (na str. 69), że 05% gospodarstw rolnych miało 26,7% ziemi użytkowanej rolniczo, nie zaś 47,3%. Co więcej, statystyka ta odnosi się do r. 1921, tj. do chwili kiedy międzywojenna reforma rolna nie była na dobre rozpoczęta. Na stronie 73 "Rocznika" znajdują cyfry późniejsze z r. 1931. Tam obszar ziemi użytkowanej rolniczo w gospodarstwach mających 50 h. i wyżej podany jest jako 18% całości. Późniejszych cyfr nie znajdują w "Roczniku", jednak biorąc pod uwagę, że reforma rolna była dalej przeprowadzana, sądzę, że cyfra ta przed wybuchem wojny winna wynosić musiała około 15%.

Podobnego sprostowania wymaga także i dalsze zdanie artykułu, w którym autor podaje, że gospodarstwa karłowate od 1 do 5 ha stanowiły: "64,2% ogólnej liczby gospodarstw, a miały w swym władaniu 14,8% ziemi użytkowanej rolniczo". "Rocznik" na str. 69 cyfrę tę określa na 25,1% ziemi użytkowanej rolniczo a nie 14,8%. Cyfry te również dotyczą r. 1921, a więc okresu przed rozpoczęciem reformy rolnej.

Nie ulega wątpliwości, że Polska była — i jest jeszcze krajem przełudnionym rolniczo, i że istniał w Polsce przedwojennej kontrast pomiędzy gospodarką folwarczną a niepomierne rozdrobnioną własnością chłopską. Jednak faktem notorycznym było, że zapas ziemi w rękach większych właścicieli był niedostateczny aby nawet całkowite jego wyłączenie mogło uzdrowić gospodarstwa karłowate. Nie uzdrowiła ich też konfiskata dokonana przez obecnych komunistycznych władców Polski, pomimo iż mieli oni do dyspozycji poza tym znaczne obszary ziemi w prowincjach Zachodnich.

Edward RACZYŃSKI.

Cyfry kwestionowane przez p. Edwarda Raczyńskiego w moim artykule nie są błędne. Jestem jednakże wdzięczny p. Raczyńskiemu za zwrócenie na nie uwagi, ponieważ przyznaję, że wymagają dodatkowego omówienia.

Część pierwsza mego artykułu zawiera krótki przegląd sytuacji gospodarczej w Polsce w okresie międzywojennym. Jest to wstęp do właściwego tematu, a mianowicie do omówienia zmian gospodarczych przewidzianych w planie 6-letnim. Z konieczności poszczególne zagadnienia poruszane były w wielkim skrócie. Dla uniknięcia nieporozumień, wprowadziłem szereg odnośników, które moim zdaniem dostatecznie wyjaśniały tezy postawione w artykule.

Zgodnie z podanym odnośnikiem, a mianowicie M. R. St. 1939, str. 68, podałem, że gospodarstwa rolne poniżej 5 ha stanowiły przed

wojną w Polsce 64,2% ogólnej liczby gospodarstw. Ten wysoki procent ilustruje niezdrową strukturę gospodarstw rolnych. Liczba gospodarstw posiadających 50 ha i więcej podana jest przez wspomniane źródło na 0,5% całości.

Zestawienie nie byłoby kompletne, bez wskazania, jaka część całej powierzchni rolnej należała do gospodarstw poniżej 5 ha, a jaka do gospodarstw powyżej 50 ha. Cyfry użyte przeze mnie są całkowicie wytłumaczone drugim odnośnikiem, a mianowicie książka W. E. Moore: "Economic Demography of Eastern and Southern Europe", wydana przez Ligę Narodów w 1945 r. (a nie w 1949 r., jak chce ko- rektor "Kultury") str. 82.

Dla ilustracji problemu własności ziemi, należy użyć pojęcia "powierzchni rolnej" (w jęz. ang. Agriculture Land) lub "powierzchni gospodarstwa rolnego", rozumiejąc, że lasy i wody są tu wyeliminowane. Pojęcia inne jak "ziemia orna", lub "powierzchnia użytkowana rolniczo" są ważne z punktu widzenia upraw lub produkcji rolnej. Dla opisania stosunków majątkowych istotna jest, moim zdaniem, "powierzchnia rolna".

Mając na uwadze wspomniany odnośnik, nie wytłumaczyłem dokładnie pojęcia jakiego użyłem, zadawając się określeniem "ziemi użytkowanej rolniczo". Jest to źródłem nieporozumienia i spowodowało wątpliwości p. E. Raczyńskiego.

Mając powyższe wyjaśnienia na uwadze, łatwo stwierdzić, że tabela Nr 2 na str. 69, MRSt. z 39 r., na którą powołuje się p. Raczyński, daje cyfry prawie takie same jak przytoczone przeze mnie w artykule. Mianowicie podaje ona, że gospodarstwa poniżej 5 ha stanowiły 64,7% ogólnej liczby gospodarstw, a posiadały 15,3% powierzchni ogólnej gospodarstw. Tabela ta jest jednak nieprzydatna dla zestawienia z poprzednio cytowaną tabelą Nr 1 na str. 69 tego "Rocznika", ponieważ nie daje porównywalnego rozbitcia gospodarstw wg. wielkości. Tabela Nr 5, na str. 73, wymieniona również przez p. Raczyńskiego, jest dla problemu, którym się zajmujemy, nieprzydatna, ponieważ nie podaje danych dotyczących ogólnej powierzchni rolnej gospodarstw. Tabela ta przedstawia trzy grupy, a mianowicie: gospodarstwa poniżej 50 ha, powyżej 50 ha, oraz "Grunty związków prawa publicznego". Bez rozbitcia dokładniejszego ostatniej grupy przydatność tabeli jest ograniczona.

Aby wybrnąć z trudności odwołałem się do książki W. E. Moore. Dane przytoczone odnoszą się do roku 1921. Przyznaję rację p. Raczyńskiemu, że data ta powinna być w artykule wspomniana. Jej brak jest przeoczeniem. Jeśli jednak czytelnik sięgnie do podanego źródła, znajdzie tam następujące wyjaśnienie:

"...distribution by area represents 1921 data, from International Institute of Agriculture, Agricultural Problems in Their International Aspect, Documentation for League of Nations, International Economic Conference, May, 1927 (Geneva: 1926) u. 369. Since the latter figure represents the situation before the agrarian reform, the concentration of large holdings is now certainly smaller. Both figures apparently include holdings under 1 hectare, not distinguished in the statistics. In the case of the area distribution the inclusion of these small holdings probably offsets part of the overrepresentation of large holdings."

Nie znam dokładnych cyfr dotyczących podziału powierzchni rolnej pomiędzy drobne i duże gospodarstwa w Polsce w latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej. Przypuszczam, że można, przy pewnym wysiłku, znaleźć na to odpowiedź. W krajach bałtyckich, o typowo wielkocłopskiej strukturze rolnej, gospodarstwa powyżej 50 ha posiadały, według Moore: na Litwie 15,1%, w Estonii 18,1%, na Łotwie 25,3% całkowitej powierzchni rolnej. Procent ten był w Polsce z pewnością wyższy niż na Łotwie. Dokładne cyfry z końca lat trzydziestych złagodzą dane z 1921 r., nie osłabią jednak tezy o chorobliwej strukturze własności rolnej w Polsce.

Zgadzam się całkowicie z stwierdzeniem p. Edwarda Raczyńskiego,

że "zapas ziemi w rękach większych właścicieli był niedostateczny aby nawet całkowite jego wywłaszczenie mogło uzdrowić gospodarstwa karłowate". Jedynym sposobem na uzdrowienie gospodarstw karłowatych jest — ich likwidacja. Nie jest to zadanie w Polsce ani szybkie ani łatwe. Droga prowadząca do niego jest w pierwszym rzędzie stwarzanie nowych możliwości zatrudnienia poza rolnictwem, a więc uprzemysłowienie kraju. Parcelacja wielkiej własności ziemskiej w Polsce była również jednym z niezbędnych zabiegów gospodarczych. Niestety zabieg ten nie został przeprowadzony. Skorzystali z tego z radością komuniści, aby przeprowadzić własną "reformę", i aby zapewnić sobie popularność wśród części ludności rolniczej, w pierwszym najtrudniejszym dla siebie okresie.

Nie w tym leży jednak dzisiaj sedno zagadnienia. Reforma rolna, nawet taka jak jest, jest jedną ze zmian gospodarczych, która w swoim trzonie jest zmianą nieodwracalną. Powrót do "status quo", jest niemożliwy. Pozostaje pytanie, jak wyobrażamy sobie organizację rolnictwa w Polsce w przyszłości?

Konstanty BRZÓSKA.

SPROSTOWANIE

W artykule K. Brzóska pt.: «Sytuacja gospodarcza Polski — plan sześcioletni», zamieszczonym w Nrze 1/39 «Kultury» omyłkowo podano złą kolejność w Tabeli Nr IV, na str. 86. Mianowicie kolejność słów w pierwszej kolumnie Tabeli ma być następująca: *Pszenica, Żyto, Jęczmień (dalej bez zmian)*.

REDAKCJA

Kronika kulturalna

Felieton teatralny

Echa okrzyku: "Precz z monopolem"

Za poprzednią pogadankę teatralną pt. "Precz z monopolem" Terlecki, ojciec duchowy teatru polskiego na emigracji, zmył mi głowę. Uznał, że artykułik był jednostronny, bo teatr polski obok stron słabych ma i swoje dobre (tak jak się to przed wojną mówiło o Warszawie: "ma swoje wady, ale ma i swoje szaloty"). Odpowiedziałem potulnie, że tak, ale ja się uparłem, żeby w tamtym felietonie napisać o wadach, bo przecież ktoś musi wziąć na siebie to odium kulis, jak ten Winkelried te dzidy w pierś naga.

Z Hemarem wymieniliśmy serdeczne listy:

"Zastanowiło mnie — pisze Hemar — że o prostej, dość rzewnej piosence Władysław Majewskiej napisał pan coś w tym rodzaju, że: "jeśli nasza tęsknota do Lwowa ma się wyrażać tęsknotą do upicia się, to"... itd. Co by pan pomyślał, gdyby ktoś o panu napisał, że "jeśli po to wojsko się sposobilo na Środkowym Wschodzie, aby pan Kowalewski mógł jeździć do dzielnicy zakazanej w Bagdadzie, to"... itd? Zdaje mi się, że ta metoda oceniania rzeczy była niegodna pióra... pan Kowalewski chlapanął nieładne głupstwo, niegodne pana Kowalewskiego"...

Racja. Chlapanąłem głupstwo. Przeczyłem, że w piosence chodzi o pijaństwo duszy, nie ciała, o poetycką metaforę, nie o naturalistyczny obrazek. Ale zrobiłem to prowadzony szlachetną intencją — troską o wysoki poziom poezji i satyry Hemara, dla którego jako dla poety mam ogromny szacunek, bo uważam go za wielkie zjawisko poetyckie o niezwykle szerokiej skali odczuć. Cieszę się, że się do tego głupstwa przyznaję, cieszę się, że jestem omylny i że się umiem mylić. Najbardziej zniechęcony przeze mnie gatunek ludzi to "nieomylni", po-

nieważ z nich się rodzą hitlery i staliny. Hemarowi dziękuję, że mi trochę po bratersku, trochę po ojcowsku zwrócił uwagę na błąd.

Kielanowski z wrodzonym sobie łagodnym smutkiem powiedział mi, że twierdzenie, jakoby on dążył do monopolu jest "bez pokrycia" (łagodny synonim "nieprawdziwego"). Przecież on nie zabrania nikomu grać w swym teatrze lub poza teatrem.

Oczywiście że nie, ale ja nie o monopolu formalnym mówię, tylko o tym nieuchwytnym monopolu moralnym na własne idee i opinie, o tej niechęci do wszelkiej krytyki, o tym, że każdą sztukę, wystawioną przez siebie, uważa się za najlepszą, o tym, że każdą inną myśl i inicjatywę odrzuca się tylko dlatego, że jest inna, o tym, że dla nas, Polaków (nie mówię specjalnie o teatrze Kielanowskiego) każde wytknięcie błędu naszego jest kamieniem obrazy, a nie źródłem nowych natchnień i ulepszeń.

Takim skrajnym, klasycznym objawem monopolu na własne zdanie jest na przykład "Dziennik Polski". Ani pan Kirken, ani kolega Horko nikomu nie zabronią założenia i prowadzenia innego dziennika, ale niech tylko kto spróbuje pisać słowo krytyki o "Dzienniku". Będzie niszczone i przekłety do siódmego pokolenia. Wjedzie przede wszystkim na szmatławe szpalty "Bywalca", tej najbardziej niechlujnej, ordynarnej, megalomańskiej rubryki prasy polskiej — tak chętnie, niestety czytowanej. Albo też, jeśli jest pisarzem, zjedzie ze szpałt "Dziennika", w ogóle umrze za życia.

Żeby znowu nie było, że to "bez pokrycia", to opowiem własne doświadczenia, jako, że do opowiadania cudzych nie jestem na razie upoważniony.

Pisywałem kiedyś dość często do "Dziennika" i nierzadko byłem drukowany. Ale to się nagle urwało, a dlaczego opowiem. Napisałem kiedyś do Horki, miły raczej, list — z prośbą o wydrukowanie — krytykujący zaniedbania językowe w "Dzienniku" (anglicyzmy, uparte stawianie "się" zawsze po czasowniku, dyktowane rzekomą hiperpoprawnością i inne), głupotę Hestii, brukowość wyborów "królowych piękności", krzykliwość "Bywalca". Listu oczywiście nie wydrukowali, nie raczyli mi odpowiedzieć pocztą i z miejsca gruntownie o mnie zapomnieli. Na każdą moją propozycję zamieszczenia czegokolwiek odpowiadają odmownie.

Poinformowany, że "Dziennik" poszukuje właśnie dłuższego opowiadania na kilka odcinków, wysłałem szybko takie opowiadanie — wróciło *nazajutrz*, jak się wolno domyślać, nieczytane. Opowiadanie to, wydrukowane potem w innym polskim piśmie, wywołało zainteresowanie czytelników, o czym świadczyły listy i opinie ustne. Wyjeżdżając na proces Rousseta, proponowałem reportaż. Nie. Nic ode mnie nie chcą.

Więc o taki monopol mi chodzi. O tę nietykalność, o ten brak ducha pracy zespołowej, która przecież oparta być musi

nie na samodurze, ale na samokrytyce. I z takim monopolem będę walczył nadal — o demokrację, tolerancję i odrodzenie polskiego ducha pracy zbiorowej przez mówienie prawdy w oczy — choćby nawet takim potentatom jak obrażalscy monopolisci z "Dziennika Polskiego".

"Najlepszy teatr polski"

Mam wrażenie, że pismem, które z uśmiechem Mony Lizy drukuje chętnie najbardziej nawet krytyczne uwagi o sobie i tym samym daje nam pogładowe lekcje demokracji i tolerancji są "Wiadomości" Grydzewskiego... Tylko, że: sam Grydzewski, jak słyszałem, potrafi wszystko, co wchodzi w zakres prac redaktora i pisarza z wyjątkiem jednej rzeczy, mianowicie współpracy. Absolutny dyktator. Dobry dyktator, ale nie słucha żadnych rad.

Teatrem, który z wdziękiem i znajomością rzeczy wykiwa nasze i własne wady jest teatr Hemara... Tylko, że: sam Hemar potrafi dosłownie wszystko oprócz konferansjerki, a mimo to nie zaprosi do swego teatru Jarosiego, który jest chyba najlepszym konferansjerem świata. Bo to by już wymagało współpracy.

O politykach polskich już nie mówię. W ostatniej rewii Hemara, "Bywalec", Czerwińska śpiewa z wdziękiem dowcipny tekst Hemara o tym, jacy to my Polacy jesteśmy samowystarczalni. Polski lekarz wydaje pół korony na polski teatr, to pół korony krąży z polskiej rączki do polskiej rączki aż trafi do Polskiego Skarbu Narodowego, skąd otrzymuje je polski polityk i srebrny krążek, zatoczywszy wielki krąg, trafia znowu do polskiego doktora, bo ten doktor jest... psychiatrą.

Nasze obraźliwość, krzykliwość i w gruncie rzeczy nieporadność wobec nagłych nieszcześć wykiwa skecz "W windzie". Gromadka Polaków jedzie na szóste piętro na akademię ku czci zgody narodowej. Gdzieś w środku drogi winda się zacina. Przede wszystkim szuka się winnych. "To pan, boś pan nacisnął"... Ja? No to ciśnij pan sam"... "Panie, tylko nie "no", tylko nie "no". Pan nie wie, do kogo pan mówi".

"Bywalec" z "Dziennika" odegrał Malicz bardzo dowcipnie, ale z pewnym zażenowaniem. Myślał pewnie o tym, że wjedzie na szpalty. Ale że Hemar się nie bał nazwać to — to "padalcem", to brawo. Jest nas już trzech odważnych.

O Toli Korian, mimo całej odwagi, boję się już pisać, a dlaczego zaraz się wyjaśni. Jest w tej rewii jeden skeczyk, w którym Hemar dobroliwie odgrywa się na mnie za poprzednią recenzję w "Kulturze". Umieszcza mnie w kuchni jako kuchcika, a szef mnie gania to po sól, to po pieprz, a ja tylko zębem zgrzytam i mówię: "Tak jest, panie szefie". Później opowiadam szefowi w ostatniej rewii Hemara: "Wszystko lipa, jedna tylko pani Terlecka dała mi cielesne zadowolenie". "Coś się pan

taki kulturalny krytyk nagle zrobić, panie Kowalewski" — powiada szef.

Tola Korian-Terlecka daje mi pełnię szczęścia, ale tylko artystycznego. Niestety.

Nie miałbym do Hemara o ten skecz pretensji, bo Malicz dorastał do mojej roli, głównie wzrostem, podobnie jak Zięciakiewicz do roli mego szefa, — gdyby nie to, że szef wygrywa na poolu 500 funtów. Dlaczego nie ja?

Z całej rewii nie zrozumiałem tylko jednej rzeczy — piosenki pt.: "Liść", którą śpiewała Włada Majewska z dużym sztucznym liściem w roli tytułowej. Mam nadzieję, że w następnym liście Hemar mi to wyjaśni.

Wydaje mi się, że piosenka Czerwińskiej o "Giocondzie" nie była w tej rewii potrzebna, bo nic nowego nie wniosła. I pomysł nie nowy i piosenka "pod Ordonkę". Hemara i jego zespół stać na to, aby szukali nowych pomysłów i własnych środków ekspresji artystycznej.

Na zebraniu aktorów tzw. "poza-filialnych" (to znaczy grających — na poolu) powiedział Jarossy, że za jedyny dobry teatr polski na emigracji uważa teatr Hemara. Jeśli wziąć pod uwagę, że mówi to były dyrektor teatru "Siniąją ptica", twórca "Qui pro quo" i "Cyrulika", a obecnie robotnik fabryki ciastek, nie zatrudniony w teatrze Hemara, to pochwała ta nabierze wyjątkowej ceny.

A co by to był za teatr, gdyby Hemar i Jarossy połączyli się nareszcie... Ba, zbyt są dobrymi Polakami, aby mogli zrozumieć nie polskiego ducha współpracy.

Po coś przyszła?" a nie: "Po co przyszłaś"

Jestem wdzięczny teatrowi "Komedia" za pokazanie sztuki Peyert-Chapuis pt. "Po coś przyszła, Judyto?" (nie może mi przejść przez maszynę wersja polskiej tłumaczki: "Po co przyszłaś, Judyto?"). Sztuka jest pocieszająca. Pociesza nas mianowicie faktem, że i we Francji nie brak grafomanów. Istnieje cały bardzo licznie reprezentowany w literaturze światowej gatunek ludzi, piszących na pograniczu literatury i grafomanii. Jedni bardziej zbliżają się ku granicy prawdziwego pisarstwa (jak np. angielski Priestley), inni są bliżsi tamtej granicy, jak na przykład nasi Budzyński i Chudzyński.

Autor raz jeszcze i jeszcze raz niepotrzebnie, modernizuje biblijną wersję o Judycie i Holofernesie, mimo że zrobił to już Giraudoux dużo lepiej od niego, chociaż też nie wiadomo po co. Jedni modernizują Antygonę, inni Judytę, a inni Dziewicę Orleańską. Bo to, oczywiście, łatwiej napisać trzy po trzy i bzdure nazwać fantazją niż przedstawić prawdziwą atmosferę historyczną i prawdziwych ludzi.

Chapuis wprowadza radio, telefon, browning, samoloty, ale zabija całą prawdę psychologiczną legendy biblijnej. W biblii, mimo całej tendencyjności opowieści, ta prawda jest. Jest gra

żywych namiętności — tygrys ginie od ukąszenia jadowitej żmiji — w wersji Chapuis lew przeradza się w skorpion a i truje się własnym żądłem.

Do namiotu Holofernesa wchodzi nagle Judyta. Po towarzyskiej wymianie niegrzeczności wyjawia cel wizyty: przyszła go prosić o zwolnienie z obozu jeńców kochanka, Achaba. Holofernes, w odpowiedzi na tę prośbę daje sekretnie polecenie rozstrzelania Achaba. A przed Judytą tchórzliwie kręci, jak sztabak, który zrobił kleksa. Potem jej się oświadcza z miłością i równocześnie przyznaje do zbrodni — z miłości. Ona ulega tej "miłości" i idzie z nim do łóżka — polowego. Ale już w trzecim akcie jest nim znudzona i znowu zaczynają się kłócić, jak w pierwszym akcie. Wtedy on jej się skarży na swoją samotność, żebrze o prawdziwą miłość, ofiarując w zamian zaniechanie wojny z jej rodzinnym miastem. Ona nie przyjmuje tej oferty, bo jej się forma nie podoba — ona jest estetyka, sybarytka, hedonistka. Więc niech zginie parę dziesiątków tysięcy ludzi. Wtedy on daje rozkaz swoim samolotom i tankom, aby szły w bój, a sam strzela sobie w głupi łeb. Biedny zakochany dyktator.

Aby ten cały kryminalny bigos był jako tako do przełknięcia, autor podlewa go sosem rzekomej fantastyki, czyli jednym słowem, czując mojrę przed krytyką i publiką, kradnie chwyt Greków, zwalając wszystko na wszechwładną Mojrę. Zapomina tylko, że u Greków grały prawdziwe namiętności w prawdziwych ludzkich sercach, a Mojra była tylko czymś w rodzaju pecha. Chapuis zaś tworzy świat sztuczny, dęty atmosferą fałszywej poezji, a całą winę za to, że to się nie trzyma kupy zwała na Mojrę.

Chapuis oparł się na głupiej romantycznej konwencji, że miłość potrafi zwyciężyć wszystko. Terefere. Dyktatorzy dlatego są dyktatorami, że potrafią gruntownie zdeptać miłość w sobie, i w innych. Trzeba przykładów? Trzeba łokciowych cytata z dzieł psychologicznych? Wystarczą dwa przykłady: hitleryzm i stalinizm, które wyrosły z marksistowskiej filozofii nienawiści jako jej dwa bieguny.

Bystrzanowska pokazała w roli Judyty dużą skalę, duży wdzięk, piękne ramiona, ale wzruszeń budzić nie mogła. Taki tekst nie wzruszy. Skwierczyński w roli Holofernesa nie wiedział kogo grać: silacza, Wertera czy wariata. I to dobrze o nim świadczy.

Dekoracje Orłowicza b. dobre, — proste i z sensem zastosowane (o ile przy tym tekście cokolwiek mogło mieć sens).

Przekład... Żeby tłumaczyć trzeba znać co najmniej dwa języki — ten, z którego i ten na który. Tłumaczka robi wszystko, aby język w tej "Po co przyszłaś?" był inny niż ten zwyczajny język polski, którym się ludzie porozumiewają między sobą. Ten przekład językowi polskiemu tylko dlatego krzywdy nie robi, że tłumaczka stale krzywdę "czyni", słowo "robi" jest dla niej za mało wyszukane.

Jeśli mimo to wszystko czuję wdzięczność dla teatru "Komedii" za pokazanie tej sztuki, to dlatego, że reżyseria Heleny Zelwerowicz "uczyniła" wszystko, aby sztukę można było oglądać i przeżywać. Nie mało również przyczyniły się do tego — jak już zaznaczyłem wyżej — ramiona Bystrzanowskiej. Chociaż wolałem ją w "Roxy" bez ramion.

Noc przeminęła.

Ale nie noc teatru polskiego na emigracji, niestety.

Czuję się jak chirurg przed ryzykowną operacją: ciąć czy nie ciąć — oto jest pytanie.

Ciąć. Jestem zwolennikiem kuracji wstrząsowej, bo sam jej wiele zawdzięczam. Ale jeśli spowoduję cierpienie bez uzdrowienia? To nie — lepiej nie ciąć. Ba, to chory i tak zamrze. Tylko że nie z upływu krwi a z braku dopływu. Ciąć. Jestem żołnierzem, a żołnierza ucza: "z wielu decyzji możliwych wybierać najśmielszą". Ale czy mi potem starczy sił, żeby wytrzymać napór zranionych ambicji... Może lepiej nie ciąć?

Kiedy tak się waham, wchodzi listonosz i daje mi list od Jana Bielatowicza:

"Sądzę, że dr Terlecki złą wyrządził Panu przysługę przez przesadzone porównania i koligacje literackie... jestem pewien, że nie należy przeceniać dotychczasowej Pańskiej twórczości... Tymczasem Terlecki już Panteon Panu funduje... działalność "wielkiej trójki" — Nowakowski, Stroński, Terlecki — jest pomniejszaniem ambicji naszej emigracji i troczeniem jej w pęta frazesu patriotycznego"...

Brawo. Oto człowiek, oto słowa. (Nie zgadzam się co prawda z oceną roli "wielkiej trójki", ale Panteon mi się nie należy). A więc ciąć za przykładem Bielatowicza. Ciąć "pęta frazesu". Bić drogę prawdziwej sztuce.

"Noc przeminęła" to chyba najgorszy z kiczów Budzyńskiego. Nie ma nawet wartości reportażu, jak "Displaced persons", bo opowiada o rzeczach nieznanymi autorowi. Jest to czystej wody agitka. Taka sama jak setki tysięcy po tamtej stronie żelaznej kurtyny. Wystarczy tylko zmienić znaki przed nawiasem.

A czego to w tych nawiasach nie ma! Jest i sztandar narodowy, i opłatki, i sianko pod białym obrusem, i niezłomny patriotą z ludu (tak jak po tamtej stronie jest zawsze żelazny bolszewik bez skaz i zmas), i "Bóg się rodzi", i to puste miejsce, przeznaczone dla żołnierza Polski Podziemnej... A sztuki wciąż brak. Tym bardziej, że cały ten tłok rekwizytów patriotycznych jest niedbale, nonszalancko ześciubiony sobotnim sztychem na niedzielny targ.

Antoni Bogusławski zwracał już w "Dzienniku" uwagę — b. delikatnie — na wady konstrukcji, sugerując Budzyńskiemu pomysły kilku poprawek. Ja stanowczo odradzam, panie Antoni — nie warto. Lepiej żeby Budzyński rzucił do kosza agitkę i zabrał się do pisania sztuki. Niech zapomni o tradycjach senty-

mentalnej łatwizny wojennej, o "humorkowatej" manierze "Lwowskiej fali", niech zastanowi się nad tym, co to jest charakter postaci w sztuce a potem niech w imię Sztuki zacznie żyć na nowo. A przede wszystkim niech obserwuje ludzi dookoła siebie. Żywych ludzi. A jeśli stwierdzi, że nie umie — moim zdaniem jednak, chcieć to móc — to niech już zostanie "Pod Grzybkiem".

Nie Budzyńskiego to jednak wina, że spod "Grzybka" wskoczył na deski teatru imienia Słowackiego... Imienia Słowackiego. To wina Kielanowskiego, który, zgodnie z zeznaniem Budzyńskiego, zamówił u niego ten kicz. A po co? Żeby nas agitował przeciw bolszewikom? Żeby nam powiedział, że w Polsce jest okupacja rosyjska?

Ależ my o tym wiemy lepiej od Budzyńskiego, który problem zmory totalistycznej ujął w tym kiczu od zupełnie nieistotnej strony. Pokazał nam mianowicie komunistów karierowiczów. A to w komunizmie nie jest ani, jak powiadam, istotne, ani groźne. Nie jest groźne, bo karierowicze będą nam stawiali bramy triumfalne, kiedy zjawimy się u granic Polski na białych czolągach. A nieistotne jest dlatego, że prawdziwymi naszymi wrogami są komuniści-fanatyki, komuniści-szaleńcy, czerwoni bigoci. Pokazać mechanizm duchowy tych ślepców — oto zadanie.

A może Budzyński chciał nas pocieszyć, że są tylko karierowicze, a nie ma fanatyków? I że niezłomni są tylko po naszej stronie? Niestety. To jest prymitywizowanie rzeczywistości, uklepywanie bogatego świata duszy ludzkiej do poziomu własnych pragnień i wymiarów własnego formatu.

Największą pocięką dla nas byłaby świadomość, że powstała nowa, prawdziwie dobra sztuka teatralna, oparta o prawdę psychologiczną, warta tłumaczenia na angielski, lub posłania do kraju tajną pocztą. Rozpacz ogarnia, jak się pomyśli, że my tak beztropko marnujemy tutaj bezcenny skarb wolności!

Jest jednak jeden punkt jasny w tej ciemnej nocy — która wciąż trwa: gra pary Butscherów. On zwłaszcza — to świetny aktor. Że go Kielanowski wydobyl na światło dzienne, pokazał i utrzymał w swoim teatrze — to jego dobry tytuł do zasługi. Bo w teatrze dramatycznym 2. Korpusu Butscher był chowany jak najgłębiej, zagrzebany w robocie administracyjnej i tłumaczony. Dlaczego? Bo przecież talent miał chyba ten sam co dziś. Z talentem się człowiek rodzi. I na to też nie ma rady.

Gdyby Budzyński dobrze się przyjrzał grze Butschera, to by zrozumiał, dlaczego napisał złą sztukę. Butscher był prawdziwy, Butscher siłą talentu zmienił konwencję sceny w prawdziwą budkę dróżnika. A Budzyński budkę dróżnika zamienił w najgorszą konwencję sceniczną.

"Ulica Podwale 7"

Ręce już opadają. Nawet chirurgowi. Bo okazuje się nagle, że

Budzyński to jest Szekspir, który oto znalazł swego Budzyńskiego. A tym Budzyńskim jest Chudzyński.

Jak tu pisać recenzję z czegoś takiego jak to "Podwale"? Opowiem treść, jeśli to treścią nazwać można.

W piwnicy domu Podwale 7 jest punkt opatrunkowy Armii Krajowej. Spadła bomba na dom. Schron się nie zapadł, ale został przywalony gruzami domu i z lazaretu przekształcił się w żywy grób pięciorga ludzi: siostry, księdza, żołnierza A.K. imieniem Felek, umierającego z ran jeńca niemieckiego i Wasyla, oficera łącznikowego armii czerwonej. I telefonu, o którym od samego początku wiadomo, że na końcu odegra rolę "niespodzianki". Wszystkie osoby grobu, z wyjątkiem księdza — i telefonu — popadają w krótkotrwałe stany hysterii, spowodowanej lękiem przed śmiercią. Czynniki psychologiczne, znaczą się. Ale i na tym wiedza autora o psychologii się kończy. Książka ich wszystkich nabiera na czas: cofa zegarek, aby pozostałym się wydawało jak najdłużej, że szanse ratunku z zewnątrz jeszcze nie stracone.

Wszyscy są szlachetni, z wyjątkiem Wasyla. Niemiec skłonny i zdolny do największych ofiar i poświęceń. Bohater i stoik. Patriota i człowiek. Wasyl — zupełne bydlę, gorzej niż bydlę. Klóci się o kawę, bluźni przeciw religii, a wreszcie, kiedy wydaje się "kłamstwo" księdza i znika nadzieja ratunku — żąda ni stąd ni zowąd, bo dotychczas nawet na nią nie patrzył, jedynej w tym towarzystwie kobiety. Szamocze się z Felkiem, wymachuje naganem, zabija Felka, po drodze i Niemca, a kiedy odzywa się, milczący przez przeszło dwie doby, telefon, Wasyl nagle klęka i się modli. Tak samo nic nie zwiastuje tej modlitwy, jak nic przed tym nie usprawiedliwiało jego nagłego żądania kobiety.

Wydaje mi się, że Chudzyński pretenduje do zaszczytnej nazwy "pisarza katolickiego". Jednak pisarstwo katolickie nie polega na stłoczeniu rekwizytów liturgicznych, z winem mszalnym łącznie, tylko na zejściu w głąb dusz ludzkich.

Sztuka prawdziwa polega na tym, aby rzeczy jak najbardziej typowe pokazywać w odmianach jak najbardziej indywidualnych. Z pięciu tu występujących figur żadna nie jest ani typowa ani nie zdradza najmniejszego rysu indywidualnego.

Wasyl, bo o niego głównie chodzi, nie jest — mimo zamierzeń autora wyraźnych w tym kierunku — typowym bolszewikiem rosyjskim. Jeżeli jednak Wasyl jest już takim zwyrodniałym, psychopatycznym zwierzęciem z zaburzeniem sfery instynktu samozachowawczego — bo to ostatecznie też byłoby możliwe, jakkolwiek nie typowe — to powinien, po usłyszeniu dzwonka w telefonie, albo zastrzelić księdza i sanitariuszkę żeby nie mieć świadków swej zbrodni, albo okazywać dziki strach przed oczekującą go karą. I to by było przynajmniej logiczne.

Język bardzo zły. Ubogi, nieporadny, niewarszawski. Przyśłówka "krótko" w znaczeniu że brak czegoś, że się coś kończy

("krótko z morfiną") nie używała żadna dzielnica Warszawy — oprócz dwu: Nalewek i Earlscourtu ("zu kurz", "too short").

Aktorska strona imprezy wydaje mi się na poziomie. Rewkowski wydusił z tej strasznej roli Wasyla co mógł. Ślawkowski w roli Niemca — świetny. Arczyńskiej by należało zalecić większy umiar w ekspresji.

Reżyseria nie nadrobiła w najmniejszym stopniu braków tekstu. ▽

Nie wiem, czy Kielanowskiemu będzie potrzeba jeszcze więcej doświadczeń dla zrozumienia tej prawdy, że naszym zadaniem w zakresie teatru nie jest produkcja szmirowatych agitek, ale podjęcie trudu stworzenia wielkiej sztuki. Mamy na to jeden ale najistotniejszy warunek — wolność, której nie ma Kraj.

Krwia już ocieka mój lancet chirurga. Z jaką przyjemnością siadam teraz do maszyny do pisania, aby stwierdzić, że naszą sztukę teatralną stać na rzeczy świetne.

"Amatorzy górą"

21 grudnia ub. r. z inicjatywy takich amatorów teatru jak Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego i Związek Artystów Scen Polskich na obczyźnie odbyło się — celem uczczenia 25 rocznicy śmierci Stefana Żeromskiego — nieinscenizowane przedstawienie jego sztuki "Uciekła mi przepióreczka w proso".

Zespół zmontowano też z nie byle jakich "amatorów". Grali kielbaśnicy, robotnicy, odlewacze guzików, kolejarze. Zakładałam się o wąż Stalina, że żadna demokracja ludowa nie ma takiej brygady teatralnej. Tak "amatorskiej" i tak proletariackiej.

Ludzie zeszli się wprost z roboty, rozsiadli na scenie londyńskiego "Ogniska" i zaczęli czytać. Ale jak! W oczach publiczności odbyło się misterium zamiany Słowa na chleb i wino Sztuki.

Publiczność też musiała być niepoślednio amatorska, skoro tych prostych demokratów z ludu nie chciała puścić ze sceny, wołając "mało, mało", jak gdyby Żeromski mógł nagle ożyć i napisać więcej.

Odczyt o twórczości Żeromskiego wygłosił też nie byle jaki amator teatru — dr Tymon Terlecki — jeden z inspiratorów imprezy.

Inicjatorzy omawianego wieczoru postanowili organizować co miesiąc podobne imprezy z całkowitym lub częściowym udziałem aktorów "pozafilialnych". No to szczęście Boże. Byłoby dobrze, abyśmy mogli obejrzeć możliwie największą liczbę tych "amatorów" z fabryk i "undergroundu".

Janusz KOWALEWSKI

Szkoła Nauk Politycznych

Mamy na emigracji coraz więcej młodych ludzi, którzy mierzeni kryteriami kraju zamieszkania, są ludźmi o wyższym wykształceniu — mierzeni jednak kryteriami polskimi, nie są nawet pół-inteligentami.

Osobiście znam młodych ludzi, którzy kończą studia uniwersyteckie w Anglii, lecz wątpię czy zdaliby egzamin z historii polskiej z 3 do 4 klasy gimnazjalnej w przedwojennej Polsce.

Pewien młody dyplomowany architekt (studia w Londynie) prosił mnie niedawno, bym mu wytłumaczył na czym właściwie polega różnica między Konstytucją z 1921 r. a Konstytucją z 1935 r.

Takich przykładów można by cytować dziesiątkami.

Osobną grupą stanowią ci, którzy albo przerwali wyższe studia w 1939 r. albo nie zdołali ich w ogóle rozpocząć, choć posiadali po temu konieczne warunki.

Istnieje wreszcie liczny proletariát inteligencki: ludzie z akademickim wykształceniem, często o wybitnych kwalifikacjach, których życie i walka o byt odsunęły od kontaktu z życiem umysłowym.

Dla tych wszystkich Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych stanowi rozwiązanie jednego z najtrudniejszych problemów emigracyjnego życia. W Anglii stosunkowo łatwo zarobić można pracą fizyczną na minimum utrzymania. Jest natomiast niepomniernie trudniej, pracując fizycznie na chleb, utrzymać dawne zainteresowania, nie dać się zepchnąć w ów stan umysłowego bezwładu, który stanowi mieszaninę zmęczenia, goryczy i rezygnacji. Kto osobiście tego nie przeszedł i nie doświadczył, ten nie oceni w pełni znaczenia instytucji tego typu co S.N.P.S. Instytucja ta wychodzi bowiem w pół drogi ku inteligentowi — z «displaced persons» najbardziej «displaced».

Londyńska Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych spełnia trojakie zadania. Po pierwsze, jest akademicką uczelnią umożliwiającą zdobycie wyższego wykształcenia tym wszystkim, którzy nie mogą studiować na uniwersytetach obcych czy to z uwagi na przekroczoną granicę wieku czy z braku środków pieniężnych. Wykłady na S.N.P.S. odbywają się wieczorami, by umożliwić pracującej inteligencji studia.

Polscy studenci angielskich akademickich uczelni mogą godzić swoje studia fachowe z wykładami na S.N.P.S. i w ten sposób uczyć się równolegle polskiej problematyki społecznej, ekonomicznej i politycznej. Dzięki temu młody człowiek, który zdobywa przygotowanie zawodowe na angielskim uniwersytecie ma możliwość ugruntowania swej wiedzy o Polsce, co niewątpliwie jest konieczne, jeżeli w przyszłości owa wiedza, zdobyta na obcym uniwersytecie, miałaby być zużytkowana dla do-

bra Kraju. Jeżeli młode pokolenie, które dojrzało na obczyźnie ma kontynuować w przyszłości emigracyjną akcję niepodległościową — jest rzeczą nieodzowną, by poza wykształceniem fachowym przyswoiło sobie przynajmniej ten zapas wiedzy o Polsce, który jest konieczny, by danego inteligenta móc nazwać «polskim inteligentem».

Trzecią funkcją, którą spełnia S.N.P.S. jest jej «College» korespondencyjny. Umożliwia on nie tylko systematyczną naukę tym, którzy mieszkają poza siedzibami szkoły, to jest, poza Londynem i Paryżem — lecz jest on również źródłem żywego kontaktu z polską myślą polityczno-społeczną dla rozsianych po świecie Polaków, którzy za takim kontaktem tęsknili.

Gdzieś w Australii jeden komplet skryptów Szkoły pręnumeryują ojciec i syn. Ojciec jest b. starostą powiatowym, a syn zdał maturę w palestyńskiej Barbarze. Obecnie pracuje jako robotnik. W tej chwili jest ponad 400 takich korespondencyjnych studentów S.N.P.S.

Czego można się nauczyć w Szkole Nauk Politycznych i Społecznych?

Oto przedmioty zasadnicze: Historia Polski — Nowoczesna Historia Polityczna — Prawo Narodów — Współczesne Idee i Ruchy Polityczne i Społeczne — Prawo Konstytucyjne — Główne Zagadnienia Ekonomii — Współczesne Problemy Społeczne — Studium Polski Współczesnej — Studium ZSSR — Studium Niemiec Współczesnych — Studium Krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Ubiegający się o dyplom S.N.P.S. muszą ponadto ukończyć jeden z trzech kursów: Kurs Służby Zagranicznej, Kurs Służby Społecznej, Kurs Dziennikarski.

Przeglądając wykaz wykładów uderza ogromna aktualizacja programu. W «Głównych Zagadnieniach Ekonomii» wykłady obejmują m. in. «Organizację Narodów Zjednoczonych i jej agendy gospodarcze», «Plan Marshalla», «Konceptje państwa światowego» itd. Wykłady nowoczesnej historii politycznej obejmują drugą wojnę światową i rokowania w Moskwie, Teheranie, Jałcie i Poczdamie. — Wykładowcami są profesorowie polskich uczelni akademickich przebywający w Anglii i wybitni specjaliści.

Na londyńskiej S.N.P.S. studiuje obecnie ponad 120 osób. Około dwie trzecie tej cyfry stanowią młodzi ludzie poniżej lat 30. Niestety, b. mały odsetek przypada na studentów angielskich uczelni. Ci studenci polscy, którzy równolegle studiuje na uczelniach angielskich i S.N.P.S. stanowią 15% ogółu słuchaczy Szkoły. Bardzo niski procent!

S.N.P.S. utrzymuje się w 75% z opłat studentów. W szkole londyńskiej opłaty wynoszą £ 2 za semestr. Nauka trwa 3 lata. W bieżącym roku akademickim odbędą się w lipcu pierwsze egzaminy dyplomowe. W maju br. Szkoła uznana została przez Rząd Polski za wyższy zakład naukowy w rozumieniu prawa polskiego.

Działalność Szkoły nie ogranicza się do centrali londyńskiej. Wszędzie tam gdzie istnieją siły naukowe posiadające kwalifikacje w zakresie wyższego nauczania i gdzie istnieje możliwość zorganizowania wykładów — tworzą się oddziały S. N. P. S. Pierwszym takim oddziałem Szkoły jest S.N.P.S. w Paryżu.

Studenci korespondencyjni, mieszkający w jednym okręgu tworzą grupy lokalne S.N.P.S. W czasie mojej wizyty w londyńskiej siedzibie Szkoły przy Bolton Gardens, nadszedł właśnie do sekretariatu zbiorowy list od 20 studentów korespondencyjnych ze Stanów Zjednoczonych. Studenci zawiadomili, że założyli lokalny oddział Bratniej Pomocy S.N.P.S.

Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych obejmuje dziś swym zasięgiem całą emigrację polską. Jest to również chyba jedyna dziś na świecie wyższa uczelnia, gdzie wykładana jest w polskim języku Polska Historia — prawdziwa, niefałszowana i gdzie studiować można w nieskrępowanej atmosferze problemy polskiej racji stanu.

Londyńczyk.

Polskie muzeum w Rzymie

“Przechodzące przez Włochy wojska polskie wydały wiele druków, od czasów napoleońskich aż po wielką i zwłaszcza ostatnią wojnę... Nie potrafiłyśmy jednak odnaleźć egzemplarzy *Dekady Legionowej*, publikowanej przez legionistów Dąbrowskiego podczas oblężenia Mantuy w r. 1799, a redagował ją nie byle kto, bo Cyprian Godebski, poeta-żołnierz... W r. 1917 powstał dla jeńców polskich z armii austriackiej dziennik *Dla wszystkich* — przechował się zeń jeden jedyny egzemplarz, złożony w Muzeum Zjednoczenia Włoch w Mediolanie...” — Taką melancholijną adnotacją zaopatrzyły Maria i Marina Bersano-Begey pozycję “Polskie pisma literackie we Włoszech” w swym przewodniku bibliograficznym *Polonia in Italia*.

Uwagę powyższą można by odnieść do ogólnego stanu kolekcjonerstwa poloników we Włoszech. Z blisko 4 tysięcy druków sygnalizowanych przez wspomnianą bibliografię, zresztą niekompletną, znaczna część jest niedostępna, jeśli nie wręcz zaginiona. A przecież w swej pracy panie Begey objęły wyłącznie bliski nam w czasie okres lat 1799-1948. Nawet skompletowanie wydawnictw II Korpusu Polskiego we Włoszech jest dziś niełatwym przedsięwzięciem.

Trudności dotyczące katalogowania, zbierania i udostępnienia książek i czasopism, odbijanych w nakładach idących w tysiące, mnożą się w nieskończoność, gdy poszukujemy sztychów, rycin, rękopisów, dokumentów, korespondencji, które nagromadziły

się w ciągu dziewięciu wieków stosunków polsko-włoskich w italskich zbiorach prywatnych, publicznych i kościelnych. Mimo że znaleźć się tam mogą ważne nieraz przyczynki do historii polskiej, o ich istnieniu najczęściej — nie wiemy. Trzeba je dopiero odkrywać i katalogować. A jak nie trudno natknąć się na nie, wystarczy przykład podróży niżej podpisanego, wysłannika powstającego “Muzeum dokumentów twórczości i pracy Polaków w Italii” do Arezzo w Toskanii. Już po wstępnych poszukiwaniach miałem możliwość wglądu do tzw. nuncjatur polskich czyli korespondencji Sekretariatu Stanu z nuncjuszami w Polsce, z lat, które brakują w archiwach watykańskich. Wśród przeglądniętych manuskryptów znajdują się m. inn.: 56-stronicowa instrukcja papieża Klemensa VIII ze stycznia 1596 r. do nuncjusza w Polsce, biskupa Claudio Rangoni, w sprawie zawarcia Ligi Antytureckiej pomiędzy Cesarzem, królem Polski i księciem Siedmiogrodu, pisma kurii papieża Aleksandra VII z r. 1660 do nuncjusza w Polsce, biskupa Pignatelli, różne sprawozdania z Polski przesyłane do Stolicy Apostolskiej przez Nuncjaturę i przez prymasa z lat 1673-74, dotyczące ostatnich miesięcy panowania króla Michała Wiśniowieckiego i bezkrólestwa, a wśród nich relacja z bitwy pod Chocimem (11 listopad 1673) przez uczestnika spisana oraz inne rękopisy, tyżące panowania Henryka Walezego i Wyprawy Wiedeńskiej.

Na terenie Włoch istnieje wielowiekowa tradycja poszukiwania materiałów polskich. Już w 1577 r. król Stefan Batory polecił prefektowi Biblioteki i Tajnego Archiwum Watykańskiego, Sirleto, zebranie odpisów aktów, tyżących Korony i pracę tę wykonali Fryderyk i Marian Ranaldi. Powstające “Muzeum Dokumentów Twórczości i Pracy Polaków w Italii” nawiązuje więc w swych poszukiwaniach aż do tradycji batorowej.

Dalsze badania archiwalne biegly równolegle do losów Kraju. Wojny i najazdy szwedzkie przerwały poszukiwania, rozpoczęte w Rzymie na zlecenie króla Zygmunta III Wazy, a Rozbiory uniemożliwiły opracowanie materiałów zebranych przez księdza Romana Jana Albertrandego dla króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w latach 1782-85. Odpisy albertrandowskie zebrane w 110 tekach zabrały nawet emigracji. Aby uchronić je przed zaborczością i wandalizmem najeźdźców przewożono je kolejno z Biblioteki Zamku Warszawskiego do Biblioteki Czackich w Krzemieńcu, a potem do Czartoryskich w Paryżu, aż wreszcie spoczęły u nich w Krakowie.

Po rozbiorach, już nie ze szkatuły królewskiej lecz sumptem prywatnym kontynuowano poszukiwania archiwalne w Rzymie. W latach 1846-49 sfinansował je Aleksander Przeździecki, a zebrane materiały włączył Theiner do *Vetera Monumenta Historica Poloniae*. Zostały one wydane w Rzymie w latach 1860-64, dzięki ofiarności księdza Wolniewicza. Powstanie styczniowe przerwało i tę inicjatywę.

Otwarcie przez papieża Leona XIII Tajnego Archiwum Watykańskiego w 1881 r. dla świeckich uczonych otworzyło nowe

możliwości dla systematycznego opracowania poloników. Do wiecznego miasta przyjechała w roku 1885 *expeditio Romana* młodych uczonych pod kolejnym przewodnictwem prof. prof. Smolki, Abrahamy i Zakrzewskiego, zorganizowana przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie. Wynikiem ich badań, przerwanych przez pierwszą i drugą wojnę światową, jest wydanie przez P.A.U., do r. 1939, 6 ogromnych tomów *Monumenta Poloniae Vaticana*, a ostatnio pierwszych zeszytów tomu 7 i 8. I tu prywatna ofiarność odegrała zasadniczą rolę. Darowanie przez Józefa Michałowskiego, w r. 1926, biblioteki historycznej dla tych badań stało się zaczątkiem Stacji Naukowej P.A.U. w Rzymie.

Powyższe badania i wydawnictwa źródeł, podstawowe dla historii polskiej, nie wykroczyły poza ostatnie lata XVI wieku. (Jedynie w katalogowaniu nuncjatur znajdujących się w Watykanie niestrudzony ksiądz prof. Walerian Meysztowicz i archiwista Savio, Włoch, wkroczyli w pierwsze lata XIX wieku). Poza tym badania te nie objęły planowego badania innych archiwów, znajdujących się we Włoszech, niż watykańskie, a ograniczyły się do stosunków Polski z Kościołem. Odiogiem, pomimo indywidualnych prac prof. Askenazego, Czerbaka, Kota i inn. leżą studia i gromadzenie materiałów dla stosunków polsko-włoskich, zwłaszcza w ubiegłym i bieżącym stuleciu. Wprost naprasza się o zbadanie archiwum Akademii Wojskowej w Cuneo w Piemontcie, założone przez polskich oficerów po upadku powstania listopadowego i której wykładowcy i uczniowie utworzyli zaczątek armii zjednoczonych Włoch, albo sprawy polskiej w polityce Cavoura czy w okresie I wojny światowej.

Wreszcie nieopracowane są stosunki kulturalne polsko-włoskie. Również i tu ofiarność prywatna umożliwiła zebranie pewnych, fragmentarycznych zresztą, kolekcji. Są to np. księgozbiór Wołyńskiego, zapisany przezeń państwowemu rzymskiej bibliotece Casanatense, i jego zbiory ofiarowane Muzeum Astrofizycznemu im. Kopernika na Monte Mario w Rzymie.

Wreszcie obecna, już przeszło dziesięć lat burzliwego życia licząca, emigracja polska w Italii nie posiadała dotychczas obrazowania swej działalności, ani instytucji w rodzaju stworzonego przez Wielką Emigrację Muzeum w Rapperswilu. Organizujące się w Rzymie Muzeum Dokumentów Twórczości i Pracy Polaków w Italii rozpoczęło już zbieranie materiałów, które posłużą do zbadania i oświetlenia różnorodnej działalności emigracyjnej, jej udziału w wojnach i umiejętności przystosowania się do warunków w kraju zamieszkania, jej pracy naukowej, artystycznej i zawodowej.

Według informacji, uprzejmie udzielonej przez prof. Edmunda Lelesza, prezesa *Fundacji Rzymskiej imienia margr. J. Umiaśłowskiej*, której sekcją jest powstające Muzeum, przed Muzeum rysuje się szereg podstawowych zadań.

1) Systematyczne odnajdywanie i katalogowanie polskiej do-

kumentacji, istniejącej we Włoszech, jej opis i sygnalizacja w specjalnym Biuletynie.

2) Gromadzenie zbiorów muzealnych oraz biblioteki poloników włoskich wraz z dyskoteką.

3) Obrazowanie pracy naukowej, artystycznej, technicznej i społecznej Polaków we Włoszech oraz stosunków kulturalnych polsko-włoskich.

Muzeum rozpoczęło zbieranie materiałów dotyczących zarówno działalności poszczególnych Polaków jak i ich skupisk, trwałych czy przejściowych, bez względu na to czy ich działalność była odcięta od kontaktów ze społeczeństwem włoskim, czy też była wyrazem planowo organizowanej wzajemnej wymiany zdobyczy kulturalnych, tradycji i doświadczeń.

Muzeum zajmuje się również gromadzeniem materiałów, ilustrujących zainteresowanie się poszczególnych osobistości włoskich sprawami polskimi, jak i stanem znajomości spraw polskich w społeczeństwie włoskim.

Dla usprawnienia pracy będą powołane specjalne komisje fachowe, jak również zostają zaproszeni do współpracy członkowie korespondenci ze wszystkich krajów, związani z zagadnieniami stosunków polsko-włoskich i działalności Polaków we Włoszech.

Włodzimierz SZNARBACHOWSKI

Zagadnienia kulturalne a Skarb Narodowy

Wiadomość o kilkudziesięciu tysiącach legitymacji wydanych przez Skarb Narodowy jest pierwszą radosną wiadomością w naszym życiu uchodźczym. Uchodźstwo nie chce należeć do stronnictw i partii, a Skarb Narodowy chce popierać. Uchodźstwo nie chce kagańców w myśleniu i chce karność w działaniu.

Pieniądże nie powinny służyć **realnym fikcjom**, pociągającym swoją uchwytnością. Takimi realnymi fikcjami jest utrzymywanie urzędników, reprezentacji, propaganda wśród obcych, wywiad w kraju, planowanie powojenne i tak dalej. Sprawy światowe są w stanie takiego zamieszania, że wstrzymajmy się z wsadzaniem do nich swoich trzech groszy, dosłownych groszy. Propagować nie mamy czego, bo poza płaczem, że chcemy "do mamy", to znaczy do niepodległego kraju nie mamy pojęcia sami jak to będzie wyglądać. Więc jeśli sami tego nie dorobiliśmy się, to z czym, z jaką propagandą pójdziemy do świata, który sam też nie wie czego chce jeszcze? Chyba nie z Sobieskim pod Wiedniem.

Pieniądże powinny służyć **nieuchwytnym rzeczywistości**. W pogoni za tą nieuchwytną rzeczywistością jest myśl ludzkości.

Sto funtów wydanych z **koniunkturą** przeradza się w kapitał tysięcy funtów. Sto funtów wydanych **przeciw koniunkturze** przeradza się w

kilka szylingów. Tak piękny cel jak wstrzymywanie młodzieży od wynarodowienia, subsydiowanie „Światopu” itp. jest wydawaniem świętym i słusznym, ale **przeciw koniunkturze**. Jeśli pieniądze są tak duże, że możemy je wydawać przeciw koniunkturze, to powinniśmy je wydać.

Polska myśl polityczna natomiast może iść z koniunkturą światową i ma wszelkie szanse, aby **wyprzedzać inne narody**.

O cóż walka się toczy? — O przyszłą gospodarkę planową ludzkości. Tylko w ramach tej gospodarki może być ratunek naszego narodu.

Aby dojść do tego, musi przed narodami stanąć nieuchronna konieczność i musi w nich rozpalić się potrzebna imaginacja. Te narody za mało jeszcze na to cierpiały, zanadto są zasiedziałe i za wiele ich obywateli posiadają na swoją wyłączną własność. Te narody też zanadto są wrosłe we własne zasiedziałe cywilizacje, nie mają przeczuć innych cywilizacji.

Naród polski, zupełnie nędzny materialnie, ma, albo może mieć aktywa duchowe znacznie przewyższające te jego symboliczne sto funtów. Jest to naród o skrzywionym, ale **historycznym myśleniu**. Jest to naród przetarty między dwoma największymi **eksperymentalnymi tygłami**: totalizmu niemieckiego i rosyjskiego. Jest to naród z **pogrnicza dwu kultur**, dwu cywilizacji. Jest to naród, który **najwięcej cierpiało**, który **najmniej posiada** i **najmniej trzyma się statusu posiadania**, jest to naród, który nie ceni sobie rzeczywistości, który jej się kurczowo nie trzyma, który **cały wysiłek imaginacji kieruje w przyszłość**.

Taki naród jest więcej uzdolniony do **bezinteresownego myślenia**, nie obciążonego balastem.

Naród ten jest więcej przygotowany na przetrwanie anarchii międzyepocza, niż narody jeszcze zaszczepione. Przeszedł on okupację niemiecką, zabór rosyjski, walkę podziemną, **przewarstwienie społeczne**, zebrał wielką gamę walorów na obecne czasy, które pozwalają mu **nie brzydzić się szabrem i nie uchylać się od bohaterstwa**, przeszedłszy tysiące wywłaszczeń nie patrzy na majątek osobisty jako na **dobro dziedziczne**.

Ta część narodu polskiego, która znalazła się na emigracji zrozumiała inne prawa, niż te, które stanowi grusza na miedzy, grusza na miedzy będąca wciąż symbolem myślenia bogatszych, szczęśliwszych, światlejszych narodów. O te gruszki przestał walczyć, skoro zrozumiał **mechanikę żywienia**, biletinów, eszelonów, wielkich społecznych zasiłków, skoro się przyjrzał całym przesiedlanym narodom, Członkowie tego narodu, który jest narodem zdolnym, chwytnym, mającym w spadku swojej kultury szlacheckiej **łatwość syntetycznego myślenia** rozsiadli się po świecie po tym gruntownym przeszkoleniu, ponauczali się języków, weszli w **krwioobieg świata**, poznali jego technikę, metody pracy, drogi myślenia, sposób reakcji. I jeśli mimo to wydają nam się megalomanami, bo prostym nieuczonym językiem krytykują ten świat wokabularzem szowinistycznym, to jednak na dnie tej megalomanii jest uczucie niedosytu, jest tęsknota za innymi formami życia. Ci ludzie, wróciwszy nawet do wolnego kraju, pozostaliby malkontentami, gdyby w tym kraju rządziły stare normy. **Jak teraz ich nazywamy megalomanami, tak wówczas byśmy ich nazywali wynarodowionymi**. A i w tym i w tamtym wypadku — to wielki ogień niepokoju, który w nich płonie, to tęsknota za lepszym mglisto wyczuwanym światem.

W pogoni za tą nieuchwytną rzeczywistością, w staraniu o to, by stawała się ona coraz bardziej uchwytna musi iść praca rządu, jeśli chce być rządem. Legitymizm nie wystarcza. Legitymizm jest cichą zmwą fikcją. Trzeba czymś **rządzić realnie**. Nie urzędnikami, reprezentacją, kontaktami, planowaniami, propagandą. Trzeba rządzić **realnie**, bez fikcji — rządem dusz.

To nie jest takie trudne. To nie jest zadanie na miarę gigantów. Zadaniu temu sprosta uczciwość i oddanie sprawie zwykłych omylnych, błądzących ludzi, którzy nami rządzą. Gdybyż chcieli tylko wie-

rzyć jak łatwe, jak wdzięczne są serca Polaków, gdy ich nie karmić fikcją.

Jeśli potrafimy z tego zespołu cech narodowych i koniunkturalnych stworzyć pewne wartości, jeśli z młodzieży naszej studiującej wyjdą ludzie dający **nowe koncepcje**, jeśli nasi robotnicy wsączający się w związki zawodowe będą mieli taki walor moralny, że staną się **leaderami**, jeśli z młodego pokolenia uchodźczego potrafimy się dorobić pisarza, filozofa, myśliciela, reformatora stanowiącego walor dla otoczenia, to powiemy, że nasze grosze składane na Skarb Narodowy nie pójdą na marne. Świat źle zbudowany na nowo może nam kazać oddawać nasze dobra materialne za bezcen. Ale porządny nowy świat za wkład do jego myślenia zapłaci **każdą cenę**. Nasz dorobek duchowy będzie jedynym, ale **jakże wielkim wianem**, które przyniesiemy krajowi”.

Melchior WANKOWICZ

Drogi Panie Redaktorze!

Zaproszenie do wzięcia udziału w ankiecie na temat ewentualnego wykorzystania ewentualnych sum przeznaczonych na Kulturę Narodową z ewentualnego funduszu Skarbu Narodowego otrzymałem z wielkim opóźnieniem. Byłem bowiem daleko w interiorze i wróciłem trochę połamany, z ręką w gipsie. Teraz — przeczytałem w „Kulturze” zestawienie wyniku ankiety. Ponieważ jednocześnie dowiedziałem się, że po zamknięciu ankiety — dyskusja nad tą sprawą jest przewidziana — pozwalał sobie przesłać parę uwag na ten temat.

Proszę mnie dobrze zrozumieć: użyłem powyżej trzykrotnie wyrazu ewentualnie. Nie ze względu na niedocenicenie ważności instytucji Skarbu Narodowego, a tym bardziej jego części na cele kulturalne, lecz dlatego, że przysłowiowa „szklanka zimnej wody” pana W. A. Zbyszewskiego, w postaci uwag na końcu zestawienia ankietowego, jest zdaniem trzeźwym i słusznym. Z ołówkiem w rękę i — szczyptą wyobraźni popartą... trzeźwością a nie bujaniem w obłokach, można łatwo przekonać się: ile, powtarzam — ewentualnie, przypadnie na cele kulturalne. „...Nie zostanie nic, albo prawie nic”.

I to grozi — jeżeli cała sprawa nie będzie przedstawiona na inny tor, jeżeli przed oczyma ofiarodawców (nazwijmy po prostu: podatników) nie będą sprawy przeznaczenia funduszy przedstawione jasno i... przekonywująco.

Naturalnie wiąże się to i z jawnością wydatków, i z kontrolą społeczną. To nie ulega wątpliwości. Mnie natomiast chodzi o podkreślenie znaczenia wyrazu „przekonywująco”. I z całości zagadnienia wyjmuję jedynie sprawę należytego zużytkowania sum na cele kulturalne.

Z dużą przykrością zauważyłem, że większość uczestników ankiety rozpatrywała sprawę potrzeb kulturalnych — i możliwości ich zaspokojenia — z perspektywy... wysp brytyjskich! Może jeszcze kontynentu europejskiego. Mówię przede wszystkim o

głosach domagających się szkolnictwa polskiego, i to nawet (mjr. dypl. M. Jurkiewicz) szkolnictwa pełnego, od przedszkola aż do... uniwersytetów włącznie.

Czy Skarb Narodowy — a więc i jego część przeznaczona na cele kulturalne — ma powstać w oparciu o najszerszą rzeszę dobrowolnych "podatników"? Ma być wynikiem (i zrozumieniem konieczności potrzeb) składki wszystkich "obywateli państwa na emigracji"? Tak! Takie jest założenie. Wniosek logiczny: wydatkowanie części przeznaczonej na cele kulturalne musi być przeprowadzone, nie tylko mądrze ale i z uwzględnieniem potrzeb jak najszerszych obszarów zamieszkałych przez tych "podatników". Nie tylko "prowincji" angielskiej, francuskiej, niemieckiej, itd.

Wniosek psychologiczny: by wpływały składki, by rósł Fundusz, cele zakreślone muszą być atrakcyjne i przekonujące dla wszystkich, bez różnic wynikających z miejsca zamieszkania podatników.

Piszę ten list z Argentyny. Proszę uświadomić sobie jasno i otwarcie, że ani w Argentynie, ani w Brazylii, ani w Chile — chyba w całej Ameryce Południowej i może Centralnej — nie mogą istnieć szkoły narodowościowe. Przykro, ale tak jest. Nic na to nie poradzimy bo takie są prawa i przepisy państw, na terenie których osiedliśmy. A przecież w sumie Polaków, przybyłych dawniej i po wojnie, w Ameryce Pd. jest chyba znacznie ponad 300 tysięcy. "Prowincja" więc — nie wąska.

Myślę, że absolutnie na wszystkich terenach emigracyjnych pozostaje przeszkodą sprawa rozrzucenia Polaków na dużych przestrzeniach. Szkoła, czy też szkoły polskie w Londynie nie mogą być argumentem przekonującym dla rodziców zamieszkałych na Ziemi Ognistej lub w stanie Curitiba w Brazylii. Te zagadnienia muszą być raczej rozwiązane "terytorialnie" lub "prowincjonalnie" w (pojęciu "państwa na emigracji") a nie stanowić troski ogółu.

Naturalnie sprawa kształcenia młodzieży na emigracji jest zagadnieniem zbyt poważnym by można było naszkicować myśl w paru zdaniach. Może stanowić odrębny temat — i jakże ciekawy — dyskusji. Podejmując go należy jednak dokładnie uświadamiać sobie różnorodność warunków istniejących na poszczególnych terenach emigracyjnych. No i zdawać sobie sprawę z zasadniczego zadania szkoły. A tym zadaniem jest: uzbrojenie młodzieży do czekającej ją walki o byt! W warunkach obecnego miejsca zamieszkania. Nie popełniamy błędu polityki krótkofalowej. Polskie dziecko, po ukończeniu szkoły zagranicznej, w wypadku szczęśliwego powrotu do Kraju — da sobie radę. Po ukończeniu "pełnej" szkoły polskiej — w wypadku pozostania na emigracji — będzie upośledzone, "nieuzbrojone" do tej walki o byt. Sprawy nauki o Kraju, historii i języka mogą i muszą być rozwiązane drogą

dodatkowych kursów, świetlic, lektury i przede wszystkim domem rodziców lub wychowawców.

Wracam do tematu należytego zużytkowania funduszu kulturalnego. Czytając projekt dr A. Gamm'a o podziale sum, przeznaczonych na ten cel, pomiędzy... stronnictwa polityczne uważamy (piszę w liczbie mnogiej, bo dyskutowaliśmy nad tym pomysłem i... nie słyszałem zdania przeciwnego!) za żart! Za makabryczny żart! Żywimy również niepłonną nadzieję, że projekt dr A. Gamm'a... nie będzie zatwierdzony przez żadną Radę Narodową!!

Wydatkowanie funduszu kulturalnego na popieranie opracowań historycznych nie trafia mi (jako podatnikowi) do przekonania. Nie negując potrzeby takich prac — widzę szczupłość środków i inną segregację potrzeb ogółu. To samo dotyczy zdań o zakupywaniu dzieł sztuki polskich artystów i popierania sztuki scenicznej. Za biedni jesteśmy na tworzenie zbiorów i muzeum. Sztuka sceniczna, teatr, jeżeli zaspakaja potrzeby poszczególnego terenu ("prowincji emigracyjnej") musi znaleźć środki utrzymania i poparcie danego terenu. Mówmy wyraźnie i może trochę cynicznie: nie jest to zagadnienie kulturalne atrakcyjne dla wszystkich, dla "podatników" rozsianych po całym świecie.

Subsydia dla prac naukowych i stypendia dla utalentowanych? Naturalnie są one rzeczą potrzebną i w wielu wypadkach konieczną. Aby tylko naprawdę prace były na wysokim poziomie naukowym a stypendyści gwarantowali te wielkie uzdolnienia. Otwarta pozostała sprawa: kto, jakie kompetentne ciało, ma decydować o znaczeniu i walorach popieranych prac naukowych? Oraz — kto i na jakim terenie będzie wyszukiwał młode talenty? Wątpię by istniały jakiegokolwiek dane na ten temat. Ewentualne ciało decydujące, centralne, musiałyby swoim zainteresowaniem i poszukiwaniem obejmować nie tylko najbliższy teren. Przykładowo zadaje takie pytanie: czy w jakichś kartotekach, w jakiejś ewidencji naukowców, na terenie Wielkiej Brytanii, zaznaczono, że w Argentynie przebywa wybitny, młody naukowiec polski, historyk? Czy wiadome jest, że zarabia na życie jako magazynier w warsztacie a wolny czas (jakże nikły?) trawi z pasją nad ukochanymi zagadnieniami historycznymi? Przykład bynajmniej nie odosobniony.

Po tej — raczej negacji — przechodzę do konkretnych wniosków. Powtarzam: mając na względzie szczupłość ewentualnych funduszy. Widzę dwie naglące potrzeby. Pierwszą z nich jest książka. Naturalnie mowa o książce dobrej i pożytecznej, szmir bowiem wszelkiego rodzaju ponawydawano raczej dużo. Obecnie jest niepokojąca posucha wśród wydawnictw prywatnych lub półprywatnych. Z niepokojem śledzimy ten smutny objaw. A zapotrzebowania rosną i będą rosły. To ostatnie bynajmniej nie jest tramtadrackim frazesem. Z chwilą ustabilizowania się jako tako nowej emigracji powstaje popyt na książkę. Mało tego — pod tym względem poniekąd budzi się

również stara emigracja. Przekazuję te obserwacje z Argentyny, ale myślę że nie jesteśmy wyjątkiem pod tym względem.

Naturalnie są trudności natury technicznej, czas transportu, zakazy dewizowe, różnice cen (paradoks! ale w tej chwili Argentyna mogłaby chyba najtaniej wydawać książki!) itd., ale wszystko to dałoby się pokonać przy dobrej organizacji zakreślonej szeroko.

Określenie: "dobra książka" naturalnie jest zbyt ogólne. Wychodzę z założenia "potrzebnej" książki. A więc — nie wspomnienia cierpiętnicze, a więc — nie wspomnienia odbytych walc takiej a takiej to formacji, a więc — nie propaganda... po polsku. Statystyka bibliotek łatwo wskaże, że obecnie... kurz pokrywa na półkach te dzieła. Z braku dobrej literatury zaczynają pokazywać się jakieś "Co tydzień powieść" na poziomie... Morza Martwego. Jakże rzadkim meteorem błysnęło na naszym ciemnym niebie wydawniczym takie "światło jutra"! Zaliczyłbym je — znów przykładowo — do kategorii książek potrzebnych, dających materiał do przemyślenia. Krótko mówiąc: patrzących nie w przeszłość a w teraźniejszość i przyszłość. Aczkolwiek — porusza jedno zagadnienie.

Boję się zagubienia w szczegółach. Otóż możemy stwierdzić, że dotychczas nie istniała, i naturalnie nie ma jej w tej chwili, jakaś polityka wydawnicza (w dobrym znaczeniu tego wyrazu!) na emigracji. Że jest potrzebna — chyba nie ulega najmniejszej wątpliwości. I tu widzę drogę właściwego użytku funduszu kulturalnego.

Fundusz kulturalny (by był pisany wielkimi literami, trafił do serc i... kieszeni podatników!) musi być zużyty w znacznej mierze na założenie i uruchomienie jakiegoś Centralnego Instytutu Wydawniczego na emigracji. Ze szczegółowo przemyślanym (ankiety ze wszystkich terenów!!!) planem wydawniczym, z podaniem tego planu do wiadomości najszerszego ogółu, z reklamowaniem i stworzeniem sieci kolportażowej. Z planem wydawniczym uwzględniającym potrzeby wszystkich środowisk emigracyjnych — nie tylko warstwy intelektualnej.

Nie jestem utopistą i "bujającym w obłokach optymistą" twierdząc, że taka instytucja nie tylko spełniłaby kapitalne zadanie kulturalne w "państwie na emigracji", ale postawiona należycie, po początkowych zastrzykach z omawianego funduszu — po 2-eh, 3-eh latach stałaby na własnych nogach, a nakłady byłyby większe niż... w Polsce przed wojną...

Jak ma być powołany do życia taki Centralny Instytut Wydawniczy? To trudno obecnie powiedzieć. Szkicuje się przecież tylko myśl zasadniczą. Co do jednego można jednak mieć zdanie zdecydowane i zgodnym chórem krzyczeć, dosłownie krzyczeć! — używając określenia p. Wańkowicza — "nie przez urzędasów" ma być to prowadzone! Nie tworząc posad i posadek dla "zasłużonych" (może nawet bez cudzysłowu...) lub "nieposiadających użytecznych zawodów". Na przestrzeni emigracyjnych lat jest przecież doświadczenie na polu wydawniczym. Raczej

smutne — ale zdobyte, i nie wolno zapominać o nim. My — to znaczy czytelnicy interesujący się zagadnieniem — wiemy: co i kto zdał egzamin pod tym względem. Znamienny — i jakże słuszny — jest fakt podkreślany parokrotnie w ankiecie: dwa wydawnictwa zdały egzamin, mimo trudności finansowych — spełniały i spełniają nadal ważne zadanie kulturalne. To są: "Kultura" i "Wiadomości". Nie stworzone drogą wydania rozkazu, czy nominacji. Nie prowadzone jako interes kupiecki. Są owocem pracy ludzi mających pasję, zdających sobie sprawę ze znaczenia takich placówek, no i... znających się na tym. Speców! To ostatnie powinno być punktem wyjścia przy tworzeniu Centralnego Instytutu Wydawniczego. Robiąc tę uwagę — daleki jestem od chęci prawienia komplementów. Pewne fakty trzeba stwierdzać wyraźnie.

Drugim zasadniczym — moim zdaniem — zadaniem ludzi kierujących wydatkowaniem funduszu musi być zorganizowanie i uruchomienie Kulturalnego Serwisu Prasowego.

Ciekawe byłoby dowiedzieć się: ile czasopism polskich (dzienników, tygodników i miesięczników) wydaje się teraz poza granicami Kraju? Znam kilkanaście, z rozmaitych terenów. Mam wrażenie że pełny spis wynosiłby grubo ponad setkę. Poziom? Z małymi wyjątkami i mówiąc bardzo delikatnie — raczej bardzo słaby. Powody tego? W wielu wypadkach i na wielu terenach emigracyjnych pisma powstawały by zaspokoić naturalne dążenia posiadania własnojęzycznego organu przez dane środowisko. Potrzeby były — nazwijmy je tak — oddolne. Był i jest odbiorca. Producent, to znaczy wydawca, redaktor czy też redaktorzy (jakże bogato to brzmi!) w wielu wypadkach stawali się nimi z... przypadku. Dodajmy do tego katastrofalny brak materiału do prac redakcyjnych. Resztki serwisu P.A.T.? — ubożuchny, same przemówienia. Jeszcze serwis Agencji Katolickiej — bardzo specjalny i powiedzmy jednostronny. Przedruk! Pokutuje jeszcze jakaś dziwna ambicja redaktorska: "jeżeli to już wydrukowano tam — wstyd drukować tu, z obowiązującym zaznaczeniem że to przedruk! To obniża powagę(?) naszego czasopisma". Wynik? — zapewnia się pismo czym się da i jak się da... "Własna produkcja!"

A przecież chyba nikt nie będzie kwestionował twierdzenia o ważności zadań kulturalnych, jakie mogą spełniać te czasopisma, o odpowiedzialności za zachowanie czystości języka itd.?

Pamiętajmy o biedzie jaka ciśnie wszystkich tych wydawców z prawdziwego i z nieprawdziwego zdarzenia. Przytaczam przykład z naszego terenu. Związek Polaków w Argentynie (centralna organizacja tutejszej Polonii) wydaje tygodnik "Głos Polski". Pismo społeczne i prowadzone siłami społecznymi. Redaguje Komitet Redakcyjny złożony z ludzi dobrej woli i całkowicie bezinteresownie. Nakład rośnie — bo rośnie zapotrzebowanie terenu. Jest on jedynym niezależnym tygodnikiem polskim w Argentynie. Finansowo nie stać nas na zamówienie i opłacenie

artykułów z Anglii, Stanów czy kontynentu. Artykułów dobrych piór! Autorów mających swój ciężar gatunkowy. Nie potrzebuję chyba wyjaśniać: jak cenne byłyby artykuły na takim poziomie — na tym terenie. I jaką spełniłyby one rolę.

Nie jesteśmy oderwanym wyjątkiem. W takiej samej sytuacji znajduje się większość czasopism polskich. Nawet w bogatej Ameryce Północnej...

"Kulturalny Serwis Prasowy" (nie chodzi o nazwę a o zadanie) powinien, nawiązawszy kontakt ze wszystkimi wydawnictwami czasopism (nawet będącymi w ręku prywatnym!) dostarczać im jednocześnie, pocztą lotniczą, gotowy materiał w postaci zamówionych i opłaconych przez Fundusz artykułów wybitnych autorów. Nie chodzi o materiał polityczny — lub raczej partyjny. Potrzebny jest przede wszystkim materiał dający się określić słowem "kulturalny". Artykuły, felietony, szkice historyczne, ba! — może nawet dobra powieść w odcinku?

Co by dał taki serwis? Przede wszystkim znaczne podniesienie przeciętnego poziomu prasy emigracyjnej. Automatycznie zwiększyłaby się poczytność. Czytelnik w Brazylii i Niemczech, w Anglii i Argentynie, we Francji i Australii — czytałby (mniej więcej w tym samym czasie!) artykuły pióra Nowakowskich, Czapskich, Wańkowiczów, Bielatowiczów (przepraszam: rzucam tylko parę nazwisk!) zamiast obecnie podawanej mu "strawy". Honoraria za zamówione lub zakwalifikowane artykuły, ze względu na ich jakość, byłyby znacznie wyższe od obecnie wypłacanych. Autorzy — mieliby satysfakcję, że czyta ich... 100 — 200 — 300 tysięcy!

Nie widzę żadnych specjalnych trudności przy realizacji takiego serwisu. Swego rodzaju "trust piór" mógłby być rozsiany po całym świecie. Jedynie zbierałaby i rozprawdzała materiał komórka centralna.

Ktoś może powiedzieć, że przecież ci autorzy piszą! Że przecież artykuły ich drukują się i te czasopisma są do nabycia. Że mimo tego... nakłady tych czasopism są małe a wydawnictwa walczą o każdy grosz! Wszystko to prawda, ale nie zbija mojego projektu. Są bowiem trudności techniczne niemożliwe do rozwiązania przez poszczególne wydawnictwa. Dam znów przykład z Argentyny: tygodnik wysłany z Anglii dociera po miesiącu — czasem aż po dwóch! Niewspółmiernie wysoki koszt dyktowany różnicami walutowymi i trudnościami transferu — obniża kolosalnie zapotrzebowanie. Natomiast serwis prasowy, drogą lotniczą, dociera po 5-6 dniach i w następnym tygodniu jest już w rękach tysięcy czytelników. I to w cenie wydawnictwa miejscowego!

W myśl słusznej zasady: "nic za darmo" — może wydawnictwa korzystające z takiego serwisu opłacałyby swego rodzaju abonament? Ale to już sprawa technicznego rozwiązania. Zasadniczą rzeczą jest, że taki serwis — jak i Centralny Instytut

Wydawniczy — byłyby instytucjami ogólnej użyteczności publicznej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Na polu kulturalnym.

I to trafiłoby do przekonania najszerszych rzesz "podatników", widzieliby oni bezpośrednio korzyści płynące z powszechnego opodatkowania się i z należytego zużytkowania uzyskanych sum.

Nie podzielam pesymistycznego poglądu p. J. Mieroszewskiego, wyrażonego w końcowym omówieniu ankiety. Czy "panowie dysponujący Skarbem Narodowym" zwrócą uwagę na ankiety, na głosy społeczeństwa omawiające potrzeby i sposoby zaradzenia? I czy w dalszym ciągu nie będą uważali, mimo tych głosów, wydawania Diariusza Rady Narodowej za zadanie naczelne? Zdaniem moim głosy te nie tylko muszą być wzięte pod uwagę, ale i wynik takich społecznych ankiet — musi znaleźć zastosowanie praktyczne!

Inaczej... pozostaje smutne powiedzonko o: "nosie służącym... tabakierce". Inaczej... zdanie p. J. Jasieńczyka nie będzie odosobnione.

Ale dyskusja publiczna nad tymi sprawami — bynajmniej nie jest przedwczesna.

Wiktor OSTROWSKI.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z dyskusją na temat "Skarb Narodowy a Kultura Narodowa" na łamach "Kultury" pozwalam sobie rzucić garść uwag, które, być może, wydać się mogą słuszne dla pewnego odłamu społeczeństwa.

Na Skarb Narodowy nie płacę ani grosza, uważając to w obecnych warunkach za co najmniej lekkomyślność. Zwrócenie się Rządu o łóżeńie datków na Skarb Narodowy jest grubym nietaktem jeżeli nie drwinami z publiczności. Poza tym mam 100% pewności, mimo szeregu zapewnień, iż na szczęście niewielkie sumy, które wpłynęły dotychczas, zostaną znakomicie unieczystwione przez aparat urzędniczy, bez najmniejszego pożytku dla sprawy kultury. Zawsze znajdują się jakieś ważniejsze reprezentacyjne czy inne wydatki, które pochłoną gros środków, w najlepszym wypadku pozostanie parę groszy, które pójdą na subsydlum urzędującego "organu oficjalnego". Dotychczas nas zapewnianio, a w efekcie parę osób zapewniło sobie zupełnie niezłe przyszłość. Czuję się jednak Polakiem i sytuacja biernego widza bynajmniej mi nie odpowiada. Proponuję zatem, aby ci wszyscy, którzy z tych czy innych powodów na Skarb Narodowy w chwili obecnej nie płacą, opodatkowali się dobrowolnie na rzecz kultury polskiej. Dotychczas dwa czasopisma zdają chwalebny egzamin na tym polu, a to "Kultura" i "Wiadomości". Proponuję zatem utworzenie specjalnych funduszy redakcyjnych, na które by wpływać mogły ofiary. Z funduszy tych płacone byłyby przede wszystkim, nareszcie odpowiednio wysokie honoraria pozwalające naszym naprawdę wielkim talentom (Tadeusz Nowakowski, J. Mackiewicz, Zbyszewski itd.) na spokojną i owocną pracę. Należało by też pomyśleć o zabezpieczeniu losu naszych zasłużonych publicystów i literatów, którzy z racji wieku i

niemożliwości zarobkowania znajdują się często więcej jak w tragicznych warunkach życiowych. Poza tym mocna sytuacja finansowa pisma pozwoliłaby na pewien pion moralny i niezależność, dla których tak niezbędne są wszelkie subsydia i protekcje rządowe.

Należało by sobie życzyć, ale to już w przyszłości, aby "Kultura" i "Wiadomości" mogły się ukazywać chociaż parę razy do roku w obcych językach — dałoby to możliwość opinii Zachodu do zapoznania się z kulturą polską w sposób dla niej najbardziej korzystny. W wypadku powstania jakiegś z prawdziwego zdarzenia reprezentacji narodowej, znajdują się na pewno środki na wydawanie pisma informacyjno-politycznego na odpowiednim poziomie. Uważając iż każda rada musi być poparta czynem (dobrymi radami, jak to mówią, piekło jest wybrukowane), deklaruje sumę odpowiadającą rocznej prenumeracie "Kultury" na fundusz "specjalny" "Kultury".

Łączę wyrazy należnego szacunku i poważania.

Lech Maria BORZECKI.

Stulecie ustawy bibliotecznej w Anglii

W końcu ubiegłego roku Anglia obchodziła uroczystą setną rocznicę wprowadzenia Ustawy Bibliotecznej. W drodze książki do uzyskania właściwego miejsca w życiu społeczeństw wprowadzenie Ustaw Bibliotecznych stanowi datę przełomową. Można ją nazwać datą "równoprawnienia" książki z przedmiotami materialnego użytku. Początkowo samorządy zajmowały się wszędzie jedynie zaspakajaniem czysto materialnych potrzeb swych obywateli: dostarczaniem wody, światła, dróg w szeroki świat. Ustawy Biblioteczne, dające każdemu obywatelowi dostęp do dobrej książki — budują drogi w szeroki świat dla ducha — w szeroki świat wiedzy, uczuć i myśli. Brak środków finansowych przesądza być momentem uniemożliwiającym korzystanie z dóbr kulturalnych, nagromadzonych w książkach. Każdy obywatel ma prawo w ramach płaconych podatków do bezpłatnego korzystania z Bibliotek Publicznych.

Walka o prawa książki nie była jednak łatwa. Projekt Ustawy Bibliotecznej, wniesiony do Parlamentu w r. 1849, w okresie dobrobytu, taniej pracy lecz i niskich kosztów utrzymania — był dla wielu niezrozumiały. W Parlamencie spotkał się z silną opozycją, motywującą swój sprzeciw tym, że "będzie to zorganizowanie ognisk niepokoju i niezadowolonia". Jeden z posłów mówił: "Nie rozumiem, dlaczego by obywatele mieli chcieć czytać", drugi zaś: "nie czytywałem nic będąc w Oxfordzie i nie przeczytałem nic od tego czasu". Przytoczone autentyczne wypowiedzi posłów z tego okresu, dają nam miarę drogi, odbitej w ciągu stu lat.

Ale i zwolennicy ustawy nie przestawali działać, mimo pierwszej wielkiej porażki, w której do uchwalanej ustawy wprowadzono poprawkę, paczając jej treść, tak że ustawa pozwalała na tworzenie bibliotek i angażowanie personelu, lecz zabraniała zakupywania książek. (Książki tylko z darów). W tym brzemieniu Ustawa uzyskała 14 września 1850 roku zatwierdzenie Królewskie.

Walka przeniosła się z Parlamentu do lokalnych rad miejskich i wiejskich. Opozycja była silna, pozorowana przede wszystkim dążeniem radnych, niezaangażowanych politycznie, do tego aby podatki

były jak najniższe i radnych-zachowawców — wzywających otwarcie do "pozostawienia robotnika na jego właściwym miejscu".

Za ustawą wypowiadali się entuzjastycznie radykałowie społeczni i... abstynenci. Działacze Ligi Antyalkoholowej, wzywający do ocalenia ludności przed wzmagającym się wpływem karczmny.

Przez pół wieku żadna ze stron nie mogła odnieść decydującego zwycięstwa. Do 1886 jedynie 113 Okręgów (borough) przyjęło ustawę. (Ustawa jedynie upoważniała a nie nakazywała).

Pomoc nadeszła ze strony przemysłowców-społeczników, np. Reckitt w Hull, którzy w bardziej nowoczesny sposób rozumieli wychowanie dobrego robotnika. Na początku obecnego stulecia Andrzej Carnegie rozwinął swą działalność, głośną potem na całym świecie. Bardzo dużą rolę w zdrowym prowadzeniu tej pracy odegrał warunek Carnegiego, który ufundował piękne gmachy biblieczne tym miastom, które zobowiązywały się zaopatrywać i stale prowadzić biblioteki.

Rozwój bibliotek nie mógł postępować zbyt szybko, gdyż ustawa ograniczała fundusze na cel biblieczny do 1 pensa na mieszkańca. Dopiero nowa ustawa o bibliotekach z r. 1919 zniósła to ograniczenie. Drugą słabą stroną ustawy, która jedynie "dozwalała" a nie zobowiązywała, była nierównomierność rozwoju, zależnego wyłącznie od tego czy znalazły się w danej miejscowości jednostki, mające zrozumienie dla tych spraw. W niektórych miejscowościach zakładano nowe biblioteki i rozwijały się one pomyślnie, w innych, dawniej założone upadały.

W obecnej chwili biblioteki znajdują się już w 285 okręgach, koszt ich wynosi 7.705.000 funtów, korzysta z nich 12 milionów czytelników. Biblioteki kupują ponad 6 milionów książek rocznie za sumę 2 milionów funtów, a posiadają już w majątku 42 miliony tomów.

Jedną z najciekawszych imprez obchodu stulecia była wystawa zorganizowana w Lokalu Narodowej Ligi Książki w Londynie (National Book League). Wystawa ta obejmowała pokazową Biblioteczkę dla dzieci oraz pokazowy Biblieczny Dział Informacyjny, gdzie od razu, na miejscu, można było otrzymać odpowiedź na rozmaite, zadawane przez zwiedzających pytania. Osobny dział obejmował manuskrypty, stare i rzadkie książki. Przejrzyście opracowany dział obsługi bibliecznej przedstawiał lokale, urządzenia wewnętrzne bibliotek, biblioteki ruchome — autobusy, sposoby obsługiwanie poszczególnych kategorii ludności (biblioteki szpitalne, więzienne itd.).

Specjalną ciekawostkę stanowił aparat do micro-filmów. Micro-filmy oddadzą w przyszłości dużą usługę w rozwiązaniu przez biblioteki zagadnienia magazynowania wydawnictw, przede wszystkim tych które zajmują najwięcej miejsca, a więc prasy.

Wyszczególnienie dotychczasowych ustaw w sprawach bibliecznych zakończono jest na afiszu pytaniem: "Co obecnie jest potrzebne?"

Ustawa z r. 195?

Drugie stulecie służby bibliotecznej w Anglii wymaga ustawy, która pozwoliłaby na:

- 1) uzgodnienie poprzednie ustawy,
- 2) umożliwienie w skali krajowej koordynacji usług bibliecznych,
- 3) umożliwienie zmiany podziału rejonów bibliecznych,
- 4) zapewnienie rekrutacji dobrych i wykwalifikowanych bibliotekarzy.

Spełnienie tych wymagań zapewni pomyślny rozwój bibliotek w drugim stuleciu służby Narodowi.

Anglia przeszła już etap zapewnienia warunków rozwoju bibliotek, obecną jej troską jest jedynie udoskonalenie pracy tych placówek.

"W książkach spoczywa dusza dawnych czasów — pisze Carlyle — głos przeszłości, możliwy do usłyszenia i zrozumienia wtedy, gdy materialna substancja tych czasów zniknęła jak marzenie. Wszystko czego ludność dokonała, przemyślała, zdobyła — leży przed nami zachowane magicznie w kartach książek. Są one wybranym dobrem ludzkości".

"Niestety" — zauważa Samuel Butler — dusza dawnych czasów jest tam uwięziona do czasu, póki ktoś nie sięgnie po książkę z półki i nie zacznie jej czytać".

Działacze oświatowi mówią: "Książka jest podstawowym instrumentem demokracji. Wydajemy co roku miliony funtów na kształcenie naszych dzieci. Czyż to zbyt wiele, żądać aby nauczywszy się czytać — miały one zapewnioną możliwość dalszego rozwoju intelektualnego i pomoc w zostaniu lepszymi i szczęśliwymi obywatelami".

Porównanie głosów parlamentu sprzed stu lat i obecnej powszechnie panującej opinii o pracy i potrzebie bibliotek pozwala przyszej ustawie bibliotecznej stawiać jak najlepsze horoskopy.

J. A. ŚWIĘCICKA.

„GŁOS POLSKI”

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM ZAWODOWYM
I ORGANIZACYJNYM POLAKÓW W BELGII

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

c/o Mme M. Ch. Janta-Pończyńska
24, Grande Rue au Bois — Bruxelles (Schaerbeck)

PRENUMERATA KWARTALNA — 10 frb.

Wpłaty należy kierować na konto pocztowe:

„Głos Polski”, Bruxelles, C.C.P. 56710.

Książki

Czyścić i piekło polityki

Na ostatnich stronach "Et le buisson devint cendre", bohater Manesa Sperbera, Doïno Faber, który jest wyidealizowanym sobowtórem autora, powiada: "Nawet dla naszych najbliższych przyjaciół staniami się bezsilnymi gderaczami, a zatem nudziarzami. I będzie to trwało całe lata"... Ta pełna skromności świadomość zabójczej jednostronności wynurzeń ex-komunistów sprawia, że obie książki Sperbera wznoszą się wysoko ponad nużącą, arogancką literaturę tego typu — reportaże i publicystyka ubrana w szatę powieściową — ponad romanse innych ex-komunistów, które dzisiaj wydają się równie powierzchniowe i równie przemijające, jak numer bulwarowej gazetki. Musieliśmy kupować i czytać dużo książek tego rodzaju — w okresach kryzysów politycznych — choćby tylko by zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia my sami byliśmy strwożeni. Ale La Folle de Chaillot Giraudoux miała rację twierdząc, że wszystkie współczesne dzienniki są, przy odczytywaniu, znacznie mniej zajmujące niż choćby jeden egzemplarz gazety, wydanej w tej utraconej rajskiej epoce na przełomie stulecia, kiedy prawie nic się nie działo.

Manes Sperber bardzo trafnie nie obdarza swego bohatera Doïno Faber, żadnym nadludzkim darem przewidywania dzwicznego kalejdoskopu współczesnych linii podziału, lecz wyposaża go tylko w zwykły ludzki rozsądek, już i tak na tyle rzadki w naszych bezrozumnych czasach by wydawał się niemal cudowny. W przeciwieństwie do ex-komunisty, Antona Cilla, który, w swych niedawno wydanych pamiętnikach, przyznaje raz po raz — z rozbijającym zdziwieniem — że rozwój polityczny Rosji Sowieckiej nie był zgodny z jego przewidywa-

SPERBER M. *Et le buisson devint cendre*, str. 560, 1949 r. i *Plus profond que l'abime*, str 325, 1950 r. Ed. Calmann-Lévy, Paris.

niami, Doïno Faber szybko ma różne wątpliwości i, choć moralnie nie może się pogodzić z monstrualnymi cechami oportunistu politycznego Sowietów, nie jest zaskoczony rozwojem wypadków. Toteż, ku końcowi drugiego tomu powieści Sperbera "Plus profond que l'abîme" (wydanym w 1950), Faber odmawia współpracy w aparacie propagandowym Trzeciej Republiki w czasie wojny z Hitlerem w latach 1939 i 1940 "albowiem propaganda ta ma sama zastąpić czynny, zamiast im towarzyszyć i wytłumaczyć ich celowość". Wielu ex-komunistów w tych latach z radością brało formalny udział w tej "drôle de guerre" i w ten sposób tylko pracowało nad zgotowaniem sobie dalszych zawodów, można obecnie żywić nadzieję, że Faber, jeżeli zostanie równie rozsądny w III-cim tomie (którego możemy oczekiwać w roku bieżącym) jak już stał się w II-gim, podobnie odmówi wszelkiego udziału w propagandzie Zimnej Wojny, która szaleje już od 1947 r.

Zarówno "Et le buisson devint cendre" jak i "Plus profond que l'abîme" są fragmentami powieści autobiograficznej, której treścią są polityczne i duchowe przemiany pomiędzy rokiem 1931 a 1940 typowe środkowo-europejskiego czy wschodnio-europejskiego intelektualisty komunistycznego, początkowo aktywnego agenta Kominternu w Jugosławii, Austrii, Czechosłowacji i Niemczech, a później zgorzkniałego "dewiacjonisty" i wygnańca w Austrii i Francji. Fakt, że Faber jest przypadkowo polskim Żydem, zdaje się nie mieć żadnego znaczenia i jego przyjaciele i towarzysze pracy (którzy zresztą giną, gdy on zdołał ocalać), a mianowicie chłopski komunistyczny przywódca jugosłowiański Vasso i niemiecki robotnik wykwalifikowany i też działacz komunistyczny, Soennecke są typowymi nie-żydowskimi przedstawicielami "pokolenia cnotliwych komunistów", działaczami klasy robotniczej, których pobudza do czynu głębokie poczucie potrzeb i nadziei ich towarzyszy. Obaj — i Vasso i Soennecke — zostają zamordowani w wielkich czystkach moskiewskich z 1937 r., obaj padają ofiarą nowej generacji cynicznych rewolucjonistów, których bardziej interesuje władza absolutna niż dobrobyt klasy robotniczej, obecnie brutalnie przez nich wyszukiwanej, niż była kiedykolwiek eksploatowana przez aferzystów kapitalistycznych. Tak więc tło polityczne książek Sperbera jest do pewnego stopnia to samo, które dało Koestlerowi tak wielką sławę. Ale podczas gdy oburzenie Koestlera zdaje się wynikać wyłącznie z jego przekonania, że rewolucja została politycznie zdradzona, Sperber — podobnie jak Mark Ałdanow, widzi rzeczy głębiej: poprzez pianę wypadków politycznych dostrzega on wielką klęskę moralną naszego wieku, i zdaje sobie sprawę że wszystkie klasy społeczne, wszystkie narody i wszystkie partie polityczne do tej klęski się przyczyniły.

Morał książek Sperbera, choć nigdy nie wyłożony w sposób wyraźny, staje się tym niemniej coraz jaśniejszy w miarę tego jak czytelnik wgłębia się w powieściowy obraz dziejów lewicy

politycznej pomiędzy 1930 a 1940 r. Sperber ukazuje przywódców rewolucyjnych partii komunistycznych jako bądź posłusznych purytanów, bądź oportunistycznych cyników; prawie wszystkim brakowało prostej ludzkości, żaden z nich nie podporządkowywał swej polityki i decyzji zwykłym wymogom miłości bliźniego czy współczucia. Ten brak uczuć ludzkich skazał ich na ciągłe godzenie się na cyniczne lub oportunistyczne kompromisy, które z kolei musiały im samym przynieść zagładę i zgubę. Toteż książki Sperbera wzbudzają w czytelniku niewiele litości dla większości ofiar czystek moskiewskich, które, z wyjątkiem Vasso i Soennecke spotkał tylko taki los, jaki by one same chętnie zgotowały swoim oprawcom.

Tak więc pisząc o tym samym politycznym klimacie, który znany z dzieł innych ex-komunistów, Sperber wznosił się do wyższych moralnych wartości. Zwłaszcza "Plus profond que l'abîme" już zawiera dane, które pozwalają wierzyć że w III-cim tomie Sperber i jego bohater okażą się czymś więcej niż publicystami Zimnej Wojny, lecz ludzkimi i doświadczonymi mężami, co już stracili, wraz z nadzieją kariery, również i arogancką ochotę władzy i rozgłosu. Być może Sperber i jego bohater będą próbowali jak starożytni prorocy, ostrzec świat zachodni (bo wschodniemu nie pozwolą czytać tych powieści) przeciw nadchodzącej erze przemocy. Przemoc ta stała się istotą polityki naszego wieku, nie jest już monopolem jednej partii czy jednego reżimu. Wolno więc oczekiwać że w III tomie Sperber ujawni się jako wróg wszystkich nieprawości, większych i mniejszych, podobnie jak Virgil Gheorgiu, autor "Vingt-cinquième heure" i E.M. Cioran, autor "Précis de décomposition". Czytelnik byłby naprawdę rozczarowany gdyby Doïno Faber, po wszystkich swych smutnych doświadczeniach w latach 1930-1940 — stał się w 1950 gwałtownym popiecznikiem takich mniejszych ujemnych zjawisk, jak zachodnio-niemiecki Rząd Federalny, z jego zarządami krajowymi i ministerstwami wypełnionymi ex-hitlerowcami (najbardziej jaskrawym przykładem jest Zarząd Szlezwig-Holsztynu), lub też zaczął mocno wierzyć w bezwzględną skuteczność każdej akcji, powziętej przez większość "miłujących pokój" mocarstw reprezentowanych w U.N.O.

Pod względem literackim, powieści w typie dzieł Koestlera, Sperbera a także Gheorgiu i Malraux, stawiają krytyków przed nielada trudnością. Z reguły, jeśli chodzi o mierniki estetyczne, nie dorastają one do poziomu balzakowskiej "Une ténébreuse affaire". Chociaż pod względem politycznym i społecznym powieści te są bardziej wycieniowane niż dzieła Victor Hugo, to jednak są one zanadto dziennikarskie, zanadto kronikarskie by dać nam żywe postacie, z jednym wyjątkiem centralnych postaci bohaterów, którymi są z reguły: sam wyidealizowany czy zszematyzowany autor oraz jego przyjaciele czy wrogowie. Jeden Malraux potrafił stworzyć ponadto kilku delicyjnych ekscentryków. Autorzy ci wprowadzają nas w dobre nam znane środowiska polityczne i stawiają nas wobec konieczności

wyboru; ale nie umieją czytelników przekonać; w najlepszym razie potrafią wzmocnić już istniejące przekonania czytelników lub uczynić ich bardziej świadomymi faktu, że takie są ich przekonania. Świat opisywany przez Sperbera wciąż czeka na swego Marcel Proust'a, czy Henry James'a czy Roberta Musil.

Zarówno Sperber jak i jego bohater przeszli przez gorszą martyrologię niż Koestler. W szczególności obaj się przekonali, że pod gwałtem i przewrotnością można dalej zaszeregować wszystkie grzechy — tak jak to niegdyś uczynił Dante w swym tomistycznym systemie etycznym. W naszym współczesnym piekle, które jest tak samo upolitycznione, jak niegdyś było Inferno Dantego, gwałt i przewrotność są nadal cechami charakterystycznymi współczesnych plag ludzkości. Plagi te nie zatrzymują się u żadnych granic, toczą wszystkie zmagające się armie. Doño Faber i jego autor poznali tę prawdę na podstawie bolesnych doświadczeń, może też ze słych cierpień zyskali skromność duchową, właściwą tym co byli w czyszczeniu, a która pozostaje wciąż obca wszystkim tym, którzy z własnej woli skazali siebie samych na prawdziwe piekło.

Edouard RODITI.

Rzeczywistość rosyjska w oczach Ciligi

"Historia Rosji kroczy drogą
osobliwą, niezależną i zagadkową".
KOROLENKO.

(Artykuł o karze śmierci).

Dwa tomy wspomnień Antoniego Ciligi zajmują miejsce wyjątkowe w długiej liście świadectw czy pseudo-swiadectw o Rosji sowieckiej. Wartość moralna i intelektualna autora, bogactwo i wiarygodność jego dokumentacji, waga i oryginalność spostrzeżeń — sprawiają, że wspomnienia jego są dziełem jedynym w swoim rodzaju. Mimo, że pamiętniki obejmują okres 1926 - 1936, nie straciły nic na aktualności ani na wartości z punktu widzenia istoty zagadnienia. Pogląd zachodni na Związek sowiecki jest — w roku 1950 — tak krótkowzroczny i niepewny, tak wielkie jest opóźnienie w znajomości przedmiotu

CILIGA A. *Au pays du mensonge déconcertant*, str. 238; *Sibérie, terre de l'exil et de l'industrialisation*, str. 310. (Ed. Plon, 1950).

— że można by nawet zaryzykować twierdzenie, że książka Ciligi jest dokumentem najbardziej aktualnym spośród wszystkich prac, jakie ukazały się o Rosji sowieckiej.

Wpływa na to przede wszystkim fakt, że nie mamy tu do czynienia z pracą powstałą — jak tyle innych — w atmosferze "zimnej wojny". Napisana pomiędzy 1937 a 1941 rokiem nie ma w sobie nic z tendencyjnej propagandy. Jej szczerść i bezinteresowność są oczywiste. Jej sprzeczności i trwałe uprzedzenia autora są pozbawione oportunistów. Pamiętniki te nie zostały napisane przez sowieckiego uciekiniera o przeważnie wątpliwych reakcjach, ani przez człowieka Zachodu, który bardziej czy mniej przypadkowo i powierzchownie otarł się o świat sowiecki, ani też przez obserwatora, interpretującego informacje otrzymane z drugiej ręki, a nieposiadającego własnego doświadczenia, względnie mającego doświadczenie zbyt małe lub przedawnione w stosunku do opisywanych wypadków.

Ciliga, znając biegle język rosyjski, przeżył w Związku sowieckim niespełna dziesięć lat. W tym cztery lata — jak sam mówi — jako człowiek należący do uprzywilejowanej mniejszości, zaś pięć lat — jako deportowany i więzień polityczny. Zawsze jednak był on w samym środku rzeczywistości sowieckiej, na równi z innymi komunistami. Różnica — jak sam to podkreśla — polegała jedynie na tym, że nie był on obywatelem sowieckim i że wskutek tego korzystał z pewnych względów (o których, nawiasem mówiąc, nie może być już dzisiaj mowy).

Ciliga pochodzi z Istrii. Jako student kroacki przystał do komunizmu po pierwszej wojnie światowej, która narzuciła mu obywatelstwo włoskie. Ciliga działał w Jugosławii, na Węgrzech, w Czechosłowacji i we Włoszech. Wybrany do biura politycznego partii jugosłowiańskiej, został wydalony z Jugosławii i przez rok pracował w Wiedniu jako członek bałkańskiej komórki Kominternu. Ten młody "zawodowy rewolucjonista", który ciałem i duszą poświęcił się swemu zawodowi, przyniósł ze sobą do Moskwy, dokąd pojechał dobrowolnie w 1926 roku, romantyczną wiarę i zapal ideologiczny, które po wojnie, "upadku" II Międzynarodówki i na skutek niesprawiedliwości społecznych ewidentnie szeregiem młodych intelektualistów Zachodu pod wpływem rewolucji październikowej, sowieckiej wojny domowej i powstania III Międzynarodówki. Ale wraz z chęcią walki i humanitarnym idealizmem, które stopiły się z utopią dialektyką Marksa i aktywizmem Lenina, wraz ze swą namiętnością podziwiania, rozumienia i uczenia się, Ciliga przyniósł do Związku sowieckiego zmysł krytycyzmu, o tyle bardziej niebezpieczny, że żarliwość jego przekonań strzegła go od cynizmu i oportunistów, którym uległo tylu innych.

Jeśli mamy mu wierzyć — nastąpił w nim natychmiastowy konflikt, pomiędzy wiarą a świadomością rzeczywistości sowieckiej, tak różnej od wizji, jaką sobie wytworzył na podstawie

sowieckiego dogmatyzmu i terminologii. Od razu rzuciły mu się w oczy: azjatyckie nędza i zacofanie Rosjan, powszechne rozczarowanie, a przede wszystkim odrodzenie się dawnej niesprawiedliwości społecznej. Nie poddał się jednak pierwszym rozczarowaniom. Przeciwnie: mimo że był z punktu najboleśniej dotknięty w swych uczuciach wierzącego komunisty, dopiero stopniowo, zapoznawszy się z kazuistyką doktryny bolszewickiej, rozumieć zaczął całą sprzeczność pomiędzy utopią a rzeczywistością. I tak przechodził ze zdziwienia do zwątpienia, ze zwątpienia do lojalnej opozycji, z lojalnej opozycji do opozycji "zakonspirowanej", a z tej w końcu — normalną kolejną rzeczą — do więzienia i na zsyłkę, oddalając się coraz bardziej od reżimu, odrzucając najpierw Trockiego, z kolei Stalina, a wreszcie — wraz z "tak ukochaną wiarą w Lenina" — cały bolszewizm jako taki.

Bolesna, niekończąca się walka wewnętrzna!

Ciliga, przyłączywszy się do opozycji trockistowskiej, był obecny przy jej ostatnich walkach w Moskwie, i (po wielu ostrzeżeniach i usiłowaniach "przekonania" ze strony Partii) został zaaresztowany w 1930 roku w Leningradzie, gdzie wykładał na uniwersytecie robotniczym; następnie skazany został administracyjnie na trzy lata więzienia, które spędził w Leningradzie, Czelabińsku i w "izolatorze dla politycznych" w Wierchnim-Urałsku. Wreszcie skazany na dwa lata zsyłki na Syberię, odbył ją w Krasnojarsku i Jenisejsku. Po uporczywej walce z G.P.U., które nie chciało go wypuścić ze swych rąk, po wielu głodówkach i usiłowaniu samobójstwa, Ciliga, jako obywatel włoski, został na własną prośbę wydany ze Związku Sowieckiego i powrócił na Zachód w grudniu 1935 roku, to jest w ostatnim momencie przed krwawymi i masowymi czystkami.

Zamieszkawszy we Francji (do Włoch nie mógł powrócić ze względu na swój wrogi stosunek do faszyzmu), napisał wspomnienia, które ukazały się w Paryżu w 1937 r. w języku francuskim pt. "W kraju wielkiego kłamstwa". Praca ta była w swoim czasie gorąco komentowana w ścisłym środowisku komunistów z opozycji i byłych komunistów, lecz nie została zauważona przez szerszą publiczność i koła polityczne, które w swoim nastawieniu antyhitlerowskim skłaniały się coraz bardziej do Związku Sowieckiego. Ironicznym zrzędzeniem losu resztę nierozsprzedanych egzemplarzy, znajdujących się w księgarniach, zniszczyli Niemcy po zajęciu Paryża, gdy Hitler — w owym czasie sojusznik Stalina — zabronił jakichkolwiek ataków na reżim sowiecki.

Ta właśnie książka z roku 1937, z małymi jedynie zmianami, ukazała się teraz ponownie, pod tytułem: "W kraju zwodniczego kłamstwa", wraz z tomem drugim, pisany od 1938 r. do lata 1941, a zatytułowanym: "Syberia, ziemia wygnania i uprzemysłowienia".

Powyższe szczegóły, niezbędne dla zrozumienia i uznania

świadczenia Ciligi, nie byłyby, mimo wszystko, wystarczające, gdyby autor nie opatrzył swoich wspomnień w przedmowę, napisaną w listopadzie 1949, a przede wszystkim w słowo wstępne z grudnia 1949. W tych dwóch — wydaje się — zbyt krótkich przedmowach, Ciliga formułuje ostatecznie swe rozważania o Związku Sowieckim i, przeszedłszy sam nową ośmioletnią ewolucję (o której niestety nic nie mówi), szkicuje odpowiedź na pytanie, które nie przestało go dręczyć od 1926 roku, a które terminologia scholastyczna, właściwa wszystkim opozycjom komunistycznym, nazywa problemem "zwyrodnienia" rewolucji rosyjskiej. Powrócimy jeszcze do tego ważnego tematu.

Na tym miejscu podkreślimy tylko, jak wielka jest wartość wkładu, wniesionego przez Ciligę do historii rewolucji rosyjskiej. Czyż jego świadectwo nie daje pełnego obrazu kulisy najbardziej dramatycznych momentów tragedii sowieckiej, jak koniec N.E.P'u, socjalizacja i planowanie gospodarcze, przymusowe uprzemysłowienie, kolektywizacja wsi i początki wielkiego terrorku z lat 1936-1938?

Lecz książka Ciligi nie jest tylko suchym wykładem historycznym. Ta "książka prawdy", jak sam autor ją słusznie nazywa, jest skrupulatnym zestawieniem faktów osobiście przeżytych, ale takim zestawieniem, że je czytając, czytelnik — bez jakichkolwiek sugestii ze strony autora — sam dochodzi do właściwej oceny i wniosków. Stąd jej korzyść, subiektywna i obiektywna zarazem, stąd jej dynamizm podniecający intelektualnie. Ale, stąd również, — podane bez obsłonek sprzeczności i paradoksy — świadectwa poszukiwania prawdy, świadomości i zaślepienia.

Zazwyczaj podobne dramaty, tak częste w każdym pokoleniu komunistów Zachodu, kończą się sceptycyzmem, indyferentyzmem politycznym, lub jeszcze gorzej: cynizmem i hypokryzją. Gdy nawet poszczególne jednostki zdobywają się, w drodze wielkiego wysiłku, na dochowanie wierności dogmatom podstawowym, to Stalin i ustrój sowiecki stają się dla nich już tylko złem koniecznym, które należy odrzucić właśnie w imię idei i ustroju komunistycznego, zdradzonego przez bolszewików. Lecz czy mimo to marksizm leninowski i ustrój sowiecki nie zwyciężą? I oto kwestia opozycji do stalinizmu staje się ze strony tych komunistów już tylko kwestią czasu, sprawą taktyki.

Wypadki tego rodzaju były dość częste przed wybuchem ostatniej wojny i przed likwidacją opozycji "trockistowskiej". Od tego czasu, mimo że "titoizm"¹⁾ usiłuje je odrodzić, są one o wiele rzadsze i nie mogą się zdobyć na przejście do form organizacyjnych.

1) Pod pewnymi względami można dopatrzeć się w Cilidze prototypu "titoowca". (Patrz: Tom II, rozdział pt.: "Komintern w Jugosławii", a zwłaszcza przypisek, w którym mówi o Tito: "Ten dzielny podoficer austriacki, pochodzenia kroackiego, który nareszcie pokazał co umie generalissimusowi Kremla").

W każdym razie należy uważać, że w wypadku Ciligi dramat ten był wyjątkowo skomplikowany, głównie ze względu na jego walory osobiste.

Bez wątpienia Ciliga — przynajmniej w swojej książce — jest jeszcze marksistą, a nawet pod wieloma względami marksistą leninowskim. Świadczy o tym jego ortodoksyjność w analizie politycznej ściśle dialektyczno-materialistycznej, jego typowo leninowska terminologia ("lewica", "prawica", "centrum" itd.), jego wiara w rolę postępu i techniki (te — jak sam mówi i jak zawsze mówi się w Moskwie — zasadnicze kryteria cywilizacji i "postępowości" historycznej). Lecz jednocześnie z poglądami marksisty czytelnik obserwuje w pracy Ciligi cały szereg innych podejść autora do bolszewizmu, zależnie od okresu i rodzaju zagadnienia. Występuje w nim umiarkowany trockista, walczący z przerostami biurokracji, socjalista o zachodnim światopoglądzie ("dobrobyt, wolność, sprawiedliwość"), dla którego "socjalizm nie jest wytwórną lecz układem stosunków społecznych". Wreszcie — anarchista i humanista-rewolucjonista o zasadach chrześcijańskich²⁾.

To właśnie ten socjalista w symbiozie z anarchistą zmusza trockistowskiego więźnia Wierchnie-Uralska do podarcia i wyrzucenia na śmietnik portretu Lenina. Wtedy — pisze on — "jakiś głos idący z głębin mojej podświadomości powiedział mi: ani Boga, ani panów". Ale nawet ten zabieg radykalny³⁾ nie zdołał wypędzić z niego demona marksizmu. Ten to demon — tym razem sprzymierzony z socjalistą-humanistą i z anarchistą — zahamował na pewnym szczeblu świadomość Ciligi ostatnią i najbardziej znamieną z osobowości, które się w nim ścierały: człowieka wolnego od dogmatyzmu i scholastyki, realistycznego obserwatora, który odkrył rzeczywistość rosyjską spoza sowieckiej kazuistyki. Toteż rzeczywistość tę opisuje Ciliga w stanie prawie surowym, nie wyciągając sam żądnych sugerujących wniosków z olbrzymiego, obiektywnie przez siebie zebranego materiału.

W tym miejscu dochodzimy do najważniejszej zasługi Ciligi, która z obiektywnego punktu widzenia wyróżnia jego świa-

2) "Jesteście reakcjonistami w stosunku do socjalizmu, w stosunku do Października, w stosunku do r. 1919 — mówi Ciliga do Deniso-wa, funkcjonariusza G.P.U. (Tom II, str. 205) — ale kroczycie drogą postępu w stosunku do caratu i Rewolucji Lutowej." Tak więc będąc w zgodzie z materializmem historycznym i owiany jego optymizmem Ciliga traktuje nawet bolszewizm jako zjawisko "postępowe" względnie "relatywnie postępowe", bolszewizm o którym w innym miejscu mówi jako o "symbolu reakcji społecznej i narodowej, który uczynił z Rosji "niebywałą gehennę" — "dziewiąty krag piekielny".

3) "Przez sześć miesięcy — pisze Ciliga — nie miałem możliwości utworzenia ust, powiedzenia czy napisania najmniejszej rzeczy, dotyczącej polityki... tak bardzo byłem zniechęcony, tak bardzo cierpiałem, grzebiąc na zawsze tak bardzo drogi mi mit o Leninie".

dektwo spośród wszystkich innych⁴⁾, ale zarazem stanowi stronę najmniej zakończoną i zdefiniowaną jego świadectwa.

Wyliminowawszy negatywną stronę pracy Ciligi (historia jego rozczarowania w stosunku do bolszewizmu i Związku Sowieckiego), musimy stwierdzić, że jej strona pozytywna jest niczym innym, jak gorączkowym a niecierpliwym poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, postawione samemu sobie w chwili powrotu z Rosji: "Jak zdołano dojść w rzeczywistości do znieszczenia tego wszystkiego, co składało się na Rewolucję Październikową, zachowując jednocześnie rewolucyjne formy zewnętrzne; jak dokonano przywrócenia wyzysku robotników i chłopów bez odtworzenia warstw kapitalistów prywatnych i właścicieli ziemskich; jak to się stało, że rewolucja wywołana w celu zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka doprowadziła w ostatnim etapie do nowej eksploatacji?"

To pytanie, jak najbardziej zasadnicze, które Ciliga stawia w ramach ściśle scholastycznych, jest przez niego odwracane we wszystkich kierunkach poprzez obydwie tomy jego wspomnień, przy każdej okazji opisywania faktów, analizowania najróżnorodniejszych charakterystycznych aspektów życia sowieckiego, jak również w komentarzach, spostrzeżeniach i sądach, które w nim wywołują. Na wolności, w więzieniu, na zsyłce, w stosunkach prywatnych czy oficjalnych, które nawiązuje z różnymi osobistościami świata sowieckiego, ciągle powraca do tego pytania.

Lecz gdy w sierpniu 1941 roku odkładając pióro w czasie najsilniejszego nateżenia inwazji niemieckiej w Rosji, ujmując tę nadzwyczajną dokumentację i kreśli odpowiedź, synteza nie odpowiada analizie.

Ciliga nakreśla schemat ustroju sowieckiego, wyraźnie różniąc jego strukturę i jego sprzeczności. Nakreśla bezpośrednio powody jego siły: strach i zjednoczenie frakcji bojowych młodzieży robotniczej i włościańskiej, — oraz jego słabości: bierny upór uciskanego ludu, oraz walkę otwartą czy ukrytą, która rozbija i tworzy nowe ugrupowania w "klasie rządzącej": partii, inteligencji technicznej, armii, Cerkwi. Powołuje się on nawet na historyczne antynomie pomiędzy Rosją a Europą, podkreślając, że antynomie te, po niepowodzeniach rewolucji na Zachodzie, spowodowały w samym ZSSR "przerost tendencji internacjonalizmu rosyjsko-europejskiego" w koncepcjach "nacjonalistów rosyjsko-azjatyckich". Lecz nie

4) Świadectwo Ciligi było pierwszym i pozostaje do dziś bodaj jedynym, formującym myśl, że obecna rzeczywistość sowiecka nie spada z nieba markso-wsko-leninowskiego, lecz że uformowała się w drodze procesu organicznego, który ją znacznie wyprzedził i który bierze początek w dalekiej przeszłości rosyjskiej, że ta rzeczywistość i kłamstwo, którym jest przesłonięta, nie są w gruncie rzeczy, ani tak tajemnicze, ani tak wprowadzające w błąd, jak w to wierzył początkowo Ciliga. Wystarczy je tylko studiować bez uprzedzeń, jako wytwór historycznego rozwoju wypadków i przeobrażeń społecznych.

pogłębia, niestety, tej tezy. "Istota tyranii stalinowskiej" — mówiąc jego słowami — wymyka mu się, a wraz z nią również i treść Rewolucji Październikowej (której pozytywnej roli historycznej wciąż nie kwestionuje) i jej "zwyrodnień". W jego analizie stosunków sowieckich widzimy marksowski dogmatyzm Ciligi ("układ sił klasowych jest decydującym czynnikiem w dynamice rewolucji"), typowe dla socjalisty-idealisty idealizowanie mas pracujących, odnajdujemy anarchistyczną mistykę buntu oraz głębokie ślady rosyjskiego "narodnicztwa", wzbudzającego w nim miłość do narodu rosyjskiego. Wszystkie te sprzeczności jakże często hamują jego myśli, kierują je w niewłaściwym kierunku, utrudniają mu dojście do syntezy a przede wszystkim powodują w momentach najbardziej krytycznych sprzeczności i dwoistości.

Gdy w roku 1941 Ciliga oczekuje, że wojna spowoduje upadek Stalina i jego reżimu "absolutnie niezdolnych do przeprowadzenia ofensywy na wielką skalę", ... "do przeciwstawienia się poważnej ofensywie nieprzyjacielskiej i do jej przeżycia, a nawet do prowadzenia długiej wojny obronnej", to wierzy mimo to nie tylko w słabość lecz i w siłę Rosji. Omyłkę swoją (popętnioną zresztą przez wielu specjalistów — największych znawców spraw sowieckich na Zachodzie) racjonalizuje w ciekawy sposób. W rzeczywistości nie oczekuje upadku stalinizmu na skutek hitlerowskiego zwycięstwa. To narodowa dyktatura wojskowa obali Stalina w toku wojny, aby następnie prowadzić aż do zwycięstwa "nieubłaganą walkę przeciwko napastnikowi".

Gdy w osiem lat później Ciliga publikuje drugi tom swoich wspomnień, nie opuszczając z rzadką lojalnością ustępów, zdemontowanych przez wypadki, i usiłuje wytłumaczyć dlaczego Stalin i jego reżim uosabiają bardziej niż kiedykolwiek w historii Rosji rosyjski nacjonalizm, analizuje on przede wszystkim cechy "neo-imperializmu rosyjskiego" i metody, jakimi Stalin umiał zjednoczyć masy, apelując do ich "instynktów antyzachodnich", scytyjskiego rabunku i podboju⁵⁾.

Ponieważ jednak sam widzi sprzeczność tego twierdzenia ze stworzoną przez siebie na łamach całej książki idealistyczną wizją narodu rosyjskiego — usiłuje natychmiast wrócić do swej dawnej iluzji, formułując nowe "wyznanie wiary" w "aktualność rosyjskiej opozycji lewicowo-demokratycznej, radykalnej, ludowej i międzynarodowej".

Krótko mówiąc, system myślenia Ciligi jest równie idealistyczny w 1949 r., jaki był w 1941, a nawet w 1937.

Wnioski Ciligi na temat niepowodzenia dowódców sowieckich w ich dążeniach do władzy dyktatorskiej są wnikliwie i mają pozory słuszności. Zaklęcia, jakie rzucił Zachodowi, aby go nakłonić do nieodpłatania Rosji — nawet stalinowskiej — nie-

5) Ciliga szeroko komentuje słynny i głęboki poemat Aleksandra Błoka pt. "Scytowie".

nawiścią za nienawiść, imperializmem za imperializm, zasługuje na poważną uwagę. Ale odpowiedź, jaką daje w ostatnim sformułowaniu na pytanie, które go dręczy, nie mogłaby zadławić znającego przedmiot czytelnika. Prawdę mówiąc, wątpimy bardzo, czy zadawała samego autora.

Odpowiedź Ciligi, której ostrze wymierzone jest wyłącznie w stronę "neo-imperializmu stalinowskiego i sowieckiego", raczej potępia najbardziej jaskrawe skutki "degeneracji rewolucji październikowej", niż głębokie przyczyny tego zwyrodnienia. A zatem odpowiedź ta omija istotę problemu. A wreszcie odpowiedź ta nie uwzględnia i nie wykorzystuje prawie wcale wszystkich danych, które rzeczywistość sowiecka, z którą się tak blisko zapoznał dzięki swoim doświadczeniom, pozwoliła mu zebrać.

Widok Ciligi wpadającego w potrzask, który on sam tak dobrze opisał, jest rewelacyjnym przykładem inhibicji, które "ideologia" może wywołać nawet w umysłach wyjątkowo czułych na fakty realne.

Czyż już na pierwszych stronach swojej książki Ciliga nie sformułował pewnego rodzaju zastrzeżenia o zasięgu w ogólnym zarysie prawie że metodologicznym?

"W Rosji — pisał on — cudzoziemiec zaniedbuje poznania praw właściwych życiu rosyjskiemu... światopogląd europejski pozwala jedynie na zauważenie istniejącego kontrastu pomiędzy Zachodem a krajem Sowietów. Jeśli idzie o poglądy, które mogłyby pomóc w odkrywaniu istoty wypadków w Rosji, trzeba je zdobywać na miejscu; nie można wyjmować ich w stanie gotowym z walizek, przywiezionych z Europy".

Zdarzało się, że Ciliga wraca do tej myśli w wielu nawrotach, zbliżając sowiecką teraźniejszość do rosyjskiej przeszłości, biorąc pod uwagę "historyczne przyczyny bierności proletariatu rosyjskiego, jego niezdolności do otwartej walki z uciskiem biurokratycznym", uporeczywie kładąc nacisk na narodowy charakter Rewolucji Rosyjskiej.

"Żałuję i nie zazdroszczę tym — woła Ciliga ze szczególnym zapałem — którzy nie chcą rozumieć, do jakiego stopnia Rewolucja Październikowa narodziła się z ludu, i którzy wyobrażają sobie, że jest ona jedynie rezultatem myśli i intryg zagranicznych! Rosja często miała władców obcego pochodzenia, ale jej bunt i jej rewolucje były zawsze przejawami jej ducha narodowego. Podstaw rewolucji rosyjskiej, prawdziwie narodowej i typowo rosyjskiej należy szukać na głębokiej prowincji i w zakamarkach życia chłopskiego".

W rzeczy samej, Ciliga stosuje mało lub wcale, i prawie nieświadomie, tę złotą regułę, czyni to przy każdym zakręcie swej wewnętrznej ewolucji, w każdym z swych wielkich rozdziałów o latach 1919-1921, o opozycjach wewnątrz partii, o Leninie i

biurokracji, o robotnikach, o kolektywizacji, o pracy przymusowej, o trustach państwowych. Dzięki temu daje on nam ogromną ilość danych zupełnie nowych, wyjętych wprost z samego życia, wskazówek fenomenologicznych, które mogą z gruntu zmienić pogląd Zachodu na rewolucję rosyjską i reżim sowiecki, pogląd, który jest zamazany na skutek ignorancji i zdeformowany na skutek wieloletnich kampanii apologetycznych lub krytycznych komunistów i socjaldemokratów. Ale Ciliga nie potrafił skoordynować swoich intelektualnych reakcji częściowo dlatego, bo ta rewolucja "typowo rosyjska" początkowo powoływała się ustami Lenina na Marksa, częściowo (pomimo "niesłychanej słabości programu międzynarodowego tej rewolucji") z powodu marksizmu międzynarodowego i proletariackiego. Już bardzo szybko — gdy tylko nastąpiła militaryzacja gospodarki na skutek "komunizmu wojennego", reżim sowiecki, jak sam Lenin przyznał⁶⁾, w genialnym natchnieniu nadbudował nad swoją rzeczywistością, która w połowie była czymś nieświadomym, a w połowie czymś, do czego nie można było się przyznać, potiemkinowską dekorację marksizmu zachodniego: to trochę przypominało metody Wielkiej Katarzyny, która najgorszą epokę poddaństwa rosyjskiego chłopów przesłoniła parawanem "filozofii oświecenia". Do rzeczywistości, która mu się coraz wyraźniej ukazuje pod płaszczykiem fikcyj, bystry obserwator w dalszym ciągu stosuje z góry ułożone pojęcia marksistowskie, które przywiózł w swej walizce z Europy do Związku Sowieckiego. W chwili, gdy pisze swą syntezę — myśli, że pisze wciąż jeszcze bardziej po marksistowsku niż po rosyjsku, i albo wcale nie wykorzystuje, albo tylko w bardzo nieznacznym stopniu te klucze do poznania zagadki rosyjskiej, które on sam jeden spośród tylu świadków życia sowieckiego⁷⁾ zdołał w tak wielkiej liczbie dostrzec i nam przekazać.

Książka Ciligi roi się od podobnych niekonsekwencji.

I tak Ciliga podaje przemówienie Stalina "do opozycji pracy", powstałej w czasie XVI Kongresu Partii przeciwko kolektywizacji: "Przestraszyliście się karaluchów, którym pozwolono wyjść z ich nor". Ciligę to oburza, ma to za złe Stalinowi i biurokracji. Ale ani przy tej okazji, ani kiedy indziej nie

6) Str. 212 tomu II, teoria "bonapartyzmu proletariackiego" Bucharina w 1921 r. i komentarz Lenina: "To prawda, ale to słowo nie może być użyte".

7) Grenard, były konsul francuski, we wspomnieniach, które poświęcił rewolucji rosyjskiej, i Pierre Pascal, dawny członek francuskiej misji wojskowej w Rosji podczas pierwszej wojny światowej, nie popełnili zasadniczego błędu marksistów, dopatrujących się w rewolucji rosyjskiej zerwania z historyczną przeszłością Rosji. Nie bierzemy pod uwagę esseistów jak Berdiajew i historiografów jak Aleksinskij, którzy dali znakomite rzeczy: pierwszy o stosunku bolszewizmu do prawosławia, drugi zaś o niezmienności zagadnienia rolnego w Rosji.

odwołuje się do samowładztwa, bizantyńskiej autokracji, początku absolutyzmu mongolskiego, który jest istotą politycznego ustroju Rosji, gdzie, aż dotąd, ustawy, bez względu na to, czy były "reakcyjne" czy "rewolucyjne", narzucane były zawsze z góry⁸⁾. Ciliga ubolewa nad stosunkiem wprost proporcjonalnym niewolnictwa do postępu gospodarczego w Rosji sowieckiej, nie uwzględniając w tym fakcie historycznego, permanentnego rozwoju etatyzmu w tym kraju, gdzie — w przeciwieństwie do tego co się dzieje na Zachodzie — rozwój państwa samowładnego i postęp techniczny, narzucony siłą przez to państwo, potęgowały i udoskonalały niewolnictwo, gniotąc w zarodku wszelką wolność⁹⁾. Jeśli idzie o ściganie przestępstw, popełnionych przeciwko kolektywizowanej własności rolnej, Ciliga notuje, że "socjalistyczny słownik Stalina przejął na swoje konto całe prawodawstwo cara Borysa Godunowa w stosunku do *bezbożnych złoczyńców*, to znaczy przeciwko chłopom, którzy odmawiali ugięcia się pod jarzmem właścicieli ziemskich"; pisze proroczo o kolektywizacji, że "żaden rząd nie będzie mógł nigdy odstąpić od systemu tak korzystnego, jak kołchozy, które jednoczą maksimum wydajności ludu i monopolizację zasobów z wprowadzeniem do rolnictwa najdoskonalszej techniki"¹⁰⁾. Ale nie widzi, że kołchoz w historycznym rozwoju państwa rosyjskiego jest najbardziej radykalnym rozwiązaniem zagadnień rolnych, wojskowych i finansowych, które się temu państwu narzucają jako kwestia życia czy śmierci. Opowiada — nie bez humoru — o korupcji i nadużyciach swoich przełożonych w truście syberyjskim, gdzie pracował jako deportowany, lecz nie bierze przy tym pod uwagę, że odnawia na modłę sowiecką starą zasadę o "samowładztwie regulowanym przez korupcję".

Zresztą jego entuzjazm marksowski dla uprzemysłowienia (nawet przymusowego) przeszkadza mu w rozpoznaniu, że to uprzemysłowienie pod wieloma względami dorzuca jedynie wariant amerykański do "caratu na modłę niemiecką" z XVII i XVIII wieku.

Moglibyśmy przytoczyć i inne przykłady tej dwoistości autora, lecz wolimy zamknąć to wyliczanie przytoczeniem opinii

8) "Człowiek, którego wyciągnąłem z błota! — krzyczy Iwan Groźny, besztając jednego ze swych dygnitarzy-opryczników. Karaluchy u Stalina, błoto u Iwana Groźnego — oto czym jest naród dla samowładców Rosji.

9) Historia Rosji była zdeterminowana koniecznością przywiązania do ziemi "mużyka", który wiecznie uciekał przed podatkami i służbą wojskową. Tak samo uprzemysłowienie w Rosji podporządkowane było przede wszystkim potrzebom wojskowym, a niewolniczy pobór robotników, przywiązanych do przedsiębiorstwa — nabierał tam zawsze cech przymocy.

10) Obecny rozwój sowieckiego rolnictwa, wciąż nowe jego trudności, wzrastające tendencje do centralizacji i militaryzacji kołchozów — wskazują, że Ciliga przecenia wydajność i zalety cywilizacji.

młodego opozycjonisty "decysty"¹¹⁾, Wołodii Smyrnowa, uwiecznionego razem z Ciligą w Wierchnim-Urałsku, którą wyrobił sobie, rozważając o ewolucji kapitalizmu państwa biurokratycznego w kierunku faszystowskim¹²⁾.

Ten postulat, który zasługuje na to, by przeszedł do potomności, prowadzi nas do sedna zagadnienia; formułuje on bowiem właśnie te prawa "właściwe życiu rosyjskiemu", ten "charakter głęboko narodowy, typowo rosyjski Rewolucji Październikowej", te "korzenie" Rewolucji Rosyjskiej, których należy szukać w "życiu wsi", słowem wszystkie te sprawy, których Ciliga, głuchy na własne swoje słowa, ostatecznie nie usiłował nawet wyjaśnić.

Wołodii Smyrnow pisał w swoim dzienniku więziennym: "Nigdy nie było w Rosji rewolucji proletariackiej ani dyktatury proletariatu. Była jedynie "rewolucja ludowa" na dole i dyktatura biurokratyczna na górze".

Rzecz ciekawa, jak się zdaje, to nie ten postulat wywołał oburzenie innych więźniów i wykluczenie Smirnowa z grupy decystów. Oburzenie to wywołały jego poglądy na "kom-faszyzm", które czyniły "z komunizmu ekstremistycznego faszyzm, a z faszyzmu komunizm umiarkowany". Ciliga, który zadawała się zanotowaniem tego świętokradzkiego postulat, nie zdaje się, tak samo zresztą jak i sam Smirnow, dostrzegać konsekwencji herostratycznych, które postulat ten implikował, jeśli chodzi o samą koncepcję rewolucji październikowej, koncepcję, która została przyjęta jako artykuł wiary przez rewolucyjnych marksistów Zachodu i nawet przez licznych anarchistów, przynajmniej aż do powstania kronsztadzkiego; Ciliga zdaje się również nie dostrzegać, jakie światło postulat ten może rzucić na samą treść władzy sowieckiej i na "istotę tyranii stalinowskiej", ani analizuje jej głębiej. Szkoda! Analiza taka mogłaby rzucić więcej światła na degenerację samej rewolucji i istotę władzy i ucisku stalinowskiego.

Jeżeli, jak zapewniał Smirnow, Rewolucja Październikowa była połączeniem *buntu*¹³⁾, doprowadzonego na skutek załamania się caratu pod ciosami wojny do gigantycznych rozmiarów, z przywódcą, a potem garstką przywódców przesiąkniętych marksizmem, cóż w tym dziwnego, że rewolucja ta, pozostawiona sobie samej, na skutek pewnego rodzaju prawa o

11) "Decyści" — byli to członkowie umiarkowanej opozycji robotniczej, tzw. "Centralizmu Demokratycznego" (D.C.), który powstaje od 1919 roku przeciwko "Centralizmowi Biurokratycznemu" Centralnego Komitetu Partii, a którego głównym leaderem był Saprnow. Większość "skapitulowała" po likwidacji N.E.P.'u i wprowadzeniu gospodarki planowej.

12) Według Ciligi te zapatrywania czynią z Wołodii Smirnowa prekursora Burnhama.

13) Bunt chłopski gwałtownie destrukcyjny, typowo rosyjski. Puszkin kwalifikuje "bunt" jako "bezsensowną, bezlitosną rewoltę". Anarchista, panslawista Bakunin wychwalał bunt, robiąc z niego podstawę swojej rewolucyjnej apokalipsy.

historyczno-rosyjskim ciężarze gatunkowym, wyeliminowała ze "starej gwardii bolszewickiej" razem z większością marksistów to, co mogło, wraz z kierującym nią marksizmem, być motorem dla zachodnich idei rewolucyjnych, i ograniczyła się do odbudowy samowładztwa rosyjskiego pod maską "kapitalizmu państwowego" i "sowieckiej biurokracji". Cóż również dziwnego, że — jak w każdym wielkim etapie rozwoju potęgi rosyjskiej — ta neo-autokracja, doskonalona cierpliwie przez Stalina w jego powolnym dochodzeniu do całkowitej władzy¹⁴⁾, była bardziej bezlitosna, bardziej "brutalna" niż dawna, i że z przyczyn zarówno wewnętrznych jak i zewnętrznych dała początek "neo-imperializmowi", o wiele bardziej jędrnemu od schyłkowego imperializmu carów?

Widziane pod tym kątem "zwyrodnienie" Rewolucji Październikowej i "istota ucisku stalinowskiego", były niczym innym jak tylko odrodzeniem *mutatis mutandis* samowładztwa i neo-imperializmu (w którym Cilidze wydaje się, że widzi tajemnicę lojalności ludu wobec reżimu sowieckiego), jak tylko konsekwencją zastrzoną przez międzynarodowe przypadki tego odrodzenia. Rozpatrywane w perspektywie czasu rewolucja rosyjska i obecny reżim sowiecki, odnalazły atawistyczną drogę historyczną, po której krocząc, naród rosyjski, wpędzany kolejno ze stanu niewolnictwa do buntu i z buntu do niewolnictwa¹⁵⁾, i rosyjska państwowość — "gromadzieli dóbr ziemskich", coraz lepiej uzbrojone przez technikę zachodnią, doszłyby do spełnienia swego dziejowego poslannictwa — panowania nad światem.

Rzecz prosta, nie byłoby wskazane, zmuszając się do rozróżnienia (jak to narzuca z taką siłą świadectwo Ciligi) ziarna spraw rosyjskich od plewy form sowieckich, identyfikowanie w sposób uproszczony stalinizmu z caratem i, poddając się zgrabnej sugestii analogii, wierzenie, że się powiedziało wszystko z chwilą zakwalifikowania Stalina na "czerwonego cara". Tym bardziej nie należy ulegać inspiracji Kremla w czasie trwania aliansu anglosaskiego, przedstawiającej Stalina jako ustatkowanego państwowca, wcielającego rosyjski nacjonalizm, z którym nie byłoby nic łatwiejszego jak podjęcie dawnej gry dyplomatycznej o zachowanie nowej równowagi światowej.

Zważywszy wszystko powyższe, możemy stwierdzić, że jeżeli

14) Zwraca uwagę, że najwięksi przedstawiciele samowładztwa rosyjskiego: Iwan Groźny, Godunow, Piotr Wielki, Katarzyna II, a w końcu Lenin i Stalin, przechodzili — przed swoim triumfem — przez bardziej lub mniej długi i ponury okres zapoznania.

15) Jest bez znaczenia, czy bunt będzie — jak to było zazwyczaj — zdławiony, czy chwilowo, zwyciężony. Kiedy Pugaczew, zbuntowany kozak z czasów Katarzyny II, zajął całe prowincje w dorzeczu Wolgi, stworzył sobie "dwór", który chciał przeciwstawić carcy i w którym miał "wytresowane pod pałką" damy dworu i dygnitarzy o zmyślonych nazwiskach. Jeden z kozaków, na przykład, nazywał się "hrabia Orłow". Fakt ten, chociaż karykaturalny, jest również znaczący, jak sława Stalina jako "encyklopedysty".

nowe samowładztwo rosyjskie nie stało się czynnikiem przewrotu światowego (o wiele bardziej reakcyjnego zresztą jak rewolucyjnego w rozumieniu, jakie daje tym słowom zachodni humanizm socjalistyczny), to nowe samowładztwo różni się od caratu tylko obfitością i siłą środków materialnych, którymi dysponuje.

Ciliga słusznie stwierdza w 1949 r., że "tylko komunistyczny i stalinowski rząd może obecnie zapewnić Rosji funkcjonowanie jej potężnych piątych kolumn, których zachowanie leży w narodowym i imperialistycznym interesie Rosji". Lecz twierdzenie to należało by jeszcze pogłębić. W rzeczywistości nie od dzisiaj datuje się sztuka osłabiania przeciwnika, wykorzystując jego wewnętrzne sprzeczności, podżegając albo faworyzując przewroty w danym kraju czy w jego koloniach. Jeżeli idzie o Rosję, należało by zwłaszcza wziąć pod uwagę systematyczne poparcie dawane przez samowładców rosyjskich, w okresie walk z królami Szwecji czy Polski, ugrupowaniom antyabsolutystycznym tych krajów.

Tak samo należałoby określić, w jakiej mierze wydajność piątych kolumn i ciężar groźby wiszącej wskutek ich pracy nad Zachodem wynikają z doskonałości rosyjskich metod propagandy à la Potiemkin i organizacji "konspiracyjnej" à la Neczajew, doprowadzonych przez bolszewizm do doskonałości, a w jakiej mierze wydajność ta wynika z zaśniedziałości i zaślepienia demokracji. Ale to wykracza poza granice pracy niniejszej i mogłoby posłużyć tylko jako temat do książki zatytułowanej, na przykład, "W kraju wprowadzającej w błąd nieświadomości".

Jean BERNIER

Staruszcza w pieluszkach

Harold Nicolson, słabiuchny ex-dyplomata, ale wielki essayista, krytyk, pisał niedawno, że byli ambasadorzy brytyjscy, dla których odczuwa najwyższe uznanie (którego nie podzielałam), z reguły piszą pamiętniki tak naiwne i dziecinne, że można ich tylko przyrównać do ramolców w krótkich majteczkach. Po przeczytaniu pamiętników pani Bersé Cerruti nie mogę się powstrzymać od myśli, że przeczytałem wspomnienia staruszczy w pieluszkach.

Opatrzność, w swych niezbadanych wyrokach, już nas obdarzyła sporą dawką literatury ex-ambadorskiej, która jed-

nak, zgodnie z naszym charakterem narodowym, przypomina nie tyle shorty, ile raczej liberię karawaniarzy: jest pompacyjna, potężnie nudna i pełna besserwiserstwa, raczej o dziennikarskiej niż dyplomatycznej fakturze, patriotyczno-bolesciwa i przepojona od słowa wstępnego do spisu rzeczy mocarstwowością i przecenianiem naszych sił i naszego znaczenia w świecie. Polityka na wyrost i pretensje do wszystkich, tylko nie do siebie samych — oto przeważnie leitmotivy tych elaboratów. Natomiast stosunkowo mało w nich jest momentów protokolarno-sniadaniowo-polowaniowych — na razie nasi ex-machiavelle raczą nimi wybranych w rozmowach osobistych. Za to brak też wszelkich elementów anegdotycznych, tych świetnych dykteryjek, a także perełek stylu, które pamiętniki Ponceta — przy całej ograniczoności autora — czynią tak pasjonującą lekturą.

W każdym razie, jak dotąd, Bóg nam miłosiernie oszczędził pamiętników naszych ambasadorowych. Już ambasador jest dzisiaj po trochu postacią z "Księżniczki Czardasza" (jeżeli nie z "romansu apasza"), ale ambasadorowe, przeważnie pocziwe mieszczyki z pretensjami do odgrywania roli księżnych Lieven, są naprawdę postaciami z groteski à la Magdalena Samozwaniec. Tak typowa dla kobiet niezdolność do odróżnienia rzeczy błahych od ważnych, pozorów od rzeczywistości, piły protokolarnej od polityki, menu od noty, przyjęcia od potęgi, kadryla od wojny nadała wynurzeniom tych wszystkich ex-ambassadors jakiś charakter koszmarny i przypomina mi zawsze party w ubogim krakowskim baronowskim domu, gdzie, jak twierdzili złośliwi, niezliczona dzieciarnia nie dostawała obiadu przez cały tydzień poprzedzający fetę. Nieraz myślałem o ironii losu, która sprawia, że podatnicy płacą tyle pieniędzy, a mężowie stanu robią tyle świństw, by w rezultacie ministrowie i inne excellencje mogli zjeść obiad, siedząc między dwiema starymi kwokami, głupimi, nudnymi i pełnymi pretensji. Nawet panie à côté korpusu dyplomatycznego zarazają się jego mauvais genre'm: dwie Amerykanki np., które wyszły na Polaków, wydały wspomnienia, których nie można czytać nie skracając się na ten ekshibicjonizm prowincjonalnego snobizmu.

Pani Cerruti, żona byłego ambasadora włoskiego w Pekinie, Moskwie, Berlinie, Rio i Paryżu (niezła kariera, choć nawet w zwierciadle żony excellencja wygląda na nadętą mumię bez zdania i walorów — poza wyborynym węgierskim kucharzem) była de domo węgierską aktorką, aby po 20 latach sukcesów na scenie (przezornie zaznacza, że gwiazdą została już w 15-ym roku życia) porzuciła kinkiety dla oficjalnych obiadów. Jej rekordowo głupią i niesmaczną książkę ratują dwa ostatnie rozdziały, jeden o Węgrzech — patriotyzm, zwłaszcza, gdy się wyszło za cudzoziemca, ma zawsze wydźwięk szlachetny, drugi o Papieżu, choć ten ostatni, czyniący z Ojca św. jakiś dodatek do bien-pensants bardzo już myską trąci, a nadto ma odciętą snobistyczno-klasowy, który Kościołowi wiele szkód wyrzą-

dził w przeszłości a wyrządzi jeszcze o wiele więcej jeżeli się dewocjonalnych snobów nie będzie trzymać na okazałą odległość od złocistego tronu Berniniego.

Nie sposób przytaczać wszystkich nonsensów, płaskości, kabotynerii głupiej plotkarki, wyobrażającej sobie, że odsłania tajniki historii. Lecz oto parę poloniców, których bezdenną tępotę czytelnicy mogą posmakować:

Str. 69.:

"Ponieważ Cziczerin miał wśród swych przodków jednego hr. Czapskiego (Czapski) i jednego Naryszkiina, żartował niekiedy twierdząc, że ma pewne prawa do tronu rosyjskiego".

Za mniej głupie żarty szło się w Sowietach pod stienku. Ponadto Cziczerin nie miał żadnych przodków Czapskich — był z nimi spokrewniony tylko przez Meyendorffów. Po trzecie Czapscy żadnych praw do tronu rosyjskiego nie mieli i nie mają. Nawet Emeryk Czapski nigdy nie wysuwał takich pretensji. Cała ta bzdura jest wyssana z palca.

Ditto. Cziczerin ofiaruje Cerrutiemu starke (breuvage national! — zupełnie nieznaną w Rosji) mówiąc: "mam szczęście posiadać dobry zapas starki, która pochodzi z piwnic tego drogiego, starego księcia Sanzuszko" (Sanguszko).

Jak to prawdopodobne by Cziczerin mówił takie brednie. Książę Roman, abstynent i omal eremita, był zamordowany w Sławucie w 1917 r. — więc w 10 lat później Cziczerin jeszcze by częstował gości jego starką, którą, jeśli istniała, dawno rozkradli miejscowi chłopci. Ah, te tajemnice Kremla!

Str. 216. Pani Cerruti rozwodzi się nad swoją przyjaciółką, niejaką Wiktoria von Dirksen, macochą ambasadora niemieckiego w Londynie. Owa leciwa dama miała rzekomo wielkie wpływy na dworze Hitlera, rzekomo przyczyniwszy się ogromnie do jego dojścia do władzy (??). A teraz dosłownie:

"Jednym z jej majstersztyków (coup de maître) była konkieta ambasadora polskiego p. Lipskiego. Dała mu do zrozumienia, że użyje swych wpływów by mu umożliwić dobre stosunki z Hitlerem, jeżeli ze swej strony Lipski odda jej osobistą przysługę. Z pierwszego małżeństwa miała ona syna, który miał wielki majątek w polskim korytarzu: według ustaw polskich majątek ten miał być w części wywłaszczony. Ambasadorowi udało się łatwo uzyskać wyłączenie tego majątku. By się odwdziżyć Wiktoria (v. Dirksen) wyrobiła Lipskiemu dobre stosunki z Führerem. I rzeczywiście w tym okresie stosunki polsko-niemieckie nagle się poprawiły..."

I rzeczywiście!

Istnieje stara anegdota angielska, że kiedyś staruszka ks. Wellingtonu zaczął jakiś pan na ulicy mówiąc: Smith, przypuszczam? — Panie, odparł pogromca Napoleona, jeśli Pan to rzeczywiście przypuszcza jest pan naprawdę człowiekiem zdolnym do wszystkiego.

Jeśli pani Cerruti naprawdę po 17 czy iluś latach może na serio przypuszczać, że odprężenie polsko-niemieckie odbyło się via jakaś pani Wiktoria v. Dirksen i jej interesiki, to wysta-

wia jaskrawe świadectwo, że miejsce dla niej było przy ma-gliu a nie na oficjalnych bankietach, a miejsce dla jej pamiętników jest w koszu a nie na biurkach recenzentów.

Biedny Lipski, który najlepsze lata musiał marnować, siedząc na obiadach przy takich babsztylach!

Przypomina mi to następującą autentyczną historię: jadąc do Egiptu, czy wracając stamtąd Piłsudski zatrzymał się w jednej ze stolic bałkańskich. Tamtejszy poseł polski wydał na jego cześć bankiet, z którego skorzystała jego żona, znana ję-dza, by kłaść w uszy Marszałkowi (który według protokołu musiał koło niej siedzieć), jak bardzo źle jej mąż jest płatny, a ona sama nie ma za co "naszej ukochanej Polski" reprezentować i przez rok musi nosić te same suknie.

Piłsudskiego to wreszcie znudziło.

— Proszę pani, odpowiedział posłowej, miałem kiedyś dowódcę pułku, doskonałego, bardzo go ceniłem, lubiłem, ale miał tak nieznośną żonę, że musiałem go z wojska wylać, ku wielkiemu memu żalowi.

Może Mussolini powiedział to samo Cerrutiemu, gdy go spensjonował, nie dając mu nawet na okraszenie normalnych w takich wypadkach we Włoszech Sabaudzkich 9 pałek — lecz tylko jedną.

W. A. ZBYSZEWSKI.

Powojenna prasa francuska

"On pourrait donc concevoir qu'au nom même de la liberté et de la concurrence un régime de monopole viennois à s'instituer et que la libre information devienne elle aussi une information monolithique".

J. Kayser w "La NEF"

Powodzenie jakim cieszą się numery specjalne poważnych miesięczników, może całkowicie zmienić charakter francuskiego czasopiśmiennictwa. "La NEF" zapowiedziała, że będzie ukazywać się raz na dwa miesiące w podwójnej objętości, za każdym razem jako numer specjalny; właściwa część redakcyjna skurczy się do kilkudziesięciu stronnic kroniki (w ramach której zachowana zostanie rubryka Juliana Bendy *Mémoire d'Infra-Tombe*). Numer poświęcony powojennej prasie francuskiej jest już czwartym numerem specjalnym *La NEF* w ub. roku. Tematami poprzednich były: sytuacja wewnętrzna Francji, nad-realizm, socjalizm jako ofiara marksizmu; następny poświęcony został miłości pod hasłem Rimbauda "L'amour est à réinventer". Akcent przesuwa się w ten sposób z aktualności i indywidualności pisarskich, które dominowały dotychczas, na wybrane tematy. Miejsce magazynów zajmie coś w rodzaju skryptów Wolnej Wszechnicy. Moda ta zaczyna szerzyć się w Paryżu

magminnie. Jeśli nie minie równie szybko jak się pojawiła, będzie zasługiwała na baczniejszą uwagę.

Zeszyt *La NEF* poświęcony prasie nie usprawiedliwia jednak tej nowej formy wydawnictwa. Tradycyjny sposób redagowania miesięcznika nie wyklucza oczywiście inspiracji redakcyjnej, ale zamówiony manuskrypt zawsze zachowuje pozory spontaniczności. Ten konwenans obecnie odpada, lecz razem z nim przestaje istnieć "świat autora". Fikcję indywidualności zastępuje fikcja "zespołu", a zespół staje się rodzajem komisji badawczej, przez co artykuły nabierają charakteru referatów czy zgoła raportów. Miesięcznik nie pokazuje świata widzianego "przez temperamenty" autorów, ale świat "obiektywny" opisywany w wybranych aspektach przez poszczególnych współpracowników. Element indywidualizmu jednak, którego za jednym zamachem wyeliminować nie można, daje o sobie znać w dublowanych tematach i licznych powtórzeniach. Dziennikarze i publicyści z trudem dają się przerobić na uczonych specjalistów czy urzędników. "Numer specjalny" staje się w ten sposób raczej luźnym projektem monografii niż prawdziwą monografią.

Po tych zastrzeżeniach natury ogólnej należy oddać sprawiedliwość wysiłkowi *La NEF*, której udało się uwypuklić w obrazie powojennej prasy francuskiej szereg rysów bardzo charakterystycznych. Powrót do przedwojennej "normalności", który w innych demokracjach nastąpi szybko i bezboleśnie, hamowany jest we Francji przez dwa zjawiska różnej natury: z jednej strony "normalność" skompromitowana została przez kolaboracjonizm czasów okupacyjnych, a w ruchu podziemnym dojrzała decyzja (sformułowana w tzw. *Cahier Bleu*), by do jej powrotu w każdym razie nie dopuścić; z drugiej strony działają pewne przemiany strukturalne, np. rozwój techniki informacyjnej, wzrost czytelnictwa na wsi, reorientacja wywołana przez okupację i dzięki jej długotrwałości ustabilizowana etc., które zmieniłyby obraz "normalności" nawet gdyby powrót do niej nie był utrudniony przez tamten kompleks ideologiczny. Równocześnie odbywa się proces instytucjonalizacji zawodu dziennikarza i szereg innych procesów natury społecznej i gospodarczej, które zdają się udaremniać już nie tylko prosty powrót do dawnych dobrych czasów, ale także realizację zamierzeń powziętych w złych czasach przez fachowe i niefachowe zespoły redakcyjne prasy podziemnej.

Na ten ostatni moment *La NEF* kładzie szczególny nacisk. Gdyby nie zakładano, że czytelnik zna perypetie powojennej prasy francuskiej, tj. gdyby się nie ograniczono do aluzji ale przedstawiono tę interesującą historię bardziej szczegółowo, numer specjalny *La NEF* nabrałby charakteru dokumentu o fiasku jeszcze jednego złudzenia czasu wojny. Poczucie tego fiaska jest w każdym razie dominującym motywem tej pracy zespołowej. To rozczarowanie ma w sobie coś wzruszającego i musi budzić oddźwięk w każdym Europejczyku, którego kraj przeszedł hitlerowski najazd. Fakt, że i Francuzom nie zostało, zaoszczędzone owo pałetyczne doświadczenie, o którym każdy z nas mógłby długo opowiadać, kiedy z legendy sypią się trociny, stwarza między nami a nimi jakąś głęboką nić nie tyle może sympatii do współnictwa. I u nich i u nas legenda rosla z tego co powinno było być, a nie z tego co było. Wszyscy wierzyliśmy, że dokonuje się w nas wielka przemiana, ale zamiast

być jej pionierami, poprzestaliśmy na roli świadków. Kiedy w roku 1943 Dorothy Thompson pisała, że wkraczamy w epokę "rewolucyjną", czuliśmy, że wypowiada jakąś głęboką prawdę, chociaż nikt z nas nie umiałby powiedzieć, na czym ta "rewolucja" ma polegać. Ale rewolucja dokonywała się rzeczywiście i dokonuje się nadal, tylko mimo nas i wbrew nam. Europejski ruch oporu był jej negatywem i "wyzwolenie" żadnej przemiany w nim nie dokonało. Siły napędowe tej rewolucji były poza nami i pozostały poza nami. Tryskają one tam gdzie rosną maszyny, a nie tam gdzie tłą się uczucia.

W przedmowie numeru specjalnego *La NEF* czytamy: "O poniżeniu tego kraju świadczy być może mierność jego prasy. Lecz mierność tej prasy podtrzymywana jest tylko przez to, że w narodzie tym osiągnięte zostało coś co mu odebrało ową zadziwiającą zdolność oburzania się z której wyrosły rok 1789, 1830, 1848 i Komuna, lecz którą kronikarze musieli już rozdymać, by historia mogła jej nadać miano Oporu". Mowa, oczywiście o sceptycyzmie. Dziś gdy wielkość człowieka przestała polegać na przerastaniu samego siebie, bo polega na radzeniu sobie z czymś co go przerasta i dla tego nie mierzy się już zamiarami ale zaradnością, sceptycyzm chroni od wysiłków daremnych. Mierność jest ceną dojrzałej mądrości. Z idealizmu wielkich porywów pozostał tylko konwenans Historii, który z okupacji zrobił epopeę Oporu i narzuca krepujący moralnie ostracyzm kolaborantów. Stąd nierzeczywistość wszelkiej kontynuacji ducha Résistance. Mocny jest ten duch tylko w kłamstwie, tj. u komunistów. Sceptycyzm, który nie wznosi się do swej formy heroicznej, tj. do cynizmu, staje się bezradnością.

To poprzestawanie sceptycyzmu na samym sobie jest uderzające. Nam, którzyśmy zapatrzenie we Francję odziedziczyli po długich pokoleniach przodków, wydaje się ono niemal niefrancuskie. Być może mylimy się, bo myliliśmy się na tym punkcie zawsze. Francuzi najmniej mówią o propagandzie, bo ją robią. Jest to rzadki naród, którego samouwielbienie nie odpycha, ale zaraża. Mówią, że "osiągnęli" sceptycyzm, który ich zwalnia od oburzenia, ale wiedzą dobrze, że oburzenie robi historię. Sceptycyzm jest ostoją cywilizacji, ale cywilizacja jest tylko ubocznym produktem historii. To inteligencja Francuzów stworzyła mit Résistance i ta sama inteligencja zrobiła z niego zobowiązanie moralne, nakaz, który w jakiś sposób powinien obowiązywać. Lecz sceptycyzm jest antytezą oburzenia. Inteligentny Francuz może sobie oburzenie tylko wyobrazić — nie odczuwa go. Stąd abstrakcyjność idealizmu Trzeciej Siły. Europa mogłaby być mocarstwem, Europa jest potencjalnym mocarstwem. Sceptycyzm zdumiewa się ukrytą rzeczywistością, którą ujawniają cyfry statystyczne i mapy (vide *Combat* ostatnich miesięcy), rzeczywistością, która jest ale nie działa. Do kogoż zwrócony jest ten apel czystej imaginacji popartej danymi statystycznymi? Do narodów Europy, które co dopiero przeszły jedną z większych katastrof swej historii właśnie na skutek próby zjednoczenia kontynentu? Czy do mocarstw, które jeszcze nie doszły do równowagi po kosztownym udaremnieniu tej próby i których cała polityka, choć na pozór tak pełna sprzecznosci, wytłumaczyć się da tylko troską o uniemożliwienie ponownych prób tego typu? Ten apel nie jest apelem, to sny

na jawie umysłowości rozszczepionej przez bezpłodny sceptycyzm.

Jakże jest charakterystyczne, że ci, którzy pragną kontynuować tradycję Résistance, nie potrafią zdobyć się na nic więcej jak na politykę "neutralizmu"! Kulturalny i społeczny stan posiadania, określanymi patetycznie mianem kultury zachodniej, zagrożony jest nie tylko ewentualnością trzeciej wojny światowej, której neutralizm pragnie za wszelką cenę zapobiec, owszem, jest nią w pewnym sensie zagrożony najmniej: źródło jego rozkładu tkwi w tej inercji, która każe Francuzom chwycić się minimalizmu Europy Zachodniej i nie pozwala im rozwinąć sceptycyzmu w cynizm. Europa jako Trzecie Mocarstwo nie jest i nie może być nawet pośrednim celem polityki sowieckiej i amerykańskiej, nie może powstać ani z udziałem Rosji i Ameryki ani z ich milczącym przyzwoleniem.

Opieranie nadziei europejskich na powrocie do jałtańskiej sielanki jest więc złudzeniem. Ale prawdziwym mankamentem inteligencji jest traktowanie Jałty jako sielanki. Tu ujawnia się cała naiwność sceptycyzmu. Kto nie potrafi na Jałtę spojrzeć cynicznie, nie zrozumie historii ostatnich pięciu lat i będzie mylił się w przewidywaniach przez następne pięć lat. Jałta była rozdaniem ról do gry, która jest dziś w pełnym toku. Miała ona obudzić fałszywe nadzieje w upatrzonych ofiarach Wielkiego Rozejmu, by uspić ich czujność a nawet zapewnić mocarstwu ich współpracę, miała następnie uniemożliwić raz na zawsze pojawienie się dalszych partnerów do podziału świata i wreszcie miała stworzyć obiektywne warunki dla stabilizacji tego podziału. Wszystkie te zadania Jałta spełniła, toteż żaden z jej uczestników jej się nie wyparł i żaden nie "złamał" jej istotnych postanowień. ONZ i wszystkie instytucje międzynarodowe, które mnożą się z niebywałą łatwością po tej i tamtej stronie żelaznej kurtyny, są tylko środkami wykonawczymi jałtańskiego planu. Amerykanizacja Europy zachodniej jest funkcją sowietywizacji Europy wschodniej i jest tak samo nieuchronna. Sceptycyzm francuski kompromituje się jako naiwność i skłonność do pobożnych życzeń, gdy usiłuje wmówić sobie i innym, że Europa zachodnia może uniknąć amerykańskiej gdy sowietywizacja Europy wschodniej będzie trwała.

Ruch "oporu", który zamyka oczy na fakt, że Jałta przesądziła o klęsce Hitlera, ale i o zwycięstwie jego koncepcji, skazuje się na bezpłodność. Wolność jest niepodzielna: nie można kupić swojej zaprzędując cudzą. Prasa stworzona przez Résistance rozumiała tylko tyle, że niepodległość Francji będzie nieterwała bez niepodległości Indochin, Maroka i innych krajów kolonialnych, nie rozumie jednak, że bez niepodległości Polski, Czech, Estonii, Ukrainy i Gruzji musi stać się fikcją. Prasa ta łudzi się, że idealizując Jałtę, realizuje ideały podziemia. Jałta oparta jest tak samo na pogardzie tych ideałów jak Nowy Ład Hitlera. Sceptycyzm jest mądrością czasów ustabilizowanych, w czasach przemiany staje się niebezpieczną krótkowzrocznością. Prasa dawnej Résistance jest tak samo narzędziem jałtańskiego planu podziału świata jak prasa komunistyczna i wielkokapitalistyczna. Przez swą jednostronność, jej "opór" pcha rozwój wydarzeń w tym samym kierunku. Kto się opiera tylko Ameryce, wzmacnia potencjał rosyjski, kto się opiera tylko Rosji, wzmacnia potencjał amerykański, oba typy

"oporu" wzmacniają jednak mechanizm, który stworzono w Jałcie, a który służy wyłącznie interesom wielkich mocarstw. Kompromis rosyjsko-amerykański będzie wyrazem równowagi osiągniętej przez ten mechanizm, będzie "zwycięstwem pokoju", ale równocześnie momentem ostatecznej likwidacji niepodległości narodowej na świecie.

Od czasu, gdy prasa była rzeczywiście "czwartą potęgą" (*La Presse — IV-ème Pouvoir*, taki tytuł dała *La NEF* swemu numerowi specjalnemu), zmieniło się wiele, a na to, by mogła stać się nią na powrót, nie wystarczy reforma "ustroju prasy", proponowana przez *LA NEF*, a więc ustalenie statusu dziennikarza, stworzenie silnej organizacji zawodowej, umiędzynarodowienie informacji etc., bo potęga prasy nie opierała się na "wolności informacji" tylko na wolności opinii. Prasa była potęgą dopóki miała swoją opinię. Im bardziej dziennikarz stawał się fachowcem, tym bardziej stawał się wyrazicielem opinii cudzej i prasa z potęgi zmieniała się w narzędzie. Opinia jest przywilejem elity, a elita nie jest instytucją, ale energią tworzącą instytucje. Instytucjonalizacja zawodu dziennikarskiego, choćby obwarowana wszystkimi przywilejami dostępu do źródeł informacji i swobody szerzenia informacji, nie przywróci prasie jej roli opiniotwórczej, bo nie zrobi z dziennikarzy elity, tylko funkcjonariuszy. Już dziś Claude Bourdet zauważa, że "brak (we Francji) dziennikarzy o klasie międzynarodowej" i że prasa prawicy oraz centrum wypożycza sobie "columnistów"... amerykańskich. Podniesienie poziomu zawodu dziennikarskiego jako zawodu spowoduje usprawnienie prasy jako narzędzia, nie stworzy jej jednak autonomii, która z dziennikarzy zrobiła by elitę.

Prasa straciła samodzielność gdy stała się wielkim przemysłem. Opinia, na jaką sobie odtąd mogła pozwolić, musiała być różna od opinii, jaką sobie wytworzyli najbardziej niezależni wewnętrznie redaktorzy. Jako element życia gospodarczego prasa poddać się musiała prawom tego życia. Redakcje weszły w stadium korupcji. *LA NEF* sumiennie zestawia symptomy tej ewolucji. Redaktor został naprzód zepchnięty w cień przez właściciela gazety, a ten dziś już jest zdany na łaskę i niełaskę państwa. Kontyngentowanie papieru stanowi zdobycz ostatniej wojny i ostatecznie kładzie kres wolności prasy. Marzenie, by prasę upaństwowić lub poddać innemu, formalnie niezależnemu ośrodkowi dyspozycji, jest konsekwentne, ale rozpaczliwe. P. Lazareff cytuje w konkluzji numeru opinię pewnego wydawcy, którego cieszy krytyka czytelników, bo sprzecznosc jej motywów świadczy o obiektywności jego dziennika, ale który ubolewa, że "zbyt wielu Francuzów żałuje, że nie mamy jeszcze prasy totalistycznej".

Kto skupia całą uwagę na "wolności informacji", która jest zawodową idiosynkrazją dziennikarzy, nie może oczywiście zauważyć istotnego problemu, jakim jest depersonalizacja opinii. Rzeczy przerosły osoby i narzucają człowiekowi swoją mechanikę. Opinia przestała być opinią czy jąś a stała się wyrazem czegoś. Trudno przy tym powiedzieć, czy ta tyrania rzeczy przyszła z zewnątrz czy też wyrosła z pewnych potrzeb we-

wewnętrznych. Jak zwykle w takich wypadkach, rozwój odbywa się zapewne równocześnie w obu kierunkach: potrzeby przystosowują się do obiektywnych warunków i wzmacniają zawartą w nich tendencję, co z kolei determinuje ostatecznie ewolucję potrzeb. Prawdy, które tworzą osobowość, ustąpiły miejsca prawdom, które wynikają z interesów. W ucieczce od losu osobistego, którego prawa wydały się zbyt surowe, człowiek identyfikuje się z losem zbiorowym, który ma tę zaletę, że interwencja osobista staje się zbyteczna, bo byłaby beznadziejna. Opinia, wyraz twórczej woli, staje się w ten sposób rejestracją obiektywnych praw. Miejsce oceny zajmuje opis. Jedynym kryterium pozostaje siła: wola twórcza degeneruje się w idealizm i skazana jest na donkiszoterię, jeżeli — w swej formie nieszkodliwej czyli bezsilnej i bezpłodnej — nie jest tolerowana jako pożądana dywersja czy kłapa bezpieczeństwa.

Géraud Jouve opisuje dwie krańcowe formy dziennikarstwa, amerykańską i francuską, z których pierwsza uprawia bałwochwalstwo faktów, druga kult syntez, ale obie są sposobem opisu a nie metodami oceny. Kategorie tego opisu są gotowe, dziennikarz czerpie je z politycznych sloganów. Całej prasie kontynentalnej brak owej "filologii politycznej", tj. analizy frazesów politycznych i "ideologicznych", którą próbował wprowadzić Burnham. Oczywiście, informacja nigdy nie jest w pełni obiektywna, nawet gdy jest zupełnie "sucha". Nie potrzeba wcale wywlekać — jak to czyni L. Rollin — owej perfidnej formy kłamstwa, jaką jest przemilczenie, uprawiane nagminnie; wystarczy przypomnieć prosty fakt, że bez oceny niemożliwe jest sformułowanie najprostszej obserwacji. Fakt staje się w ogóle faktem dopiero przez akt oceny. Każdy opis jest oceną, ale nie każdy oceniający bierze za swą ocenę odpowiedzialność. Informator, opisywacz ukrywa się za autorytetem "nagiętego faktu" czy "obiektywizmu", a jego ocena — z całą tendencyjnością wyboru, oświetlenia i kryteriów — sankcjonowana jest przez potęgę, której służy. Nadmiar druków zabił opinię publiczną, która wymagała od piszącego indywidualności, a więc odpowiedzialności za drukowane słowo. Rozwinął się natomiast nowy typ czytelnika, który w ogóle niczego nie bierze dosłownie, zawsze czyta między wierszami, interpretuje już zupełnie instynktownie i... milczy. Inteligentny czytelnik prasy zdegradowany został do roli "voyeur'a". Nie tworzy on opinii, ale współpracuje czynnie w jej zatajeniu. "Opinia", którą "reprezentują" gazety, reprodukuje stan faktyczny, a prawdę stanowi mechaniczny układ sił.

Ideał, który przyświeca La NEF, to w gruncie rzeczy prasa jako rozjemca w sporach możliwych tego świata. Jest to ideał ambitny, ale fantastyczny i może właśnie dla tego nie uświadomiony. L. Rollin żąda umiędzynarodowienia informacji prasowej, oczywiście nie przez poddanie jej ONZ czy czemuś w tym rodzaju, ale jako potęgi autonomicznej. Chodzi tu o ucieczkę od kontroli i interwencji państwa z jednej strony, a monopoli prasowych z drugiej. Dziennikarze jako Zakon Prawdy, jako komiwojażerowie "rzeczywistej rzeczywistości". Słowem, jako nietykalni mandatariusze wszystkich ciekawskich tego świata, którzy — oczywiście — musieliby zobowiązać się do niekorzystania z informacji, jakich się im dostarcza. Jest to konsekwencja, na którą Rollin zamyka oczy, bo woli wierzyć, że informacja

stwarza opinię, a opinia — fakty. Rezultatem takiej reformy służby informacyjnej nie byłoby pojawienie się Obywatela Świata, przed którym drżałyby rządy i monopole; byłaby to zamiana prasy w Wielkiego Voyeur'a, a więc ostateczne zwycięstwo mechaniki sił nad niezależną opinią.

Plany takie rodzą się z rozpaczliwego protestu przeciwko wzrostowi amerykańskich monopoli prasowych. Jacques Kayser podkreśla, że zwykła wolność informacji wcale nie zapewniłaby zwycięstwa prawdzie. Tej wolności domagają się Amerykanie, ale w Genewie przypomnieli im delegat francuski, p. Letourneau co już Lammenais sformułował w kapitalnym aforyzmie: *Entre le riche et le pauvre, c'est la liberté qui opprime et la loi qui affranchit.**) Jak na przywróconym wolnym rynku światowym wszystkie gospodarki narodowe musiałyby szybko paść ofiarą gospodarki amerykańskiej, tak wolność informacji rychło skończyłaby się amerykańskim monopolem. P. Kayser pragnie zapewnić wszystkim, nawet najmniejszym narodom wpływ na politykę międzynarodową przez danie im "możliwości dostarczania międzynarodowej opinii publicznej takiej wersji faktów i komentarzy, które nosiłyby na sobie piętno geniusza każdego z nich". Po linii tej idzie oficjalna polityka francuska broniąc swęj prasy i swęch agencji przed monopolami amerykańskimi, ale p. Kayser pragnie pójść dalej poszukując "sposobów technicznych, które pozwoliłyby narodom pozbawionym dotąd materialnych możliwości udziału w międzynarodowej produkcji informacji wnieść do niej wreszcie swój udział autentyczny i bezpośredni". Oto, do czego sprowadza się program walki o prawa mniejszych narodów, gdy się patrzy na świat spoza redakcyjnego biurka!

F. Daniel dostrzega "wielką lekcję ostatnich pięciu lat" w prawdzie, że ustrój prasy nie może być inny niż ustrój gospodarczy kraju. Co zmieniłby inny ustrój gospodarczy w tej mieszaninie dufnej w siebie miernoty, kokieterii wobec czytelnika, serwilizmu wobec możnych, staropanińskich nostalgii za niewinnością idealizmu i fałszywej dumy zawodowej, jaką jest prasa starych demokracji? Dzienniki szerzyły nadal opinię o których wiedziałyby, że są mile widziane, a swobodą opinii cieszyłyby się ten, kto zapewniłby sobie kierownictwo tej machiny. Prasa przestała być potęgą, bo jest bezideowa, a ci, którzy pragnęliby zachować lub przywrócić jej ideowość, operują fałszywą monetą. Pobożne życzenia są wyrazem lęku przed rzeczywistością, a wyobrażenie, że możliwe jest równocześnie uratowanie niepodległości i potęgi imperialnej Francji i utrzymanie systemu jałtańskiego jest pobożnym życzeniem. Jego implikacje i konsekwencje będą jeszcze wymagały gruntownej analizy, bo to pobożne życzenie tak samo paraliżuje siły narodowe i ducha niepodległościowego Francuzów, jak wiara w Pax Americana paraliżuje te siły i tego ducha w narodach poddanych rządowi sowieckim.

Jan ULATOWSKI

*) W stosunkach między bogaczem a ubogim, to wolność uciska a prawo wyzwala.

Carton de Wiart a polskie kompleksy

W związku z książką gen. Carton de Wiart pt. "Happy Odyssey", której niektóre rozdziały zamieściły na swych łamach "Wiadomości", nasuwają mi się następujące uwagi. Jest to książka mimo pozorów wysoce antypolska, ze względu na swój ogólny ton lekceważący i pogardliwy w stosunku do Polaków, tym bardziej niedopuszczalny, że używa go cudzoziemiec przez lat dwadzieścia związany wielu węzłami z naszym krajem. Gdyby autorem tej książki był powiedzmy Bevin lub Churchill, którzy nigdy w Polsce nie byli, Polskę znają z drugiej a nawet z trzeciej ręki, ich wypowiedzi najbardziej negatywne, nie szkodziłyby tak dobremu imieniu Polaków jak wypowiedzi gen. Carton de Wiart, który Polskę zna dobrze a przynajmniej powinien ją znać, który z Polakami się przyjaźnił i który przez tyle lat korzystał z naszej gościny i kredytu moralnego "przyjaciela" naszego narodu, za jakiego go powszechnie uważano. Jego wypowiedziom mogą bowiem ludzie nieświadomi rzeczy, nadawać znaczenie prawdy "dokumentalnej", właśnie z tego względu że autorem ich jest "przyjaciel" Polaków a nie wróg.

Cóż tedy mówi o Polsce i Polakach nasz "przyjaciel" gen. Carton de Wiart, człowiek którego obowiązuje, zdawałoby się, pewna kurtuazja w stosunku do kraju, który go przyjął z otwartymi rękami, kraju gdzie miał tak wypróbowanych przyjaciół osobistych jak Karol Radziwiłł, który cieszył się sympatią marszałka Piłsudskiego i popularnością szerokiej opinii polskiej. A no, z tego co mówi on i ze sposobu w jaki to mówi, można wysnuć tylko jedyny wniosek, że gen. de Wiart Polski i Polaków nie lubi, że lekceważy ich, że traktuje ich jako Zulusów czy Murzynów kolonialnych, a kraj ich ceni bardzo jako... wyśmienity teren do polowań. Wśród zdawkowych komplementów pod adresem tych lub innych osobistości, przytacza autor zdarzenia i fakty, które w dosyć dziwnym zaiste świetle malują życie polskie i obyczaje, charakter narodu i jego kulturę. Nawet gdyby niektóre przytoczone fakty były prawdziwe, nawet gdyby w ocenie pewnych zjawisk życia i obyczajów polskich miał autor rację, to chyba mamy prawo oczekiwać od naszego "przyjaciela" takiego uszeregowania i przedstawienia tych faktów, aby nie przysłaniały nam one istotnego obrazu, bardziej obiektywnego i bardziej zbliżonego do prawdy.

Nie bądźmy gołoślowni.

Mówiąc o bitwie pod Warszawą w roku 1920, gen. Carton de Wiart m. inn. pisze: "Życie moje było ciekawe i niezmiernie przyjemne. Co rano wyjeżdżałem na front, spędzałem tam

dzień i wracałem, by się wykąpać i zjeść obiad w Klubie (Myśliwskim, p. m.) i czułem się zupełnie jak urzędnik biurowy bawiący się w wojnę" (str. 107). "Rawlings (admiral brytyjski, członek misji wojskowej brytyjskiej na czele której stał gen. Carton de Wiart) rościł sobie pretensje, że to on pierwszy spowodował cofanie się bolszewików i odwrócił bieg wojny, ponieważ będąc na froncie tak natchnął jednego z polskich generałów butelką whisky, że ten z miejsca wydał rozkaz do ataku!" (str. 108).

Zapewne można i tak reagować i zapatrywać się na bitwę pod Warszawą, bitwę prowadzoną przez cały naród polski z śmiertelnym niebezpieczeństwem zalewu bolszewickiego, który objąłby całą Europę gdyby została ona przegrana, bitwę którą współrodak p. Carton de Wiart'a, lord Abernon, nie będący wszak naszym przyjacielem jak autor omawianej książki, nazwie "18-tą decydującą bitwą świata". Gen. Carton de Wiart, gdy obok toczą się te śmiertelne zapasy opuszczony przez Zachód narodu, o wolność swoją i tegoż Zachodu, — czuje się "niezmiernie przyjemnie", bierze wannę, zjada obiady w Klubie Myśliwskim i uważa te tragiczne zapasy, za doskonały temat dla głupich żartów swego kolegi z misji brytyjskiej.

Ten stosunek lekceważący i pomniejszający polski wysiłek orężny w obronie wolności i niepodległości, znajduje wyraz i na innych stronicach omawianej książki, np. tam, gdzie gen. Carton de Wiart nazywa nasze zmagania wojenne "mało poważnymi i bez znaczenia wojenkami" przytaczając na ten temat wysoko autorytatywne zdanie swego służącego Holmesa: "Polacy robią diabło wiele szumu o tę swoją tam wojnę!"

Gdy nasze oficjalne wizyty się skończyły, a nasze stosunki zagraniczne zostały oparte na mocnej podstawie, zwróciliśmy naszą uwagę na małe wojenki, które toczyły się ze wszystkich stron dookoła. Wszystkie te kampanie wyglądały na bardzo drobne i nieważne po wojnie we Francji, i przypominały kampanię w południowej Afryce. Mój służący Holmes najtrafniej oddał nasz stosunek do tych walk, mówiąc: "Polacy zdają się robić diabło wiele szumu o tę swoją tam wojnę" (str. 98).

Carton de Wiart potępia gwałtownie postawę Polaków, iż nie chcą oni tańczyć na balu urządzonym w ambasadzie brytyjskiej w Warszawie, nazajutrz po odmowie Lloyd George'a uznania praw Polski do Małopolski Wschodniej i Lwowa, i pisze:

Polacy zachowują się bardzo dziecinnie gdy spotka ich jakiś zawód i niemądrze pozwalają sobie na to, że wypadki de publicis wpływają na ich życie towarzyskie i prywatne. (str. 112).

Ale szczytem wszystkiego jest historyjka, którą przytacza na str. 13 swej książki, opisując obyczaje naszych Kresów:

Nie tylko chłopskie obyczaje są prymitywne. Pewien — soi-disant — bardzo soigné Polak dzielił pokój z jednym z mych znajomych. Otwierając rano oczy mój przyjaciel z przerażeniem zobaczył, że ten elegancki gentleman używał jego szczotki do zębów. Wówczas mój

znajomy wstał z łóżka, podszedł do umywalki, schwył tę szczoteczkę i zaczął nią pucować swoje paznokcie u nóg.

Można zarzucać Polakom wiele rzeczy, a w danym wypadku przedstawicielom jej sfer wyższych na Kresach, ale kto zna nasze dwory kresowe z ich wysoką kulturą towarzyską, ten może tylko się zdziwić z przytoczenia tego rodzaju historyjki ze szczoteczką do zębów, jako typowej dla obyczajów tego środowiska, nawet gdyby była ona autentyczna.

Wszystkie powyżej przytoczone kwiatki z książki naszego "przyjaciela" gen. Carton de Wiart'a są tylko dowodem, że nie zna on nas, że siedząc przez tyle lat w Polsce widział tylko bardzo wąski odcinek naszego życia, wcale nie najbardziej reprezentatywny, choć stanowiły go pałace naszej magnaterii rodowej, Klub Myśliwski w Warszawie i urzędowe gabinety ministerialne. Gdy przed dwudziestu laty jechał do Polski na wysokie stanowisko szefa misji wojskowej, przyznawał skromnie:

Moja wiedza geograficzna była dość ograniczona, toteż miałem tylko mgliste pojęcie gdzie się Polska znajdowała, ale wiedziałem jednak, że była gdzieś koło Rosji i że bolszewicy tam walczyli. (str. 92).

Gdy jednak po dwudziestu latach pobytu w Polsce opuszczał gen. Carton de Wiart gościnny kraj, może miał większe pojęcie o geografii, ale swoją wiedzę o Polsce i narodzie polskim nie bardzo zdaje się rozszerzył...

Dlatego Polska widziana oczami gen. Carton de Wiart nie jest podobna do Polski takiej jaką była naprawdę, wyłania się ona ze stron tej książki niby odbicie w krzywym zwierciadle, zniekształcona i pomniejszona.

Lecz tu przychodzi do sprawy najważniejszej moim zdaniem. Ukazanie się książki gen. Carton de Wiart'a zostało z miejsca pokwitowane ze strony Polaków, na łamach prasy emigracyjnej, zgodnym chórem zachwytu. Czytałem kilka recenzji i to wyszłych spod pióra Polaków dumnie noszących swoją polskość, i wszystkie one oceniają książkę gen. Carton de Wiart'a jako pozycję pozytywną dla sprawy polskiej. Mało tego. W dniu 7 listopada br. zorganizowany był w Instytucie im. Gen. Sikorskiego w Londynie odczyt gen. Carton de Wiart pt. "My years in Poland".

Czy nie jest to wszystko, bardzo żalonym objawem naszego polskiego "inferiority complex"? O co chodzi? Bo wolno p. Carton de Wiart pisać co mu się żywnie podoba o Polsce, co w najmniejszym stopniu nie wpłynie na umieszczenie wartości istotnych, jakie reprezentuje Polska i Polacy. Ale puszczanie płazem, a jeszcze gorzej nie wyciąganie konsekwencji w stosunku do cudzoziemców, którzy mówiąc najłagodniej odnoszą się lekceważąco do naszego narodu, nie przyczynia się moim skromnym zdaniem, do ugruntowania szacunku do nas na terenie międzynarodowym.

Xawery GLINKA.

Na temat «Chłopów»

Towarzystwo Naukowe Warszawskie wydało świeżo książkę p. Marii Rzeuskiej o "Chłopach" (*). O książce tej — gotowej do druku jeszcze w r. 1938, ale ogłoszonej dopiero teraz — trzeba przede wszystkim powiedzieć, że jest wyjątkowo sumienna. Autorka gruntownie i systematycznie przestudiowała elementy folklorystyczne powieści, drobiazgowo — nawet za drobiazgowo jak na studium, które ma być opisem literackim, a nie pracą językoznawczą — zajęła się zagadnieniem stosunku stylizacji gwarowej powieści do autentycznej gwary łowickiej, czytała się nawet w trzeciorzędnych powieściach na tematy wiejskie i umiała nam pokazać "Chłopów" na tle starannie opracowanej "chłopomanii" Młodej Polski. Pokazała także wpływ Reymonta na późniejszą polską powieść chłopską. Raz tylko, ale za to szpetnie, zawiodła ją wiedza historyczno-literacka, wtedy mianowicie, kiedy zaryzykowała twierdzenie, że "romantyka zasadniczo nie interesowały społeczne stosunki między chłopem i panem, gdyż był całkowicie zajęty fantastyką ludową" (str. 181). Że też przy pisaniu tego ryzykanckiego uogólnienia nie przypominała sobie jeśli już nie Goszczyńskiego i Berwińskiego, to choćby drugiej części "Dziadów", z jej duchem złego pana!

Sumiennosc p. Rzeuskiej zaznaczyła się jeszcze i w innej dziedzinie, mianowicie w dążności do jak najbardziej ścisłego, jednoznaczego używania terminów technicznych analizy literackiej. Można jej nawet zarzucić, że w tym skąd inąd chwalebny dążeniu do terminologicznej precyzji jest za dużo natręctwa. Pracy, która nie jest traktatem poetyki, ale opisem konkretnego dzieła, powinno wystarczyć potoczne, pragmatyczne znaczenie takiego np. terminu jak "akcja". W dodatku, kiedy p. Rzeuska definiuje "akcję" jako "rozwijający się z zetknięcia dwu sił łańcuch wydarzeń historii, której przebieg możemy w utworze śledzić od początku (zawiązanie) do końca (rozwiązanie)" (str. 10), to taka definicja nie tylko nie uściśla znaczenia terminu, ale je jeszcze gmatwa. W umyśle czytelnika rodzi się bowiem od razu wątpliwość, dlaczego akcja musi się rozwijać z zetknięcia dwu sił, a nie np. trzech albo czterech. Przypomnijmy sobie choćby akcję "Pana Tadeusza".

Ale mniejsza o to. Ostatecznie, jest to książka o "Chłopach", a nie traktat o terminach technicznych poetyki, na temat zaś "Chłopów" ma nam ona dużo nowego do powiedzenia.

Bodaj że najwięcej nowego przynosi rozdział o elementach folklorystycznych powieści. Nikt się nimi przed p. Rzeuską nie zajął. Dopiero ona pierwsza zbadała je w oparciu o sporą literaturę etnograficzną. Z badania tego okazało się, że Reymont

*) Maria Rzeuska. *Chłopi* Reymonta. Warszawa, Towarzystwo Naukowe Warszawskie, 1950; str. 8 nł. i 264.

bardzo nasycił swoją powieść elementami folklorystycznymi i że w użyciu ich jest zgodny — i to nawet w drobnych szczegółach — z tym, co nam o zwyczajach i wierzeniach Książaków ma do powiedzenia etnografia.

Nie zdawaliśmy sobie z tego dotychczas sprawy. I to jest wielki triumf artystyczny Reymonta. Okazuje się bowiem, że umiał on te szczegóły etnograficzne tak zrecznie wtopić w powieść, że nigdzie one od toku jej nie odskakują. Nigdzie nie percypujemy ich jako "folkloru". Bohaterowie powieści nie są nigdy lalkami z muzeum etnograficznego, są zawsze żywymi ludźmi.

Nasylenie powieści elementami folklorystycznymi stawia nas wobec problemu, którego p. Rzeuska nie poruszyła, a który jest zasadniczej wagi dla charakterystyki "Chłopów". — Nie trzeba być wielkim znawcą życia wiejskiego, aby wiedzieć, że w czasach kiedy Reymont pisał swoją powieść — pierwsze dziesięciolecie b. w. — na terytorium tak bliskim dużych ośrodków miejskich jak Łowickie, stare zwyczaje ludowe nie mogły się już być zachować w swojej pierwotnej czystości. Skoro zatem Reymont tyle starania włożył w odtwarzanie zwyczajów ludowych "wedle starego obyczaju", "jak to we zwyczaju z dawien dawna było" (p. Rzeuska słusznie zwróciła uwagę na te powtarzające się w powieści zwroty), to nie tyle malował wieś taką, jaką znał z autopsji, ile starał się zrekonstruować "tradycyjną" wieś. A zatem w tym obrazie, jaki nam dał i jakiego świadomie nie osadził dokładnie w czasie, jest — przy całym jego krzepkim realizmie — element baśni, baśni o wsi w jej czystym, tradycyjnym, nie skażonym elementami miejskimi bycie.

Szczególnie dokładnie opracowała p. Rzeuska elementy gwarowe powieści. Rozdział jej książki o gwarze ma charakter polemiczny. Wbrew mianowicie Nitschowi i innym dialektologom, którzy twierdzili, że Reymont odtwarzał w "Chłopach" gwara niekonsekwentnie i nie bez poważnych błędów, p. Rzeuska chce dowiedzieć, że — przeciwnie — jeśli użycie gwary w jego powieści bliżej zbadać, to okaże się, że Reymont odtwarzał ją w sposób na ogół staranny i subtelny. Dla językoznawców kamieniem obrazy były przede wszystkim Reymontowe formy typu "bych zadzwonili", a więc użycie formy pierwszej osoby liczby pojedynczej trybu warunkowego (żeby przypomnieć choćby Skargi "Bych był Izajaszem"...) w odniesieniu do trzeciej osoby liczby mnogiej. Pani Rzeuskiej udało się jednak w szczegółowym i dobrze udokumentowanym wywodzie przekonać czytelnika, że tego rodzaju wykolejenia są w powieści rzadkie i że na ogół Reymont odtwarzał gwara w sposób dużo wierniejszy, niż się to dotychczas przypuszczało.

Szkoda jednak wielka, że włożywszy tyle pracy w zbadanie elementów gwarowych powieści, dużo mniej precyzyjnie opracowała inny problem, na pewno nie mniej ważny, mianowicie problem współzycia w tej powieści elementów gwarowych z po-

etyckim słownictwem młodopolskim w wypowiedziach odautorskich.

Te wypowiedzi autorskie są w dużej mierze nasycone gwara. Krytycy uważali, że Reymont chce w ten sposób podkreślić swą solidarność ze światem przez siebie opisywanym. Julian Krzyżanowski pisał w swej książce o Reymoncie, że "na życie Lipiec spojrzął nie oczyma powieściopisarza inteligenta, lecz człowieka, który w życiu tym tkwi", zaś Frank Schoell swój francuski szkic o Reymoncie zatytułował po prostu "Les paysans polonais vus par un des leurs".

Przeciwstawiając się takim ujęciom, p. Rzeuska uwypukla wydatną rolę stylu młodopolskiego, "poetycko-inteligenckiego" w tych wypowiedziach autorskich, zwłaszcza w opisach przyrody i w pewnych scenach o dużym napięciu lirycznym. I konkluduje: "Przedstawienie chłopca we własnym świecie jego rozmów dominująco zabarwia gwara; tam, gdzie się kształtuje nadrzędna koncepcja tego chłopca i jego bytowania, gdzie opowiadacz przekształca się w mitotwórcę, gdzie tworzy nie chłopską, ale własną wizję wsi, powieść o chłopie, nie dla chłopca — w opisie i opowiadaniu do głosu dochodzi język poetycki, symboliczny, metaforyczny, nastrojowy" (str. 176).

Ujęcie takie uznać trzeba za z gruntu błędne. I to z dwu powodów. Przede wszystkim i tam, "gdzie się kształtuje nadrzędna koncepcja ...chłopca", Reymont nie porzuca gwary, a tylko miesza jej słownictwo z poetyckim słownictwem młodopolskim. Po drugie zaś, pisząc o tym języku młodopolskim, p. Rzeuska nie potrafiła spojrzeć na nie oczyma literata z okresu Młodej Polski, a zatem i Reymonta, który w niej głęboko tkwił.

Zgoda, że dla nas dziś jest to język sztuczny, książkowy, "poetycko-inteligencki". Ale dla pisarza z okresu Młodej Polski? Przecież dla pisarza tego to był po prostu język poetycki, sam ekstrakt poetyckości. Przy pomocy tego języka odgradzał się on od szarego i płaskiego życia potocznego, wgrzyzał w samą "iściznę" spraw wyższych, wznioślejszych.

Jeśli spojrzymy na słownictwo "Chłopów" z tego punktu widzenia, to zauważymy bez trudu, że w intencji Reymonta między posługiwaniem się słownictwem gwarowym a używaniem słownictwa poetycko-młodopolskiego nie było sprzeczności. Reymont apoteozował chłopca i wieś. Posługiwał się językiem, obfitującym w elementy gwarowe, żeby podkreślić, że solidaryzuje się ze światem swych bohaterów. I pisząc o tym świecie, używał także młodopolskiego słownictwa poetyckiego, żeby podkreślić, że uważa go za "wyższy", "poetycki", pełnowartościowy.

Inna rzecz, że dla naszego poczucia językowego — a więc dla poczucia językowego ludzi, odczuwających słownictwo młodopolskie jako zmanierowane — język, w którym "klej" i "jaże" występuje obok "trelów perlistych" i "złotych, spienionych strug", brzmi często jak kakofonia. Pani Rzeuska przyznaje wprawdzie, że "jest w tym jakiś brak koordynacji" (str. 179),

ale tylko przelotnie, niechętnie i nie wyciągając z tego twierdzenia wniosków. Przeciwnie, język "Chłopów" to w jej rozumieniu "nowa wprawdzie, ale pełna ekspresji mieszanina" (str. 177). To "wprawdzie" jest szczególnie niefortunne. Każdy bowiem język poetycki na to, aby był "pełen ekspresji", musi być przede wszystkim "nowy". Kłopot z aliażem językowym "Chłopów" nie polega na tym, że jest on "nowy" (czy naprawdę taki "nowy"? — trzeba to zbadać na tle słownictwa młodopolskiego), ale na tym, że jest to mieszanina elementów językowych, które się ze sobą kłócą. Sama autorka zresztą w końcowych uwagach swoją pochlebną ocenę języka "Chłopów" znacznie stonowała.

Losy powieści Reymonta zagranicą były, jak wiadomo, biegunowo różne od losów Żeromskiego w przekładach. Kiedy "Popioły" pojawiły się po angielsku w New Yorku, prasa amerykańska przyjęła je źle ("Wiadomości Literackie" podały swego czasu całą kolumnę takich niepoehlebnych głosów amerykańskich o "Popiołach"). I nie można krytyki amerykańskiej winić za tę niską ocenę powieści. To bowiem, co czytelnik amerykański dostawał w przekładzie, to była źle skomponowana powieść, o złej często motywacji psychologicznej i o jaskrawo melodramatycznych scenach, powieść, z której uleciała cudowna melodia prozy lirycznej Żeromskiego.

Na odwrót, przekład "Chłopów" musiał zacierać sprzeczności między gwarowymi a młodopolskimi elementami języka powieści. Przekład taki, właśnie dlatego że z konieczności bardziej szary, bliższy literackiej "koine", usuwał zgrzyty, tak drażniące w oryginale. W dodatku, świat przedstawiony w powieści zyskiwał w oczach obcego czytelnika jeszcze jeden urok: był egzotyczny.

Znakomity krytyk lat międzywojennych, Leon Piwiński (przeoczony jako przez p. Rzeuską), oceniał "Chłopów" bardzo surowo. Za to kiedy Reymont dostał nagrodę Nobla, prasa nasza mogła zarejestrować zaskakująco dużo entuzjastycznych głosów obcych, zwłaszcza szwedzkich i niemieckich. "Chłopi" należą do tych wyjątkowych dzieł literackich, które zyskują w przekładzie.

Wiktor WEINTRAUB.

Książki niemieckie

Unter Partisanen und Kreuzfahrern — Gerharda Nebel (Ernst Klett Verlag, Stuttgart 1950) — jest rodzajem pamiętnika ex post. Są to wspomnienia wojenne z frontu włoskiego wydane w pięć lat po wojnie.

Autor nie był żołnierzem liniowym a jego macierzystym oddziałem była kompania tłumaczy. Front włoski oglądał z perspektywy batalionowych i dywizyjnych kancelarii. — Dla b. żołnierzy 2 Korpusu polskiego, którzy walczyli po drugiej stronie tegoż frontu, interesujące jest stwierdzenie autora, że Monte Cassino było punktem zwrotnym w dziejach kampanii. Od Monte Cassino datuje się moralne załamanie, które niebawem przejść miało w rozprężenie, nieład i klęskę. Mit spadochroniarzy niemieckich został pogrzebany pod gruzami opactwa. Później ci sami "niezwyciężeni" Fallschirmjägeri slynęli już tylko z bandyckich napadów, rabunków i okrucieństw w stosunku do cywilnej ludności włoskiej.

Lecz co najbardziej zdumiewa w książce Nebela to nie opisy demoralizacji i klęski lecz psychiczna postawa samego autora. Gerhard Nebel jest człowiekiem wysoce wykształconym. W 1945 r. liczył lat 42 — jest więc pisarzem całkowicie dojrzałym. Nie należał do partii i gardził Hitlerem. Jego pamiętniki roją się dosłownie od cytatów z Goethego, Hegla, Kanta i pełno w nich rozważań o sztuce, filozofii i religii.

Mimo to patrząc na młodych SS-Manów już w niewoli amerykańskiej autor składa takie wyznanie: "...napłynęły mi łzy do oczu gdy myślałem, że wprawdzie Hitler uwiódł i pogrzebał tych pod każdym względem świetnych młodzieńców — gotowych do najwyższych poświęceń a obecnie demokracja kontynuuje to dzieło zniszczenia. Zamiast ich po ojcowsku pouczyć wpędza się ich w nienawiść".

Pamiętajmy, że książka jest wydana w r. 1950. Autor miał 5 lat czasu na rewizję pewnych poglądów i spostrzeżeń. Widać jednak, nie uważał za stosowne czegokolwiek zmieniać bo w finale tych sentymentalnych rozważań nad losami "świetnych młodzieńców" doszedł do wniosku, że "...demokracja i tyrania są maskami tego samego Lewiatana".

Pan Gerhard Nebel istotnie przegrał wojnę — nie nauczył się bowiem niczego. Dosłownie niczego.

W całej książce nie ma jednego słowa o obozach koncentracyjnych w Polsce czy w Niemczech hitlerowskich są natomiast sążniste i plastyczne opisy rzekomych czy autentycznych (trudno to sprawdzić!) okrucieństw Amerykanów w stosunku do SS-Manów. Z obrazu wojny jaki maluje Nebel wynikałoby, że jeżeli nad kim się znęcano, jeżeli kogoś bito to bito i torturowano wyłącznie "wspaniałych młodzieńców" z SS.

Autor stwierdza z emfazą, że przez całe życie (jak przystało na intelektualistę) był zaprzysiężonym wielbicielem Francji. Musiał jednak po powrocie z frontu zrewidować swój pogląd gdy dowiedział się o gwałtach dokonywanych w francuskiej strefie okupacyjnej Niemiec.

Chorobliwy brak poczucia proporcji i obiektywizmu doprowadza autor miejscami do ponurej groteski. Na tle Oświęcimia, Dachau, i milionów ludzi zamęczonych i wytrutych w komorach gazowych przez Niemców — już nie cynicznie lecz obłudnie brzmią pretensje autora do "barbarzyńców" amerykańskich, że na jakimś postoju brakło dla p. Nebela łóżka. A przecież łóżko ma nawet każdy więzień obozu koncentracyjnego...

Po tej wojnie Niemcy nie wydały Remarque'a. Czytając Nebela łatwiej jest zrozumieć poglądy hr. Stauffenburga, który domaga się obecnie postawienia przed sądem alianckim "zbrodniarzy wojennych", którzy

w czasie wojny "rabowali i łupili" bezbronną ludność niemiecką.

Niemcy w tym okresie europejskiej rozterki mogłyby odegrać na kontynencie doniosłą rolę. Ale do tego trzeba by innych Niemców i innych Niemców niż p. Nebel.

Nein — Die Welt der Angeklagten. Walter Jens, Rowohlt Verlag, Hamburg, Stuttgart, Baden-Baden, 1950.

Powieść W. Jensa jest wizją świata po ostatniej wojnie, ukoronowanej ufundowaniem na tym nieszczęsnym globie jednego i jedyne go wszech-totalistycznego imperium. Kulę ziemską podzielono na "generalne gubernatorstwa" oznaczone cyframi. Światem rządzi tajemnicza rada, której skład i miejsce pobytu nie jest znane. Ludzkość podzielono na trzy klasy: oskarżonych, świadków i sędziów. Człowiek rodzi się jako oskarżony. By móc osiągnąć jakikolwiek awans społeczny trzeba przejść do klasy świadków. Świadkiem jest ten, kto szpieguje, denuncjuje i świadczy przeciwko bliźniemu w sądzie. Najwybitniejsi szpiegowie i denuncjatorzy zostają urzędnikami a najwybitniejsi z urzędników — sędziami.

O tej koszarnej przemianie dowiaduje się czytelnik wyłącznie z beznadziejnie długich dialogów, jakie prowadzi niezmordowany główny sędzia z bohaterem powieści, pisarzem, Walterem Sturmem. Dialogi te wypełniają 80% książki.

Walter Sturm jest ostatnim "przedwojennym" człowiekiem jaki zachował się przy życiu. Pisarze, artyści, uczeni i intelektualiści wszystkich możliwych ras i pokrojów zostali zlikwidowani w czystkach i procesach, które trwają w permanencji. Sturm przed tym kataklizmem zdążył napisać dzieło o Neronie, które wywarło takie wrażenie na głównym sędziemu, iż postanawia ostatniego z pisarzy najpierw przeprowadzić przez wszystkie kręgi piekła światowego NKWD, a następnie uczynić go swym zastępcą i wielkim sędzią.

"Piekło" jest dość naiwne. Reflektory puszczane prosto w twarz przy przesłuchiowaniu, cele gdzie woda kapie na głowę, lodowate kąpiele — to wszystko przypomina NKWD i Gestapo z hollywoodzkiego filmu.

Totalistyczne państwo Jensa nie ma ani sensu, ani "misji" i nie wiadomo skąd się wzięło. Jest niczym nie związane z kryzysem współczesnym i autor mógł swój koszmar z powodzeniem umieścić na Marsie.

To jest fałszywe i niebezpieczne uproszczenie sprowadzać totalizm do absurdałnego nonsensu, a jego wyznawców przedstawiać jako wariatów przebywających na wolności. Gdyby bowiem istotnie tak było — to cóż nam zagraża? Mimo wszystko 70% ludzkości składa się z normalnych, zdrowych ludzi, którzy nie pozwolą się za nos wodzić paru tysiącom szaleńców.

Dziełem z autorem przekonanie, że każdy ustrój totalistyczny zmierzają do neurozy, choroby i śmierci. Mimo to jednak obserwacja uczy nas, że u korzeni każdego totalizmu tkwi wiara.

Kto widzi tylko łagry, NKWD, cele śmierci, siepaczy, karierowiczów i cyników — ten nie widzi wszystkiego ani nie rozumie wszystkiego. Bo do tego samego obrazu należą ludzie w Rosji, w Polsce, w Niemczech, w Anglii czy w Chinach, którzy wierzą w komunizm. I to jest zagadnienie kluczowe całej sprawy. Komuniści we Francji czy w Belgii (a iluż wśród nich jest ludzi wybitnych) mają do dyspozycji rzeczowy, dokumentalny materiał o łagrach, o Kołymie, o Katyniu — a jednak wierzą...

Ten problem podjął odważnie i oryginalnie Koestler w "Ciemności w południe". W. Jens go pominął.

Jest bezporównania łatwiej odstraszać niż przekonywać. Doświadczenie uczy, że wyznawców komunizmu nie odstrasza totalizm ani jego makabryczne akcesoria. Nie odstraszyły one od komunizmu ani Koestlera ani Silone ani ostatniego z nawróconych Douglasa Hyde,

którego świeżo wydana spowiedź dziecięcia wieku pt. "I believed" (Wierzyłem) jest sensacją dnia.

Douglas Hyde był partyjnym komunistą przez 20 lat. Powtarzam, 20 lat zajmował wysokie stanowisko w hierarchii partyjnej. M. in. był również redaktorem "Daily Worker".

Jego wiara zachwiała się po raz pierwszy, gdy w Moskwie zdecydowano, że ponieważ podniesienie stopy życiowej robotników w państwach satelickich będzie wymagało wielu lat — należy obniżyć stopę życiową robotników w Anglii, by zmniejszyć kompromitujący kontrast.

Siła komunizmu nie polega na NKWD, na łagrach i makabrycznej legendzie Sowietów lecz na tym, że w komunizm wierzą tacy wewnętrznie uczciwi ludzie jak Douglas Hyde. Dopóki od komunizmu nie odejdą ludzie tego kalibru moralnego ruch ten będzie istotnie zagrażał światu i cywilizacji zachodniej.

Powieść Waltera Jensa rozpatrywana na tym tle — jest gestem chybionym. Zresztą w dziedzinie wizji totalistycznego świata trudno byłoby prześcignąć mistrzowski obraz Orwella — "1984".

J.M.

Nadesłane nowości francuskie

LITERATURA

VAILLAND (R.). *Bon pied bon œil*. Pp. 239. (Ed. Corrèa, 1950, frs. 300).

MILLER (M.). *Le fait est là*. Pp. 302. (Ed. Plon, 1950).

SERANT (P.). *Le meurtre rituel*. Pp. 253. (Ed. La Table Ronde, 1950, frs. 240).

STEINBECK (J.). *La perle*. Pp. 187. (Ed. Gallimard, 1950).

DOKUMENTY CHWILI

SHERWOOD (R. E.). *Le mémorial de Roosevelt*. Vol. II. *De Pearl Harbour à sa mort*. Pp. 504. (Ed. Plon, 1950).

BOWEN (E.), PRITCHETT (V. S.), GREENE (G.). *Pourquoi*

j'écris. Pp. 115. (Ed. Du Seuil, 1950).

LAPIERRE (D.). *Un dollar les mille kilomètres*. Pp. 279. (Ed. Bernard Grasset, 1950, frs. 360).

HISTORIA

VAILLE (E.). *Le cabinet noir*. Pp. 411. (Ed. Presses Universitaires de France, 1950, frs. 800).

HEPNER (B.-P.). *Bakounine et le panslavisme révolutionnaire*. Pp. 320. (Ed. Marcel Rivière et Cie, 1950, frs. 600).

FILOZOFIA

JOUSSAIN (A.). *La loi des révolutions*. Pp. 228. (Ed. Flammarion, 1950, frs. 325).

Nadesłane nowości niemieckie

NOWOŚCI NIEMIECKIE

JENS (W.). *Nein*. Str. 278. (Rowohlt Verlag, Hamburg-Stuttgart-Baden-Baden, 1950).

NEBEL (G.). *Unter Partisanen und Kreuzfahrern*. Str. 381. (Ernst Klett Verlag, Stuttgart, 1950).

TUCHOLSKY (K.). *Schloss Gripsholm*. Str. 156. (Rowohlt Verlag, Hamburg, 1950).

HILLER (K.). *Köpfe und Tröpfe*. Str. 402. (Rowohlt Verlag, Hamburg-Stuttgart, 1950).

REGGER (E.). *Das wachsame Hähnchen*. Str. 491. (Rowohlt Verlag, Hamburg-Stuttgart-Baden-Baden, 1950).

MÜLLER (W.). *Das Verhör*. Str. 230. (Ernst Klett Verlag, Stuttgart, 1950).

Z ostatniej chwili

Przed dniami kilku obok austerii znajomej przechodząc, zdało mi się, że sylwetę szkolnego mego przyjaciela, Ademara hr. Szumiłło spostrzegam. Ale i on mnie spostrzegł, przeto uściśnieniem serdecznym się przywitaliśmy.

— Cóż robisz tu w tym miejscu drogi Ademarze? — spytałem.

— Witaj mój Cyrylu — odrzekł — obiad kończącego właśnie mnie spotykasz, a w drodze na ważną konferencję się znajduję. — Rasowe usta w krwistym Chateauneuf du Pape zanurzysz — hr. Szumiłło dalej mówił:

— Niezwykle to przypadek szczęśliwy sprawił, mój drogi Cyrylu, że ciebie spotykam; o tych bowiem stosunkach z prasą wiedzząc, mam prośbę do cię.

— W ucho się całkiem zamieniam. Istotnie różnymi w tych sferach znajomościami rozporządzam, od czasu, kiedy w to w redakcji "Dzwonu Literackiego" pracowałem, i po zaliczki do bp. Mojżesza Magenfische biegałem, lub rękopisy gotowe do drukarni odnosiłem.

— Otóż to właśnie. Rzecz którą rozważyć twojej powierzyć pragnę jest konfidencjonalna, a dla sprawy naszej nieostatniej ważności. Wydawnictwa nasze emigracyjne czytając, musiałeś uwagę swą zwrócić na ton, w jakim się w naszych pismach czasowych mówi, poza granicami często rzeczywistości leży. Czytelnicy zwyczajni, a i my, ludzie w szkołach ukształceni, również zapytywać się musimy, czy autorowie nasi tak jak wiedzą pisać, czy też aby zmyślają. Zauważyć racz, że my względną swobodą się ciesząc i w wolności wypowiedzania nie utrudnieni, zbyt mało do tego uwagi przywiązujemy. Kto nam wszak zaobronić może rzeczy po imieniu nazywać? Abonentom naszym to wszystko prawdziwie przekazywać, co się rzeczywiście wydarza. Czyś kiedy, drogi Cyrylu, w którymś z naszych pism czasowych, chociaż ułamek jakiś z pracy na ten przykład O.N.Z. spostrzegasz? Ułamek najlepiej działalność tego organizmu obrażający? Nie widziałeś.

— Nie widziałem — przyznałem.

— A widzisz! Z posiedzenia protokół ci odczytam, byś sam

osądzić mógł. Tu hr. Szumiłło z żółtej, skórzanej teczki ładnie wydaną broszurę wyjął i czytać zaczął:

"Protokół z posiedzenia Rady Bezpieczeństwa O.N.Z. z dnia 29 listopada 1950 r. Przewodniczący p. Bebler (Jugosławia).

Bebler: Proponuję zakończyć dyskusję trwającą już sześć godzin nad tym czy udzielić głosu delegacji z Pekingu. Proponuję raczej by głosować, czy wyjątkowo może ona zabrać głos jako pierwsza.

Malik: Protestuję przeciw słowu "wyjątkowo". Delegacja ta musi mówić jako pierwsza na pełnych prawach. Przewodniczący jest stronniczy.

Bebler: Przewodniczący nie jest stronniczy!

Malik: Zgłaszam wniosek o głosowanie czy przewodniczący jest stronniczy.

Ahmed Mohamed Kashaba Pasza (Egipt): Uważam takie głosowanie za zbyt techniczne.

Bebler: Ja również.

Malik: Sprzeciwiam się takiej decyzji. Musimy głosować.

Bebler: Pięknie. Głosujemy.

(Głosowanie.)

Bebler: Obecnie przystępujemy do głosowania nad moim wnioskiem.

Malik: Nie! Najpierw nad słowem "wyjątkowo".

Ahmed Mohamed: Możebyśmy uczynili coś pożyteczniejszego zamiast marnować tylko czas.

Malik: Delegat egipski jest lokajem bloku amerykańskiego!

Ahmed: Nie jestem lokajem bloku amerykańskiego!

Bebler: Pięknie. Głosujemy więc nad słowem "wyjątkowo".

Malik: Chcę najpierw określić mój punkt widzenia.

Bebler: Nie trzeba.

Malik: Protestuję. Pan wykracza przeciw regułom! Jest pan parobkiem bloku amerykańskiego!

Bebler: Głosujemy.

(Głosowanie. Wniosek delegata sowieckiego zostaje odrzucony).

Malik: Chcę umotywić moje głosowanie.

Bebler: Nie trzeba.

Malik: Protestuję!

Bebler: Odrzucam pański protest. Głosujemy teraz nad moim wnioskiem.

(Głosowanie.)

Malik: Chcę umotywić moje oddanie głosu.

(Motywuje przez 10 minut).

Hector David Castro (Salvador): Chciałbym również umotywić swoje głosowanie.

Ahmed Mohamed: Od dwóch dni już dyskutujemy nad tym, kto ma pierwszy przemawiać, ale dotąd nikt jeszcze nie zdołał nic powiedzieć.

(Koniec posiedzenia)".

— Ha! I cóż ty na to drogi Cyrylu?

— Istotnie, podziw mój dla dokonań tego — za przeproszeniem — organu Narodów Zjed. wzmaga się i miłą dla mnie będzie powinnością czytelnikom "Kultury" o tym donieść.

— Właśnie. Skoro już o kulturze mówimy, to powiedziec ci muszę, że angielski związek ludzi piórem pracujących, czyli PEN Klub, starania usilne rozpoczął, by pisarzom emigracyjnym działalności literackiej na obczyźnie kontynuowanie umożliwić.

— Jako — niegrzecznie przerwałem — to najpierw oni cech naszych pisarzy uznawać przestali, a teraz pomoc swoją obiecują?

— Geopolityczne były tego powody, ale teraz do słuszności doszli, że niesprawiedliwość wyświadczony naprawić ją powinni.

Tu hr. Ademar na zegarek okiem rzuciwszy szybko się podrywał, a palce do ściśnięcia mi podając, raz jeszcze o spraw tych poruszenie prosił, — co na pergaminie zapisując, imieniem i nazwiskiem stwierdzam

Cyryl Doroteusz Mordega.

POLSKA
PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE
SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
 w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. *KULTURY*, *WIADOMOŚCI* i *ORŁA BIAŁEGO*.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Byłem w ostatnich miesiącach tak zajęty, że dopiero dziś zdobywam się na napisanie od dawna zamierzonego „Listu do Redakcji”.

W lipcowym-sierpniowym numerze „Kultury”, w artykule p. Melchiora Wańkowicza, znalazłem tezę socjologiczną, dotyczącą problemu wynarodowienia, oświetlającą w sposób zarówno błędny, jak niebezpieczny to tak istotne dla każdej diaspory — a więc i dla obecnej polskiej emigracji — zagadnienie. Sprawa wydaje mi się na tyle ważna, że nie chciałbym tezy p. Wańkowicza pozostawić bez repliki. Byłoby nie dobrze, gdyby na zagadnienie wynarodowienia miał się w polskim społeczeństwie emigracyjnym utrwalić pogląd, który by dla chcących się wynarodowić stanowił pewnego rodzaju rozgrzeszenie.

P. Wańkowicz pisze (na str. 37): „U Żydów asymilacji opierają się żywioty pełnowartościowe, gdy u Aryjczyków najmniej wartościowe. Doszedłem do tego przekonania w stosunku do Aryjczyków, studiując sprawę mniejszości polskiej w Prusach Wschodnich i poświęcając tej sprawie cztery miesiące bardzo intensywnych badań w Stanach Zjednoczonych przed wojną”.

P. Wańkowicz zgodzi się zapewne ze mną, iż znam sprawę mniejszości polskiej w Prusach Wschodnich nieco lepiej od niego, być może więc zechce mi uwierzyć, że jego spostrzeżenie, uczynione na tym terenie, oparte jest na pomyłce. Nie mogę, nie mieszcząc w Stanach, rywalizować z p. Wańkowiczem co do znajomości Polonii amerykańskiej, wydaje mi się jednak, że i w odniesieniu do niej teza p. Wańkowicza nie jest słuszną.

Tezę socjologiczną, dotyczącą wynarodowienia, sformułowałbym zupełnie inaczej. Opierają się asymilacji nie tyle żywioty „najmniej wartościowe” (czy też, jak — wedle p. Wańkowicza — u Żydów, „pełnowartościowe”), co najbardziej niepodobne do otoczenia. W środowisku ludzi wykształconych człowiek wykształcony łatwiej się wynarodowi, niż analfabeta, w środowisku analfabetów — odwrotnie. Wśród ludzi zacnych łatwiej się zasymiluje człowiek zacny; wśród zbójów, łatwiej się zasymiluje zbój. W tej samej wsi na Podolu w XVII wieku, czy w jakiegokolwiek innej epoce, równocześnie mógł się wśród polskiej szlachty spolszczyć ruski szlachcic czy członek starszyzny kozackiej, oraz wśród ruskich chłopów zruszczyć polski chłop.

P. Wańkowicz trafnie zauważył, iż na Mazurach Pruskich chłop zamożny, kulturalny, oświecony, — nawet ideowy, — ulegał z łatwością germanizacji, porzucał mowę polską, mógł nawet się stawać zapalonym i oddanym członkiem partii hitlerowskiej, podczas gdy chłop z ubogiej chałupy pod lasem, tonący w błocie, klepiący biedę i ledwo umiejący czytać i pisać, trzymał się siłą inercji ojczystego obyczaju i języka. To prawda. Ale powinien był równocześnie zauważyć, iż na Warmii i w Malborskim rzeczy wyglądały zupełnie inaczej. Ani trochę się nie wynaradawiał hrabia Sierakowski w Waplewie, czy państwo Donimirscy w Buchwałdzie, w Czerninie, czy w Małych Ramzach, podczas gdy nieraz tuż pod ich bokiem wynaradawiał się pół-inteligent, właściciel małego „gburstwa”, dorobkiewicz i cham. Ani trochę się nie wynaradawiał ideowy, gotowy paść później pod kulami plutonu egzekucyjnego redaktor „Gazety Olsztyńskiej”, ale wynaradawiał się przy tej samej ulicy głupi i łapczywy na pieniądze sklepikarz.

Różnica jest bardzo prosta. Polega ona na tym, że Malborskie i Warmia, to były pełnowartościowe cząstki Polski, a więc wynarodowienie odbywało się tam wedle reguł, mających zastosowanie wobec

poszczególnych odłamów narodu polskiego. Natomiast Mazurzy Pruscy tylko etnicznie, ale bynajmniej nie duchowo byli częścią tego narodu polskiego. Jak Polonia amerykańska, wyemigrowali oni ongiś, za chlebem, z udzielnego Mazowsza, osiedlając się w posiadłościach Krzyżaków i książęco-pruskich, na dawnej ziemi pogańskich Prusaków, a więc na obczyźnie. Stali się "Prusakami pochodzenia polskiego". W ciągu szeregu wieków, porwały się węzły, łączące ich z Polską, wyrósł nadto przedział wyznaniowy; pozostał tylko język, jako cecha ich odrębności etnicznej. Gdy Mazur wyrastał — kulturą, zamożnością i aspiracjami — ponad poziom tradycyjnego życia wsi mazurskiej, nie znajdował wokół siebie wyższego typu życia polskiego, w które mógłby wejść, wchodził więc w życie niemieckie. Był wprawdzie na Mazurach także i prąd polski — prąd poczucia jedności narodowej z Polską. Prąd ten wydawał czasem jednostki takie, jak Kętrzyński, Mrongowiusz, a chociażby Kajka. Ale prąd ten był nikły. Nie każdy potrafił się z tym prądem zrosnąć. Nie każdy nawet mógł się w ogóle na prąd ten natknąć! Mazurski lekarz, pastor, lub kulturalniejszy, oraz wykształcniejszy chłop łatwiejszą miał drogę do partii hitlerowskiej, niż do obozu świadomości polskiego. Takie były mazurskie warunki lokalne. To były stosunki mazurskie — to nie były jednak stosunki warszawskie i malborskie, a więc stosunki polskie w Prusach Wschodnich. Nie można wniosków, opartych na obserwacji stosunków mazurskich, uogólniać na całokształt stosunków ogólnopolskich, czy tym bardziej aryjskich.

Naród polski stykał się i styka z innymi narodami na wielu płaszczyznach zetknięcia, materiału więc obserwacyjnego, z którego można wyciągać wnioski co do procesów esymilacyjnych, jest bardzo wiele — i to nie tylko w Prusach Wschodnich i w Ameryce. Wydaje mi się, że nie popełnię błędu, twierdząc, że najłatwiej się wynaradawiają ci Polacy, którzy stanowią żywiół „pełnowartościowy” w sensie umiejętności robienia majątku i kariery. Cywilizacja nasza nie jest cywilizacją typu materialistycznego. Gdy się stykamy ze społeczeństwami o mentalności materialistycznej, to z łatwością tracimy na ich rzecz, żywiół najbardziej zmaterializowane; i odwrotnie, przyciągamy ku sobie z żywiółową siłą atrakcyjną żywiół, które więcej cenią wartości niematerialne. W Poznańskim przed rokiem 1914 traciliśmy masowo te jednostki, którym imponował pieniądź i potęga i na których robiła wrażenie materialistyczna, butna i brutalna pruska cywilizacja; ale potrafiliśmy spolszczyć niejednego Niemca i Niemkę, których pociągnęła i zachwycała duchowa treść cywilizacji polskiej. A przypatrzmy się jakże licznym dziś małżeństwom polsko-brytyjskim! Znamy ich przecież tak wiele. W tych spośród tych małżeństw, które za główny ideał postawiły sobie robienie pieniędzy, można przyjąć jako regułę, że mąż-Polak się wynaradawia i że dzieci nie umieją ani słowa po polsku. W tych zaś, dla których pieniądź nie jest wszystkim, nieraz żona-Angielka się spolszczy. Znam taką rodzinę w Londynie w której nawet teściowa zaczyna się już nad tym zastanawiać, czy nie trzeba by się zacząć uczyć języka polskiego i w której żona, katolyczka-konwertytka, Angielka, która nawet przez pięć minut nie była w życiu w Polsce mówi już dziś po polsku jak rodowita Polka; dzieci zaś, jeśli mówią trochę po angielsku, to tylko dzięki babce.

Myślę, iż i w Ameryce nie jest inaczej. Wynaradawiają się tam żywióły, które się wybiłają powodzeniem materialnym i karierą. Ale czy to są naprawdę żywióły „najbardziej pełnowartościowe”? — To tylko kwestia punktu widzenia.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Jędrzej GIERTYCH

16, Belmont Rd., London, N. 15.

W. Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze listopadowym "Kultury" p. J. Mieroszewski w swoich "Listach z Londynu" porusza zagadnienia konstytucyjne w sposób — mówiąc ogólnie — tak lekki, że trudno powstrzymać się od uwag krytycznych na ten temat. Poza tym myli się Autor co do szczupłości owej grupy, której nie chce obrażać, pisząc następująco: "Sądzę, że nie obrażę niczych uczuć (a jeżeli to nielicznej grupy) gdy powiem, że konstytucja ta — 1935 — jest już dzisiaj "de facto" choć nie "de jure" rekwizytem historii."

Już takie podejście do problemu wydaje się niepoważne, bowiem ani Konstytucja ani kwestie z nią związane nie leżą w sferze ocen uczuciowych i mowy o żadnej "obrazie" tutaj być nie może. Dziwna jednak etyka musi posiadać p. Mieroszewski, skoro potrafi się rozgrzeszyć z obrażania uczuć nielicznej grupy. Idąc dalej po takiej równi pochyłej dojdzie się do całkowitego lekceważenia człowieka poza masą. To zdaje się ta etyka razem z niezwykłą subtelnością uczuć zezwała p. Mieroszewskiemu na używanie słowa "rekwizyt" zamiast "symbol".

P. Mieroszewski wespół z wieloma swoimi rówieśnikami przywykł — tak mi to wygląda — do rozpatrywania większości spraw polskich na tle sanacji z jednej strony a partyjnej (dzisiaj fakcyjnej), "demokratycznej" opozycji z drugiej i chyba tę pierwszą "nieliczną grupę" ma na myśli w swych wywodach, zapominając, że w czasie 21 lat wyrośnięto w Polsce pierwsze od przeszło stulecia, pokolenie niepodległości — do którego należą — a które, głęboko zainteresowane problemami naszej państwowości, inaczej na nie patrzy od swoich ojców. Dla mnie Konstytucja z 1935 r. nie jest "owocem klimatu społecznego", uważam ją natomiast za wyraz dążeń do zapewnienia przewagi politycznej w państwie władzy wykonawczej a nie ustawodawczej, za element siły narodowo-państwowej, za skutek doświadczeń historycznych i wytyczną na drodze rozwoju Polski w zgodzie z Jej najwyższymi interesami.

Następny argument, którym p. Mieroszewski podważa znaczenie Konstytucji zrodziła czysta fantazja, bo jakże można opierać swoje rozumowanie na takiej hipotezie: "zdaje się nie ulegać wątpliwości, że konstytucja z 1935 r. nie znalazłaby dziś poparcia w woli większości obywateli R.P. I w tym sensie należy ona już do przeszłości".

Ostatecznie p. Mieroszewski akceptuje Konstytucję, bo nie można jej obecnie zmienić, niemniej jednak nakłania do "pogodzenia pewnych postanowień Konstytucji z wymogami ustroju demokratycznego", przez — jak można sądzić z uwag o Anglii poprzedzających te rozważania — ich odpowiednią interpretację.

Już byli przed p. Mieroszewskim tacy, co wprowadzali podobne zamiary w życie, jak np. Stańczyk, Kot i Mikołajczyk.

A oto klasyczne zakończenie argumentacji p. Mieroszewskiego: "Ci, którzy stoją na stanowisku, że owe usiłowania pogodzenia konstytucji z wymogami ustroju demokratycznego są czymś karygodnym i zgubnym, deklarują się tym samym, jako zwolennicy na polu totalitarnego ustroju politycznego, który był kolebką konstytucji z 1935 r."

A więc deklaruje się zwolennikiem tego ustroju, jaki był w Polsce, z właszcza do roku 1935. Ustrój ten wychował całe pokolenie państwowo myślących Polaków, bez kompleksów niższości, bez ślepego uwielbienia dla demokracji, bez ukochania partyjniactwa i warcholstwa. Co zaś do natury tego ustroju, tak pochopnie określonego przez Autora "Listów z Londynu", to pragnę zwrócić Jego uwagę na bardziej miarodajne opinie, zawarte choćby w "Cambridge History of Poland" i "A History of Europe", H. A. L. Fisher'a. Ciekawe, że demokratyczni historycy nie podzielają zdania p. Mieroszewskiego.

Proszę przyjąć uprzejme pozdrowienia

Jerzy Z. KĘDZIERSKI.

School of Slavonic and East European Studies University of London.

Szanowny Panie Redaktorze!

W Nr 10/36 "Kultury" ukazał się artykuł p. dr Wojciecha Zaleskiego pt. "Społeczność Wartownicza". Jakkolwiek szereg twierdzeń i stwierdzeń tam zawartych budzi moje zastrzeżenia (np. rzekomo wyższy poziom "moralności" w kompaniach wartowniczych, aniżeli w obozach D.P.) jednakże — zajmę stanowisko tylko wobec jednego z twierdzeń, zawartych w artykule, które muszę, szukając najłagodniejszego określenia, nazwać twierdzeniem człowieka niedostatecznie zaznajomionego z istotnym stanem rzeczy.

Podaję tu dosłownie wyjątek z artykułu dr Zaleskiego: "Nie mniejsze, choć zupełnie inne, były obciążenia psychiczne warstwy najliczniejszej, tj. robotników przymusowych. Przeszli oni przez życie stadne w obozach pracy, oderwani zostali, nieraz w bardzo młodym wieku, od środowiska w którym żyli i które oddziaływało na nich wychowawczo, pozbawieni wszelkiej możliwości kształcenia się, czy po prostu czytania czegokolwiek. (Polskie słowo drukowane nie dochodziło do robotników w Niemczech w żadnej postaci)".

Tyle dr W. Zaleski. — Nie jest rzeczą właściwą, aby jakiegokolwiek wypowiedzi, choćby najbardziej godnych szacunku ludzi i choćby z najlepszych wywodzące się pobudek, pozostawały pomijane bez wyjaśnień, jeżeli mijają się ze stanem faktycznym rzeczy.

Nie zgadza się z prawdą twierdzenie, że robotnicy przymusowi byli pozbawieni wszelkiej możliwości kształcenia i czytania polskiego słowa drukowanego. Oczywiście — że możliwości były dość ograniczone, ale... były. Słowo drukowane polskie było wśród robotników polskich w Niemczech, w latach 1940-45, nie tylko poszukiwane, ale i... dostępne. — Pochodziło ono z kilku, oczywiście nie zawsze wartościowych źródeł. Źródło pierwsze — to "gadzinówki" — polskie czasopisma z okupowanego kraju, b. licznie prenumerowane przez robotników. Źródło drugie — to książki polskie przywożone ciągle i przesyłane z kraju. Książki przywozili masowo wracający z urlopów, lub świeżo przyjeżdżający. Czytelnictwo było b. rozpowszechnione — powstawały całe biblioteki. Osobiście wiem o trzech: 1) w jednej fabryce w Hannoverze, 2) w Bentelar koło Bielefeld, 3) niżej podpisanego i p. S. w Herzebrocku koło Gütersloh. Z tych trzech księgozbiorów korzystało ponad 6.000 różnych czytelników. Istniały poza tym możliwości nawet kursów zawodowych, a nawet (oczywiście nielegalnie) organizacji obchodów rocznic narodowych i przedstawień teatralnych.

Łączę wyrazy poważania.

Z. K.

Drogi Panie Redaktorze,

Zabierając głos w ankiecie "Kultury", p. Wacław Grubiński napisał m. in.: "Dziennikarze angielscy i francuscy nie posiadają encyklopedycznego podręcznika, który by był obiektywnym informatorem w sprawach naszej historii, literatury, sztuki, nauki, życia socjalnego".

Otóż taki encyklopedyczny podręcznik istnieje. Jest nim wydane w latach 1945 - 1947 trytomowe dzieło pt. "Pologne 1919-1939", które całkowicie spełnić może wymienione przez p. Grubińskiego zadania. Sekretariat tego wydawnictwa rozesał jego egzemplarze w ilości kilkuset do wszystkich niemal większych bibliotek świata. Cała prasa emigracyjna zamieściła o nim recenzje i wzmianki. Jakkolwiek nie zostało ono opracowane i wydane w Londynie, ale zajmuje w dorobku wydawniczym emigracji wojennej i powojennej miejsce naczelnie i wydaje się dziwne, że polski pisarz nie wie o jego istnieniu.

Projektowane początkowo wydanie angielskie tego samego dzieła zostało zaniechane, gdyż tzw. "czynniki" (decydujące, powołane, kompetentne itp.) rozgospodarowały w Londynie tak wiele funduszy na różne zleczone broszury, iż już na to nie starczyło pieniędzy.

Byłoby rzeczą wskazaną, aby Polacy informowali dziennikarzy i polityków obcych, że to źródło informacji o Polsce znajduje w każdej większej bibliotece na całym świecie.

Łączę uścisk dłoni

Aleksander KORCZYŃSKI.

DWIE UWAGI

1) Do art. p. J. Hoffmana pt.: "Początki konspiracji na Wołyniu", nr. 10/36. — Autor wspomina o osadniku wojskowym Ożjaszu Biedermajerze. Prostuję: ten przykładowy typ wzorowego żołnierza i Polaka wyznania mojżeszowego, wachmistrz ułanów w Legionach, nazywał się nie Biedermajer, ale Biedermann.

2) Do art. p. J. Zadeykańskiego o Nowaczyńskim: autor pisze, iż "wojna zapędziła N. aż do Lwowa; aresztowany przez Sowiety, wydobyl się po kilku miesiącach do Warszawy itd.

Gdzieś tutaj kryje się błąd niewątpliwy, bo widziałem Nowaczyńskiego w październiku lub najpóźniej listopadzie 1939 w Warszawie. Było to tak: odwiedziłem Stanisława Piaseckiego na Książęcej 4 i rozmawialiśmy o wytworzonej sytuacji; w pewnym momencie ktoś zadzwonił energicznie do drzwi. Ponieważ Piasecki spodziewał się stale wizyty Gestapo, ofiarowałem się iż pójdę otworzyć drzwi. Do ciemnego korytarza wszedł Nowaczyński i zapytał:

— Czy jest pan Piasecki?

— Jest w swoim gabinecie — odparłem.

— Proszę powiedzieć, że pan Nowaczyński przyszedł — powiedział tonem "służbowym".

Widocznie zrozumiał, iż ma do czynienia z dawnym redakcyjnym chłopcem do posyłek. Oczywiście spełniłem jego polecenie; gospodarz wyszedł na jego spotkanie i równocześnie zaczął się serdecznie żegnać z mną. Wówczas to stary pisarz, spostrzegłszy omyłkę, spoglądał ku mnie błagalnie i widziałem, iż ma ochotę mnie przeprosić. Odprowadzony przez uprzejmego gospodarza do drzwi, skłoniłem się z całym szacunkiem Nowaczyńskiemu, aby mu dać do zrozumienia, że tej drobnej i raczej humorystycznej omyłki nie biorę mu za złe.

Powtarzam: jestem przekonany, iż nie mogło to być później, niż w październiku lub w pierwszej połowie listopada 1939. Brak więc miejsca na owe kilka miesięcy sowieckiego więzienia.

Tadeusz SOBOLEWSKI.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do artykułu p. Jana Zadeykańskiego pt.: "Adolf Nowaczyński", w szczególności do rozdziału "Flirt z Wielkopolską", pragnę wyjaśnić, że pobyt Adolfa Nowaczyńskiego w Szamotułach, a ściślej w Brodziszewie pod Szamotułami, u małopolanina, dr Maleszewskiego Władysława miał miejsce w roku 1924-tym a czy bodajże nie w roku 1925-tym.

W tym czasie krakowski Ilustrowany Kurier Codzienny prowadził zacieklą walkę z Kurierem Poznańskim, a właściwie był to okres rachunków, rozgrywany przez Małopolan, do której to rozgrywki wplątano Wielkopolskę. Wówczas to dr Maleszewski, wybitnie inteligentny i szalenie dowcipny człowiek, by ugruntować Nowaczyńskiego w Poznańskim zainscenizował to całe kuzynostwo z szamotulskim piekarnem Franciszkiem Nowaczyńskim. — Dr Maleszewskiemu dowcip udał się, a Adolf Nowaczyński zdobył w Poznańskim prawo azylu.

Co się tyczy Oporowa, to wizyty tej nie nazwałbym zbliżeniem do arystokracji. Była to raczej wizyta kurtuazyjna wobec barona de Puget'a, jako współpracownika Kuriera Poznańskiego.

Z poważaniem

Franciszek GONCZYŃSKI.

OD REDAKCJI

Pragnąc poinformować czytelników «Kultury» o osobach piszących w naszym piśmie, postanowiliśmy, poczynając od bieżącego numeru, zamieszczać krótkie notki biograficzne o autorach, drukowanych w danym numerze.

Prof. dr Theodor OBERLAENDER. Ur. 1. V. 1907 w Neiningen (Turyngia). Ekonomista i polityk. Przez wiele lat badał problemy ekonomiczne i rolnicze na Kubaniu, w krajach nadwołżańskich, w środkowej Syberii, w Chinach, Japonii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, na Ukrainie, Kaukazie i w Turcji. W 1933 roku ogłosił pracę habilitacyjną na temat «Rolnicze przeludnienie Polski». W 1934 r. został profesorem nadzwyczajnym katedry polityki agrarnej w Gdańsku oraz dyrektorem Instytutu dla Spraw Gospodarczych, wschodnio-europejskich. W 1937 r. profesor nadzwyczajny na Uniwersytecie w Królewcu, później przymusowo przeniesiony do uniwersytetu w Greiswald, 1 września 1939 r. zmobilizowany. W 1943 r. zwolniony z wojska na rozkaz Himmlera za domaganie się zmiany stosunku do narodów wschodnio-europejskich, z zakazem działalności naukowej. W marcu 1945 powołany z powrotem do wojska, w kwietniu tegoż roku wzięty do niewoli amerykańskiej. Zwolniony w kwietniu 1946 r. Uniewinniony przez komisję denazyfikacyjną. Obecnie wiceminister Spraw Wewnętrznych w Bawarii. W jego resorcie znajdują się sprawy Dipisów, którzy wyszli spod opieki I.R.O. Inicjator projektu Ost-Instytutu, poświęconego zagadnieniom Europy Środkowo-Wschodniej i sprawom Zjednoczonej Europy.

Jean BERNIER. Dziennikarz i polityk francuski.

Edouard RODITI. Literat i dziennikarz amerykański. Ur. w Paryżu w 1910 r. Od 1947 r. wydaje pismo «Das Lot» w Berlinie i pracuje w berlińskim «Der Monat». Współpracuje ponadto z szeregiem pism literackich francuskich, angielskich i amerykańskich. W 1947 r. wydał w New Yorku książkę o Oscar Wilde, a w 1949 r. tom swoich wierszy pt. «Elegie».

Włodzimierz BĄCZKOWSKI. B. kierownik Instytutu Wschodniego w Warszawie i redaktor «Biuletynu Polsko-Ukraińskiego», kwartalnika «Wschód» i miesięcznika «Problemy Europy Wschodniej». Obecnie sekretarz Instytutu Bliskiego i Środkowego Wschodu «Reduta». Autor książek: «U źródle upadku i wielkości» (Warszawa, 1935), «Grunwald czy Pilawce» (Warszawa, 1938), «W obliczu wydarzeń» (Warszawa, 1939). Na emigracji wydał w 1946 r. książkę pt.: «Rosja wczoraj i dziś», tłumaczoną na języki: angielski, arabski i turecki.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE «LIBELLA»

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1951.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV ^e	120 fr.	770 fr.	1440 fr.
W. BRYTANIA: «Grif» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh.	16 sh.	30 sh.
WŁOCHY: Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kalkskärgatan 3/IV, Stockholm	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schönau, U.S. Zone	2,50 DM	15 DM	25 DM
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	6 peso	36 peso	72 peso
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83, Front St. E., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Na stan New York: S. Dziarczykowski, 414 Prospect Ave., Brooklyn 15 N.Y. Na stan Illinois: Józef Białasiewicz, 1588 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill. Na stan California: L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Boulevard, Agoura, California. Na stan Michigan: Kazimierz Trojanowski, 6042 Jos. Campau, Detroit 11, Mich. Na stany Ohio, New Jersey, Pennsylvania, Indiana, Wisconsin, Florida, Virginia i West Virginia: Chrystian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave, Toledo 2, Ohio. Na pozostałe stany: M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ, Janta-Polczyńska, 24, Grande Rue au Bois, Bruxelles, 3. Konto Chèque Postal 244 113 — Bruxelles.	25 bfr.	120 bfr.	210 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh.	16 sh.	30 sh.
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	4 sh. (a.)	£A1.0.3.	£A1.18.0.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana	15 cruz	90 cruz	150 cruz
SZWAJCARIA: Zbigniew Malecki, 8, Kistlerweg, Bern, 16	1,80 fr. szw	10 fr. szw	18 fr. szw

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na portu

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

„ORZEL BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**
169/171, Battersea Church Road, London S.W.11
Tel. BATTERSEA 0879

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**
32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● P r e n u m e r a t a :

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Cena 200 frs.

5/2